GABRYEL D'ANNUNZIO.

TRYUMF ŚMIERCI.

Przekład Al. Callier.

WARSZAWA.
Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego".
—
1897.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Августа 1897 г.

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Przeszłość.

I.

Kiedy spostrzegła gromadkę ludzi przechylonych przez balustradę i przypatrujących się czemuś w dole na ulicy, Hipolita krzyknęła i zatrzymała się.

— Co się to stało?

Wylękła, oparła rękę mimowolnie na ramieniu Jerzego, jak gdyby chciała go zatrzymać.

Jerzy, przypatrzywszy się postawom tych ludzi, odrzekł:

— Niezawodnie ktoś rzucił się z wysokości tarasu.

A potem dodał:

— Może chcesz, żebyśmy zawrócili:

Zawahała się przez sekundę, walcząc naprzemian z ciekawością i z obawą—wreszcie odpowiedziała:

— Nie. Chodź.

Postąpili wzdłuż balustrady, aż do końca alei.

Nie spostrzegłszy się nawet, Hipolita przyśpieszała wciąż kroku, dochodząc do gromadki ciekawych.

W to marcowe popołudnie, Pincio było nieomal opustoszałe. Rzadkie odgłosy zamierały w powietrzu szarem i zgłuszonem.

— Tak jak myślałem—przemówił Jerzy.—Ktoś się zabił.

Zatrzymali się w pobliżu zebranych. Wszyscy widzowie utkwione mieli spojrzenia w bruku. Byli to wyrobnicy bez zajęcia. Różnorodne ich twarze, nie wyrażały ni współczucia, ni smutku a nieruchomość wzroku nadawała oczom rodzaj zwierzęcego jakiegoś osłupienia.

Nadszedł młody chłopak, ciekaw widzieć co się to stało. Ale nie pochylił się jeszcze nad balustradą, kiedy już go zainterpelował jakiś sąsiad nieokreślonym tonem, w którym brzmiała radość i szyderstwo równocześnie, jak gdyby ten człowiek był wielce zadowolony, że nikt już nie może nacieszyć się widowiskiem.

— Zapóźno! Zabrano go już.

— Dokąd?

— Do Santa Maria del Popolo.

— Umarłego?

— Tak, umarłego.

Inne jakieś indywiduum, wychudłe i zielonawe, z szerokim szalikiem, okręconym około szyi, wychyliło się nieco po za balustradę; potem, wyjmując z ust fajeczkę, zapytał na cały głos:

— Co to leży na ziemi?

Miał usta wykręcone na jedną stronę, otoczone ciemniejszym paskiem jakby spalenizny, ścią-

gnięte snać napływem nieustannym gorzkiej śliny; a głos jego był tak głęboki, jak gdyby wychodził z jakiejś jaskini.

— Co to zostało na ziemi?

W dole, na ulicy, woźnica jakiś przykucnął pod murem. Aby lepiej słyszeć odpowiedź, widzowie ucichli i nie ruszali się. Na bruku nic więcej widać nie było, jak nieco czarniawego błota.

— To krew—odpowiedział woźnica, nie wstając.

I końcem kija szukał dalej czegoś w krwawej kałuży.

— I co jeszcze? — spytał ponownie człowiek z fajką.

Woźnica podniósł się; trzymał na końcu kija coś, czego z góry nie można było rozróżnić.

— Włosy.

— Jakiego koloru?

— Jasne.

W tym rodzaju przepaści, którą tworzyły wysokie mury, głosy nabierały dziwnego rezonansu.

— Chodźmy ztąd, Jerzy! — błagała Hipolita.

Pomięszana, nieco blada, wstrząsała ramieniem swego kochanka, który stał przechylony przez balustradę w pobliżu cisnącej się gromadki, pociągany okropnością tej sceny.

Oddalili się z widowni tragicznej, w milczeniu. Oboje przejęci byli bolesną myślą tej śmierci i smutek widocznym był na ich twarzach.

Jerzy przemówił:

— Szczęśliwi umarli! Oni przynajmniej już nie wątpią.

— To prawda.

Zniechęcenie bezgraniczne przebijało w ich zmęczonych głosach.

Ona schyliła głowę i odparła z goryczą, połączoną z żalem:

— Nieszczęśliwa miłość!

— Jaka miłość?—spytał Jerzy, zamyślony.

— Nasza.

— Więc czujesz, że się już kończy?

— W mojem sercu, nie.

— Chcesz zatem powiedzieć, że w mojem?

Rozdrażnienie źle powstrzymywane dodawało cierpkości jego słowom. Powtórzył z oczyma w nią utkwionemi:

— Chcesz powiedzieć że, w mojem? Odpowiedz!

Umilkła, z głową niżej jeszcze opuszczoną.

— Nie chcesz odpowiedzieć? O! wiesz bardzo dobrze, że nie powiedziałabyś prawdy.

Nastała chwila milczenia, podczas której doznawali niewypowiedzianej potrzeby czytania wzajem w swych sercach. Potem on mówił dalej:

— Tak to poczyna się agonia miłości. Ty nie masz jeszcze jej świadomości; ale ja, odkąd powróciłaś, obserwuję cię bezprzestannie i codziennie nową spostrzegam w tobie oznakę...

— Jaką oznakę?

— Oznakę smutną, Hipolito... Co to za rzecz okropna kochać i mieć przenikliwość niezawodzącą nigdy!

Wstrząsnęła głową z gestem buntowniczym i spochmurniała. Tym razem jeszcze, jak tylekroć dawniej, jakieś wrogie usposobienie zapanowało między kochankami. Każde z nich obojga, czuło się dotkniętem nieufnością drugiego, niesprawiedliwością posądzenia i buntowało się w duszy z tym głuchym gniewem, który od czasu do czasu wybuchał w słowach brutalnych i niedających się naprawić, w poważnych zarzutach i niedorzecznych rekryminacyach. Nieprzeparta jakaś wściekłość ogarniała ich, chęć wzajemnego dręczenia się wedle upodobania, torturowania serc.

Hipolita spochmurniała, zamknęła się w sobie. Brwi ściągnęła, zacisnęła usta. Jerzy przyglądał się jej z drażniącym uśmiechem.

— Tak, to tak się zaczyna zawsze—powtórzył, uśmiechając się wciąż tym swoim złym uśmiechem i mierząc przeszywającem spojrzeniem.—Doznajesz w głębi duszy niepokoju, jakiegoś rodzaju nieokreślonej niecierpliwości, której powściągnąć nie umiesz. Kiedy jesteś ze mną, czujesz, że w głębi twej duszy budzi się przeciw mnie jakiś rodzaj instynktownej odrazy, której nie umiesz utaić. A wtedy stajesz się małomówną i, aby przemówić coś do mnie, zmuszona jesteś użyć niezmiernego wysiłku; fałszywie rozumiesz wszystko co ci powiem i ani wiedząc o tem, z pe-

wną szorstkością odpowiadasz mi na rzecz najmniejszej często wagi.

Nie przerwała mu nawet gestem. Urażony upornem tem jej milczeniem, mówił dalej; a popychał go do tego nietylko cierpki szał dręczenia swej towarzyszki, ale jeszcze jakieś upodobanie bezinteresowne do dociekań i śledzenia, wzmożone jeszcze cywilizacyą. Starał się wypowiadać zawsze swe twierdzenia z pewnością siebie i dokładnością dowodną, której go nauczyły prace analityków, ale w monologach, w formułach, któremi dawał wyraz wewnętrznemu swemu badaniu, przesadzał i przekształcał jego przedmiot a w rozmowach tego rodzaju, troska o jasne przedstawienie rzeczy, przyćmiewała często szczerość jego wzruszenia i wprowadzała go w błąd co do tajnych motywów, które, jak sądził, odkrywał u innych. Mózg jego, przeładowany masą psychologicznych obserwacyj, bądź osobistych, bądź zebranych z książek, w końcu mieszał i plątał wszystko, w nim samym i w świecie zewnętrznym.

Mówił dalej:

— Zwróć na to uwagę, że nie robię ci bynajmniej zarzutu. Wiem, że to nie twoja wina. Każda dusza ludzka ma pewien tylko oznaczony zasób siły uczucia, zdolny do miłości. Nieuniknionem jest, że zasób ten wyczerpuje się z czasem jak wszystko inne a skoro raz już jest zużytym, żadne usiłowania nie mają mocy przeszkodzenia

temu, by miłość się skończyła. Otóż, dość już dawno mnie kochasz, nieomal dwa lata! Wszakże to 2 kwietnia przypada druga rocznica naszej miłości. Czyś pomyślała o tem?

Wstrząsnęła głową. On powtórzył jakby sam do siebie:

— Dwa lata!

Podeszli do ławki i usiedli na niej. Siadając, Hipolita wyglądała tak, jak gdyby upadała pod ciężarem znużenia. Ciężka karoca czarna jakiegoś prałata toczyła się aleją, piasek skrzypiał pod jej kołami; dźwięk oddalony trąby dochodził od strony drogi Flamińskiej; potem cisza napowrót zaległa gaje dokoła. Krople deszczu rzadkie poczynały padać.

— Smutną będzie ta nasza druga rocznica— podjął dalej, bez wszelkiej litości dla siedzącej obok niego milczącej kobiety. — Jednakże trzeba ją będzie obchodzić. Mam upodobanie w rzeczach gorzkich.

Hipolita zdradziła przykrość, jaką jej sprawiała ta rozmowa, bolesnym uśmiechem; potem z niespodziewaną słodyczą spytała:

— Powiedz mi, po co ta cała złośliwość?

I popatrzała Jerzemu w oczy, długo, głęboko. Niewypowiedziane pragnienie zajrzenia do głębi serca jedno drugiemu przejęło ich ponownie. Kobieta doskonale znała straszliwą chorobę duszy swego kochanka; znała dokładnie tajną przyczynę całej tej cierpkości. Aby go zachęcić do

dalszego mówienia, aby mu dać sposobność ulżenia swemu sercu, dodała:

— Co ci jest?

Ten ton dobroci, którego nie oczekiwał bynajmniej, zmieszał go nieco. Akcent tych słów przekonał go, że ona go rozumie i że go żałuje. Poczuł jak w nim wzrasta litość nad samym sobą. Głębokie wzruszenie wstrząsnęło całą jego istotą.

— Co ci jest?—powtórzyła Hipolita, dotykając jego ręki, jakby dla zwiększenia za pomocą zmysłowego wrażenia, potęgi swej słodyczy.

— Co mi jest? — odpowiedział. To, że kocham!

Głos Jerzego nie miał już w sobie nic napastliwego. Odsłaniając nieuleczalną swą ranę, ubolewał nad własnem cierpieniem. Niepochwytne urazy, które wypełzły z zakątków jego umysłu, zdały się rozpraszać. Przyznawał, że niesprawiedliwością był wszelki żal do tej kobiety, czuł bowiem, że to było wynikiem fatalnej konieczności. Nie, powodem jego cierpienia, nie była żadna ludzka istota; był to wynik samejże treści życia! Jeśli mógł mieć żal do czego, to nie do kochanki, ale do miłości. Miłość, ku której cała jego istota rwała się mimowolnie, z nieprzepartą gwałtownością, ta miłość była ze wszystkich smutków tej ziemi najopłakańszym chyba, największym. I do śmierci może skazany był na ten smutek najwyższy.

Ponieważ milczał, zamyślony, Hipolita spytała:

— Ty więc sądzisz, Jerzy, że ja cię nie kocham?

— Skoro chcesz wiedzieć prawdę: tak więc, jest to prawda! Wierzę w to, że mnie kochasz. Ale czy dowiedziesz mi, że jutro, że za miesiąc, że za rok, że zawsze będziesz się czuć tak samo szczęśliwą z tego, żeś moją? Czy możesz mi dowieść, że dzisiaj, że w tej samej nawet chwili, jesteś moją całkowicie? Bo i cóż ja posiadam z ciebie?

— Wszystko.

— Nic, lub prawie nic. A nie posiadam tego, cobym pragnął posiąść. Jesteś dla mnie nieznajomą. Jak każda inna ludzka istota, posiadasz w głębi twej duszy świat cały, dla mnie niedociekły, do którego żaden poryw namiętności nie zdoła mi otworzyć wstępu. Z twoich wrażeń, z twoich uczuć, z twoich myśli ja znam zaledwie maleńką cząsteczkę. Słowo jest objawem wielce niedokładnym. Z duszą nie można się porozumieć. Nie posiadasz mocy oddania mi swej duszy. Nawet w ekstazie upojeń, jesteśmy dwoje, zawsze dwoje, oddzielni, rozłączeni, obcy sobie, samotni sercem. Całuję twe czoło a pod tem czołem, w tej samej może chwili, krąży myśl, nie dla mnie przeznaczona. Mówię do ciebie a jakieś jedno moje zdanie wywołuje w tobie może wspomnienia innych czasów, czasów nie mojej mi-

łości. Mija nas jakiś mężczyzna, spogląda na ciebie i w twoim umyśle, drobny ten fakt budzi jakieś wrażenie, którego ja nie jestem w stanie podpatrzyć. I nigdy nie wiem, czy chwila obecna nie rozjaśnia się dla ciebie jakimś refleksem minionego twego życia. Och, to życie, ja się go lękam szalenie! Jestem obok ciebie, czuję jak mnie ogarnia rozkoszne szczęście. które w niektórych chwilach życia daje mi sama twoja obecność. Pieszczę cię, mówię do ciebie, słucham tego co mi powiadasz, oddaję się tobie cały. Nagle mrozi mnie myśl jedna. A jeśli, nie zdając sobie z tego sprawy, wywołałem w jej pamięci widmo wrażenia poprzednio już doznanego, w sercu rzewne wspomnienie dni dalekich?... Nie umiałbym nigdy wypowiedzieć ci, ile cierpię. Ten zapał, którym mnie przejmowało złudne poczucie niewiedzieć jakiej łączności świętej między mną a tobą, pryska nagle. Kryjesz się przedemną, oddalasz, stajesz dla mnie niedostępną. I pozostaję sam, w przerażającem opuszczeniu. Dziesięć, dwadzieścia miesięcy zażyłości na nic się już nie zdały. Wydajesz mi się tak samo obcą, jak w czasach, kiedyś mnie nie kochała jeszcze. I przestaję cię pieścić, przestaję mówić, zamykam się w sobie, unikam wszelkiego objawu zewnętrznego, obawiam się, że najlżejsze jakie dotknięcie zbudzić może w głębi twego umysłu nieznane mi uczucia, które złożyło tam życie, nie dające się już odwołać. I w takich to chwilach, nachodzą

nas owe długie okresy przykrego milczenia, w których bezpotrzebnie i nędznie, trawi się w nas cała energia serca. Pytam cię: „O czem myślisz?" A ty mi odpowiadasz: „A ty o czem myślisz?" Ja nie znam twoich myśli, ty nie znasz moich. I z każdą minutą rozdział staje się między nami większy: przybiera głębokość przepaści...

Hipolita odparła:

— Ja nie doznaję nic podobnego. Ja się oddaję zupełniej. Kocham może więcej.

To stwierdzenie wyższości dotknęło znowu chorego.

— Zastanawiasz się zanadto—ciągnęła dalej.— Zanadto notujesz sobie wszystko, co myślisz. Ja może mniej cię pociągam, niż cię pociągają własne twe myśli, bo te myśli są zawsze różne, coraz inne, nowe, kiedy tymczasem ja nie mam już nic nowego dla ciebie. W pierwszych czasach twej miłości, mniej było w tobie refleksyi a więcej za to szczerego popędu. Jeszcześ podówczas nie miał upodobania w rzeczach gorzkich, byłeś hojniejszy w pocałunkach niż w słowach. Jeżeli, jak mówisz, słowo jest niedostatecznym objawem, nie należy go nadużywać. A ty go nadużywasz w sposób zawsze prawie okrutny.

Potem, po przerwie milczenia, porwana z kolei także frazesem i ulegając pokusie wypowiedzenia go, dodała:

— Sekcyi dokonywa się tylko na trupach.

Zaledwie jednak to wypowiedziała, kiedy już pożałowała zaraz. Ten frazes wydał mu się pospolitym, mało kobiecym, cierpkim. Żałowała, że nie zachowała w dalszym ciągu tego tonu słabości i wyrozumienia, który przed chwilą tak bardzo wzruszył kochanka. Raz jeszcze znowu nie dotrzymała uczynionego sobie postanowienia, że będzie dla niego zawsze najcierpliwszą i najłagodniejszą *garde-malade*.

— Widzisz — rzekła z intonacyą, która wyrażała jej skruchę—to ty mnie tak psujesz.

Uśmiechnął się słabo. Oboje zrozumieli, że w tej sprzeczce miłość ich tylko odnosiła klęskę.

Kareta prałata powróciła truchtem pary karych rosłych karosyerów. W powietrzu, które wietrzyk zmierzchu czynił coraz to chłodniejszem, drzewa przybierały kształty widziadeł. Chmury ołowiano-fioletowe zadymiały wzgórza Palatynu i Watykanu. Smuga światła, żółta jak szafran a prosta jak klinga miecza, muskała Monte-Mario po za strzelającemi w górę wierzchołkami cyprysów.

Jerzy myślał:

„Czy ona kocha mnie jeszcze? Dlaczego rozgniewać ją tak łatwo? Może czuje, że mówię prawdę lub to co niebawem będzie prawdą? Rozdrażnienie bywa jednym z symptomatów... Ale czyż gniew głuchy a bezustanny nie istnieje także w głębi mojej właśnie duszy?... U mnie wiem dokładnie co jest tego rzeczywistą przyczyną. Je-

stem zazdrosny. O co?... O wszystko! O przedmioty, które się odbijają w jej oczach..."

Popatrzał na nią.

„Bardzo jest dzisiaj piękną. Jest blada. Radbym był, gdybym ją zawsze widział zasmuconą, zawsze chorą. Kiedy jej powrócą rumieńce, wydaje mi się, że to już nie ona. Kiedy się śmieje, nie mogę się obronić od mimowolnego jakiegoś wrogiego dla niej usposobienia, niemal gniewu na ten śmiech. Niezawsze jednak".

Myśl jego zatonęła w cieniu zmierzchu. Zauważył przelotnie pewną łączność między widokiem wieczoru a widokiem kochanki, która mu się podobała. Pod bladością tej ciemnej twarzy przeświecał jakby lekki odblask fioletu; a wstążeczka blado żółtego koloru, owiązana dokoła szyi, odsłaniała czarne plamki dwu znamion.

„Bardzo jest piękną. Twarz jej ma zawsze prawie wyraz głęboki, znaczący, namiętny. W tem leży tajemnica jej uroku. Nigdy jej piękność mnie nie znudzi; poddaje mi bezprzestannie nowe marzenia. Jakie są żywioły tej piękności? Nie umiałbym powiedzieć. Materyalnie biorąc, nie jest ona piękną. Czasami, kiedy na nią patrzę, zdarza mi się doświadczać przykrej niespodzianki rozczarowania. Wtedy to jej rysy ukazały mi się w swej fizycznej prawdzie, nieprzeobrażone, nieopromienione siłą duchowego wyrazu. Posiada przecież trzy boskie żywioły piękna: czoło, oczy i usta. Tak, boskie".

Obraz śmiechu przyszedł mu na pamięć.

„Co to mi opowiadała wczoraj? Nie wiem już co to było takiego, jakieś drobne zajście komiczne, które się wydarzyło w Medyolanie u jej siostry, podczas jej tam pobytu... *Jakeśmy się śmiały!*... Zatem zdala odemnie mogła *śmiać się*, być wesołą. Otóż zachowałem wszystkie jej listy a wszystkie te listy pełne są smutku, łez, rozpacznej tęsknoty“.

Poczuł, że zadano mu ranę, potem niepokój gwałtowny jak gdyby nagle stanął wobec ważnego jakiegoś i niedającego się naprawić faktu, nierozświeconego tylko jeszcze dokładnie. Zachodziło w nim zwykłe zjawisko przesady uczuć drogą asocyacyi obrazów. Ten niewinny wybuch śmiechu, przechodził już w jego imaginacyi w wesołość bezprzestanną, codzienną, cogodzinną, przez cały czas trwania nieobecności. Hipolita żyła tam wesoło, powszedniem, gminnem istnieniem z ludźmi jemu nieznanymi, pośród kolegów swego szwagra, w kole wielbicieli ograniczonych. Jej listy pełne smutku, były najzwyklejszem kłamstwem. Przypomniał sobie dokładnie ustęp któregoś listu: „Tu życie jest nieznośnem, przyjaciele i przyjaciółki oblegają nas wciąż, nie pozostawiając ani godziny spokojnej. Znasz serdeczność medyolańską...“ I w umyśle jego powstała jasna zupełnie wizya Hipolity, otoczonej całą gromadą mieszczuchów, komisantów handlowych, adwokatów, przemysłowców. Uśmiechała

się do wszystkich, wszystkim podawała rękę, słuchała rozmów niedorzecznych, dawała niesmaczne odpowiedzi, dopasowywała się do ich pospolitości!

I poczuł wówczas cały ciężar cierpienia doznawanego od dwóch lat, na każdą myśl o życiu, jakiem żyła jego kochanka i o nieznanem środowisku, w którem spędzała te godziny, w których z nim być nie mogła. „Co ona robi? Kogo widuje? Z kim rozmawia? Jak się zachowuje względem osób, u których bywa, których dzieli życie?“. Wieczyste pytania bez odpowiedzi!

Rozmyślał w udręczeniu:

„Każda z tych osób zabiera jej coś a przez to mnie coś zabiera. Ja nigdy dokładnie znać nie będę wpływu, jaki ci ludzie wywarli na nią, wzruszeń i myśli, które jej poddali. Piękność Hipolity jest ponętną, jest to ten rodzaj piękności, który dręczy i prześladuje mężczyzn, budząc w nich żądzę. Pośród tego wstrętnego tłumu, niejednokrotnie jej pożądano. Żądza mężczyzny prześwieca w jego spojrzeniu a spojrzenie jest wolnem i kobieta jest bezbronną wobec spojrzenia mężczyzny, który jej pożąda. Jakiem może być wrażenie kobiety, która spostrzega, że jest przedmiotem żądzy? Niezawodnie nie pozostaje niewzruszoną. Musi ją to niepokoić, musi doznawać jakiegoś wzruszenia, choćby wzruszeniem tem był tylko wstręt lub obrzydzenie. Pierwszy lepszy więc mężczyzna, który się zbliża, ma moc

zaniepokojenia kobiety, która mnie kochał Na czemże zatem polega moje posiadanie?“

Cierpiał okropnie, fizyczne obrazy bowiem, ilustrowały mu d sadnie to wewnętrzne rozumowanie.

„Kocham Hipolitę; kocham ją namiętnością, którą uważałbym za niespożytą, gdybym nie wiedział, że wszelka miłość ludzka skończyć się musi. Kocham ją i nie wyobrażam sobie głębszych rozkoszy nad te, które mi ona daje. Niejednokrotnie przecież na widok jakiejś przechodzącej kobiety, czułem jak mnie ogarnia gwałtowna żądza; nieraz para oczu niewieścich, spostrzeżonych gdzieś ukradkiem, pozostawiała mi w duszy jakąś niepochwytną smugę melancholii; nieraz marzyłem o kobiecie spotkanej, o kobiecie widzianej w salonie, o kochance któregoś z przyjaciół. „Jaką też może być jej miłość? Na czem polega tajemnica jej rozkoszy?“ I przez czas niejaki ta kobieta zajmowała mój umysł, nie bezustannie, ale w pewnych odstępach czasu, przez długi jego przeciąg. Niejeden z tych obrazów przedstawiał się nagle w moim umyśle, w chwili nawet, gdy trzymałem w objęciach Hipolitę. Dlaczegóżby zatem ona również, widząc przechodzącego mężczyznę, nie miała doznać takiejże samej gwałtownej żądzy? Gdybym miał dar zajrzenia do głębi jej duszy i gdybym miał w niej dojrzeć jedno z takich pożądań, bodajby tak przelotne jak błyskawica, bez wszelkiego wątpienia uwa-

żałbym moją kochankę za zmazaną niezmytą jakąś plamę i wydawałoby mi się, że umrę chyba z bólu. Tego dowodu materyalnego nigdy nie będę mógł mieć, bo dusza mojej kochanki jest niewidzialną i niepochwytną, co jej nie przeszkadza jednak być daleko więcej niż ciało wystawioną na pogwałcenie. Ale analogia rozświeca mi kwestyę: możliwość jest tu pewną. Może w tej samej nawet chwili moja kochanka rozbiera we własnem sumieniu taką plamę świeżą i widzi, jak ta plama urasta pod jej spojrzeniem".

Pod wpływem bólu wzdrygnął się gwałtownie Hipolita spytała go łagodnym tonem:

— Co ci jest? O czem myślałeś?

Odparł:

— O tobie.

— Dobrze czy źle?

— Źle.

Westchnęła, potem spytała:

— Czy nie chcesz, żebyśmy zabrali się już do powrotu?

Odpowiedział:

— Chodźmy ztąd.

Powstali i puścili się napowrót tąż samą drogą, którą niedawno przebyli. Hipolita wymówiła ze łzami w głosie, zwolna:

— Jakiż to smutny wieczór, mój najdroższy!

I zatrzymała się, jak gdyby pragnąc zebrać i przetrawić cały smutek, rozproszony w tym dniu zamierającym. Dokoła nich teraz Pincio było

opustoszałe, pełne milczenia, pełne fioletowego cieniu, w którym popiersia na swych postumentach bielały niby grobowe posągi. W dole miasto szarzało zwolna coraz bardziej, niby pod spadającą nań ulewą popiołu. Rzadkie krople deszczu poczynały padać.

— Gdzie pójdziesz dziś wieczorem? Co będziesz robił?

Odpowiedział ze zniechęceniem:

— Co będę robił? Nic nie wiem.

Oboje idąc obok siebie, cierpieli zarówno i myśleli z przestrachem o innem cierpieniu, dobrze sobie znanem, a daleko okropniejszem jeszcze, które ich oczekiwało: o tej straszliwej męczarni, którą nocne widziadła będą rozdzierać ich dusze bezbronne.

— Jeśli chcesz, pozostanę u ciebie na noc dzisiejszą—ozwała się Hipolita nieśmiało.

Jerzy, trawiony głuchą urazą, pod wpływem szalonej chęci pomszczenia się, odpowiedział:

— Nie.

Ale serce jego protestowało przeciw tej decyzyi: „Być zdala od niej tej nocy, nie zdołasz tego; nie, nie będziesz mógł". I mimo ślepych, nieprzyjaznych dla niej porywów, wrażenie tej niemożebności, jasna świadomość tej niemożności absolutnej, przejmowała go jakimś dreszczem wewnętrznym, dreszczem dumy wyegzaltowanej, co zaprzeć się pragnęła tej wielkiej namiętności, która nim owładła. Powtarzał sobie wciąż sam:

„Dzisiejszej nocy *nie będę mógł* być zdala od niej; nie, nie będę mógł...“ I doznawał nieokreślonego wrażenia, że nim zawładnęła obca mu jakaś siła. Tragiczne jakieś tchnienie owiało mu umysł.

— Jerzy! — zawołała Hipolita przelękła, przyciskając jego ramię.

Zadrżał. Poznał to miejsce, w którem zatrzymywali się, przypatrując krwawej plamie, pozostałej po samobójcy. Spytał:

— Boisz się?

Spojrzeli sobie wzajem w oczy, zamieniając w tem spojrzeniu upajającą obietnicę.

Jerzy, pokonany rozrzewnieniem, spytał:

— Przebaczasz mi?

Powtórnie podnieśli na siebie wzajem oczy, a w spojrzeniu pełno było pieszczoty.

On szepnął:

— Moja uwielbiona!

Ona odpowiedziała:

— Do widzenia! Do jedenastej, myśl o mnie!

— Do widzenia!

Rozstali się na początku ulicy Gregoryańskiej. Ona zwróciła się w ulicę Capo-il Case. Kiedy się oddalała trotuarem wilgotnym i połyskującym od blasku oświeconych szyb sklepowych, on ścigał ją spojrzeniem.

„I otóż, opuszcza mnie; powraca do domu, który mnie nie jest znanym; wchodzi w życie powszednie, prozaiczne, gminne, zrzuca z siebie tę

szatę idealizmu, w który ja ją przyodziałem; staje się inną kobietą, kobietą jak wiele innych. Ja nic już nie wiem o niej. Konieczności powszednie życia pochłaniają ją, absorbują, upadlają..."

Sklep ogrodniczy rzucił mu nagle w twarz falę woni fiołków, a serce jego wezbrało zmieszanemi jakiemiś pragnieniami.

„Ach dlaczegóż miałoby nam być wzbronionem uczynić istnienie nasze zgodnem z marzeniami i żyć na zawsze wyłącznie dla siebie samych?"

II.

Około dziesiątej rano Jerzy spał jeszcze jednym z tych snów głębokich a pożytecznych dla organizmu, który w młodości następuje zawsze po nocach rozkoszy, kiedy służący wszedł, by go zbudzić.

Okropnie zły, krzyknął, przewracając się na łóżku.

— Niema mnie dla nikogo. Daj mi pokój!

Ale już słychać było głos natrętnego gościa, który z przyległego pokoju rozpoczynał prośbę:

— Wybaczysz mi, Jerzy, żem tak nastawał na widzenie się. Ale muszę koniecznie z tobą pomówić.

Jerzy poznał głos Alfonsa Exili i to wzmogło jeszcze przykrość.

Ów Exili był kolegą jego ze szkół, młodzieńcem miernej inteligencyi, który straciwszy majątek na grę i rozpustę, został poniekąd rodzajem awanturnika, polującego na łatwowiernych. Zachował jeszcze pozory pięknego młodzieńca, mimo twarzy zniszczonej i napiętnowanej występkami; ale w osobie jego i manierach było to nieujęte jakieś coś podstępnego i nieszlachetnego, co przy-

bierają zazwyczaj ludzie, żyjący z wszelkiego rodzaju forteli i upokorzeń.

Wszedł, zaczekał na wyjście służącego, przybrał minę okropnie wzburzoną i począł mówić, pochłaniając połowę wyrazów:

— Wybacz mi, Jerzy, jeśli na ten jeden raz jeszcze uciec się muszę do twej uprzejmości. Muszę zapłacić dług karciany. Zechciej mi dopomódz. Drobnostka te; chodzi tylko o trzysta franków. Przebacz mi.

— Patrzcie! to ty płacisz długi karciane?— spytał Jerzy.—To mnie dziwi.

Rzucił mu tę obelgę najzupełniej swobodnie. Nie umiejąc zerwać wszelkich stosunków z tym pasorzytem, używał względem niego wzgardy, jak inni używają kija, aby się obronić od natrętnego zwierzęcia.

Exili uśmiechnął się.

— Dajże pokój złośliwości! — prosił głosem błagalnym, jak kobieta.—Wszakże mi nie odmówisz tych trzystu franków? Oddam ci je jutro, słowo honoru!

Jerzy wybuchnął śmiechem. Pociągnął za dzwonek dla przywołania służącego. Ten wszedł.

— Poszukaj pęku małych kluczyków w ubraniu, które leży na kanapie.

Służący znalazł klucze.

— Otwórz drugą szufladę. Podaj mi duży pugilares.

Lokaj podał pugilares.

— Dobrze. Idź.

Kiedy służący wyszedł, Exili z uśmiechem nawpół nieśmiałym, nawpół wymuszonym, spytał:

— Czy nie mógłbyś może dać mi czterystu?

— Nie. Masz tu. Daję po raz ostatni. Teraz idź sobie.

Jerzy zamiast mu podać banknoty, położył je na brzegu łóżka. Exili uśmiechnął się, zebrał je i włożył do kieszeni; potem tonem dwuznacznym, w którym ironia mięszała się z pochlebstwem, wyrzekł:

— Szlachetne masz serce.

Obejrzał się dokoła po pokoju.

— Wspaniałą masz sypialnię, prawdziwie.

Siadł na kanapie, nalał sobie kieliszek likieru, napełnił porte-cigare.

— A któż jest obecną twoją metresą? Już to, o ile mi się zdaje, nie ta śliczna kobieta, co zeszłego roku?

— Idźże sobie, Exili. Spać mi się chce.

— Co to była za prześliczna osoba!... Najpiękniejsze oczy w całym Rzymie... Ale zdaje mi się, że obecnie jej tu niema? Od kilku dni przynajmniej nie spotkałem jej nigdzie. Musiała wyjechać. Jak mi się zdaje, ma w Medyolanie siostrę?

Nalał sobie drugi kieliszek i wypił go odrazu. Może po to tylko paplał, aby zyskać czas na wypróżnienie butelki.

— Nie żyje z mężem, nieprawdaż? Zdaje mi się, że jej finanse są w niezbyt świetnym stanie; a przecież zawsze ubrana bywa wytwornie. Przed dwoma miesiącami może spotkałem ją na ulicy Babuino. Wiesz, kto jest domniemanym twoim następcą... Ale nie, nie możesz tego wiedzieć. To ten Monti, *mercante di campagna*, wysoki i gruby jasny blondyn. Właśnie i tego dnia kiedym ją spotkał, nachodził jej na pięty na Babuino. Wiesz, to widoczne na pierwszy rzut oka, kiedy mężczyzna ściga kobietę... I nie goły, ten Monti!

Wymówił ostatnie zdanie z nieokreślonym jakimś wyrazem, ohydnym akcentem zawiści i chciwości razem. Potem wypił trzeci kieliszek bez ceremonii.

— Śpisz, Jerzy?

W miejsce odpowiedzi Jerzy udał, że śpi. Słuchał wszystkiego, ale obawiał się, aby przez kołdrę Exili nie dopatrzył jeszcze, jak mu serce bije.

— Jerzy!

Udał, że zrywa się jakby nagle zbudzony.

— Jakto? Jeszcze tu jesteś? Nie odchodzisz?

— Odchodzę już—odparł tamten, zbliżając się do łóżka.—Ale patrzaj! Szyldkretowa szpilka!

Schylił się, by podnieść ją z dywanu, przypatrzył się jej ciekawie i położył na kołdrze.

— Co za szczęśliwy człowiek! — dodał jeszcze, tym samym tonem zagadkowym.—A teraz do widzenia. Tysiączne dzięki!

Wyciągnął rękę; ale Jerzy pozostawił swoją pod kołdrą. Papla zwrócił się ku drzwiom.

— Znakomity masz koniak. Napiję się jeszcze kieliszek.

Wypił i wyszedł. Jerzy, przewracając się w łóżku, mógł dowolnie raczyć się wsączoną mu trucizną.

III.

Druga rocznica ich miłości przypadała w dniu 2-gim kwietnia.

— Na ten raz—rzekła Hipolita—obchodzić ją będziemy po za obrębem Rzymu. Musimy spędzić długi tydzień miłości, sami zupełnie, mniejsza o to gdzie, byle tylko nie tutaj.

Jerzy spytał:

— Czy przypominasz sobie pierwszą naszą rocznicę, zeszłego roku?

— Tak, pamiętam...

— Przypadała w niedzielę, w pierwsze święto wielkanocy...

— I przyszłam do ciebie rankiem o dziesiątej...

— I miałaś na sobie ten żakiecik angielski, który tak mi się podobał! Przyszłaś z książką do nabożeństwa...

— Och! Tego ranka nie byłam na mszy...

— Tak ci było śpieszno...

— Moje wyjście z domu było niemal ucieczką. Wiesz, że w święta nie należałam ani na sekundę do siebie. A przecież znalazłam sposób

pozostania z tobą aż do południa. Mieliśmy tego ranka gości na śniadaniu!

— Potem przez cały dzień już nie mogliśmy się widzieć. Smutna to była rocznica...

— To prawda!

— A to słońce wówczas!

— A ten las kwiatów w twoim pokoju!...

— Ja także owego poranka wychodziłom na chwilę; zakupiłem cały plac di Spagna...

— Zasypałeś mnie garściami różanych listków, powkładałeś za kołnierz, w rękawy pełno tego... Pamiętasz?

— Pamiętam.

— A potem, w domu, rozbierając się, odnalazłam to wszystko...

Uśmiechnęła się.

— A za powrotem mąż mój odkrył listek na kapeluszu w fałdach koronki!

— Opowiadałaś mi to.

— Nie wyszłam już więcej tego dnia, nie chciałam wyjść. Myślałam już tylko, wciąż myślałem o ranku... Tak, smutna to była rocznica!

Po chwili cichego zamyślenia dodała jeszcze:

— Czy w głębi serca wierzyłeś w to, że doczekamy z sobą drugiej rocznicy?

— Ja nie — odparł.

— Ani ja także.

Jerzy myślał: „Co to za miłość, co nosi w sobie przeczucie swego końca!“ Myślał następnie o mężu bez nienawiści, a nawet z pewnego ro-

dzaju życzliwem współczuciem. „Teraz jest wolną, dlaczegóż zatem jeszcze niespokojniejszym jestem o nią. niż dawniej? Ten mąż był to dla mnie pewnego rodzaju gwarancyą, wyobrażałem go sobie jako strażnika, który strzegł mojej kochanki od wszelkich niebezpieczeństw... Łudzę się może, bo i wtedy także bardzo cierpiałem. Ale minione cierpienie wydaje się zawsze daleko mniej ciężkiem od obecnego cierpienia". Zagłębiając się w własne rozmyślania, nie słuchał już tego, co mówiła Hipolita.

Hipolita mówiła:

— Gdzież więc pojedziemy? Trzeba się zdecydować. Jutro 1-szy kwiecień. Powiedziałam już mojej matce: „Mateczko, którego z tych dni będę musiała wyjechać". Trzeba ją potrochu przyspasabiać, ale bądź spokojny, wymyślę już dla niej jakiś pozór prawdopodobny. Poczekaj tylko.

Mówiła wesoło: uśmiechała się. A w uśmiechu, który rozświecił jej twarz pod koniec zdania, zdawało mu się, że dostrzega instynktowne zadowolenie, jakiego doznaje zawsze kobieta, ilekroć obmyśla jakiś podstęp lub oszukaństwo. Łatwość, z jakę Hipolicie udawało się zwodzić matkę, nie podobała mu się. Przyszła mu znów na myśl i nie bez żalu czujność mężowska. „Dlaczego dręczyć się tak okropnie tą swobodą, skoro ona służy do mojej przyjemności? Nie wiem co dałbym, żeby się ustrzedz od tej mojej idée

fixe, od tych obaw, które ją obrażają. Kocham ją, a jednak obrażam; kocham i przypuszczam, że jest zdolną do nikczemnego uczynku!“

Ona mówiła:

— Nie trzeba jednak, abyśmy jechali zbyt daleko. Znasz zapewne jakiś spokojny zakątek, samotny, pełen drzew, niezbyt znany? Tivoli, nie, Frascati, nie.

— Weź Baedekera tam ze stołu i poszukaj.

— Szukajmy razem.

Wzięła czerwoną książkę, uklękła obok fotelu, na którym on siedział i z gestami, pełnemi wdzięku, jakiegoś dziecinnego wdzięku, poczęła przewracać kartki. Chwilami czytała po kilka wierszy półgłosem.

On przyglądał się jej, pociągnięty delikatnym rysunkiem karku, zkąd włosy wznosiły się ku wierzchołkowi głowy, skręcone w rodzaj muszli czarnej z odblyskami światła. Przypatrywał się dwu drobnym plamkom brunatnym, bliźnięco równym pieprzykom, rzuconym tuż obok siebie na bladość szyi aksamitnej, której dodawały nieopisanego uroku. Zrobił w tej chwili uwagę, że nie miała kolczyków. W samej rzeczy od dwóch, czy trzech dni nie nosiła już poprzednio używanych kolczyków z szafirów. „Kto wie, czy ich nie poświęciła dla kłopotów pieniężnych? Kto wie, czy w domu nie znosi niedostatku, ciężkich potrzeb codziennych?“ Musiał zadać gwałt samemu sobie, by zajrzeć w oczy myśli, która go prześla-

dowała. A myśl ta była taką: „Kiedy się znudzi mną (a to z pewnością nastąpi niedługo), wpadnie w ręce pierwszego lepszego, który jej zapewni egzystencyę łatwą i który w zamian za rozkosz zmysłową, oswobodzi ją od niedostatku. Tym człowiekiem mógłby bardzo dobrze być ów *mercante*, o którym mówił Exili. Przez wstręt do drobnych kłopotów pokona wstręt inny; przystosuje się; może nawet nie będzie potrzebowała pokonywać innego wstrętu".

Przypomniał sobie kochankę jednego ze swych towarzyszów, hrabinę Albertini. Ta kobieta, rozwiedziona z mężem, wolna a bez majątku, zeszła potrochu aż do miłostek lukratywnych, posiadając nieco zręczności w zachowywaniu pozorów. Przypomniał sobie jeszcze drugi przykład, który uczynił prawdopodobniejszą jeszcze możność tego, czego się obawiał. I wobec tej możliwości, która wyłaniała się z przyszłości ciemnej, doznał niewypowiedzianego bólu. Odtąd już te obawy nie miały mu dawać spokoju, prędzej, czy później skazany był na to, by widzieć upadek istoty, którą postawił tak wysoko. Życie jest pełnem takich detronizacyj.

Ona mówiła, szczerze zmartwiona:

— Nic nie znajduję. Gubbio, Narni, Viterbe, Orvieto... Przyjrzyjno się planowi Orvieto: Klasztor św. Piotra, klasztor św. Pawła, klasztor Dzieciątka Jezus, klasztor św. Bernarda, klasztor

św. Ludwika, klasztor św. Dominika, klasztor św. Franciszka, klasztor sług Maryi...

Czytała tonem kantyczki, jak gdyby powtarzała słowa litanii. Nagle poczęła się śmiać, przechyliła w tył głowę, nadstawiła piękne swe czoło ustom kochanka. Była w jednej z tych chwil wylanej dobroci, które nadawały jej twarzy wyraz dziewczęcy.

— Co tu klasztorów! Co tu klasztorów! Dziwny to musi być kraj to Orvieto! Chcesz, żebyśmy tam pojechali?

Jerzy doznawał wrażenia jakiegoś powiewu dziwnej świeżości. Poddawał się z wdzięcznością tej pociesze. I przyciskając usta do czoła Hipolity, przypomniał sobie siedzibę Gwelfów, siedzibę opustoszałą, pogrążoną w niemym zachwycie dla wspaniałej swej katedry.

— Orvieto! Nie byłaś tam nigdy? Wyobraź sobie wśród szczytów skał w dolinie, pełnej dziwnego smutku, miasto tak skończenie ciche, że zdaje się nie mieć mieszkańców: okna szczelnie pozamykane, uliczki szare, na których trawa zarasta; kapucyn tylko przechodzący placem; biskup, przed szpitalem wysiadający z karety całkiem czarnej, ze służącym zgrzybiałym u drzwiczek; wieża na niebie białem, dżdżystem; zegar, wydzwaniający powolnie godziny; i nagle, w głębi ulicy, cud: ta przepiękna katedra!

Hipolita ozwała się, nieco zamyślona, jak gdyby miała jeszcze w oczach wizyę tego grodu milczenia.

— Co za spokój!

— Widziałem Orvieto w lutym, w taki czas właśnie jak dzisiaj, niepewny: kilka kropli deszczu, kilka promieni słońca. Pozostałem tam dzień jeden i byłem smutny odjeżdżając; unosiłem z sobą nostalgię tego spokoju... Och! Jakiż spokój! Nie miałem innego towarzystwa, prócz samego siebie i tak marzyłem: „Mieć kochankę, albo, lepiej mówiąc, siostrę duszy, coby pełną była gorącej pobożności; i przybyć tu, zamieszkać tu na miesiąc, długi miesiąc kwietniowy, nieco dżdżysty, popielaty, ale ciepły, z ulewami słońca; spędzać godziny, długie godziny w katedrze, przed nią, dokoła niej; iść zrywać róże w ogrodach klasztornych; chodzić do zakonnic na konfitury; pić z filiżanek etruskich; kochać strasznie i spać bez miary w miękkiem łóżku, przysłonionem białemi firankami, dziewiczem..."

To marzenie wywołało uśmiech szczęścia na usta Hipolity:

— Ja jestem szczerze pobożna! Czy zabierzesz mnie z sobą do Orvieto?

I zwijając się w kłębek u nóg ukochanego, ujęła jego ręce, niezmierna słodycz jakaś ją ogarniała; miała już przedsmak tego odpoczynku, tej bezczynności, tej melancholii.

— Opowiadaj jeszcze!

Ucałował ją w czoło, długo, z czystem jakiemś rozrzewnieniem. Potem pieścił ją długo wzrokiem.

— Masz takie piękne czoło! — wymówił z lekkim dreszczem.

W tej chwili Hipolita rzeczywista odpowiadała w zupełności idealnej postaci, żyjącej w jego sercu. Wydała mu się dobrą, serdeczną, uległą, otoczoną nimbem szlachetnej i rzewnej poezyi. Zgodnie z tą dewizą, którą jej przeznaczył, była poważną i słodką: *gravis dum suavis*.

— Opowiadaj mi jeszcze—szepnęła.

Światło złagodzone wpadało przez balkon. Od czasu do czasu słychać było lekki szmer o szyby a krople deszczu wydawały jakiś łoskot zgłuszony.

IV.

„Ponieważ w marzeniu już nacieszyliśmy się samą treścią przyjemności, ponieważ zakosztowaliśmy tego, coby dla naszych wrażeń i uczuć było osobliwem i rzadkiem, jestem zdania, żebyśmy się wyrzekli doświadczania ich w rzeczywistości. Nie jedźmy do Orvieto". I wybrał inną miejscowość: Albano Luziale.

Jerzy nie znał ani Albano, ani Ariccia, ani jeziora Nemi. Hipolita w dzieciństwie bywała w Albano u jakiejś ciotki, dziś już nieżyjącej. Dla niego ta podróż miała zatem urok czegoś nieznanego a dla niej miraż dalekich wspomnień. „Nie zdajeż się, że widok nowych piękności odnawia i oczyszcza miłość? Wspomnienia wieku dziewiczego czyż nie owiewają serca wonią wieczyście świeżą i dobroczynną?"

Zdecydowali się wyjechać 2-go kwietnia pociągiem południowym. Punktualnie stawili się na tę schadzkę oboje na dworcu a odnalazłszy wśród ciżby, poczuli radość serdeczną i niepokój zarazem.

— Czy nas kto nie zobaczy? powiedz, czy nas tylko nie zobaczy?—pytała Hipolita, w połowie śmiejąca, w połowie drżąca z obawy, bo wyobrażała sobie, że wszystkie oczy skierowane są na nią. Czy dużo czasu jeszcze pozostaje do odjazdu? Mój Boże! jak ja się boję!

Spodziewali się, że im się uda zająć w wagonie przedział pusty; ale ku niemałemu ich zmartwieniu, musieli zrezygnować się na obecność trojga jeszcze towarzyszów podróży. Jerzy skłonił się jakimś państwu.

— Kto to taki?—spytała Hipolita, nachylając się do ucha swego przyjaciela.

— Powiem ci później.

Obserwowała tę parę uważnie. Pan był starcem o długiej poważnej brodzie, o czaszce szerokiej, łysej i żółtawej, zaznaczonej w pośrodku głęboką wklęsłością, nieregularną, niby śladem, który tam pozostawił gruby palec, wciśnięty w miękką materyę. Pani, owinięta była perskim szalem, z pod ronda kapelusza wychylała się twarz zamyślona a w stroju jej, w fizyognomii, było coś z karykatury angielskiej *blue stocking*. Oczy starca, błękitne, miały wszakże jakąś żywość szczególniejszą; zdały się rozświecone jakimś z wewnątrz płomieniem, jak oczy człowieka, zostającego w ekstazie. Zresztą odwzajemnił ukłon Jerzego łagodnym niezmiernie uśmiechem.

Hipolita szukała w pamięci. Gdzie też ona mogła spotkać tę parę? Nie mogła stanowczo

określić swych wspomnień. Ale doznawała niejasnego wrażenia, że dziwaczne te postacie dwojga starców wplecione są we wspomnienia jej miłości.

— Kto to? powiedz mi — powtórzyła do ucha Jerzemu.

— Państwo Martlet: master Martlet i jego żona. Przynoszą nam szczęście. Czy wiesz gdzieśmy ich spotkali?

— Nie; ale pewną jestem, że ich już gdzieś widziałam.

— Było to w kaplicy na ulicy Belsiana, 2 go kwietnia, kiedy cię poznałem...

— Ach! tak, przypominam sobie!

Oczy jej promieniały; przypadek wydał jej się cudownym. Oparła głowę o poręcz i poczęła myśleć o tych przeżytych chwilach. Stanął jej w oczach kościołek na ulicy Belsiana, tajemniczy, zatopiony w błękitnawym zmierzchu, na trybunie, której wygięcie tworzyło rodzaj balkonu, wieniec młodych dziewcząt, śpiewających chórem; na dole grupa muzykantów z rzniętemi instrumentami, stojących przed pulpitami z białego jodłowego drzewa; dokoła w stalach dębowych słuchacze siedzący nieliczni, niemal wszyscy siwi lub łysi. Kapelmistrz wybijał takt. Woń jakaś pobożna zwietrzałych kadzideł i fiołków mieszała się z muzyką Sebastiana Bacha.

Pokonana żywością tych wspomnień, pochyliła się ponownie ku kochankowi i szepnęła:

— Myślisz o tem, ty także?

Rada była udzielić mu własnego wzruszenia, dowieść mu, że nie zapomniała najmniejszych nawet okoliczności tego uroczystego wydarzenia. On szybkim ruchem poszukał ręki Hipolity pod szerokiemi fałdami podróżnego płaszcza i zachował ją w uścisku swojej dłoni. Oboje doznawali w głębi duszy tego drżenia, które im przypominało niektóre delikatne wrażenia pierwszych dni miłości. I pozostali w tej pozie zamyśleni, jakby w ekstazie, obezwładnieni nieco ciepłem, kołysani równym i bezustannym ruchem pociągu, spostrzegając czasami z po za mgły, przez szyby zieleniejący krajobraz; niebo zasnuło się chmurami, deszcz padał. Mr. Martlet czytała jakiś przegląd *Lyceum*. Trzeci podróżny spał głęboko, z czapeczką nasuniętą na oczy.

„Ilekroć chór wypadł z taktu Mr. Martlet wybijał go energicznie, jak kapelmistrz. Była chwila, w której wszyscy starcy wybijali takt, jakby ogarnięci szałem muzyki; w powietrzu unosiła się woń zwietrzałych kadzideł i fiołków“. Jerzy oddawał się z rozkoszą fantastycznemu prądowi swej pamięci. „Mógłżem marzyć dla mej miłości oryginalniejszy i poetyczniejszy przedwstęp? Podobne to do wspomnienia jakiejś romantycznej czytanej książki; a jest przecież, wprost przeciwnie, wspomnieniem z rzeczywistego mego życia. W oczach duszy zachowałem najdrobniejsze szczegóły. Poezya tego początku rzuciła później na

całą moją miłość odblask marzenia". W obezwładnieniu zatrzymywał się na niektórych niewyraźnych obrazach, które przybierały dla jego umysłu rodzaj uroku muzykalnego. „Kilka ziarnek kadzidła... mały bukiecik fiołków..."

— Patrz jak Mr. Martlet zasypia! — powiedziała mu zcicha Hipolita. — Całkiem tak spokojnie jak dziecko!

Potem dodała z uśmiechem:

— Tobie także, nieprawdaż? chce się także spać cokolwiek. Pada wciąż. Jakie dziwne osłabienie ogarnia człowieka! Czuję jak mi ciężą powieki.—I z oczyma wpół przymkniętemi przypatrywała mu się z po za długich rzęs.

Jerzy myślał: „W pierwszej chwili zaraz te rzęsy mi się podobały. Siedziała w pośrodku kaplicy, na fotelu o wysokiej poręczy. Profil jej rysował się na tle jasności, spływającej z okna. Kiedy chmury rozproszyły się na dworze, ta jasność ożywiła się nagle. Ona poruszyła się zlekka i w świetle cała długość tych rzęs się uwidoczniła, długość niezwykła!"

— Słuchaj, dużo jeszcze czasu upłynie, nim przybędziemy na miejsce?—spytała Hipolita.

Gwizd lokomotywy oznajmiał blizkość stacyi.

— Założyłabym się—mówiła dalej—że zajechaliśmy dalej niż potrzeba.

— Och! nie.

— No, to spytaj.

— Segni - Pagliano! — krzyczał głos zachrypły wzdłuż drzwiczek wagonów.

Jerzy, nieco wylękły, wysunął głowę i spytał:

— Wszak to Albano?

— Nie, panie; to Segni Paliano—odpowiedział zagadniony z uśmiechem. — Pan jedzie do Albano? W takim razie należało wysiąść w Cecchina.

Hipolita wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że Mr i Mrs. Martlet popatrzyli na nią zdumieni. I Jerzemu udzieliła się ta zaraźliwa wesołość.

— Co robić?

— Przedewszystkiem trzeba wysiadać.

Jerzy podał walizy posługaczowi, kiedy tymczasem Hipolita wciąż śmiała się świeżym rozgłośnym śmiechem z tej przygody, z której odrazu wyciągnęła dla siebie korzyść. Mr. Martlet miał minę jak gdyby wchłaniał w siebie z uszczęśliwieniem ten powiew młodości, podobny do słonecznej fali. Skłonił się głową Hipolicie, która w głębi serca doznawała nieokreślonego żalu, że jej już wysiadać przychodzi.

— Biedny master Martlet!—rzekła tonem wpół poważnym, wpół żartobliwym, ścigając oczyma pociąg, co biegł w przestrzeń pustą i mroczną.— Żal mi, że go już opuszczam. Alboż wiem, czy go jeszcze kiedy zobaczę?

Potem zwracając się do Jerzego, spytała:

— A teraz?

Urzędnik stacyjny poinformował ich:

— Pociąg do Cecchina odchodzi o wpół do piątej.

— To doskonale — podjęła Hipolita. — Teraz wpół do trzeciej. Otóż oświadczam, że począwszy od tej chwili, biorę na siebie kierownictwo podróży. Ty pozwolisz sobą kierować. Dalej, mój Jerzy, weź mnie pod rękę i uważaj pilnie, abyś się nie zgubił.

Mówiła do niego jak do małego dziecka, żartując. Obojgu im było wesoło.

— Gdzie jest Segni? Gdzie jest Paliano?

Nie widać było dokoła ani śladu wioski. Nizkie wzgórza rozciągały pod sklepieniem szarego nieba zieleń swą niewyraźną. W pobliżu drogi jedno jedyne drzewko, wątłe i pogięte, kołysało się w wilgotnem powietrzu.

Ponieważ deszcz kropił, dwoje zbłąkanych poszukało przytułku na dworcu, w małej salce, w której był kominek, niestety, bez ognia. Na ścianie wisiała stara mapa w'strzępach, pokreślona czarnemi liniami; na drugiej wisiał karton kwadratowy z reklamą jakiegoś eliksiru. Naprzeciw tego kominka, który nie pamiętał już ognia, kanapa pokryta ceratą, tysiącami ran wyziewała kłaczaną swą duszę.

— Patrz! — zawołała Hipolita, która czytała Baedeckera. — W Segni jest hotel, hotel Gaetanino!

Ta nazwa pobudziła ich do śmiechu.

— Gdybyśmy tak zapalili papierosa — przemówił Jerzy. — Teraz trzecia. To godzina, w której zamierzałem właśnie wejść do kaplicy, dwa lata temu.

I ponownie wspomnienie owego wielkiego dnia zajęło mu umysł.

Przez kilka minut palili w milczeniu, słuchając deszczu, który padał ze zdwojoną siłą. Po przez szyby zabłocone widzieli wątłe drzewko, uginające się pod wiatru podmuchem.

— Moja miłość datuje od znacznie dawniejszego czasu niż twoja—odezwał się Jerzy. — Przed tym dniem jeszcze zrodziła się ona.

Kobieta zaprotestowała.

A on pod urokiem głębokiego czaru tych dni, nieodwołalnie ubiegłych, dodał z serdecznością:

— Widzę cię jeszcze, jak cię widziałem po raz pierwszy przechodzącą! Jakież to wrażenie niezatarte! Było to pod wieczór, kiedy poczęto zapalać światła, kiedy na to ulice zapada fala błękitu... Stałem przed witrynami Alinarego sam jeden; przyglądałem się postaciom, alem ich nie rozróżniał; był to stan nieokreślony; trochę znużenia, sporo smutku, z jakąś niejasną potrzebą idealniejszych uczuć... Tego wieczora czułem nieprzeparte pragnienie poezyi, podniosłości rzeczy duchowych. Byłoż to przeczucie?

Zatrzymał się na długą chwilę; ale Hipolita nie mówiła nic, czekając, by skończył, cała oddana przyjemności słuchania go z poza lekkich obłocz-

ków dymu, który jedną obsłonkę więcej narzucał na to przyćmione wspomnienie.

— Było to w lutym. Zapamiętaj; właśnie przed kilku dniami zwiedziłem Orvieto. Zdaje mi się nawet, że jeśli stałem wówczas przed Alinarim, to dlatego, że zamierzałem żądać od niego fotografii relikwiarza. A tyś przeszłał... Odtąd dwa czy trzy razy jeszcze miałem sposobność, dwa czy trzy, nie więcej, widzieć cię tak samo bladą, tą szczególną bladością. Nie możesz sobie wyobrazić, Hipolito, jak byłaś wówczas bladą. Nigdy nie udało mi się znaleźć na tę bladość porównania. Myślałem sobie: „Jak ta kobieta może utrzymać się na nogach? Nie musi chyba już mieć ani jednej kropli krwi w żyłach“. Była to bladość nadnaturalna, która ci nadawała pozór istoty bezcielesnej, w tej fali lazuru spływającego z nieba na bruk uliczny. Nie zwróciłem uwagi na mężczyznę, który ci towarzyszył; nie chciałem iść za tobą; nie otrzymałem od ciebie najobojętniejszego choćby spojrzenia... A oto inny szczegół, który sobie przypominam: zatrzymałaś się o kilka kroków dalej, ponieważ latarnik zastąpił drogę na trotuarze. I patrzaj, widzę jeszcze migotanie małego płomyczka na końcu jego drzewca, widzę zapalanie się nagłe gazu, który oblał cię jasnością.

Hipolita uśmiechnęła się, ale z pewnym smutkiem, tym smutkiem, który ściska serce kobiet,

kiedy patrzą na swój portret z dawniejszych czasów.

— Tak, byłam blada—rzekła.—Przed kilku zaledwie tygodniami opuściłam łóżko, po trzymiesięcznej chorobie. Widziałam śmierć zblizka.

Fala deszczu zalała szyby. Widać było, jak małe drzewko się porusza, niemal krąg zataczając, jakby pod siłą ręki, która chciałaby wyrwać z korzeniem. Przez kilka minut przypatrywali się oboje temu gwałtownemu wstrząśnieniu, które w tem bladem świetle, w nagiej pustce, w nieruchomości wsi, przybierało dziwny pozór świadomego życia. Hipolita doznawała niemal litości. Urojone cierpienie drzewa przywodziło im na myśl własną boleść.

Rozważali w duszy niezmierną samotność, co otaczała cały dworzec, ten nędzny budynek, przed którym od czasu do czasu przesuwał się pociąg, pełen przerozmaitych podróżnych, a każdy z nich niósł w duszy odrębny niepokój. Smutne obrazy następowały po sobie w ich umyśle, niezmiernie szybkie, wywoływane przez też same rzeczy, na które patrzyli przed chwilą wesołemi oczyma. A kiedy te obrazy się rozproszyły, kiedy ich świadomość, przestając się ich czepiać, zwróciła się do nich samych, znaleźli oboje w głębi dusz swych jedyny tylko, nieopisany niepokój: żal za chwilami utraconemi bezpowrotnie.

Miłość ich miała po za sobą długą *przeszłość:*

wlokła po za sobą olbrzymią sieć ciemną, pełną rzeczy zamarłych.

— Co tobie?—spytała Hipolita z lekkiem drżeniem w głosie.

— A tobie co jest?—spytał w odpowiedzi Jerzy, patrząc jej bystro w oczy.

Ani jedno, ani drugie nie odpowiedziało na pytanie. Umilkli i poczęli napowrót patrzeć przez szyby. Niebo naraz zdało się, że się uśmiecha przez łzy. Słaby odblask musnął jedno ze wzgórz, rzucił na nie przelotne złocenie i zagasnął. Co chwila zapalały się nowe blaski i zaraz zamierały.

— Hipolita Sanzio! — wymówił Jerzy imię to powolnie, jakby pragnąc nacieszyć się jego urokiem.—Jakże mi biło serce, kiedy nakoniec dowiedziałem się, że tak się nazywasz! W tem imieniu, ileż ja widziałem i czułem rzeczy! Było to imię jednej z sióstr moich, która umarła. To piękne imię nie było dla mnie obcem. Pomyślałem natychmiast z głębokiem wzruszeniem: „O gdybyż tak moje usta mogły powrócić do dawnego, tak drogiego mi zwyczaju“! Tego dnia od rana do wieczora wspomnienia zmarłej plątały się do mego tajemnego marzenia. Nie zacząłem bynajmniej cię szukać, wzbroniłem sam sobie ścigania; chciałem nigdy ci nie być natrętnym, ale w głębi duszy miałem ufność niewytłomaczoną: byłem pewien, że prędzej czy później poznasz mnie i pokochasz. Jakież to rozkoszne wrażenia! Żyłem po

za rzeczywistością; karmiłem mój umysł wyłącznie tylko muzyką i poezyą. Pewnego dnia zdarzyło mi się spostrzedz cię na koncercie, dawanym przez Jana Sgambati; ale spostrzegłem cię wówczas dopiero, kiedy już zamierzałaś opuścić salę. Rzuciłaś mi spojrzenie. Innym razem znowu popatrzałaś na mnie, może to sobie przypominasz? Kiedyśmy się spotkali u wejścia na ulicę Babuino, nawprost księgarni Piale.

— Tak, przypominam sobie doskonale.

— Miałaś z sobą małą dziewczynkę.

— Tak, to była Cecylia, jedna z moich siostrzenic.

— Zatrzymałem się na chodniku, aby cię przepuścić Zauważyłem, że oboje jednego byliśmy wzrostu. Mniej byłaś blada niż zazwyczaj Błysk dumy przeszedł mi przez myśl...

— Zgadłeś dobrze.

— Przypominasz to sobie? Było to pod koniec marca. Czekałem ze wzrastającą ufnością. Żyłem z dnia na dzień, pogrążony w przeczuciu wielkiej namiętności, której zbliżanie się czułem. Ponieważ widziałem cię dwukrotnie z bukietem fijołków, napełniłem cały dom mój fijołkami. Oh! ten początek wiosny, ja go nie zapomnę nigdy! A ten sen poranny w łóżku, taki lekki zawsze, taki ulotny!... A owe przebudzenia się, takie powolne, niezdecydowane, kiedy to przez ten czas, gdy oczy moje otwierały się na światło, umysł z trudnością jeszcze powracał do rzeczywisto-

ścil... Przypominam sobie, że niektóre drobne podstępy wystarczałyby mi dać rodzaj urojonego upojenia. Pamiętam, jak pewnego dnia, na koncercie quintetu, słuchając jednej z sonat Beethovena, którą zapełniała peryodycznie wracająca wspaniała a namiętna fraza, rozegzaltowałem się do szału powtarzaniem wciąż w myśli poetycznego jakiegoś zdania, w którem było twe imię.

Hipolita uśmiechnęła się, ale słysząc, z jakiem szczególniejszem upodobaniem powraca do najpierwszych objawów swej miłości, doznawała nieprzyjemnego uczucia. Owe czasy zatem wydawały mu się milszemi niż obecność. Te oddalone wspomnienia były więc najdroższem jego wspomnieniem.

Jerzy mówił dalej:

— Cała pogarda, jaką mam dla powszedniego życia, nie byłaby wystarczyła do wymarzenia bardziej fantastycznego i tajemniczego przybytku nad tę opustoszałą kaplicę na ulicy Belsiana. Pamiętasz ty ją? Drzwi, wychodzące na ulicę, otwarte w górze schodów, co bywały zamknięte może od lat całych. Przechodziło się przez uliczkę boczną, gdzie cię dolatywał wyziew wina i gdzie był szyld czerwony jakiejś winiarni z wielką wiechą. Przypominasz sobie? Wchodziło się od tyłu, mijając zakrystyę, zaledwie dość obszerną na pomieszczenie jednego księdza i zakrystyana. Było to wejście do świątyni Mądrości... Oh! ci starcy, te stare kobiety dokoła

w stalach spróchniałych! Gdzie też ten Aleksander Mummi poszedł sobie szukać słuchaczy? Czegoś nie wiedziała zapewne, moja droga, to, że w tem konsylium melomanów filozofów tyś reprezentowała Piękność. Martlet, widzisz, Mr. Martlet, jest jednym z buddystów najwierniejszych naszej epoki, a żona jego napisała książkę o *Filozofii muzyki*. Dama, siedząca obok ciebie, to była Margarita Traube Bell, doktór, sława, ona to prowadzi dalej prace rozpoczęte przez zmarłego jej męża o funkcyach wzrocznych. Nekromata w długim pozieleniałym płaszczu, który wszedł na palcach, był to żyd, lekarz niemiecki, doktór Fleischl, znakomity fortepianista, fanatyk Bacha. Ksiądz, siedzący pod krucyfiksem, był to hrabia Castracane, botanik nieśmiertelnej sławy. Inny botanik, bakteryolog, mikroskopista znakomity, Cuboni, siedział naprzeciw niego. A był tam także Jakób Moleschott, ten niezapomniany starzec, prawy, prostoduszny a wielki; był Blaserna, współpracownik Helmholtza w teoryi dźwięków; był Mr. Davys, malarz filozof, prerafaelista, pogrążony w bramanizmie... A jeszcześ inni, nieliczni, wszystko to inteligencye wybrane, umysły rzadkie, oddane najszczytniejszym dociekaniom nowoczesnej nauki, zimni badacze życia i namiętni czciciele marzeń.

Przerwał, by uprzytomnić sobie lepiej ten obraz.

— Ci mędrcy słuchali muzyki z zapałem iście religijnym; niektórzy przybrali pozę natchnioną; inni dokonywali mimowiednych ruchów, naśladując dyrektora chórów; inni z cicha łączyli głos swój ze śpiewem chóru. Chór, głosy męzkie i głosy kobiece, zajmował trybunę z pomalowanego drzewa, na której pozostały zaledwie tu i owdzie ślady złocenia. Na przodzie młode dziewczęta tworzyły grupę z partycyami, trzymanemi na wysokości twarzy. Na dole, na pulpitach skrzypków, ordynarnych, paliły się świece, złote plamy na tle błękitnawego cienia. Tu i owdzie drobne ich płomyki odbijały się na połyskujących skrzynkach instrumentów, migotały świetlanym punkcikiem na brzegu smyczka. Aleksander Memmi, nieco sztywny, łysy, z krótko przystrzyżoną czarną brodą, w złotych okularach, stojący naprzeciw orkiestry, wybijał takt ruchem surowym i umiarkowanym. Przy końcu każdej sztuki szmer podnosił się w kaplicy i śmiechy źle hamowane dolatywały z trybuny, pośród szelestu nót, których strony przewracano. Kiedy niebo się wyjaśniało, bladły płomyki świec a krzyż bardzo wysoki, który figurował niegdyś na procesyach uroczystych, odcinał się od muru smugą światła. Głowy śnieżne i łyse słuchaczy połyskiwały na tle dębowych stalli. Potem, nagle, z nową zmianą na niebie, zmrok znów poczynał kłaść się na przedmiotach, niby lekka mgła. Fale zaledwie dostrzegalne subtelnych wyziewów — kadzideł, czy

benzoesu?—rozpływała się po nawie. Na jedynym ołtarzu, w wazonach szklanych, dwa bukiety fijołków, cokolwiek przywiędłych, ziały wonią wiosny a podwójny ten zapach zamierający był jakby poezyą snów, które muzyka wywoływała w duszach starców, kiedy tymczasem tuż obok nich, w innych zupełnie duszach, wykwitały inne zgoła marzenia: była to niby jutrzenka na topniejących śniegach.

Lubował się w odtwarzaniu tej sceny, w poetyzowaniu jej, w ogrzewaniu powiewem lirycznym.

— Nie jestże to nieprawdopodobnem, nie do wiary niemal?—zawołał.—W Rzymie, w tem mieście bezwładności intelektualnej, mistrz muzyki buddysta, który wydał dwa tomy szkiców o filozofii Schopenhauera, dopuszcza się zbytku takiego, że mszę Sebastyana Bacha każe wykonywać dla własnej wyłącznie przyjemności, w tajemniczej kaplicy, przed audytoryum wielkich uczonych melomanów, których córki śpiewają na chórze. Nie jestże to jakby kartka z Hoffmana? W wiosenne popołudnie, nieco szare, ale ciepłe, ci starzy filozofowie opuszczają laboratorya, gdzie walczyli zawzięcie, by wydrzeć życiu jedną z jego tajemnic i zgromadzają się w ukrytej kaplicy, by zadowolić aż do upojenia namiętność, która zbliża do siebie ich serca, by się wznieść ponad życie, by przeżyć idealnie jedną chwilę w krainie snów. I pośród tego koncylium starców, wytwor-

na idyla, pełna muzykalnej harmonii, rozsnuwa się idealnie między kuzynką buddysty i przyjacielem buddysty. A kiedy msza się skończyła, buddysta, nie domyślający się niczego zgoła, przedstawia boską Hipolitę Sanzio przyszłemu jej kochankowi!

Począł się śmiać i powstał.

— Zdaje mi się, żem dokonał komemoracyi, wedle wszelkich reguł.

Przez chwilę Hipolita pozostała jeszcze nieco zamyślona; potem odezwała się:

— Czy przypominasz sobie, że to było w sobotę, w wigilię niedzieli Kwietniej?

Z kolei ona podniosła się, przybliżyła do Jerzego i złożyła na twarzy jego pocałunek.

— Czy chcesz, żebyśmy wyszli? Już nie pada.

Wyszli i przechadzali się po wilgotnym trotuarze, który połyskiwał w przygasłem słońcu. Przejął ich chłód. Dokoła nizkie pagórki sfalowane zieleniały pobrużdżone świetlanemi pasami: tu i owdzie szerokie kałuże wody odbijały blady obraz nieba, którego lazur głęboki wyzierał z po za kędzierzawych chmurek. Suchotnicze drzewko, ociekając z wody, zapalało się chwilami złotym blaskiem.

— To drobne drzewko pozostanie nam w pamięci—odezwała się Hipolita, zatrzymując się, by mu się przyjrzeć.—Takie ono samotne, takie opuszczone!

Dzwonek zwiastował nadejście pociągu. Było kwadrans na piątą. Szwajcar kolejowy podjął się przynieść im bilety. Jerzy spytał go:

— Kiedy będziemy w Albano?

— Około siódmej.

— Będzie już ciemno—rzekła Hipolita.

Ponieważ było jej cokolwiek zimno, ujęła Jerzego pod ramię i przyjemnie jej było pomyśleć, że przybędą do nieznanego hotelu w ten wieczór chłodny i sami we dwoje zasiądą do obiadu przed płonącym na kominku ogniem.

Jerzy spostrzegł, że drżała i spytał ją:

— Może chciałabyś powrócić do sali?

— Nie—odparła—widzisz przecież, że tu jest trochę słońca, to mnie rozgrzeje.

Czuła nieopisaną potrzebę serdecznej życzliwości. Przycisnęła się do niego, nagle stała się pieszczotliwą, głos jej zmiękł dziwnie, pieszczota była w spojrzeniu, w dotknięciu, w ruchach, w całej jej istocie. Pragnęła oddziałać na ukochanego najbardziej niewieściemi swemi urokami; chciała upoić go, olśnić blaskiem obecnego szczęścia, zdolnego zaćmić odblask szczęścia minionego; chciała wydać mu się milszą, godniejszą jeszcze uwielbienia i pożądań niż niegdyś. Obawa przejęła ją niezmierna, że mógł żałować tej kobiety z minionych czasów, wzdychać za wrażeniami zatraconemi, wierzyć, że wówczas tylko był dlań szczyt upojeń. Myślała: „Te wspomnienia takim smutkiem napełniły mi duszę! Z trudem ledwie łzy po-

wstrzymywałam. A i on może także smutny jest w głębi serca. Jak też przeszłość ciąży na miłości“! I myślała dalej: „Może znudzony jest już mną? Może nie zdaje sobie sam sprawy z tego znużenia i nie chcę tylko przyznać się przed sobą samym i sam się łudzi? Ale może ja już nie zdolną jestem dać mu szczęście? Jeśli mu jestem jeszcze drogą, to może dla tego tylko, że go łączą ze mną te wspomnienia smutne a tak piękne. Niestety! i ja także u jego boku rzadkich doznaję tylko chwil szczęścia rzeczywistego i ja również cierpię. A przecież kocham go i kocham moje cierpienie, i jedynem mojem pragnieniem jest podobać się jemu i nie pojmuję nawet życia bez tej miłości. Dlaczegóż zatem jesteśmy tak smutni oboje, skoro się kochamy“?

Wsparła się mocniej na ramieniu ukochanego, podnosząc na niego oczy, w których mrok myśli nadawał jej czułości głębszy jakiś wyraz.

„Dwa lata temu, o tej samej niemal porze, wychodziliśmy razem z kaplicy; mówił o rzeczach nie mających nic wspólnego z miłością, głosem, który mnie przejmował do głębi serca, który głaskał duszę moją, jak pieszczota ust i tę idealną pieszczotę wchłaniałam, jak długi pocałunek. Drżałam, bezustannie drżałam, czułam bowiem, jak rodzi się we mnie nieznane mi dotąd jakieś uczucie. Och! boska to były godzina!... Dziś dobiegliśmy drugiej już rocznicy i kochamy się jeszcze. Przed chwilą on mówił, a jeśli głos jego przej-

mował mnie innym niż niegdyś niepokojem, niemniej przecież nie pozostawiał mnie obojętną, przejmował do głębi duszy. Mamy przed sobą wieczór rozkoszny. Dlaczego żałować dni minionych? Nasza swoboda, nasza zażyłość obecna, czyliż nie równoważą niepewności i wahań tamtych czasów? Nawet te nasze tak liczne wspomnienia, czyż nie dodają nowego uroku naszej miłości? Kocham go i oddaję mu się cała, bez zastrzeżeń; cała zupełnie; wobec jego pożądań zapominam o niewieścim wstydzie. W ciągu dwóch lat on mnie przetworzył; zrobił ze mnie całkiem inną kobietę; dał mi nowe zmysły, nową duszę, nową inteligencyę. Jestem jego utworem. Może się mną upajać, jak jedną ze swych myśli. Należę do niego cała teraz i na zawsze.“

Spytała, przyciskając się silniej do niego namiętnie:

— Czyż nie jesteś szczęśliwym?

Intonacya tego pytania zaniepokoiła go; jakby powiew ciepły owionął go niespodzianie, przejął go dreszcz prawdziwego szczęścia. Odparł:

— O! tak, jestem szczęśliwy!

A skoro posłyszeli gwizd lokomotywy, serca ich jednakiem uderzyły tętnem.

Nakoniec byli sami w przedziale wagonu. Zamknęli obie szyby, czekali, by pociąg puścił się w ruch a wtedy objęli się uściskiem, całowali, powtarzali wszystkie pieszczotliwe nazwy, które w ciągu dwuletniej miłości stały się ich nawy-

knieniem. Potem siedli jedno obok drugiego z nieokreślonym, nieujętym jakimś uśmiechem na ustach i w oczach, z wrażeniem, że zwolna przyśpieszony obieg ich krwi się zwalniał. Poglądali przez szyby na krajobraz monotonny, który uciekał przed niemi, zapadając w mgłę fioletową.

Hipolita przerwała milczenie:

— Oprzej głowę na moich kolanach, tutaj i połóż się.

Oparł głowę i położył się.

Mówiła dalej:

— Wiatr splątał ci wąsy.

I końcami palców podniosła mu kilka włosków co opadły na wargi. Ucałował te koniuszczki palców. Ona przesunęła rękę po jego włosach i rzekła:

— I ty masz także bardzo długie rzęsy.

Aby podziwiać te rzęsy przymknęła mu oczy. Potem zaczęła mu pieścić czoło i skronie; kazała sobie całować palce jeden po drugim, z głową pochyloną nad twarzą Jerzego. A z dołu Jerzy widział jej usta, rozchylające się z niezmierną powolnością, widział rozkwitający kielich śnieżnych jej zębów. Zamknęła usta, to znowu powoli otwierała je, ruchem niedostrzeżonym niemal, jak kwiat dwulistny i perłowa białość ukazywała się w głębi tego kwiatu kielicha.

Ta urocza pieszczota przejmowała ich obezwładnieniem; zapominali o wszystkiem, czuli się

szczęśliwymi. Turkot monotonny pociągu kołysał ich. Cichuteńko szeptali słowa uwielbienia.

Ona odezwała się z uśmiechem:

— To pierwsza podróż, którą odbywamy razem; po raz pierwszy jesteśmy sam na sam w wagonie.

Z upodobaniem powtarzała, że sytuacya dzisiejsza jest dla nich czemś nowem. Jerzego, który czuł już podnietę żądzy, począł coraz większy ogarniać niepokój. Podniósł się, począł całować jej szyję, tam właśnie, gdzie czerniały dwa bliźniacze znamiona; szepnął jej coś do ucha. W oczach Hipolity zamigotał blask nieokreślony; ale odparła z żywością:

— Nie, nie, trzeba być rozsądnym do samego wieczora. Trzeba czekać.

Raz jeszcze mignęła jej przed oczyma wizya cichego hotelu, pokoju o staroświeckich, wyszłych z użycia meblach, wielkiego łoża, ukrytego pod białemi firankami od mustików.

— W tym sezonie — rzekła, by rozerwać ukochanego—nie będzie jeszcze nikogo niemal w Albano. Jak nam tam będzie dobrze całkiem samym, w opustoszałym hotelu! Uważać nas będą za młode małżeństwo.

Owinęła się w płaszczyk z lekkiem drżeniem i oparła o ramię Jerzego.

— Zimno dzisiaj, nieprawdaż? Skoro tylko przybędziemy, trzeba kazać rozpalić wielki ogień na kominku i napić się herbaty.

Sprawiało im to niezmierną przyjemność wyobrażać sobie przyszłe upojenia. Mówili do siebie po cichu, udzielając sobie wzajemnie żaru krwi, zamieniając płomienne obietnice. Ale pod wpływem tej rozmowy o przyszłych rozkoszach, żądza ich obecna wzrastała, stawała się nieprzepartą. Umilkli; usta ich połączyły się; nie słyszeli już nic więcej nad gwałtowny szmer krwi w arteryach. Pragnienie ślepe i gwałtowne ogarnęło ich oboje.

Nagle Jerzy rzucił się przed nią na kolana. Szepnął jej w ucho pytanie.

Ona w odpowiedzi upadła w jego objęcia...

Następnie wydało im się obojgu, że jakaś tajemnicza zasłona opadła z ich oczu, że mgła wewnętrzna rozproszyła się, że czar jakiś prysnął. Ogień zagasł na kominku wymarzonego pokoju; łoże zdawało się być lodowatem, cisza hotelu opustoszałego poczęła ciężyć. Hipolita oparła głowę o poręcz wagonu, poglądając w daleki monotonny krajobraz równiny, który niknął zwolna w cieniach.

Obok niej Jerzy zapadł napowrót w ponure myśli dawniejsze, ulegając zupełnie ich władzy. Dręczyła go straszliwa wizya, przed którą nie mógł się uchronić, bo ją widział oczyma duszy, temi oczyma bez powiek, których żadna wola zamknąć nie może.

— O czem myślisz?—spytała Hipolita niespokojna.

— O tobie.

Myślał o niej, o jej poślubnej podróży, o zwykłych sposobach postępowania młodych małżeństw. „Bez wszelkiego wątpienia znajdowała się także sama z mężem, jak jest teraz ze mną. I może to właśnie wspomnienie czyni ją tak smutną“! I przyszły mu na myśl także przelotne przygody między jedną a drugą stacyą kolei, nagłe niepokoje, jakie budzi jedno spojrzenie, nieznane porywy zmysłów w czasie długich, kanikularnych popołudni lata. „Co za okropność! co za okropność“! Zerwał się a ruch ten dla Hipolita był zawsze niezawodnym symptomatem złego, co dotykało jej kochanka. Ujęła go za rękę i spytała:

— Cierpisz?

Skinął głową na znak potwierdzenia; patrząc na nią z bolesnym uśmiechem. Ale ona nie miała odwagi posuwać dalej pytań, obawiając się gorzkiej i przykrej odpowiedzi. Wolała umilknąć i złożyła tylko długi pocałunek na jego czole, pocałunek zwykły, którym miała nadzieję zażegnać i przerwać gorzkie jego rozmyślania.

— Patrz, już Cecchina!—zawołała z pewną ulgą na odgłos gwizdnięcia, zwiastującego przybycie.—Prędzej, prędzej! mój najdroższy, trzeba wysiadać.

By go rozweselić, sama udawała wesołą. Spuściła szybę i wysunęła głowę.

— Wieczór jest chłodny, ale piękny. Prędzej, mój drogi! To nasza rocznica. Trzeba nam dziś być szczęśliwymi.

Dźwięk tego głosu serdeczny i silny, rozproszył złe jego myśli. Wyszedłszy na świeże wieczorne powietrze, czuł się rozpogodzonym.

Niebo czyste, jak dyament, wznosiło się kopułą po nad wsią przepojoną deszczem. W atmosferze przezroczej błąkały się jeszcze atomy jasności zmroku. Gwiazdy zapalały się jedna po drugiej kolejno, jak na niewidzialnych gałęziach chwiejące się lampy.

„Trzeba, żebyśmy byli szczęśliwi!“ Jerzy słyszał w głębi duszy echo tych słów Hipolity i dusza jego napełniała się nieokreślonemi aspiracyami. W tę noc uroczystą i jasną, pokój cichy, ognisko płonące, łóżko po za białemi gazami, wszystko to wydało mu się zbyt skromnemi żywiołami szczęścia. „To nasza rocznica; trzeba nam dziś być szczęśliwymi“! Co też myślał, co czynił dwa lata temu o tej samej godzinie? Błąkał się po ulicach bez celu, popychany instynktowną potrzebą szukania szerszej przestrzeni, niemniej przecież pociągany ku ludniejszym dzielnicom miasta, gdzie duma jego i radość zdały się zwiększać kontrastem życia powszedniego, gdzie wrzawa stolicy dobiegała go tylko, jak jakiś odgłos daleki.

V.

Stary hotel Ludovica Togni, z długim swym korytarzem o sztukateryach malowanych na marmur z sienią o drzwiach zielonych, przyozdobioną w pamiątkowe tablice, sprawiał odrazu wrażenie spokoju. Całe umeblowanie miało pozór jakiejś staroświeckości nieobcej. Łóżka, krzesła, fotele, kanapy, komody, miały kształty zeszłowieczne, Sufity o bladych odcieniach, jasno żółte i koloru nieba, miały w pośrodku girlandę róż, albo inny jakiś symbol zwyczajowy: lirę, pochodnię, sajdak. Na obiciach papierowych i na dywanie barwy wyblakłej, kwiaty stały się niemal niewidoczne; firanki u okien białe i skromne, zawieszone były na drążkach, z których złocenie zeszło; lustra rococo, odbijając te staroświeckie obrazy w mgle przyćmionej, nadawały im ten pozór smutku, nierealności niemal, który czasami nadają swym brzegom odosobnione jeziora.

— Jakżem rada, że tu jestem! — zawołała Hipolita przejęta urokiem tego spokoju.—Chciałabym nigdy stąd już nie odjeżdżać.

I zwinęła się w kłębek w wielkim fotelu, z głową wspartą o poręcz, którą pokrywał pokrowiec z białej bawełny, prosta robota szydełkowa.

I przyszła jej na myśl zmarła ciotka, zapamiętana z odległych dni dzieciństwa.

— Biedna ciotka! miała, o ile sobie przypominam, dom podobny do tego, dom, w którym od stulecia żaden mebel nie zmienił miejsca. Przypominam sobie zawsze jej rozpacz, kiedy raz zbiłam jej jeden z tych kloszów szklanych, pod któremi przechowują sztuczne kwiaty, wiesz już... Płakała z tego powodu, pamiętam... Biedna stara ciotka! Widzę ją jeszcze w fanszoniku z czarnej koronki, z białemi papilotami, co jej spadały dokoła twarzy ..

Mówiła powoli, z przerwami, ze spojrzeniem utkwionem w ogień, płonący na kominku; a chwilami, uśmiechając się do Jerzego, podnosiła oczy, cokolwiek zmęczone i podkrążone cieniem fioletowym; w takt jej słów, z ulicy dochodził łoskot regularny i monotonny brukarzy, wbijających bruk.

— W domu, przypominam sobie, był wielki spichlerz z dwoma czy trzema okienkami w dachu, w których gnieździły się gołębie. Wchodziło się doń po małych stromych schodkach, obok których wisiały, Bóg wie odkąd, wyschnięte skóry z zajęców, zawieszone za tylne skoki. Codziennie zanosiłam pożywienie gołębiom. Jak tylko posłyszały, że nadchodzę, cisnęły się przed

drzwiami. Skoro weszłam, był to formalny atak. Wtedy siadałam na ziemi i rzucałam jęczmień dokoła. Gołębie otaczały mnie; a były całkiem białe i widziałam je jak dziobały z zapałem. Odgłos fletu dochodził z sąsiedniego domu, zawsze ta sama aryjka o tej samej godzinie. Ta muzyka wydawała mi się prześliczną. Słuchałam, z głową wzniesioną do okienka w dachu, z otwartemi ustami, jakbym chciała się napoić temi spływającemi tonami. Od czasu do czasu jakiś gołąb spóźniony przylatywał, trzepocząc skrzydłami nad moją głową, pozostawiając mi we włosach białe swe piórka. A flet niewidzialny grał, grał ciągle... Mam jeszcze w uszach tę aryjkę, mogłabym ją zanucić. I oto jak nabyłam zamiłowania do muzyki, w owej epoce, w gołębniku...

I powtarzała sobie w myśli aryę dawnego fletu z Albano; rozkoszowała się jej wdziękiem, z tą rzewnością, któraby dałaby się porównać do rozrzewnienia małżonki, kiedy po wielu latach znajduje na dnie podróżnego kufra, który jej towarzyszył w poślubnej drodze, zapomniany jakiś cukierek. Nastała chwila ciszy. Ozwał się dzwonek na kurytarzu spokojnego hotelu.

— Przypominam sobie jeszcze wszystko. Synogarlica kulawa skakała po mieszkaniu a było to jedno z najczulszych uczuć mej ciotki. Pewnego dnia, dziewczynka z sąsiedztwa, przyszła

się pobawić ze mną, ładna, jasnowłosa dziewczynka, było jej na imię Klarysa. Moja ciotka leżała w łóżku, zakatarzona. Bawiłyśmy się na balkonie, ku wielkiej szkodzie gwoździków, co tam rosły w doniczkach. Synogarlica ukazała się na progu, popatrzyła na nas bez obawy i wcisnęła się w kącik, wygrzewając się na słońcu. Zaledwie jednak Klarysa ją spostrzegła, rzuciła się natychmiast, by ją pochwycić. Biedne stworzeńko starało się wymknąć, wciąż kulejąc; ale kulało w sposób tak pocieszny, że poczęłyśmy się śmiać, nie mogąc się już pohamować. Klarysa wciąż ją chwytała; było to dziwnie okrutne dziecko. Ten śmiech bezprzestanny upoił nas formalnie. Synogarlica trzepotała się wystraszona, wymykając nam z rąk. Klarysa wyrwała jej piórko; potem (drżę jeszcze kiedy myślę o tem), oskubała ją niemal całą w moich oczach, z wybuchami śmiechu, który i mnie się udzielił. Można było sądzić, że jest pijana. Biedny ptak, oskubany zakrwawiony, schronił się do domu, skoro tylko udało mu się uwolnić. Myśmy rzuciły się za nim, ścigając. Ale w tej samej chwili posłyszałyśmy odgłos dzwonka i wołanie ciotki, kaszlącej w łóżku... Klarysa wymknęła się pospiesznie po schodach; ja schowałam się za firankami. Synogarlica zdechła tegoż samego wieczoru. Ciotka zaś odesłała mnie do Rzymu, pewna, że to ja dopuściłam się tego okrucieństwa Niestety! nie zobaczyłam już ciotki Joanny.

Jakżem płakała! Ten wyrzut sumienia cięży mi dotąd.

Mówiła powoli, z przerwami, utkwiwszy szeroko rozwarte oczy w płonące ognisko kominka, które ją magnetyzowało niemal, wprawiało w jakieś hypnotyczne odrętwienie; z ulicy dochodził wciąż miarowy i monotonny łoskot wbijanego bruku.

VI.

Pewnego dnia kochankowie powrócili z nad jeziora Nemi, nieco zmęczeni. Zjedli śniadanie w willi Cesarini, pod wspaniałemi krzewami kwitnących kamelii. Sami, z tem wzruszeniem, którego doznaje ten, co podziwia sam jeden najtajemniejszą z tajnych rzeczy, podziwiali Zwierciadło Diany, tak samo zimne, tak samo nieprzeniknione dla oczu, jak błękit lodowca.

Jak zazwyczaj, zamówili herbatę. Hipolita, która szukała czegoś w kuferku, odwróciła się nagle do Jerzego pokazując mu paczkę papierów związanych wstążką.

— Patrzaj! to twoje listy... Nie opuszczają mnie nigdy.

Jerzy z widocznem zadowoleniem zawołał:

— Wszystkie? Zachowałaś je wszystkie?

— Tak, wszystkie. Mam je wszystkie aż do bilecików najmniejszych, do telegramów. Jedyny, którego mi braknie, to ta króciutka karteczka, którą rzuciłam w ogień, chcąc ją uchronić przed rękoma mego męża. Ale mam jeszcze spalone jej kawałki; można tam odczytać nawet słów kilka.

— Czy nie pozwoliłabyś mi ich przejrzeć?—rzekł Jerzy.

Ale zazdrosnym ruchem ukryła paczkę. Potem kiedy Jerzy podszedł ku niej bliżej z uśmiechem, uciekła do sąsiedniego pokoju.

— Nie, nie, nic nie zobaczysz. Nie chcę. Odmawiała po części z żartów, po części także i dla tego, że przechowując je tak długo jak skarb jakiś tajemny, z dumą i obawą, doznawała przykrości na myśl, że je ma pokazać komuś, choćby tym kimś był nawet ten, co je pisał.

— Pozwól mi zobaczyć, proszę cię! Tak byłoby dla mnie ciekawem odczytać moje listy z przed dwu lat! Com ja ci tam pisał wówczas?

— Płomienne słowa.

— Proszę cię, pozwól mi zobaczyć!

Nakoniec przystała z śmiechem, pokonana pieszczotami kochanka.

— Poczekajmy przynajmniej aż podadzą herbatę; potem będziemy czytać razem. Czy chciałbyś, żebym zapaliła na kominku?

— Nie, dzień jest prawie już ciepły.

Był to dzień jasny, z odblaskami srebrzystemi, rozlanemi w nieporuszonem powietrzu. Bladość dnia łagodniała jeszcze, sącząc się po przez muśliny firanek. Świeże fiołki, zerwane w willi Cesarini, zapełniły zapachem cały pokój. Ktoś zapukał do drzwi.

— To Pankracy pewnie—rzekła Hipolita.

Poczciwy sługa hotelowy Pankracy, wnosił niewyczerpaną swą herbatę a wraz z nią niewygasły nigdy uśmiech. Postawił czajnik na stole, przyrzekł jakąś nowalię na obiad i wyszedł podskakującym żywym krokiem. Acz łysy zupełnie, zachował po dziś dzień pozór młodości. Nadzwyczajnie usłużny, miał, jak niektóre z tych bóstw japońskich, oczy śmiejące, długie, wązkie i nieco skośne.

Jerzy ozwał się:

— Pankracy jest zabawniejszy niż jego herbata.

W samej rzeczy, herbata nie miała żadnego aromatu; ale akcesorya nadawały jej pewien smak osobliwy. Cukierniczka i filiżanki, miały jakiś oryginalny, niewidziany kształt i właściwości, czajnik ozdabiała historya pasterska miłosna; talerz, na którym ułożone były plasterki cytryny miał w pośrodku czarnemi literami wypisaną jakąś rymowaną zagadkę.

Hipolita nalała herbatę a filiżanki poczęły dymić jak kadzielnice. Potem rozwiązała paczkę. Listy ukazały się, ułożone porządkiem, pozbierane w małe zeszyciki.

— Co tu listów! — zawołał Jerzy.

— Nie tak znów bardzo wiele! Dwieście dziewięćdziesiąt cztery tylko. A dwa lata, mój jedyny, składają się z siedmiuset trzydziestu dni.

Uśmiechnęli się oboje, zasiedli tuż obok siebie przy stole i rozpoczęli czytać. Wobec tych do-

kumentów swej miłości, Jerzy przejęty był szczególnem a silnem wzruszeniem. Pierwsze listy przejęły go pomięszaniem. Taki lub ów stan duszy nadzwyczajny, którego te listy zachowały piętno, wydawał mu się naprzód niezrozumiałym. Polot liryczny i ten poryw namiętności młodzieńczej, przejęły go po prostu przestrachem przez swój kontrast z tym spokojem, który go ogarniał teraz, w tym skromnym i cichym hoteliku.

Jeden z owych listów mówił: „Jakże serce moje biegło do ciebie tej nocy! Jakaś nieujęta przejmowała mnie trwoga, nawet podczas krótkich przerw snu; i otwierałem napowrót oczy, aby uciec przed widmami, co występowały z głębin mej duszy... Jedna myśl tylko nie odstępuje mnie ani na chwilę, jedna jedyna myśl mnie udręcza: że mogłabyś odejść odemnie! Nigdy, nie, nigdy ta możliwość nie przejęła mnie takim strasznym bólem, taką trwogą szaloną. W tej chwili mam *pewność*, pewność określoną, jasną, widoczną, że bez ciebie życie jest dla mnie niepodobieństwem. Kiedy pomyślę, że mógłbym cię utracić, dzień zaciemnia się nagle, światło staje mi się nieznośnem, ziemia wydaje mi się jakimś bezdennym grobem, wstępuję w dziedzinę śmierci“. Inny list, pisany po wyjeździe Hipolity, mówił: „Najwyższego potrzebuję wysiłku, aby utrzymać pióro. Nie ma we mnie ani odrobiny energii, ani trochę woli. Upadam pod zniechęceniem takiem, że jedynem wrażeniem, które mi pozo-

staje z mego życia zewnętrznego, jest nieznośne przesycenie, obrzydzenie do życia. Dzień jest szary, duszny, ciężki jak ołów: dzień zabójczy jakbym powiedział. Godziny mijają z nieubłaganą powolnością a moja rozpacz wzmaga się z każdą sekundą, coraz to okropniejsza, coraz to dziksza. Jestże to cierpienie moralne czy fizyczne? Nie wiem. Pozostaję wciąż oszołomiony i bezwładny pod ciężarem, który mnie przygniata choć nie unicestwia". Inny list mówił: „Nakoniec otrzymałem twoją odpowiedź, dzisiaj, o czwartej, kiedy już utracałem nadzieję. Czytałem ją i odczytywałem po tysiąc razy, aby znaleźć między wyrazami to coś, czego wypowiedzieć niepodobna, to, czegoś nie mogła wyrazić, tajemnicę twej duszy, coś bardziej żywego i słodszego jeszcze niż wyrazy nakreślone na bezdusznym papierze... Straszliwie pragnę ciebie..."

Tak wołały i jęczały te listy miłosne, rozrzucone na stole pokrytym obrusem i zastawionym niezbyt wytwornemi filiżankami, w których dymił niewinny napój.

— Przypominasz sobie — mówiła Hipolita—to było wówczas, kiedy po raz pierwszy opuszczałam Rzym i tylko na dwa tygodnie.

Jerzy zatapiał się we wspomnieniach tych wzruszeń szalonych; starał się odtworzyć je w sobie napowrót i pojąć. Ale otaczający go obecnie spokój dobrobytu nie dopomagał bynajmniej temu wewnętrznemu usiłowaniu. Wrażenie tego do-

brobytu więziło umysł jego, krępowało go, owijało jakimś rodzajem znikczemniałej powłoki. To przyćmione światło, napój gorący, zapach fiołków, zetknięcie z Hipolitą obezwładniały go. Rozmyślał: „Czyżbym już tak był daleko od gorących porywów dni ubiegłych? Nie; bo podczas ostatniej jej nieobytności, trwoga moja i udręczenie nie były mniejszemi". Ale nie udawało mu się zapełnić przerwy między *ja* wczorajszem i *ja* dzisiejszem. Mimo wszystko nie odnajdował siebie takim jakim był ten człowiek, co pisał te zdania, świadczące o jego roztroju i rozpaczy; czuł, że te wylewy miłości stały się dlań obcemi i czuł także całą próżnię słów. Te listy podobne były do napisów grobowych, jakie się czyta po cmentarzach. Tak samo jak napis taki daje z gruba zaledwie i fałszywe wyobrażenie o zmarłym, tak samo te listy przedstawiały bardzo niewiernie rozmaite stany duszy, przez które przechodziła jego miłość. Znał on dobrze tę szczególniejszą gorączkę, która zwykle opanowuje kochanka, ilekroć pisze list miłosny. W ogniu tej gorączki wszystkie różnorodne fale uczucia spływają w jedno wielkie wrzenie zmięszane. Kochanek nie ma dokładnej świadomości tego, co chce wyrazić i przeszkadza mu niedostateczność materyalna słów; to też wyrzeka się opisywania wewnętrznej swej namiętności taką, jaka ona jest i usiłuje przedstawić tylko jej siłę i intensywność, przesadą frazesu i używaniem najwulgar-

niejszych efektów retoryki. Ztąd to pochodzi, że wszystkie korespondencye miłosne, podobne są wzajem do siebie i że język namiętności wyegzaltowanej, jest nieomal tak ubogim jak jakaś gwara zaledwie.

Jerzy myślał: „W tych listach wszystko jest gwałtownością, jaskrawością, wybrykiem. Ale gdzież są subtelne odcienie moich uczuć? Gdzie te chwile rzewności rozkosznej i skomplikowanej? Gdzie te smutki głębokie i zawikłane, w których dusza moja gubiła się jak w labiryncie krętym? Żal mu było teraz, że spostrzega czego to brak było jego listom: najrzadszych właśnie przymiotów jego umysłu, tych, które uprawiał zawsze najstaranniej. Im dłużej czytał, tem większe poczynał przeskakiwać ustępy prostej tylko elokwencyi a szukał wskazówek najdrobniejszych choćby faktów, szczegółów, wydarzeń, aluzyi do pamiętnych epizodów.

Znalazł w jednym z listów: „Około dziesiątej, machinalnie zaszedłem do zwykłego naszego ustronia w ogrodzie Morteo, gdziem cię widywał przez tyle wieczorów. Te trzydzieści pięć minut, które poprzedziły właściwą godzinę twego odjazdu, były dla mnie torturą. Tyś wyjeżdżała, tak, wyjeżdżałaś a ja nie mogłem cię pożegnać nawet, nie mogłem okryć twej twarzy pocałunkami, powtórzyć ci raz jeszcze: pamiętaj! pamiętaj! Około jedenastej, jakiś rodzaj instynktu kazał mi się odwrócić. Mąż twój wchodził z swoim przyja-

cielem i tą panią, która im zwykle towarzyszy. Bez wszelkiego wątpienia odprowadzali cię na dworzec. Poczułem wówczas spazm bólu tak okropny, że musiałem wstać natychmiast i opuścić ogród. Obecność trojga tych osób, które rozmawiały i śmiały się jak codzień wieczorem, jak gdyby nic nie zmieniło się od wczoraj, doprowadzała mnie do rozpaczy. Ich obecność była dla mnie widzialnym i niezaprzeczonym dowodem, żeś ty wyjechała, wyjechała nieodwołalnie".

Powrócił myślą do tej chwili, w której widział Hipolitę siedzącą przy stole, między mężem a jakimś kapitanem piechoty, naprzeciw owej pani o twarzy nic nieznaczącej. Nie znał żadnej z tych trzech osób; ale sprawiał mu przykrość każdy gest ich, każda ich poza, wszystko co było pospolitem w ich powierzchowności, i wyobraźnia jego przedstawiała mu niedorzeczność i banalność ich rozmowy, której jego elegancka, wytworna kochanka zdawała się przysłuchiwać z uwagą.

W innym znów liście, znalazł: „Nie ufam. Dzisiaj duszę mam pełną wrogiego dla ciebie usposobienia, jakiegoś głuchego względem ciebie gniewu".

— Ten — wymówiła Hipolita — jest z czasów kiedy byłam w Rimini. Sierpień i wrzesień, jakież to burzliwe były miesiące! Czy przypominasz sobie, jakeś przybył wreszcie na „Don Juanie"?

— Oto list, pisany na pokładzie: „Dzisiaj około drugiej godziny odpoczywaliśmy w Ankonie przybywszy z Porto San Giorgio. Twoje modlitwy i życzenia sprowadziły nam wiatr pomyślny. Żegluga wspaniała, z której zdam ci osobiście sprawę. Z brzaskiem dnia popłyniem dalej. „Don Juan“ jest królem wybrzeży. Twoja bandera powiewa na szczycie masztu. Do widzenia! może do jutra. 2 września“.

— Zobaczyliśmy się; ale jakież to dnie męczarni! Czy przypominasz sobie? Szpiegowano nas bezustannie. Oh! ta bratowa! Pamiętasz nasze spotkanie w świątyni Malatestów? Czy przypominasz sobie naszą pielgrzymkę do kościoła San Giuliano w wilię twojego odjazdu?

— A otóż inny z Wenecyi.

Odczytali go razem z równem biciem serca.

„Dopiero 9 go jestem w Wenecyi, smutniejszy niż kiedykolwiek. Wenecya mnie zdumiewa. Najpromienniejszy ze snów nie wyrówna w wspaniałości temu snowi z marmurów, który wynurza się z fal i zakwita na fantastycznem, wyrojonem, zda się, niebie. Umieram ze smutku i z pragnienia. Dlaczego ciebie tu nie ma? Oh! gdybyś była przyjechała. gdybyś była doprowadziła do skutku twój dawniejszy zamiar! Może moglibyśmy tutaj wykraść jaką godzinę szpiegowaniu a w skarbie naszych wspomnień liczylibyśmy jedno więcej, najwznioślejsze może, najbardziej boskie z pomiędzy wszystkich“... Czytali jeszcze na innej ćwiart-

ce: „Mam myśl dziwną, która od czasu do czasu przebiega mój umysł, jak błyskawica i niepokoi mnie do głębi: myśl szalona... urojenie. Myślę, że mogłabyś przybyć tu niespodzianie, sama, by całkowicie należeć do mnie!“ Dalej znowu: „Piękność Wenecyi jest ramami naturalnemi do twej piękności. Koloryt twojej cery, tak bogaty i gorący, cały złożony z bladej ambry i matowego złota, w który miesza się może kilka zaledwie tonów obumierającej róży, to koloryt idealny, który zlewa się harmonijnie najszczęśliwiej z powietrzem weneckiem. Nie wiem jakim sposobem Katarzyna Cornaro mogła zostać królową Cypru; ale nie wiedzieć, dlaczego wyobrażam sobie, że musiała być podobną do ciebie...

— Widzisz—mówiła Hipolita — była to bezustanna przynęta, wyrafinowana, nieprzeparta. Cierpiałam więcej niż sobie możesz wyobrazić. Zamiast spać, spędzałam noce na obmyślaniu sposobu wyjechania samej, bez wzbudzenia podejrzeń moich gospodarzy. Dokonałam cudu zręczności Nie wiem już sama doprawdy, jak i co zrobiłam... Kiedy znalazłam się sama z tobą w gondoli na Canal Grande w ten świt wrześniowy, nie wierzyłam, żeby to było rzeczywistością. Czy pamiętasz? Wybuchnęłam płaczem, nie mogąc przemówić do ciebie ani słowa...

— Ale ja czekałem cię, pewien byłem, że przybędziesz za jakąbądź cenę...

— I to była pierwsza z wielkich naszych nieostrożności.

— To prawda.

— I cóż to szkodzi? Czyż tak nie lepiej? Czyż nie lepiej, że dziś należę do ciebie całkowicie? Ja nie żałuję niczego?

Jerzy ucałował ją w skroń. Rozmawiali długo o tym epizodzie, który pośród ich wspomnień był jednym z najpiękniejszych i najnadzwyczajniejszych. Przeżywali myślą minuta za minutą te dwa dni tajemniczego życia w hotelu Danieli, dwa dni zapomnienia, upojenia najwyższego, przez ciąg których zdawało się, że utracili jedno i drugie wszelką świadomość świata i wszelkie poczucie poprzedniej swej istoty.

Dni te znaczyły dla Hipolity początek niedoli. Następne listy zawierały wzmianki dotyczące tych pierwszych ciężkich prób. „Kiedy pomyślę, że jestem pierwiastkową przyczyną twych cierpień i przykrości rodzinnych, nieopisany dręczy mnie wyrzut sumienia, i aby uzyskać dla siebie przebaczenie za złe, którego jestem przyczyną, pragnąłbym, abyś znała dokładnie całą wielkość mego uczucia. Moja miłość — czy ty ją znasz dobrze? Czyś ty pewna, że moja miłość będzie mogła opłacić ci długą niedolę? Jestżeś tego pewną, niezawodnie pewną, głęboko przekonaną?“ Zapał wzrastał z każdą stronnicą. Potem od kwietnia do lipca była przerwa niejasna, bez dokumentów. Podczas tych czterech miesięcy do-

konała się katastrofa. Mąż, zbyt słaby, nie umiejąc znaleźć sposobu pokonania otwartego i upartego buntu Hipolity, uciekł nieomal, pozostawiając po za sobą wielce poplątane interesy, w których zatonęła największa część jej fortuny. Hipolita szukała schronienia u swej matki, potem u siostry w Caronno w willi wiejskiej. I wtedy to straszliwa choroba, na którą zapadała już od dzieciństwa, choroba nerwowa, analogiczna z epilepsią, pojawiła się znowu. Listy datowane z sierpnia wspominały o tem. „Nie! nie umiałabyś wyobrazić sobie przerażenia, które ogarnęło mój umysł. Co mnie dręczy przedewszystkiem, to nieubłagana jasność wizyi imaginacyjnej. *Widzę cię* jak wijesz się z bólu, *widzę* twarz twoją zmienioną i pobladłą śmiertelnie, *widzę*, jak twoje oczy toczą się dokoła rozpacznie pod przysłaniającemi je powiekami; widzę twe ręce pobladłe i zaciśnięte konwulsyjnie a w palcach pukiel włosów wyrwany i choćbym niewiedzieć jaki czynił wysiłek, nie zdołam dojść do tego, by rozpędzić tę wizyę okropną. A potem *słyszę*, jak mnie przyzywasz; najistotniej brzmi mi w uszach dźwięk twego głosu, dźwięk schrypły i nabrzmiały łzami, głos istoty, co przyzywa pomocy,, bez nadziei, by jej dopomożono.

Nieco później: „Piszesz mi: Gdyby taki atak schwycił mnie w chwili, kiedy jestem w twoim uścisku?... Nie, nie, nie zobaczę się już z tobą, nie chcę się z tobą widzieć! Byłaś chyba szaloną

pisząc te słowa? Czy zastanowiłaś się nad tem, co pisałaś? To tak, jak gdybyś odbierała mi życie, jak gdybym nie mógł już oddychać. Prędzej, przysyłaj mi list inny! Powiedz mi, że się wyleczysz, że nie tracisz nigdy nadziei, że chcesz jak najprędzej widzieć się ze mną. *Powinnaś* koniecznie powrócić do zdrowia. Słyszysz, Hipolito? *powinnaś* wyzdrowieć".

W czasie rekonwalescencyi listy były łagodne, słodkie i pieszczotliwe. „Posyłam ci kwiatek zerwany na piaskach. Jestto rodzaj lilii dzikiej, przecudownej gdy żyje i tak przenikliwego zapachu, że znajduję często w głębi kielicha owad jaki upojony rozkoszną tą wonią. Całe nadbrzeże morskie pokryte jest temi liliami, namiętnie upajającemi, które pod skwarnem słońcem, na płonącym piasku, rozkwitają w ciągu jednej minuty zda się i nie trwają dłużej nad kilka godzin. Przypatrz się, jaki to kwiat uroczy, wówczas nawet, kiedy już jest obumarły! Patrzaj, jaki on delikatny i wytworny, jaki prawdziwie niewieści!"

Aż do listopada listy szły bez przerwy; zwolna jednak stawały się gorzkiemi, pełnemi niepokoju, podejrzeń, zwątpień, wymówek.

„Jakeś ty odeszła odemnie daleko! Co mnie udręcza najwięcej, to coś innego jeszcze niż zmartwienie z powodu materyalnej rozłąki. Zdaje mi się, że i dusza twoja oddala się i opuszcza mnie... Woń twoja uszczęśliwia innych. Patrzeć na ciebie, słuchać cię, nie jestże to cieszyć się

tobą?... Pisz do mnie; powiedz mi, że cała do mnie należysz bezpodzielnie, w każdej czynności twojej, w każdej twej myśli, że mnie pragniesz, że ci tęskno za mną i że zdala odemnie żadna z chwil życia nie ma dla ciebie uroku".

Dalej znów: „Myślę wciąż, myślę, a myśli te kłują mnie; ukłucie zaś tej myśli sprawia mi ohydne cierpienie. Czasami nachodzi mnie frenetyczna ochota wyrwania ze zbolałych mych skroni tej rzeczy niepochwytnej, która jest przecież tak silną straszliwie, silniejszą i bardziej nieugiętą niż grot. Oddychać jest już dla mnie nieznośnem zmęczeniem a uderzenia arteryj mordują mnie, jak uderzenia młotka, na słuchanie których byłbym skazany... Jestże to miłość? Oh, nie! To rodzaj potwornego kalectwa, które nie może kwitnąć, jak tylko we mnie, dla mojej radości i mego męczeństwa. Sprawia mi to przyjemność wierzyć w to, że żadna ludzka istota nie doznawała tego uczucia nigdy".

Dalej znów: „Nigdy, nie, nigdy nie będę miał zupełnego spokoju ani zupełnej pewności. Nie będę zadowolonym, chyba pod jedynym warunkiem: jeśli uda mi się pochłonąć całą, całą twą istność, jeśli wraz z tobą będę stanowił jedną tylko istotę, jeśli będę żył twojem życiem, myślał twemi myślami. Albo przynajmniej chciałbym, aby twe zmysły szczelnie były zamknięte, niedostępne wszelkiemu wrażeniu, któreby nie pochodziło odemnie... Jestem nieszczęśliwym, chorym człowie-

kiem. Moje życie jest tylko długą agonią. Rzadko pragnąłem tak gorąco, aby się to raz skończyło, jak pragnę tego i przyzywam teraz. Słońce zajdzie za chwilę—a noc, co zapada nad moją duszą, otacza mnie tysiącami widm okropnych. Ciemność wypełza ze wszystkich kątów mego pokoju i podchodzi do mnie, niby żywa jakaś istota, której słyszałbym krok i oddech, której widziałbym wrogą postawę"...

Jerzy chcąc się doczekać powrotu Hipolity, powrócił do Rzymu w pierwszych dniach listopada, a listy, datowane z tej epoki, zawierały aluzyę do epizodu, wielce bolesnego i bardzo niejasnego. „Piszesz mi: *Miałam wiele trudu, aby pozostać ci wierną*. Co rozumiesz przez to? Cóż to są za *okropne wydarzenia*, które tobą tak wstrząsnęły? Boże mój, jakżeś ty się zmieniła! Cierpię z tego powodu niewypowiedzianie a duma moja oburza się na to cierpienie. Mam między brwiami zmarszczkę, głęboką jak szrama po odniesionej ranie, w której gromadzi się mój gniew hamowany, gdzie zbiera się gorycz mych zwątpień, podejrzeń i obrzydzeń. Zdaje mi się, że pocałunki twoje nawet nie wystarczyłyby, aby mnie od niej uwolnić. Twoje listy, w których czuć dreszcz żądzy, przejmują mnie niepokojem. Nie jestem ci za to wdzięczny. Od dwu lub trzech dni mam coś *przeciw tobie* w sercu. Nie wiem, co to jest. Może przeczucie? Może dar odgadywania?"

Podczas tego czytania Jerzy cierpiał, jak gdyby wewnątrz gdzieś otwarła mu się zabliźniona już rana. Hipolita pragnęła mu przeszkodzić w dalszem odczytywaniu. Przypominała sobie dokładnie ten wieczór, kiedy mąż jej zjawił się nagle w Caronno z pozorem chłodnym i spokojnym, ale z szałem w spojrzeniu, oświadczając, że przybył ją zabrać z sobą; przypominała sobie chwilę, gdzie pozostali sami zupełnie, jedno naprzeciw drugiego, w pokoju ustronnym, w którym wiatr poruszał firankami u okna, w którym światło migotało rażącemi blaski a z dworu dochodził szmer jękliwy drzew; przypominała sobie dziką i niemą walkę, stoczoną wówczas z tym człowiekiem, który ją pochwycił wpół nagłym, niespodziewanym ruchem—okropność!—by ją posiąść przemocą.

— Dosyć już! dosyć!—mówiła przyciągając ku sobie głowę Jerzego. — Dosyć, przestańmy już czytać.

Ale on chciał koniecznie czytać dalej. „Nie mogę zrozumieć pojawienia się znów tego człowieka i nie mogę się obronić przed uniesieniem gniewu, który i przeciw tobie jest skierowany. Ale żeby ci nie sprawiać przykrości, powstrzymuję się od opisywania ci moich myśli w tym przedmiocie. Gorzkie to są i ponure myśli, Czuję, że na czas pewien moje uczucie dla ciebie jest zatrute. Lepiejby było, jak sądzę, żebyś już nie widziała się nigdy ze mną. Jeśli chcesz oszczędzić samej sobie niepotrzebnej boleści, nie po-

wracaj teraz. Teraz nie będę *dobrym*. Moja dusza kocha cię do ubóstwienia; ale myśl moja kąsa cię, znieważa i bruka. To kontrast, który poczyna się bezustannie i nie skończy nigdy". W liście następnego dnia zaraz: „Ból, ból dziki, okrutny, nie do zniesienia, niedoświadczany nigdy dotąd... O moja Hipolito! powracaj, powracaj! Pragnę cię widzieć, mówić z tobą, pieścić cię. Kocham cię więcej niż kiedykolwiek... Tylko oszczędź mi widoku twych sińców. Nie zdolny jestem pomyśleć o tem bez przerażenia i gniewu. Zdaje mi się, że gdybym zobaczył te ślady, które na twem ciele pozostawiły ręce tego człowieka, serceby mi pękło... To coś okropnego!"

— Dosyć Jerzy! nie czytajmy już dalej!—błagała znów Hipolita, ujmując w swe dłonie głowę ukochanego i całując jego oczy. — Jerzy, zaklinam cię!

Udało jej się nakoniec odciągnąć go od stołu. Uśmiechał się tym nieokreślonym uśmiechem, który miewają czasami chorzy, kiedy ulegają namowom innych, choć wiedzą dobrze, że lekarstwo jest spóźnionem i pozostanie bezskutecznem.

VII.

Wieczorem w wielki piątek powrócili do Rzymu. Przed odjazdem, około piątej pili herbatę. Oboje byli milczący. Życie proste, które pędzili w tym hotelu, wydało im się w chwili, kiedy miało się już dla nich skończyć, niezwykle pięknem i pożądanem. Zażyłość i ciągłe obcowanie wśród tego skromnego mieszkania, wydało im się bez porównania milszem i głębszem od życia w otoczeniu stolicy. Miejsca, wśród których przebyli chwile smutku i uczuć sardecznych, rozbłysły dla nich idealnym jakimś blaskiem. Zatem jedna jeszcze nowa cząstka ich miłości i ich istoty, zapadła w nicość, w przepaść czasu.

Jerzy ozwał się:

— I to więc przeszło!

Hipolita odparła:

— Jak ja zrobię teraz? Zdaje mi się, że nie będę mogła usnąć nigdzie indziej jak na twem sercu.

Popatrzyli sobie w oczy, wzajem udzielając sobie ogarniającego ich wzruszenia, poczuli jak fala łez ściskała ich za gardło. Umilkli; słuchali

regularnego i monotonnego odgłosu brukarzy, wbijających kamienie. Ale ten łoskot przeciągły, powiększał jeszcze ich przykrość.

Jerzy powstał i rzekł:

— To nie do zniesienia.

Te uderzenia rytmiczne jeszcze żywiej przypominały mu czas uchodzący, którego bieg i tak już czuł zbyt silnie; przejmowały go one tym rodzajem dziwnej jakiejś zabobonnej trwogi, której doznawał i dawniej już, słuchając wahadłowych poruszeń zegara. A przecież dni poprzednich, tenże sam łoskot zazwyczaj miał własność ukołysywania go w stan nieokreślonej jakiejś błogości? Myślał: „Za dwie lub trzy godziny rozstaniemy się. Rozpocznę zwykłe moje życie, które jest szeregiem drobnostkowych nędz. Moja zwykła choroba zawładnie mną nieuchronnie. Zresztą, zbyt dobrze znam ten niepokój, który we mnie budzi zawsze wiosna. Cierpieć będę bez wytchnienia. I przeczuwam już, że najnieubłagańszym moim katem będzie myśl, którą mi poddał Exili. Gdyby Hipolita chciała mnie uleczyć, czy mogłaby? Być może, częściowo przynajmniej. Dlaczegóż nie mogłaby wyjechać ze mną w jakąś samotną miejscowość, nie na tydzień, ale na bardzo długo? Jest tak zachwycającą w codziennem pożyciu, pełną tysiącznych, drobnych uprzejmości i niezmiernego wdzięku. Być może, że przez ciągłą swą obecność udałoby się jej uleczyć mnie, lub przynajmniej uczynić mi lżejszem życie“.

Zatrzymał się przed Hipolitą, ujął obie jej ręce i spytał:

— W ciągu tych kilku dni, czy byłaś szczęśliwą? Odpowiedz.

Głos jego był dziwnie wzruszony i ponętny.

Odpowiedziała:

— Szczęśliwą jak nigdy!

Jerzy czując w tej odpowiedzi szczerość głęboką, uścisnął silnie jej dłonie i podjął znowu:

— Będzież ci teraz możliwem powrócić do zwykłego twego życia?

Odparła:

— Nie wiem; nie patrzę w przyszłość. Wszak wiesz, że wszystko stracone.

Spuściła oczy. Jerzy objął ją namiętnym uściskiem.

— Kochasz mnie, wszak prawda? Jestem wyłącznym celem twego istnienia; nie widzisz prócz mnie nic w twej przyszłości...

Z uśmiechem niespodzianym, który podniósł długie jej rzęsy, odparła:

— Tak jest, ty to wiesz dobrze.

On dodał jeszcze cichutko z głową pochyloną aż na jej piersi:

— Znasz moją chorobę.

Ona zdawała się odgadywać myśl kochanka. Jakby zwierzając się wzajem, szeptem, co zdawał się zacieśniać koło, w którem oddychali równocześnie i w którem jednako biły ich serca, spytała:

— Co mogę uczynić, by cię uleczyć?

Umilkli, objęci oboje gorącym uściskiem. Ale w ciszy dusze ich badały i postanawiały rzecz tęż samą.

— Jedź ze mną — zawołał wreszcie. — Jedźmy w jakiś kraj nieznany; pozostańmy tam całą wiosnę, całe lato, póki tylko będziemy mogli... A wyleczysz mnie.

Odparła bez wahania:

— Jestem gotową. Należę do ciebie.

Puścili się z uścisku, pocieszeni oboje.

Godzina odjazdu nadeszła; zamknęli ostatnią walizę, Hipolita pozbierała wszystkie swe kwiaty już przywiędłe w wazonach: fiołki z willi Cesarini, cyklameny, anemony i barwinek z parku Chigi, róże polne z Castel-Gandolfo. gałązkę migdałowego drzewa, zerwaną w pobliżu Kąpieli Diany, w powrocie z Emisaryusza. Te kwiaty mogłyby opowiedzieć całą ich idyllę. Och! ten szalony bieg w parku, po stromej spadzistości wzgórza, wśród zeschłych liści, w których zagłębiała się noga aż do kostek! Ona krzyczała i śmiała się, kiedy zielone pokrzywy parzyły jej nogi przez cienką pończochę; a idąc przed nią Jerzy ścinał laską łodygi parzące, które deptała następnie już bez szkody. Jasno zielona, nieprzejrzana gęstwina pokrzyw, stroiła Kąpiele Diany, tę jaskinię tajemniczą, gdzie sprzyjające echa zamieniały w istną muzykę powolne ściekanie kropel. I z głębi wilgotnego cieniu patrzała na krajo-

braz, szeroko rozwarty, osypany drzewami migdałowemi i brzoskwiniowemi, srebrzystemi i różowemi, odbijającemi barwnie na bladem tle wód błotnych. Ile kwiatów, tyle wspomnień.

— Patrz—rzekła pokazując Jerzemu jakąś karteczkę—to bilet z Segni-Paliano! Zachowuję go na pamiątkę.

Pankracy zapukał do drzwi. Przynosił Jerzemu pokwitowany rachunek. W rozrzewnieniu, którem go przejęła wspaniałomyślność „Pana“, rozpływał się w podziękach i życzeniach. Nakoniec wyjął z kieszeni dwa bilety wizytowe i ofiarował je, aby przypominały „Panu“ i „Pani“ jego skromne nazwisko, usprawiedliwiając się z swej śmiałości.

Zaledwie wyszedł, kiedy mniemane *młode małżeństwo* poczęło śmiać się serdecznie. Na biletach wydrukowane było pretensyonalnem pismem: Pankracy Petrella.

Hipolita zawołała:

— Zachowam je również na pamiątkę!

Pankracy powtórnie zapukał do drzwi. Przynosił podarek dla „Pani“; cztery czy pięć wspaniałych pomarańcz. Oczy błyszczały mu w pośród twarzy czerwonej. Oznajmił:

— Czas już schodzić.

Schodząc ze schodów, kochankowie poczuli jak ich napowrót ogarnia smutek i rodzaj obawy, jak gdyby, wraz z opuszczeniem tego spokojnego ustronia, czekała ich konieczność stawienia czoła

jakiemuś nieznanemu niebezpieczeństwu. Stary hotelista kłaniał się im u drzwi, mówiąc z żalem.

— A miałem na dziś wieczór takie śliczne skowronki.

Jerzy odpowiedział z lekkiem skrzywieniem ust:

— Powrócimy tu niezadługo! Powrócimy niezadługo!

Kiedy jechali do stacyi, słońce zapadało w morze, na skraju widnokręgu wsi łacińskiej, skąpane w mgłach czerwonawych. W Cecchina mrzył deszczyk. Skoro się rozstali, Rzym, w ten wieczór wielkopiątkowy, wydał im się miastem, w którem można tylko umierać.

CZĘŚĆ DRUGA.

Dom rodzicielski.

I.

Pod koniec kwietnia, Hipolita wyjechała do Medyolanu, gdzie ją powoływała siostra, której świekra właśnie umarła. Jerzy Aurispa zamierzał wyjechać również na poszukiwanie krainy nieznanej. W końcu maja mieli się zjechać oboje.

Ale w tej epoce właśnie, Jerzy otrzymał od matki list pełen bolesnych rzeczy, nieomal rozpaczny. Nie mógł już przeto odwłóczyć dłużej swego powrotu do domu rodzicielskiego.

Kiedy zrozumiał, że bez dalszej zwłoki obowiązek nakazywał mu biedz tam, gdzie była prawdziwa boleść, ogarnęło go ciężkie strapienie, w którem pierwszy popęd miłości synowskiej, zwolna pokonany został wzrastającem cierpkiem niezadowoleniem, zwiększającem się w miarę, jak coraz jaśniej zarysowywały się w jego świadomości liczne konflikty przewidywane w przyszłości. A niezadowolenie to, stało się niebawem

tak dojmującem, że owładnęło nim całkowicie, wzmożone jeszcze materyalnemi przykrościami odjazdu, rozdzierającą boleścią pożegnań.

Rozdział był przykrzejszym niż kiedykolwiek. Jerzy przechodził okres wrażliwości nadmiernej; rozdrażnienie wszystkich nerwów utrzymywało go w stanie bezprzestannego niepokoju. Zdawał się nie wierzyć już w przyrzeczone szczęście, w przyszłe ukojenie. Skoro Hipolita go żegnuła, zapytał:

— Czy my się zobaczymy jeszcze?

Kiedy w chwili przejścia drzwi, pocałował ją po raz ostatni w usta, zauważył, że po tym pocałunku zapuściła czarną woalkę na twarz a drobny ten, nic nieznaczący fakcik, przejął go dziwnym niepokojem, przybrał w jego wyobraźni rozmiary i wagę zgubnej jakiejś przepowiedni.

Przybywszy do Guardiagrele, rodzinnego miasta, do domu rodzicielskiego, był tak wycieńczony, że witając uściskiem matkę, rozpłakał się jak dziecko. Ale ani ten uścisk, ani łzy, nie umocniły go. Zdało mu się, że był obcym zupełnie u własnego swego ogniska, że odwiedza rodzinę, która bynajmniej nie była jego rodziną. To szczególne wrażenie opuszczenia, doznawane już w innych okolicznościach, wobec najbliższych, obudziło się w nim w tej chwili, żywsze jeszcze i natrętniejsze niż kiedykolwiek. Tysiące drobnych szczegółów życia rodzinnego drażniło go, raziło na każdym kroku. W czasie śniadania,

w czasie obiadu, pewne cisze, w których nie słychać było nic prócz brzęku widelców, przejmowały go dziwnem niezadowoleniem; czuł się tu nieswoim jakimś. Wytworniejsze nawyknienia, do których już przywykł co chwila tu coś raziło przykro. Atmosfera niezgody, wrogiego usposobienia wzajemnego, otwartej wojny, tamowała mu tutaj oddech.

W sam wieczór jego przybycia, matka wzięła go na bok, aby mu opowiedzieć wszystkie swoje zmartwienia, wszystkie kłopoty, całą niedolę, aby mu opowiedzieć jakie nierządne życie prowadził mąż jej, jakich się dopuszczał wybryków. Głosem drżącym od gniewu, patrząc nań ze łzami w oczach, powiedziała:

— Twój ojciec jest nikczemnikiem!

Powieki miała nabrzękłe, zaczerwienione od długiego płaczu, policzki zapadłe; cała jej postać nosiła na sobie piętno cierpień, znoszonych od dawna.

— To nikczemnik! nikczemnik!

Idąc na górę do swego pokoju, Jerzy miał jeszcze w uszach dźwięk tego głosu; widział postawę matki; słyszał wciąż haniebne oskarżenia przeciw temu człowiekowi, którego krew płynęła w jego żyłach. I serce wzbierało mu takim bólem, iż lękał się, że niepodobna mu będzie wlec dłużej tego życia. Nagle przecież poryw szalonej wściekłości przerzucił myśl jego do nieobecnej kochanki i spostrzegł, że bynajmniej nie był

wdzięcznym matce za to, że mu odsłoniła wszystkie swe cierpienia; czuł, że wolałby nie wiedzieć, nie zajmować się niczem innem prócz tego, co dotyczyło jego miłości, nie mieć żadnych innych cierpień do znoszenia nad te, które wypływały z tej miłości!

Wszedł do swego pokoju i zamknął się. Księżyc majowy oświecał szyby balkonu. Pragnąc odetchnąć powietrzem nocnem, otworzył drzwi szklane, oparł się o parapet, wchłaniając chłód nocny. Spokój nieskończony panował tam niżej w dolinie; a Majella, spowita jeszcze w białe śniegi, zdała się rozprzestrzeniać lazur nieba prostotą uroczystą swych konturów. Guardiagrele, podobne do trzody owiec, zasypiało dokoła Santa Maria Maggiore. Jedyne okno oświecone w domu przeciwległym, tworzyło plamę żółtawego światła na tle nocy.

Zapomniał świeżej swej rany. Wobec piękności wspaniałej tej pogodnej nocy, jedna myśl tylko wyłącznie stanęła w jego umyśle: „Otóż noc jedna znowu, stracona dla szczęścia!...“

Począł nasłuchiwać. W pośród ciszy, dobiegło go wyraźnie tupanie konia w sąsiedniej stajni, potem brzęk zgłuszony dzwonków u zaprzęgu. Oczy jego pobiegły ku oświeconemu oknu; w prostokącie światła, widział cienie ruchome, jakby tam wewnątrz poruszały się jakieś osoby. Nasłuchiwał wciąż. Zdało mu się, że ktoś zlekka

zapukał do drzwi. Poszedł otworzyć, choć nie był pewien.

Była to jego ciotka, ciotka Jokonda. Weszła.

— Zapomniałeś o mnie—mówiła, całując go.

W rzeczy samej, nie widząc jej za przybyciem, nie pomyślał o niej. Począł tłomaczyć się, wziął ją za rękę, posadził i zaczął mówić serdecznym tonem.

Ciotka Jokonda, starsza siostra jego ojca, miała już bez mała lat sześćdziesiąt. Kulała na skutek upadku i była nieco otyła, ale tą tuszą chorobliwą, miękką bezkrwistą. Całkowicie oddana pobożnym praktykom, żyła w zupełnem odosobnieniu w swym pokoju, na najwyższem piętrze domu, nie mając żadnej styczności z rodziną, zaniedbywana, nielubiona, uważaną była za pół idyotkę. Światem jej były święcone obrazki, relikwie, amblemata, symbole; całą jej działalnością wykonywanie ćwiczeń pobożnych, pogrążanie się w monotonii modlitw i pokonywanie straszliwych męczarni, które jej sprawiało łakomstwo. Formalną jej namiętnością było pochłanianie słodyczy, zwłaszcza cukierków, wszelkie zaś inne pożywienie odtrącała. Często wszakże brakło jej cukierków; Jerzy dlatego był jej ulubieńcem, że ilekroć przyjeżdżał do Guardiagrele, przywoził jej pudełko cukierków i pudełko „rossolisów“.

— A zatem — mówiła głosem który wychodził pomrukiem z po za dziąseł niemal pu-

stych — a zatem.., przyjechałeś... ee! ee! przyjechałeś...

Poglądała na niego z pewnego rodzaju onieśmieleniem, nie mogąc znaleźć nic więcej do powiedzenia; ale w oczach jej wyraźnie malowało się oczekiwanie. I Jerzy czuł, jak mu się serce ściska litością dla tej biednej zniedołężniałej istoty. Myślał: „Ta biedaczka, co zeszła do najniższego upodlenia natury ludzkiej, ta biedna dewotka żarłoczna, złączona jest przecież ze mną związkami krwi, ja pochodzę z tego samego co i ona gniazda!"

Nieukrywany już niepokój owładnął ciotką Jokondą; oczy jej poczynały nabierać nieomal bezwstydnego jakiegoś wyrazu. Powtarzała wciąż:

— A zatem... zatem...

— O! wybacz ciotko! — rzekł wreszcie z widocznym wysiłkiem. Na ten raz zapomniałem ci przywieźć cukierków.

Starej twarz zmieniła się nagle, tak, jak gdyby miała lada chwilę zemdleć; oczy jej zagasły; wybąknęła:

— Mniejsza o to...

— Ale jutro postaram ci się o nie — dorzucił Jerzy w rodzaju pocieszenia; serce mu się ścisnęło.—Napiszę...

Staruszka ożywiła się. Zawołała pośpiesznie:

— Wiesz, do Urszulanek... tam są dobre,

Nastało milczenie, podczas którego ciotka Jokonda niezawodnie czuła przedsmak jutrzejszych

roskoszy, bo bezzębne jej usta poruszały się jakby połykaniem śliny nadmiernej.

— Biedny mój Jerzy!... Ach! gdybym ja nie miała Jerzego!... Widzisz, co się tu dzieje w tym domu, to kara niebios... Ale chodź, chodźno na balkon, obejrzyj kwiaty w wazonikach. To ja podlewam je zawsze, ja sama; pamiętam ciągle o moim Jerzym! Dawniej miałam Demetria, ale dziś mam już tylko ciebie.

Powstała, wzięła siostrzeńca za rękę i wyprowadziła go na jeden z balkonów. Pokazywała mu kwitnące w wazonikach kwiaty; zerwała gałązkę pomarańczową i podała mu ją. Schyliła się, próbując czy ziemia nie jest suchą.

— Czekaj! — ozwała się.

— Gdzie idziesz, ciotko Jokondo?

— Czekaj!

Oddaliła się, kulejąc, wyszła z pokoju, powróciła po chwili z konwią pełną wody, którą dźwigała z trudem.

Ale, ciotko, po cóż się tak trudzić? czemu się bierzesz do takiej roboty nad siły?

— Doniczki muszą być podlane. Gdybym ja o tem nie myślała, któżby pomyślał?

Podlewała kwiaty. Oddech jej był ciężki a dyszenie chrapliwe starej tej piersi sprawiało przykrość młodzieńcowi.

— Dosyć! dosyć! — odezwał się, odbierając jej z ręki konewkę.

Pozostali na balkonie; słychać było tylko spadanie pojedynczych kropel wody na bruk ulicy z słabym odgłosem.

— Co to za okno oświecone? — spytał Jerzy, aby przerwać ciszę.

— Och—odpowiedziała staruszka—to don Defendente Scioli dogorywa.

I oboje przypatrywali się poruszaniu cieniów w prostąkącie żółtawego światła. Staruszka przejęta chłodem nocy, poczęła drżeć.

— Chodźmy! idź już spać, ciotko Jokondo.

Chciał ją odprowadzić do jej pokoju, o piętro wyżej. Przechodząc kurytarzem, spostrzegli coś, co się wlokło z trudem po posadzce. Był to żółw. Stara zatrzymała się:

— On jest w twoim wieku, ma dwadzieścia pięć lat teraz; a okulał tak biedak jak ja. To twój ojciec kiedyś kopnięciem...

Przypomniał sobie oskubaną synogarlicę ciotki Joanny a w trop za tem przyszło wspomnienie niektórych chwil, przeżytych w Albano.

Doszli na próg pokoju ciotki. Wyziew mdlący, właściwy pokojom chorych, uderzył go z wnętrza. Przy słabym blasku lampy, widać było ściany pokryte krucyfiksami i madonnami, parawan odarty, fotel z wyłażącemi sprężynami i kłakami.

— Czy wejdziesz?

— Nie, dziękuję, ciotko Jokondo; połóż się już

Weszła szybko, szybko bardzo, potem wróciła na próg z torebką, którą rozwinęła przy Jerzym, wysypując na dłoń okruchy cukru.

— Widzisz, to wszystko, co mi zostało!

— Jutro, jutro, ciotko... No, a teraz idź już spać. Dobranoc!

I opuścił ją, wyczerpawszy już wszelką cierpliwość, z sercem wzburzonem.

Powrócił napowrót na balkon.

Księżyc w pełni zwieszał się w pośrodku nieba. Majella nieruchoma i lodowata, podobna była do jednego z tych przedgórzy księżycowych, które teleskop zbliża do ziemi.

Guardiagrele zasypiało u stóp góry. Pomarańcze wonią duszącą napełniały powietrze.

— Hipolito! Hipolito!

W tej godzinie śmiertelnego udręczenia, cała dusza jego rwała się do kochanki, przyzywając jej na pomoc.

Nagle z okna oświetlonego rozległ się krzyk w tej ciszy nocy, krzyk kobiecy. Inne krzyki podniosły się za nim; potem zlały się wszystkie w jeden szloch nieprzerwany, który wzmagał się i słabnął niby rytm pieśni. Konanie skończyło się; duch ulatywał w noc pogodną i ponurą.

II.

Matka mówiła mu:

— Trzeba koniecznie, byś mi dopomógł; trzeba, abyś się z nim rozmówił; trzeba, abyś wreszcie głos zabrał w tej sprawie. Jesteś najstarszym Tak, Jerzy, to konieczne.

I w dalszym ciągu wyliczała winy swego męża, odsłaniała przed synem haniebne postępki ojca. Ten ojciec miał za metresę pannę służącą, która niegdyś służyła w ich domu, kobietę upadłą, niesłychanie chciwą; dla niej to i dla dzieci z nieprawego łoża trwonił on cały majątek, nie oglądając się na nic, nie dbając o interesa, zaniedbując posiadłości, sprzedając za psie pieniądze pierwszemu lepszemu zbiory, byle tylko mieć pieniądze; dochodziło nawet do tego, że częstokroć z jego winy rodzinie brakło na najkonieczniejsze nawet potrzeby; odmawiał wypłacenia posagu córce młodszej, jakkolwiek była już zaręczoną oddawna; kiedy zaś robiono mu jakąś uwagę, odpowiadał tylko krzykami, obelgami, czasami nawet posuwał się i do zniewag czynnych.

— Ty przebywasz zdala od nas i nie wiesz nawet, w jakiem my piekle pędzimy życie. Nie możesz sobie wyobrazić w najdrobniejszej nawet cząstce naszych zgryzot i cierpień... Ale tyś najstarszym. Trzeba, żebyś się z nim rozmówił. Tak, Jerzy, trzeba koniecznie.

Z oczyma spuszczonemi, Jerzy milczał i aby pohamować rozstrój wszystkich nerwów wobec tej boleści, co się w sposób tak brutalny odsłaniała przed nim, zmuszony był nadludzkiego użyć wysiłku. A więc to była jego matka? Te usta wykrzywione kurczem tak cierpkim, kiedy wymawiała słowa twarde, bez obsłonek wszelkich, to były usta jego matki? Boleść i zawziętość zmieniły ją zatem do tego stopnia? Podniósł oczy, żeby się jej przypatrzeć, żeby znaleźć na twarzy macierzyńskiej ślady słodyczy. Jakże łagodną widywał on dawniej tę matkę! Jakaż to była piękna istota, jak pełna uczucia! A jak i on sam niegdyś kochał ją serdecznie, w dzieciństwie, w latach chłopięcych! Wówczas donna Silveria była wysoką, smukłą, bladą i delikatną, z włosami niemal jasno blond barwy, z oczyma czarnemi, miała w sobie wszystkie cechy szlachetnej rasy, bo pochodziła z rodu Spina, którego herby wraz z herbami Aurispów rzeźbione są nad portalem kościoła Santa-Maria-Maggiore. Jakaż to była urocza niegdyś istota! Zkądże więc ta straszliwa zmiana? Synowi sprawiały przykrość wszystkie zbyt szorstkie gesty matki, każde jej słowo

wymówione z cierpkością, każdy płomień gniewu, co zapalał jej twarz i spojrzenie, co szałem zawziętości poglądało z oczu; przykrość sprawiało mu również, że ojca okrywano takiemi haniebnemi zarzutami, że między tem dwojgiem istot, którym zawdzięczał życie, rozstępowała się tak okropna przepaść. A cóż to za życie im zawdzięczał!

Matka nastawała:

— Słyszysz, Jerzy! Potrzeba abyś wystąpił energicznie. Kiedy się z nim rozmówisz? Poweźmij jakieś postanowienie.

Słyszał i poczuł do głębi trzewów szarpnięcie, co zatargało wszystkiemi jego nerwami, czuł, jak się wzdryga z przerażenia i odpowiedział w duszy: „O! matko, proś mnie o wszystko, żądaj odemnie najokrutniejszej ofiary; ale oszczędź mi tylko tego kroku, oszczędź mi go, nie znaglaj mnie, bym się zdobył na tę odwagę. Jestem tchórzem!“ Na myśl, że miałby stawić czoło ojcu, że miałby zdobyć się na czyn tak mezkiej woli, strach niepokonany przejmował go aż do głębi duszy. Raczej pozwoliłby sobie odciąć rękę.

Odpowiedział głucho:

— Dobrze, matko. Pomówię z nim. Znajdę sposobną chwilę.

Objął ją uściskiem i ucałował w oba policzki, jakby przepraszał ją w milczeniu za to kłamstwo; bo równocześnie zaraz dodawał w myśli: „Nie

znajdę tej sposobnej chwili; nie rozmówię się z nim".

Pozostali we wgłębieniu okna. Matka otworzyła je mówiąc:

— Wynoszą ciało don Defendente Scioli.

Oparli się o balkon, jedno obok drugiego. Ona dodała patrząc w niebo:

— Co za dzień!

Guardiagrele, miasto z kamienia, połyskiwało w pogodnem majowem słońcu. Orzeźwiający wiatr poruszał trawki na ściekach rynien. We wszystkich szczelinach, od podwalin aż do szczytu Santa Maria-Maggiore, przystrojona była w drobne, delikatne roślinki, rozkwitające niezliczonemi kwiatkami fioletowemi, tak że stara katedra wznosiła w niebiosy czoło, pokryta dwoistym płaszczem kwiatów z marmuru i kwiatów żywych.

Jerzy rozmyślał: „Nie zobaczę już Hipolity. Mam smutne przeczucie Wiem dobrze, że za pięć lub sześć dni pojadę na wyszukanie pustelni, wymarzonej przez nas; ale równocześnie wiem doskonale, że będzie to trud próżny, że nie osiągnę tego, do czego dążę, że napotkam na nieznaną mi przeszkodę. Jakże to wszystko, czego doznaję, jest dziwne i nieokreślone! Nie *ja* to wiem, ale we mnie jest *ktoś*, co wie, że to wszystko skończy się niebawem".

I myślał dalej: „Nie pisze już do mnie. Odkąd tu jestem, odebrałem od niej tylko dwa telegramy: bardzo krótkie: jeden z Pallanza, drugi z Bel-

lagio. Nigdy nie czułem się tak oddalonym od niej. Może w tej samej chwili inny jaki mężczyzna ściąga na siebie jej uwagę. Czy to podobna, aby *w jednej chwili, naraz* miłość opadła z serca kobiety? A czemużby nie? Serce jej jest znużone; w Albano, rozgrzane wspomnieniami, ostatni raz może zabiło dla mnie. Ja się na tem biciu zawiodłem. Ale niektóre fakta dla tego, kto je umie obserwować pod idealną ich formą, w głębi samych siebie noszą znaczenie tajemnicze, stanowcze i niezależne od pozorów. A zatem wszystkie drobne fakta, z których składało się nasze życie w Albano, przybierają, skoro je rozbieram w myśli, znaczenie niewątpliwe, charakter oczywisty; są *finalnemi.* Wieczorem, w ów wielki piątek, kiedy za przybyciem na dworzec w Rzymie, rozstawaliśmy się i kiedy powóz unosił ją w mgłę, czyliż nie wydało mi się, że ją utracam na zawsze i bez ratunku. Nie doznawałżem wówczas tego uczucia, że wszystko było skończone?“ Wyobraźnia stawiła mu żywo przed oczy gest, którym Hipolita osunęła czarną woalkę na twarz po ostatnim pocałunku. I słońce, błękit, kwiaty, wesołość wszechrzeczy dokoła, poddały mu tę jedną myśl tylko: „Bez niej życie jest dla mnie niepodobieństwem“.

W tej chwili matka przechyliła się przez poręcz, spojrzała ku bramie katedry i rzekła:

— Kondukt wychodzi z kościoła.

Bractwo pogrzebowe wychodziło z bramy kościelnej ze swemi insygniami. Czterech ludzi w żałobie niosło na barkach trumnę. Dwa długie szeregi mężczyzn w żałobie szły za nią z zapalonemi świecami; z po za dwu otworów czarnych kapturów widać było tylko ich oczy. Od czasu do czasu wiatr chwiał płomykami świec, niewidzialnemi niemal w blasku dziennym, gasząc je tu i owdzie; świece topiły się z sykiem. Każdy z tych zakapturzonych mężczyzn miał obok siebie dziecko bose, które zbierało w dłoń topiący się wosk.

Kiedy cały orszak rozwinął się na ulicy, muzykanci w czerwonych ubiorach, z białemi pióropuszami, zaintonowali marsz pogrzebowy. Karawaniarze przystosowali chód swój do rytmu muzyki; mosiężne instrumenta połyskiwały w słońcu.

Jerzy myślał: „Ileż smutku i ile śmieszności równocześnie w tych oznakach czci, składanej śmierci!“ Zobaczył sam siebie w trumnie, uwięzionego między czterema deskami, niesionego przez tych maskaradowo przybranych ludzi, w otoczeniu tych świec płonących, wśród okropnej wrzawy trąb i wizya ta napełniła go obrzydzeniem. Następnie uwaga jego zwróciła się na dzieci w łachmanach, które zbierały stopiony wosk, uciążliwie, z ciałem schylonem, z oczyma zwróconemi ku ruchomym płomykom.

— Nieszczęśliwy don Defendente! — szepnęła

matka, patrząc na orszak pogrzebowy, co się oddalał.

I natychmiast, jak gdyby mówiła do siebie a nie do syna, dorzuciła znużonym głosem:

— Dlaczego nieszczęśliwy? Wstępuje do przybytku pokoju, nam zaś pozostają troski i cierpienia.

Jerzy popatrzał na nią. Oczy ich spotkały się z sobą; ona uśmiechnęła się do syna, ale tak słabym uśmiechem, że nie poruszył żadnego z muskułów twarzy. Była to raczej jakaś przezrocza, lekka zasłona, ledwie dostrzegalna, co przesunęła się po twarzy zawsze smutnej. Ale błysk nieznaczny tego uśmiechu sprawił na Jerzym wrażenie wielkiego jakiegoś światła i dostrzegł wtedy na twarzy matki po raz pierwszy dzieło boleści, na na które nie było lekarstwa.

Wobec tego straszliwego odkrycia, które mu dał ten uśmiech, nagłą falą uczucia wezbrała mu pierś. Jego matka, własna jego matka nie mogła już zatem uśmiechać się inaczej, jak tylko tak boleśnie, tak strasznie boleśnie! Odtąd zatem stygmat cierpienia przywarł nieodłącznie do tej drogiej twarzy, która niegdyś pochylała się nad nim tak często, z taką dobrocią, w dniach choroby lub strapienia! Jego matka, własna jego matka trawiła się powolnie, niszczała z dniem każdym, schodziła powoli ku nieuniknionemu grobowi! A on sam niedawno, kiedy ta matka odsłaniała przed nim swą niedolę, to, co jej zadało ową

boleść, on nie bolał nad tem macierzyńskiem cierpieniem, ale raczej nad raną, zadaną własnemu jego egoizmowi, bolał nad tem, że chore jego nerwy razi wyrażenie bezwzględne, surowe, nagie tej boleści!

— O, matko!... — szepnął głosem, zdławionym łzami.

I ujął jej ręce, wprowadził napowrót do pokoju.

— Co tobie, Jerzy? Co ci, moje dziecko?—spytała matka przelękniona, widząc twarz jego zalaną łzami.—Co ci jest? Powiedz mi!

Teraz odnajdywał go, ten głos, ten tak drogi mu głos, ten głos jedyny, niezapomniany, który go przejmował do głębi duszy, ten głos pocieszenia, przebaczenia, dobrej rady, nieskończonej dobroci, który słyszał zawsze w dniach najchmurniejszych życia; odnajdywał go teraz, odnajdywał nareszcie! Poznawał nakoniec tę słodką, łagodną istotę dni dawnych, tę uwielbianą!

— O! matko moja, matko!..

I objął ją uściskiem wśród łkania, oblewając jej dłonie palącemi łzami, całując policzki, oczy, czoło w szalonem uniesieniu.

— Biedna moja matko!

Posadził ją, ukląkł przed nią, z oczyma w twarz jej utkwionemi. Poglądał w tę twarz długo, jak gdyby ją zobaczył po raz pierwszy po długiej rozłące. Ona zaś z ustami zaciśniętemi boleśnie,

z ledwie hamowanem łkaniem, co jej ściskało gardło, spytała:

— Wielką sprawiłam ci przykrość, nieprawdaż?...

Otarła łzy syna, pogładziła jego włosy z pieszczotą. Potem mówiła głosem, który przerywały nerwowe wstrząśnienia:

— Nie, Jerzy, nie, to nie tobie się martwić, to nie tobie cierpieć!... Bóg trzymał cię zdala od tego domu. To nie tobie cierpieć tu teraz. Całe życie moje, od samego urodzenia, całe moje życie, zawsze, zawsze, starałam się chronić cię od przykrości, od bólu, od poświęceń jakichkolwiek! O! czemuż na ten raz nie miałam siły milczeć?... Powinnam była zamilczeć przed tobą to wszystko; powinnam była nic ci nie mówić! Wybacz mi Jerzy. Nie myślałam, że tyle ci przyczynię zmartwienia. Nie płacz już, błagam cię. Jerzy, ja ciebie błagam, nie płacz już! Nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

Omal sama nie wybuchnęła płaczem w straszliwem udręczeniu.

— Widzisz, mateczko, już nie płaczę.

Oparł głowę na kolanach matki a pod działaniem pieszczoty macierzyńskich dłoni, uspokoił się nareszcie. Od czasu do czasu łkanie wstrząsało nim jeszcze. W myśli przebiegały mu w formie niejasnych uczuć, odległe smutki czasów chłopięcych. Słyszał świergot jaskółek, zgrzyt koła jakiegoś szlifierza, głosy krzyczące na ulicy;

dźwięki znane, zasłyszane w dawne popołudnia, dźwięki, które mu smutkiem przejmowały serce. Po tem przesileniu dusza jego znalazła się w jakimś nieokreślonym stanie ukołysania. Ale obraz Hipolity pojawił się znów przed jego myślą i nagle zamąciły się znowu tak gwałtownie wszystkie jego uczucia, że z głową złożoną na kolanach matki, młodzieniec westchnął głęboko.

Ona pochyliła się szepcząc:

— Za czem tak wzdychasz?

Nie podnosząc powiek, uśmiechnął się; ale ogarniało go niezmierne wyczerpanie, jakieś znużenie rozpaczne, potrzeba nieprzeparta uchronienia się od tej walki bez wytchnienia.

Chęć życia odchodziła go zwolna, jak ciepło opuszcza trupa. Z poprzedniego wzruszenia nic już nie istniało; matka napowrót stawała się dlań obcą. Cóż wreszcie mógł uczynić dla niej? Ocalić ją? powrócić jej spokój? Powrócić zdrowie i wesołość? Ale czyż to nieszczęście dało się naprawić wogóle? Czyliż odtąd istnienie tej kobiety nie będzie zatrutem na zawsze? Matka nie mogła już być dla niego tą ucieczką, jaką była za czasów dzieciństwa, w tych odległych latach. Nie mogła ani go zrozumieć, ani pocieszyć, ani uzdrowić. Ich dusze, ich życia zbyt były od siebie różnemi. Nie mogła mu dać nic więcej nad widok własnej swej męczarni!

Podniósł się, uścisnął ją raz jeszcze i wyszedł na górę do swego pokoju; tam oparł się o balu-

stradę balkonu. Majella stała przed nim cała różowa w blaskach zachodu, olbrzymia, z delikatnie zarysowanemi konturami na tle zieh ..awego nieba. Krzyk ogłuszający jaskółek, co krążyły po nad balkonem, raził go. Poszedł położyć się na łóżko.

Leżąc na plecach rozmyślał: „Wszystko to dobrze, żyję, oddycham. Ale jaką jest istota mego życia? Jakim siłom ona podlega? Jakie prawa nią rządzą? Nie należę sam do siebie, wymykam się sam przed sobą. Wrażenie, jakie mi sprawia moja istota, przypomina to, jakiego doznaje człowiek skazany na utrzymywanie się w stojącej postawie na powierzchni wiecznie chwiejnej, który czułby, że bezprzestannie brak mu podpory, gdziekolwiekbądź postawiłby nogę. Jestem w wieczystej trwodze i udręczeniu a samo to udręczenie nawet nie da się bliżej określić. Czyliż to trwoga zbiega, który czułby, że go tuż, tuż ścigają? Czy niepokój ścigającego, który nigdy nie może dosięgnąć celu? Czy może jedno i drugie?

Jaskółki świergotały przybiegając i odbiegając gromadnie, niby czarne strzały w bladym prostokącie, który zarysowywał balkon.

„Czegóż mi brak? Jakąż jest ta moralna szczerba mojej duchowej istoty? Jaka jest przyczyna mojej niemocy? Czuję najgorętsze pragnienie życia, nadania wszystkim mym zdolnościom rozwoju, pragnę czuć się zupełnym i harmonijnym w sobie. A przeciwnie widzę, jak zwolna z dniem

każdym niszczeję, jak upadam dobrowolnie; co dnia życie moje uchodzi, gdzieś niewidzialnemi, niezliczonemi szczelinami; jestem jak pęcherz nawpół próżny, który się wykoszlawia na tysiączne sposoby za każdem poruszeniem zawartego w nim płynu. Wszystkie siły moje wystarczają mi zaledwie na to, by wlec z niezmiernym trudem kilka drobnych ziarnek pyłu, które w imaginacyi mojej nabierają ciężaru skał olbrzymich. Bezustanna rozterka unicestwia i wyjaławia wszystkie moje myśli. Czego mi braknie? Kto to owładnął tą częścią mojej istoty, która wymyka się przed moją świadomością, a która przecież, czuję to dobrze, jest dla mnie nieodzowną, abym mógł żyć dalej? Albo raczej, czy owa cząstka już nie zamarła tak, że śmierć tylko zdoła mnie z nią połączyć? Tak to jest pewnie. W samej rzeczy, śmierć zagarnia mnie ku sobie“

Dzwony Santa-Maria-Maggiore ozwały się na nieszpór. Przed oczyma przesunął mu się orszak pogrzebowy, trumna, zakapturzeni ludzie i ten szereg obdartych dzieciaków, co się roztrącały zbierając ociekły wosk, mozolnie schylających się z oczyma wlepionemi w chwiejny płomyk świecy.

Te dzieci zajmowały go wielce. Później, pisząc do kochanki, rozwinął ukrytą alegoryę, której umysł jego ciekawy dopatrzył się w tym obrazie: „Jedno z nich słabowite, wyżółkłe, opierając się jedną ręką na kuli a zbierając w dłoń drugiej, wolnej, odrobiny wosku, wlokło się tuż

obok jakiegoś olbrzyma w kapturze, którego pięść ogromna ściskała silnie świecę. Widzę ich obu jeszcze i nie zapomnę nigdy. Może we mnie samym jest coś, co mnie czyni podobnym do tego dziecka. Życie moje realne jest w mocy *czyjejś*, w mocy jakiejś istoty tajemniczej i nieznanej, która je gniecie w silnej, żelaznej dłoni i widzę, jak się ono wypala i wlokę się za niem i trudzę mozolnie, by zebrać bodaj kilka jego kropel a każda kropla, co padnie, parzy mi biedną, zbolałą rękę".

III.

Na stole, w wazonie stał bukiet róż świeżych, róż majowych, które Kamila, młodsza siostra, zerwała w ogrodzie. Dokoła stołu, zajęli miejsce: ojciec, matka, brat Diego, Albert, narzeczony Kamili, zaproszony tego dnia i starsza siostra Krystyna z mężem swoim i dzieckiem, blondynkiem o śnieżnej cerze, wątłym jak lilijka, co się rozchyla.

Jerzy siedział między ojcem a matką.

Mąż Krystyny don Bartolomeo Celaia, baron Palleaurea, mówił o intrygach municypalnych w sposób gwałtowny. Był to mężczyzna lat bez mała pięćdziesięciu, suchy, z łysiną na wierzchołku głowy podobną do tonsury, z twarzą starannie wygoloną. Szorstkość pyszałkowata jego giestów i manier stanowiła dziwaczny kontrast z jego powierzchownością iście książęcą.

Słuchając tego co mówił i obserwując jego postać, Jerzy myślał:

„Czy też Krystyna może być szczęśliwą z tym człowiekiem? czy może go kochać? Krystyna, ta ujmująca, miła istota, tak uczuciowa i smętna,

ona, którą widziałem tylokrotnie płaczącą pod wpływem rozrzewnienia, Krystyna związaną jest na życie z tym człowiekiem bez serca, nieomal starcem, zgorzkniałym i zajętym głupiemi waśniami prowincyonalnej polityki! I nie ma nawet pociechy w macierzyństwie; może tylko drżeć i dręczyć się bezustanną trwogą o swoje dziecko, to dziecko chorobliwe, bezkrwiste, wiecznie zadumane. Biedna kobieta!"

Spojrzał na siostrę z serdeczną litością. Krystyna uśmiechnęła się do niego z po za bukietu róż, przechyliwszy nieco na lewo głowę, ruchem pełnym gracyi, który jej był właściwym.

Widząc Diega obok niej, pomyślał: „Czy uwierzyłby kto, że oni oboje z tego samego wyszli rodu? Krystyna w znacznej części odziedziczyła wdzięk po matce; ma oczy matki naszej a zwłaszcza ma jej układ, jej ruchy. Ale Diego!" Przypatrywał się bratu z tym instynktownym wstrętem, jakiego doznaje każdy wobec istoty wręcz przeciwnej sobie, całkowicie różnej, krańcowo innej. Diego jadł z żarłocznością, nie podnosząc nigdy głowy od swego talerza, pogrążony najzupełniej w tem zajęciu. Nie miał jeszcze lat dwudziestu, ale był przysadkowaty, ociężały poczynającą się już tuszą, z twarzą czerwoną. Oczy małe i szarawe pod nizkiem czołem, nie odsłaniały najmniejszej nawet iskierki ducha; puszek płowy pokrywał mu policzki i silnie rozwinięte szczęki, okalał cieniem wypukłe i zmysłowe war-

gi, takiż sam puszek widocznym był na rękach o paznokciach źle utrzymanych, które okazywały zupełną wzgardę wszelkiej staranności.

Jerzy myślał: „Czy ja mogę go kochać? Na to nawet, by zwrócić się do niego z jakiemś nic nieznaczącem słowem, na to, by go powitać prostem: dzień dobry, potrzeba mi już pokonywać wstręt niemal fizyczny. On zaś ilekroć do mnie mówi, nigdy jego oczy nie patrzą w moje; a jeśli przypadek zdarzy, że się spotkają z sobą nasze spojrzenia, odwraca się natychmiast z dziwnym pośpiechem. Wobec mnie, niemal bezustannie się rumieni, bez wszelkiej przyczyny. Jakże ciekawem byłoby dla mnie poznać, jakie ja w nim budzę uczucia! Nie ma wątpienia, że musi mnie nienawidzieć".

Nagłym przeskokiem, uwaga jego zwróciła się na ojca, na człowieka, którego Diego istotnym był dziedzicem.

Opasły, krwisty, silny, był uosobieniem w każdym rysie niespożytej żywotności cielesnej. Szczęki jego bardzo grube, usta obwisłe, wyniosłe o hałaśliwym oddechu, oczy mętne, cokolwiek zezowate, nos wielki o ruchomych nozdrzach, pocentkowany piegami, wszystkie rysy twarzy nosiły cechę gwałtowności i surowości zarazem. Każdy gest jego, każda poza, wydawały się wysiłkiem, jak gdyby muskulatura tego ciała ociężałego, walczyła bezustannie z zarastającym ją tłuszczem. Ciało, ta rzecz zwierzęca, pełna żył,

nerwów, ścięgn, gruczołów i kości, pełna iastynktów i potrzeb; ciało, które wydziela z siebie pot i wyziewy; ciało, które się wykoszlawia i zaraża, które się jątrzy, które się okrywa zmarszczkami. krostami. brodawkami i włosem; ta rzecz zwierzęca rozwijała się u niego, rozrastała w sposób bezwstydny niemal i sprawiała delikatnemu sąsiadowi widoczne obrzydzenie. „Nie, nie—mówił do siebie Jerzy. — Dziesięć, pietnaście lat temu, nie było tak przecież. Przypominam sobie dokładnie, że tak to nie było bynajmniej. Ten zalew zwierzęcości ukrytej, niepodejrzewanej, dokonał się snać powoli, postępowo. I ja to, ja jestem synem tego człowieka!".

Przypatrywał się ojcu. Zauważył, że w kącikach oczu, na skroniach, ten człowiek miał sieć zmarszczek, pod oczyma obrzękłość, rodzaj woreczków sinych. Zauważył szyję krótką, rozdętą, czerwoną, apoplektyczną. Spostrzegł, że wąsy i włosy nosiły widoczne ślady farby. Wiek, ten początek starości, dla istot zamiłowanych w rozkoszach nieubłagane dzieło czasu i występku, daremna i nieudolna sztuka, która pragnęła pokryć siwiznę sędziwą, groźba nagłej śmierci, wszystkie te rzeczy smutne i nędzne, nizkie i tragiczne, wszystkie te rzeczy ludzkie, zaniepokoiły głęboko serce synowskie. Niezmierna litość przejęła go dla tego ojca. Potępiać go? Ależ i on cierpi także. Całe to ciało, które mnie przejmuje takim strasznym wstrętem, całą tę ociężałą masę

ciała, zamieszkuje przecież także dusza. Kto wie, ile ta dusza przechodzi udręczeń, kto wie jak jest życiem znużoną!... Najniezawodniej szalenie musi on się obawiać śmierci..." Nagle stanęła mu przed oczyma wizya ojca konającego. Atak apoplektyczny obalał go, piorunował; dyszał okropnie, żywy jeszcze, blady jak płótno, oniemiały, zmieniony do niepoznania, z oczyma pełnemi chorobliwej zgrozy śmierci; potem, jakby przybity powtórnym ciosem niewidzialnej maczugi, tężał jako bezwładna już masa ciała. „Czy też matka moja by go opłakiwała?"

Matka przemówiła do niego.

— Nie jesz, nie pijesz. Prawie nie tknąłeś niczego. Możeś niezdrów?

Odpowiedział:

— Nie, matko. Dzisiejszego rana nie mam jakoś apetytu.

Szmer czegoś przesuwającego się obok stołu, ściągnął jego uwagę; odwrócił się. Spostrzegł okaleczałego żółwia i przypomniał sobie słowa ciotki Jokondy: „Okulał tak jak ja. To ojciec twój kopnięciem..."

Kiedy przypatrywał się żółwiowi, matka, z błyskiem uśmiechu, rzekła:

— On w twoim wieku. Kiedy mi go dano, tyś właśnie miał przyjść na świat.

I dodała z tymże samym, ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

— Był wtenczas maleńki; a skorupę miał całkiem niemal przejrzystą; istne z niego było wtedy pieścidełko. U nas dopiero urósł z latami.

Wzięła łupinkę jabłka i podała ją żółwiowi. Przez chwilę przypatrywała się biednemu stworzeniu, które z drżeniem poruszało ociężałą, żółtawą głową starego węża.

„Widocznie przychodzą jej na myśl dawne wspomnienia“, myślał Jerzy, widząc zadumę matki. Odgadł niewypowiedziany smutek, który bezwątpienia musiał ogarniać serce matki na wspomnienie czasów szczęśliwszych, dziś, kiedy po tylu zdradach, po tylu niegodziwościach, wszystko było stracone na zawsze. „Była *przez niego* niegdyś kochaną; była młodą; może nawet nie znała jeszcze co to cierpienie!... Jakże to dręczyć musi jej serce! Ileż żalu, ile rozpaczy w niem wzbiera!“ Syn cierpiał cierpieniem matki, jej udręczenia odzywały się w nim bolesnem echem. I tak się pogrążył w tem wzruszeniu własnowolnie, że łzy przysłoniły mu oczy. Powstrzymał te łzy z wysiłkiem i czuł jak mu spływają napowrót na serce: „O! matko, gdybyś wiedziała!“

Odwracając się, zobaczył, że Krystyna uśmiechała się do niego z po nad róż.

Narzeczony Kamili mówił właśnie:

— Oto, co się nazywa elementarną nieznajomością kodeksu. Kiedy się ma pretensyę do...

Baron przyznawał słuszność argumentacyi młodego doktora i za każdem jego zdaniem potwierdzał:

— Bez wątpienia, bez wątpienia.

Obalali burmistrza.

Albert siedział obok Kamili swej narzeczonej. Połyskujący był cały i różowy jak figura woskowa, brodę miał ściętą w klin, włosy rozdzielone w pośrodku głowy na dwie równe połowy, kilka pukli starannie ułożonych dokoła czoła i okulary na nosie w złotej oprawie. Jerzy zastanawiał się: „To więc jest ideał Kamili. Lata całe kochają się już miłością niepokonaną. Wierzą w przyszłe swoje szczęście; zdawna już do tego szczęścia wzdychali. Niewątpliwie Albert oprowadzał się z tą biedną dziewczyną pod rękę, po wszystkich miejscach nadających się do idylli. Kamila nie należy do bardzo zdrowych; miewa jakieś urojone słabości; od rana do wieczora tylko dręczy fortepian, swego powiernika, *nokturnami*. Pobiorą się; jaki też będzie ich los? Młody człowiek ambitny i próżny, młoda dziewczyna sentymentalna wśród drobiazgowego, nędznego prowincyonalnego otoczenia...“ Przez chwilę jeszcze, w myśli rozwijał ukształtowanie się przyszłe tych dwu miernych egzystencyi i poczuł znowu litość dla tej siostry. Przypatrywał się jej.

Fizycznie była ona do niego nieco podobną. Wysoka i smukła z pięknemi jasno kasztanowatemi włosami o jasnych, ale mieniących się

oczach, raz błękitnych, to znów zielonkawych lub szarych. Lekki obłoczek pudru ryżowego, czynił ją bledszą jeszcze. U gorsu przypięte miała dwie róże.

„Być może, iż nie z samej tylko twarzy do mnie jest podobna Być może, iż bezświadomie nosi w duszy który z tych zarodków opłakanych, które we mnie, świadomie, rozwinęły się z taką konsekwencyą, tak potężnie. W sercu jej gościć musi niezawodnie niepokój i smutek. Jest dotknięta chorobą, choć o tem nie wie“.

W tej chwili matka powstała. Wszyscy poszli za jej przykładem prócz ojca i don Bartolomea Celaia, którzy pozostali przy stole, by pogadać, co ich uczyniło jeszcze wstrętniejszemi Jerzemu. Objął wpół jedną ręką matkę, drugą Krystynę serdecznie; i tak przeszedł do przyległego pokoju, pociągając je niemal za sobą. Czuł jakiś poryw czułości dziwnej i dziwnego współczucia dla nich obu. Po pierwszych tonach *nokturna*, które rozległy się z pod palców Kamili, spytał Krystynę:

— Czy nie zechcesz przejść się po ogrodzie?

Matka pozostała z narzeczonymi, Krystyna i Jerzy zeszli do ogrodu wraz z milczącem dzieckiem.

Z początku szli jedno obok drugiego, nic nie mówiąc. Jerzy wsunął rękę pod ramię siostry, jak to robił zwykle z Hipolitą. Krystyna przystanęła, szepnąwszy.

— Biednyż ten ogród opuszczony! Przypominasz ty sobie, jakeśmy się bawili tutaj, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi?

I popatrzała na Luca, swego syna.

— Idź, Luchino; pobiegaj, pobaw się cokolwiek.

Ale dziecko nie ruszyło się od matki; przeciwnie, pochwyciło ją za rękę. Westchnęła, spojrzawszy na Jerzego.

— Widzisz! wiecznie to samo! Nie biega, nie bawi się, nie śmieje nigdy. Ani na chwilę mnie nie opuszcza, nie chce odejść odemnie. Wszystko go przestrasza.

Pogrążony w zadumie o nieobecnej kochance, Jerzy nie słyszał zupełnie tego, co mówiła Krystyna.

Ogród w połowie zalany słońcem, w połowie zanurzony w cieniu, opasany był murem, na szczycie którego połyskiwały skorupy szklane przytwierdzone w cemencie. Z jednej strony stała altana. Z drugiej w równomiernych odstępach wznosiły się cyprysy wysokie, cienkie, proste jak świece, zaopatrzone w górze pni, w nędzną kiść ciemnych, niemal czarnych liści, niby w żelezca lancy. W części wystawionej na działanie słońca, na połaci oblanej słońcem, rosło kilka rzędów drzew pomarańczowych i cytrynowych, kwitnących właśnie w tym czasie. Reszta gruntu zasadzona była różami, bzami, pachnącemi ziołami. Tu i owdzie widać było kilka krzaczków mirtu, posadzonych

w regularnych odstępach, które służyły za obramowanie grządkom, dziś zniszczonym. W jednym rogu rosło piękne drzewo wiśniowe; pośrodku znajdował się basen okrągły, pełen stojącej wody, w której zieleniały wodne rośliny.

— Powiedzno, czy ty pamiętasz—spytała Krystyna—ten dzień, kiedy to wpadłeś do basenu, zkąd cię wyciągnął poczciwy nasz wuj Demetrio! Ileż to nam wtedy napędziłeś strachu! Cud był prawdziwy, że mu się udało wówczas wyciągnąć cię żywym!

Na wspomnienie imienia Demetria, Jerzy drgnął. Było to dlań ukochane imię, imię, na dźwięk którego zawsze biło mu żywiej serce. Zwrócił uwagę na słowa siostry; popatrzał na wodę, na powierzchni której przemykały szybko owady o długich mackach. Niespokojna jakaś naszła go ochota pomówienia o zmarłym, mówienia o nim wiele, odtworzenia go sobie we wspomnieniach; ale powstrzymał się przez uczucie, które graniczyło niemal z zazdrością, na tę myśl, że siostra mogłaby rozrzewnić się dla pamięci zmarłego. Pamięć zmarłego, to było wyłączne jego dobro. Zachował ją w najdalszej tajni duszy, z czcią głęboką i nabożeństwem, na zawsze. Demetrio był prawdziwym jego ojcem; był jedynym jego krewnym wreszcie.

I w tej chwili ukazał mu się on tak żywo, ten człowiek łagodny i zamyślony, z twarzą pełną rzewnego męzkiego smutku, której szczegól-

niejszego wyrazu dodawał pukiel siwych włosów, w pośrodku czoła zmięszanych z czarnemi.

— Czy przypominasz sobie — mówiła Krystyna — ten wieczór, kiedyś się schował i całą noc przebyłeś na dworze, nie pokazawszy się już do samego rana? Jakże baliśmy się o ciebie wtenczas również? Jakeśmy cię szukali! Jak płakaliśmy za tobą!

Jerzy uśmiechnął się. Przypominał sobie, jak się schował był, nie z figlów ale przez okrutną ciekawość, by uwierzono, że zginął, by módz zobaczyć, jak też żałować go będzie rodzina. W ciągu wieczora, w wieczór wilgotny a pogodny, słyszał niejednokrotnie głosy przywołujące go, śledził najmniejszy szmer, pochodzący z wzburzonego do gruntu domu, powstrzymywał oddech z radością, zmieszaną poniekąd ze strachem, widząc, jak tuż obok jego kryjówki przechodziły szukające go osoby.

Kiedy już przeszukano cały ogród bez rezultatu, on jeszcze siedział, wciśnięty w swoją kryjówkę. A wtedy na widok domu, którego okna zapalały się i gasły kolejno w ciemności, jakby tam przechodzili niespokojnie ludzie, przejęło go dziwne wzruszenie, tak, że się rozpłakał; litował się teraz nad niepokojem rodziny i nad sobą również, jak gdyby zginął rzeczywiście; mimo to wszystko jednak, uparł się, by się nie pokazać. A potem brzask nadszedł; a to powolne rozlewanie się światła w milczącem przestworzu, starło

z jego mózgu owąniby mgłę szaleństwa, powróciła mu świadomość rzeczywistości, zbudził się w nim wyrzut sumienia. Pomyślał o ojcu i o czekającej go karze z przestrachem, z rozpaczą; i pociągał go ku sobie basen; czuł jak go wabi ta blada powierzchnia wody, co odbijała niebo, tej wody, w której przed kilku miesiącami omal nie zginął...

„Było to w nieobecności Demetria“, przypominał sobie jeszcze.

— Jerzy, czujesz ten zapach? — mówiła Krystyna. — Pójdę zerwać bukiet.

Powietrze, przesiąkłe wilgocią i wyziewami, usposabiało do rozleniwienia. Grona bzu, kwiaty pomarańczowe, róże, tymianek, majeranek, mirt, wszystkie te wonie zlewały się w jeden jedyny zapach, delikatny a silny i przenikliwy.

Nagle Krystyna spytała:

— Dlaczego tak się zamyśliłeś?

Woń ta wzbudziła w Jerzym nagły niepokój, poryw gwałtowny wzburzonej namiętności, pragnienie Hipolity, przed którem ustąpiły wszelkie inne wrażenia; tysiące wspomnień zmysłowych rozkoszy wstrząsnęło mu dreszczem żyły.

Krystyna podjęła uśmiechniona, z pewnem wahaniem:

— Myślisz... o *niej?*

— Ach! to prawda, ty wiesz! — odrzekł Jerzy, który nagle zarumienił się pod wyrozumiałym wzrokiem siostry.

I przypomniał sobie, że opowiadał jej o Hipolicie poprzedniej już jesieni, we wrześniu, kiedy był u niej w Sarsa, nad brzegiem morza.

Wciąż uśmiechniona i wciąż z niejakiem wahaniem, Krystyna spytała:

— Czy... kochasz ją zawsze tak samo jeszcze?

— Zawsze.

Nie mówiąc już nic więcej, zwrócili się ku drzewom pomarańczowym i cytrynowym, pomieszani oboje, ale każde na inny sposób: Jerzy czuł, że żal jego wzrasta po tem uczynionem siostrze wyznaniu; Krystyna, myśląc o tej kobiecie, którą brat jej uwielbiał, czuła jak zmącone budzą się w niej zdawna tłumione własne jej pragnienia. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, co wzmogło jeszcze przykre ich uczucie.

Ona postąpiła szybko kilka kroków, ku drzewom pomarańczowym, z okrzykiem:

— O! Boże, co kwiatów!

I poczęła zrywać kwiaty, podniósłszy w górę ramiona, poruszając konarami, by zerwać kilka ukwieconych gałązek. Kwiaty opadały jej na głowę, na ramiona, na piersi. Dokoła cała ziemia pokryta była listkami, niby wonnym śniegiem. I prześliczna była w tej pozycyi z tym owalem twarzy, z szyją wydłużoną i białą. Wysiłek ożywiał jej twarz. Nagle opadły jej ramiona, bladła, bladła, zachwiała się jakby doznała nagłego zawrotu głowy.

— Co ci to, Krystyno? Źle ci się zrobiło? — zawołał Jerzy, przerażony, podtrzymując siostrę.

Ale gwałtowność omdlenia ścisnęła jej gardło; nie mogła mu odpowiedzieć. Dała znak tylko, że chciałaby odejść od drzew; i wsparta na ramieniu brata, postąpiła kawałek niepewnym krokiem; Luc przypatrywał jej się wystraszonemi oczyma. Potem zatrzymała się, westchnęła głęboko i zwolna odzyskując kolory, rzekła słabym jeszcze głosem:

— Nie lękaj się, Jerzy... To nic. To wpływ mego stanu obecnego... Zbyt silny zapach mnie odurzył... Ale teraz już przeszło; lepiej mi.

— Może powrócisz do domu?

— Nie, pozostańmy w ogrodzie. Siądźmy trochę.

Usiedli w altance, na starej ławeczce kamiennej. Jerzy na widok dziecka poważnego i zadumanego, zawołał je po imieniu, aby je wyprowadzić z tego odrętwienia.

— Luchino!

Dziecko pochyliło ociężałą głowę na kolana matki. Miało wiotkość łodygi kwiatu; zdawało się, że z trudem zaledwie podnosiło na karku głowę. Skóra była niezmiernie delikatną, tak że wszystkie żyłki przeświecały z po za niej, niby rozrzucone pasmo jedwabiu. Włosy jego były tak jasne, że zdawały się białe nieomal. Oczy wilgotne z wyrazem słodyczy jak u jagnięcia,

przeświecały bladym lazurem z po za długich rzęs jasnych.

Matka pieściła go, zaciskając wargi, by powstrzymać wydzierające się łkanie. Ale dwie łzy wydarły się z pod powiek i spłynęły po policzkach.

— O! Krystyno moja!

Akcent pełen serdeczności braterskiego głosu, wzmógł jeszcze wzruszenie siostry. Łzy znowu spłynęły jej po policzkach.

— Widzisz Jerzy! Nigdy nie skarżyłam się; zawsze przyjmowałam bez szemrania wszystko, co mi los naznaczył, zrezygnowana byłam na wszystko; nigdy skargi, nigdy buntu... Ty to wiesz dobrze, Jerzy. Ale i to jeszcze, i to! Ach, nie mieć nawet pociechy w dziecku!...

Łzy drżały w jej głosie.

— Och! Jerzy! widzisz, widzisz jakim on jest! Nie mówi nic, nie śmieje się, nie bawi; nigdy nie rozweseli się, nigdy nie jest takim jak inne dzieci... Co mu jest? ja nie rozumiem. I zdaje mi się, że mnie kocha do uwielbienia! Nie chce mnie opuścić ani na chwilę! Zaczynam przypuszczać, że żyje tylko moim oddechem. A! Jerzy, gdybym ci opowiedziała niektóre dni mego życia, dni tak długie, tak długie, że zdawały się nie kończyć nigdy chyba... Pracuję u okna; podnoszę oczy i spotykam jego wzrok wlepiony we mnie, wlepiony bez przerwy... To powolna męczarnia, tortury, których, opowiedzieć nie sposób.

To tak, jak gdybym czuła, że mnie ubiega krew z serca, kropla za kroplą...

Przerwała sobie, ocierając z łez oczy, udręczona śmiertelnie.

— Gdybyż przynajmniej—dodała—gdybyż przynajmniej to, które noszę w mojem łonie, urodziło się, nie mówię już pięknem, ale zdrowem! Gdybyż, bodaj ten jeden raz, Bóg się zlitował nademną.

I umilkła, uważna, jakby chcąc wywnioskować jakim będzie to nowe życie, drżące w jej łonie. Jerzy ujął ją za rękę. I przez kilka minut, na ławce, brat i siostra pozostali nieporuszeni i niemi, przygnieceni ciężarem istnienia.

Przed nimi ciągnął się ogród pusty i opuszczony. Cyprysy wysokie, proste, nieruchome wznosiły się z religijną jakąś powagą w niebo, niby świece wotywne. Słabe podmuchy, które chwiały sąsiedniemi krzewami róż, tu i owdzie tylko strącały nadwiędłe kwiaty. Od czasu do czasu milkły lub wzmagały się dźwięki fortepianu płynące z domu.

IV.

„Kiedyż? Kiedy? Postępek, który mi chcą narzucić, staje się zatem nieuniknionym? Będę zmuszony więc rozmówić się stanowczo z tem bydlęciem?“ Jerzy patrzał na zbliżającą się tę chwilę z szaloną obawą. Nieprzezwyciężony wstręt przejmował go do głębi istoty na samą myśl, że miał się znaleźć sam na sam w zamkniętym pokoju z tym człowiekiem.

W miarę, jak dni mijały, czuł, jak w nim wzrasta ta trwoga i upokorzenie, którem go przejmowała dotychczasowa bezczynność; czuł, że matka jego i siostra, że wszystkie ofiary spodziewały się po nim, pierworodnym, tego czynu energii, protestu opieki. I w rzeczy samej, pocóż go tu przyzwano? Odtąd nie wydawało mu się już możliwem odjechać, zanim nie spełni tego obowiązku. Z pewnością w ostatniej chwili mógłby wymknąć się bez pożegnania, uciec a potem napisać list tylko, w którym usprawiedliwiłby swe postępowanie jakimśkolwiek prawdopodobnym pretekstem...

Pod grozą najwyższego chwilami przestrachu odważał się myśleć i o tem już haniebnem wyjściu; rozważał, kombinował sposoby wykonania, badał najdrobniejsze szczegóły, wyobrażał sobie rezultaty. Ale w tych scenach obmyślanych, bolesna i sterana twarz matki stawała przed nim, jak nie dający się znieść wyrzut sumienia. Zastanawiał się nad własnym egoizmem i słabością, a rozmyślania te oburzały go na samego siebie; gwałtem, z zaciętością dziecinną upierał się, by odnaleźć w sobie jakąś bodaj cząsteczkę energii, którąby mógł podbudzić skutecznie przeciw tej większej części swej istoty tak, by odnieść nad nią zwycięztwo, jak nad nikczemnym, pospolitym tchórzem. Ale ten bunt sztuczny nie trwał długo, nie doprowadzał go zaś bynajmniej do męzkiego postanowienia. Wtedy zabierał się spokojnie do zbadania swej sytuacyi i łudził się samąż ścisłością swego rozumowania. Myślał: „Na cóż mogę się przydać? Jakiemuż złemu interwencya moja mogłaby zapobiedz? Ten czyn. który z taką przykrością przychodziło mu wymódz na sobie, czyliż przyniesie zysk jaki rzeczywisty? I jakiż zysk wogóle?“ Ponieważ w sobie samym nie udało mu się znaleźć potrzebnej energii do wykonania tego czynu, ponieważ nie umiał wzbudzić w sobie owego buntowniczego usposobienia, zwrócił się przeto do metody wprost przeciwnej: usiłował dowieść sam sobie bezowocności tego czynu, wyrozumować, że on jest bezpo-

żytecznym zupełnie: „Do czegóż doprowadziłaby wreszcie ta rozmowa? Do niczego bez wszelkiego wątpienia. Według tego, jakim byłby w danej chwili humor ojca i według tego, jaki obrót przybrałaby rozmowa, ojciec wystąpi bądź gwałtownie, bądź przekonywająco. W pierwszym wypadku, wobec wrzasków i obelg, będę bezbronnym, zaskoczą mnie one bowiem niespodziewanie. W drugim, ojciec znajdzie całą litanię argumentów, aby mi dowieść, bądź to własnej niewinności, bądź wreszcie konieczności swych zboczeń i również zaskoczony zostanę niespodzianie. Fakta nie dadzą się naprawić. Występek, skoro raz już wkorzenił się w istotę człowieka, nie da się usunąć, ani zniweczyć. Otóż ojciec mój jest w tym wieku, w którym występków wykorzenić już nie można, w którym zrzec się nawyknień jest niepodobieństwem. Przez całe lata ma tę kobietę i te dzieci. Czy więc ja mam najmniejszą choćby szansę, że moje przedstawienia skłonią go do porzucenia i wyrzeczenia się ich? Czy mam najmniejszą choćby szansę przekonania go, że koniecznością jest zerwanie wszystkich tych węzłów? Wczoraj widziałem tę kobietę. Dość ją zobaczyć, by nabyć przekonania, że nie porzuci nigdy mężczyzny, którego stronę cielesną trzyma w swych szponach. Nie wypuści go z pod swej władzy do śmierci. Jest to rzecz, na którą dziś nie ma ratunku. A potem są tu jeszcze dzieci, prawa tych dzieci. Zresztą po tem wszystkiem,

co miało miejsce, czyliż pojednanie między ojcem moim a matką byłoby możliwem? Nigdy. Wszelkie usiłowania moje zatem byłyby bezowocnemi. A wtedy co?... Pozostaje kwestya szkody materyalnej, rabunku, marnotrawstwa. Ale czyż odemnie zależy zaprowadzić w tem ład pewien, skoro żyję zdala od rodzicielskiego ogniska? Potrzebaby tu było czujności bezustannej, w każdej chwili, na każdym kroku i jedynie tylko Diego mógłby to przeprowadzić. Pomówię z Diegiem, ułożę się z nim... Koniec końcem, jak na teraz, jedyną sprawą naglącą jest posag Kamili. Faktem jest, że Albert pilnie chodzi za tą kwestyą, a nawet, szczerze mówiąc, jest najnudniejszy ze wszystkich moich solicytantów. Może być, że nie będzie zbyt trudno znaleźć jakieś porozumienie".

Postanawiał sobie dopomódz siostrze, przykładając się do utworzenia jej posagu; ponieważ jako dziedzic całego majątku wuja Demetria, był majętnym i już posiadał własne dobra. Projekt dokonania wspaniałomyślnego tego czynu, podniósł go we własnem przeświadczeniu. Zdawało mu się, że jest zwolnionym od wszelkiego innego obowiązku, od wszelkiego innego przykrego kroku w tym kierunku, skoro czyni ofiarę ze swych pieniędzy.

Kiedy się zwrócił ku pokojom matki, czuł się daleko już mniej niespokojnym, doznawał pewnej ulgi, znacznie był już swobodniejszym. Prócz tego

dowiedział się, że od samego już rana wyjechał do swej willi wiejskiej, dokąd wydalał się zazwyczaj, aby mieć większą swobodę w postępkach. I to przynosiło mu również pewną ulgę, że wieczorem, u stołu, jedno z miejsc pozostanie niezajętem.

— A! to ty, Jerzy, przybywasz także w dobrą chwilę!—zawołała matka zobaczywszy go wchodzącego.

Ten głos gniewny zadał mu cios tak nieoczekiwany i silny, że zatrzymał się u progu; spojrzał na matkę ze zdumieniem, tak wydała mu się przeobrażoną uniesieniem gniewu. Popatrzał także na Diega, nic nie rozumiejąc zgoła; z kolei zwrócił wzrok na Kamilę, która stała w milczeniu niechętna.

— Co się stało? — wybąknął, podnosząc znów na brata oczy Jerzy, którego uwagę zwrócił na siebie zły jakiś wyraz, po raz pierwszy spostrzeżony na twarzy młodzieńca.

— Skrzyni, w której chowało się srebro, nie ma na zwykłem miejscu—odrzekł Diego, nie podnosząc oczu, zmarszczywszy brwi i połykając wyrazy—i twierdzą, że za moją to sprawą znikła...

Wzburzony potok gorzkich słów wydarł się z ust nieszczęśliwej kobiety.

— Za twoją, twoją i to w zgodzie z ojcem... Ty to byłeś w zmowie z ojcem... Oh! jakaż podłość! Tej jeszcze brak mi było boleści! Mieć przeciw sobie dziecko, które wykarmiłam własną

piersią! Ale ty tylko, ty jeden podobnym jesteś do niego, ty sam wyłącznie... Co się tyczy innych, Bóg miał przynajmniej litość nademną... O Boże! niech imię Twoje będzie pochwalone, błogosławione na wieki, za łaskę, którą mnie udarowałeś! Ty jeden tylko do niego jesteś podobny, ty jeden...

Obróciła się do Jerzego, który stał jak skamieniały, bez ruchu, bez dźwięku. Podbródek jej drgał spazmatycznie i wstrząsały nią konwulsyjne drżenia tak, że zdawało się, iż lada chwilę upadnie na posadzkę.

— Teraz możesz przypatrzeć się życiu, jakie tu pędzimy! Powiedz, widzisz teraz? Codziennie nowa jakaś infamia. Codziennie trzeba staczać walkę, bronić od rabunku ten dom nieszczęśliwy, codziennie, bez wytchnienia! Czy wierzysz teraz, że twój ojciec, gdyby mógł, wyrzuciłby nas wszystkich na barłóg, wydarłby nam ostatni kawałek chleba od ust! I tak będzie; koniec końcem dojdziem do tego. Zobaczysz, zobaczysz...

I mówiła wciąż dysząc, z tłumionem łkaniem w głosie przy każdej pauzie, od czasu do czasu wydając chrypliwe okrzyki, będące wyrazem dzikiej niemal nienawiści, nienawiści niepojętej rzeczywiście u istoty z pozoru równie delikatnej. I raz jeszcze wszystkie obwinienia wydarły z ust jej się. Ten człowiek nie miał już żadnego względu, żadnego zgoła wstydu. Byle tylko zyskać nieco pieniędzy, nie cofał się już przed niczem i przed

czuciem prawa, zapisanego wiekowem dziedzictwem w sumieniu chrześciańskiem; wszystko to splątane przebiegło niby rodzaj wichru szalonego, który na chwilę zatarł w jego duszy wszelkie inne uczucie i dłoniom jego nadał napastnicze pragnienie. Sam widok Diega, tego ciała przysadzistego i krwistego, tej głowy płowej na byczym karku, widocznej wyższości fizycznej tej silnej muskulatury, jakby na urągowisko jego starszeństwu, wszystko to przyczyniało się, aby wzmódz jeszcze jego wściekłość. Pragnął znaleźć jakiś sposób szybki zapanowania nad nim, pokonania, powalenia tego zwierza, bez sporu i bez walki. Instynktownie spojrzał na jego pięści, te pięści szerokie, potężne, pokryte rudawym włosem, które podczas obiadu, oddane na usługi ust żarłocznych, sprawiały mu zawsze tak żywą odrazę.

— Precz ztąd! wychodź natychmiast! — powtórzył głosem jeszcze donośniejszym, jeszcze bardziej rozkazującym—albo też przeproś matkę!

I podchodził ku bratu z podniesioną ręką, jakby go chciał chwycić za ramię.

— Nie dopuszczę, żebyś ty miał mi rozkazywać—krzyczał Diego, nakoniec patrząc w twarz starszemu bratu.

A szare oczy jego, pod nizkiem czołem, wyrażały urazę zdawna chowaną.

— Strzeż się, Diego!

— Nie obawiam się ciebie.

— Strzeż się!

— Któż ty jesteś nareszcie? po co tu przychodzisz?—ryczał Diego w uniesieniu.—Tobie nie wolno ani jednem słowem mieszać się do spraw naszych. Tyś dla nas obcy. Ja cię znać nie chcę. Jakaż była dotychczasowa twoja rola? Nigdy nic nie zrobiłeś dla nikogo. Zajmowałeś się zawsze tylko własnemi przyjemnościami i interesami. Pieszczoty, pierwszeństwa, adoracye, wszystko to było dla ciebie. Czego więc zachciewa ci się dzisiaj? Pozostań sobie w Rzymie i przejadaj tam twe dziedzictwo wedle upodobania; ale nie mieszaj się do tego, co cię nie obchodzi...

Wyrzucał nakoniec całą urazę, całą nienawiść swą zawistną względem tego brata szczęśliwszego, bogatszego, który tam, w wielkiem mieście, żył życiem nieznanych mu przyjemności, obcy swej rodzinie, jakby istota innego gniazda, uposażona w tysiączne przywileje.

— Milcz! milcz!

I matka, odchodząc od przytomności, rzuciła się między nich obu i uderzyła w twarz Diega.

— Precz ztąd! Ani słowa więcej! Precz! Idź do twego ojca! Nie chcę już słyszeć o tobie, nie chcę widzieć!...

Diego wahał się jeszcze, wstrząsany dreszczem wściekłości, czekając może tylko jednego ruchu brata, by się nań rzucić.

— Idź precz!—powtórzyła matka wyczerpana.

I upadła na wpół zemdlona na ręce Kamili, rozwarte, by ją podtrzymać.

Wtedy Diego wyszedł blady z wściekłości, mrucząc przez zęby jakieś słowo, którego Jerzy nie zrozumiał. I rozległ się krok jego ciężki, oddalający się w głuchej anfiladzie pokojów, w których światło dnia poczynało już zamierać.

V.

Wieczór był dżdżysty. Wyciągnięty na łóżku Jerzy czuł się fizycznie tak złamanym i smutnym, że omal przestał myśleć już zupełnie. Myśl jego bujała gdzieś nieokreślona i nieświadoma siebie; ale smutek jego zmieniał się i rozjątrzał pod wpływem najdrobniejszych z zewnątrz wrażeń, słów kiedy niekiedy wymawianych na ulicy przez rzadkich przechodniów, regularnych poruszeń zegara na ścianie, dźwięku oddalonych dzwonów, stuku podkowy końskiej w stajni, gwizdania, łoskotu drzwi zamykanych. Czuł się sam, opuszczonym, odosobnionym od reszty świata, oddalonym od własnego swego poprzedniego istnienia przepaścią nieobliczonego czasu. Wyobraźnia przedstawiała mu w wizyi niejasnej gest, którym kochanka opuściła na twarz czarną woalkę po ostatnim pożegnalnym pocałunku; przedstawiła dziecko o kuli, które zbierało wosk z świec ociekający. Myślał: „Nie pozostaje mi nic więcej, jak umrzeć". Bez wszelkiej określonej przyczyny niepokój jego wzrósł nagle i stał się nieznośnym. Gwałtowne bicie serca ściskało go za gardło, jak

nocna zmora. Zerwał się z łóżka, przeszedł parę kroków przez pokój, oszalały, wzburzony, nie mogąc pokonać dręczącej go niespokojności. A odgłos własnych kroków odbijał mu się echem w mózgu.

„Kto tam? Ktoś mnie woła?“ W uszach miał dźwięk jakiegoś głosu. Wytężył słuch. Nie posłyszał już nic więcej. Otworzył drzwi, wyszedł na kurytarz i słuchał. Wszystko dokoła pogrążone było w milczeniu. Pokój ciotki był otwarty i oświetlony. Dziwny jakiś lęk ogarnął go, rodzaj panicznego strachu na myśl, że może niespodziewanie zobaczyć stojącą na drogu tę staruszkę o masce trupiej. Wątpliwość pewna zaświtała w jego umyśle: może ona umarła, może siedzi tam w fotelu, jak siedziała zwykle, nieruchoma, z brodą spuszczoną na piersi, martwa. Ta wizya przedstawiła mu się z całą plastycznością rzeczywistości i zmroziła go prawdziwym przestrachem. Nie ruszył się już, nie odważył się zrobić kroku, stał z istną żelazną obręczą dokoła głowy, z kręgiem, który niby materya elastyczna a chłodna, rozszerzał się i zaciskał według pulsacyi arteryi. Tyranizowały go własne nerwy, narzucając mu bezład i nadmiar swych wrażeń. Staruszka poczęła kaszlać, drgnął na ten odgłos. Wtedy cofnął się powoli na palcach, aby nie być słyszanym.

— Co za szczególne rzeczy przytrafiają mi się

dzisiejszego wieczora? Nie mogę już sam pozostawać w tym pokoju. Trzeba mi zejść.

Zresztą przewidywał, że po ohydnej owej scenie niepodobieństwem również dlań będzie znieść bolesny widok matki. „Wyjdę; pójdę do Krystyny“. Co go najwięcej zachęcało do tych odwiedzin, to wspomnienie owej wzruszającej i smutnej chwili, przebytej w ogrodzie z poczciwą siostrą.

Z zamkniętej piekarni dochodziły głosy piekarczyków, zajętych pracą i zapach świeżo pieczonego chleba; z jakiegoś szynku dobiegały dźwięki gitary akordami w kwincie i zwrotka popularnej piosenki. Gromada psów zbłąkanych przebiegła galopem i zniknęła wśród ciemnych uliczek. Godzina wybiła na wieży kościelnej.

Zwolna ta przechadzka na świeżem powietrzu uśmierzyła jego wzburzenie. Pierzchało to życie fantastyczne, które zasłoniło mu świadomość pojęć. Uwaga jego zwróciła się na to, co widział i słyszał. Zatrzymał się, aby posłuchać dźwięków gitary, by odetchnąć zapachem pieczonego chleba. Ktoś przeszedł w cieniu po drugim trotuarze, zdawało mu się, że poznaje Diega. To spotkanie wzruszyło go; ale czuł, że cała poprzednia jego uraza znikła, że w jego smutku nie było już nic z poprzedniej gwałtowności. Niektóre wyrażenia brata przyszły mu na pamięć: Pomyślał: „Kto wie, czy on nie mówił prawdy? Nigdy nie zrobiłem nic dla nikogo, żyłem zawsze

tylko dla samego siebie. Tu jestem obcym całkowicie. Wszyscy może tutaj sądzą mnie tak samo. Matka mówiła: Teraz dopiero widzisz to życie, jakie tu pędzimy. Powiedz, widzisz? Daremnie patrzyłbym na jej łzy wszystkie, nie znajdę nigdy siły ratowania jej"...

Dochodził do bramy pałacu Celaia. Wszedł, minął przedsionek; przechodząc przez dziedziniec podniósł oczy. W żadnem z wysokich okien nie dojrzał światła; w powietrzu był jakby wyziew zgniłej słomy; kran fontanny ociekał kroplami, w jednym z ciemnych kątów; pod portykiem przed obrazem Madonny, osłoniętym kratą, płonęła latarka a z po za kraty widać było u stóp Madonny bukiet ze sztucznych róż; stopnie szerokich kamiennych schodów wklęsłe były w pośrodku od długiego użycia, jak stopnie starożytnego ołtarza a każde z tych wgłębień kamienia miało żółtawe odbłyski. Wszystko tu wyrażało smutek starego dziedzicznego domu, do którego don Bartolomeo Celaia, pozostawszy osamotniony i doszedłszy do progu starości, wprowadził tę towarzyszkę i spłodził tego dziedzica.

Wchodząc po schodach widział oczyma duszy tę młodą kobietę zadumaną i to dziecko niedokrewne; widział ich gdzieś w oddali, wielkiej oddali, fantastycznej niemal, w głębi ustronnego pokoju, gdzie nikt nie miał dostępu. Przez chwilę miał zamiar powrócenia napowrót i stanął niepewny na tych białych schodach wysokich i pa-

stych. Przejął go jakiś nieokreślony niepokój; raz jeszcze utracał świadomość rzeczywistości obecnej; czuł się raz jeszcze pod wpływem niesformułowanego lęku, tak samo, jak przed chwilą w kurytarzu, kiedy spostrzegł drzwi otwarte i pokój pusty. Nagle jednak posłyszał szmer i głos, jak gdyby wypędzano coś; bury pies, wychudzony, nędzny, kundel uliczny, przygnany tu prawdopodobnie głodem, przemknął szybko, spuścił się ze schodów, otarłszy się o niego w pędzie. Służący, który ścigał z wielkim hałasem zbiega ukazał się w sieni.

— Co to takiego?—spytał Jerzy widocznie zadziwiony.

— Nic, nic, panie. Wypędzałem psa, szkaradnego jakiegoś psa włóczęgę, który co wieczór zakrada się do domu niewiadomo jakim sposobem, jak jakie widmo.

Ten drobny, nic nie znaczący fakcik, w połączeniu ze słowami służącego, wzmógł w nim jeszcze ów niewytłomaczony niepokój, który miał w sobie coś z zabobonnego przeczucia. I ten to niepokój poddał mu pytanie:

— Lucchino zdrów?

— Zdrów, chwała Bogu, panie.

— Spi?

— Nie, panie; nie położył się jeszcze.

Poprzedzany przez służącego, przechodził obszerne pokoje, które wydawały się puste niemal i w których meble staroświeckiego kształtu usta-

wione były symetrycznie. Nic nie zdradzało tu obecności mieszkańców, zdawało się, że te pokoje zamknięte były szczelnie po dziś dzień. I powiedział sobie, że Krystyna nie może lubić tego mieszkania, skoro nie napiętnowała go wrodzonym wdziękiem. Wszystko tu pozostało takiem, jak było; w porządku, w jakim zastała je małżonka, wszedłszy tu w dzień swego ślubu, w tym samym porządku, w jakim pozostawiła je ostatnia ze zmarłych kobiet domu Celaia.

Niespodziewane odwiedziny Jerzego ucieszyły siostrę, która była sama zupełnie i zamierzała właśnie położyć dziecko do łóżeczka.

— O! Jerzy! jakżeś dobrze zrobił, żeś przyszedł! — zawołała z wylaniem szczerej radości, ściskając go na powitanie i całując w czoło, a ten uścisk serdeczny, to powitanie, nagle przyprowadziły do równowagi ściśnione serce brata.—Patrz, Lucchino, patrz, to twój wujek Jerzy. Nic mu nie powiesz? Chodź-że, pocałuj go.

Słaby uśmiech ukazał się na bladych ustach dziecka a ponieważ schyliło głowę, długie jasno blond rzęsy rozświeciły się z wierzchu odblaskiem i na bladą twarzyczkę rzuciły cień drżący. Jerzy wziął go na ręce, nie mogąc obronić się od głębokiego wzruszenia, kiedy poczuł pod dłonią chudość tej piersi dziecięcej, w której biło szybko serce. I uląkł się niemal, jak gdyby ten nacisk lekki wystarczał do zdławienia życia tak wątłego; zdjęła go trwoga i litość, która przy-

pominała nieco owo wrażenie, jakiego doznawał niegdyś, trzymając w ręku uwięzioną ptaszynę.

— Leciuchny jak piórko!—ozwał się. A wzruszenie, które drżało w jego głosie, nie uszło uwagi Krystyny.

Posadził go sobie na kolanach, pieścił jego główkę i spytał wreszcie:

— Kochasz mnie?

Serce jego zapełniła niezwykła jakaś rzewność. Czuł nieprzepartą potrzebę zobaczyć uśmiech na twarzy tego schorzałego dziecka, zobaczyć bodaj raz, jak jego policzki zabarwiają się żywszym rumieńcem, zobaczyć lekki choćby napływ krwi pod tą skórą przezroczą.

— Co to ci się tu stało?—spytał widząc palec dziecka owinięty płótnem.

— Skaleczył się tu któregoś dnia—rzekła Krystyna, która śledziła najmniejszy ruch brata.—Drobne nacięcie, które jednak nie chce się jeszcze zabliźnić.

— Pokażno mi Lucchino—podjął Jerzy, powodowany jakąś bolesną ciekawością, uśmiechając się wszakże, aby wywołać uśmiech.—Skoro tylko podmucham, zaraz się zgoi.

Dziecko zdziwione, pozwoliło sobie odwiązać z bandaży obolały palec. Jerzy pod wpływem niespokojnego spojrzenia siostry, z niesłychaną ostrożnością przystępował do tej czynności. Koniec płótna przywarł do ranki i nie miał serca go odrywać; ale na brzegu odwiniętego bandaża,

zobaczył kropelkę białawą, podobną do plamy z maślanki. Wargi jego zadrżały. Podniósł oczy; spostrzegł, że siostra, bacznie śledząca ruch jego każdy, miała twarz wzburzoną bolesnym jakimś kurczem i czuł, że w tej chwili cała dusza nieszczęśliwej kobiety zawisła na dłoni tej maleńkiej rączyny.

— To nic, drobnostka—wymówił.

I uśmiechnął się z wysiłkiem, dmuchając na rankę, aby sprawić złudzenie dziecku, które oczekiwało cudu. Potem obwiązał napowrót palec ostrożnie. Przyszła mu na myśl dziwna trwoga, której doznał na opustoszałych schodach, pies, którego wypędzano, słowa służącego, pytanie, które mu one poddały, obawa zabobonna, cały ten nieuzasadniony niepokój.

Krystyna, widząc, że jest zamyślony, spytała:

— O czem myślisz?

— O niczem.

Potem nagle, nie zastanawiając się, bez wszelkiej innej intencyi nad chęć powiedzenia czegokolwiek, coby obudziło uwagę rozespanego dziecka:

— Wiesz? — rzekł — spotkałem psa na schodach...

Dziecko otworzyło szeroko oczy.

— Tego psa, co to przychodzi tu co wieczór...

— A tak—powiedziała Krystyna.—Jan mówił mi o nim.

Ale przerwała nagle na widok rozszerzonych i przerażonych oczu dziecka, które omal nie wybuchło łkaniem.

— Nie, Luchino; nie, nie, to nieprawda. Wujek powiedział to tylko, ażebyś się pośmiał.

— To nieprawda! to nieprawda!—przywtórzył Jerzy powstając, przejęty do głębi tym płaczem, niebywałym nigdy u żadnego innego dziecka, bo zdawało się, że on zniweczy chyba do szczętu wątłe to stworzenie.

— Cicho, cicho—mówiła matka pieszczotliwym głosem.—Luchino położy się teraz!

Wyszła do przyległego pokoju, wciąż pieszcząc i kołysząc na rękach rozpłakanego syna.

— Chodź i ty z nami, Jerzy.

Przez ten czas kiedy rozbierała dziecko, Jerzy przypatrywał się jej. Rozbierała je powoli, z niesłychanemi ostrożnościami, jak gdyby lękała się, że może mu co złamać; a każdy z jej gestów odsłaniał nędzę wątłych członków, gdzie występowały już nieforemności nieuleczalnego rachityzmu. Szyja była długa i giętka, jak łodyga zwiędła; klatka piersiowa, boki, łopatki niemal widzialne z po za skóry, tworzyły wypukłość, którą uwidoczniał jeszcze cień, nagromadzony w częściach wklęsłych; kolana zgrubiałe, zdały się węzłami; brzuch nieco wzdęty, wypukły około pępka, uwidoczniał jeszcze bardziej chudość kanciastą bioder. Kiedy dziecko podniosło ręce, aby mu ma-

tka przemieniła koszulę, Jerzy doznał bolesnej litości, niemal obawy na widok tych kostek kruchych, które w tej tak prostej czynności, zdały się przezwyciężać z niezmiernym wysiłkiem śmiertelną niemoc, w jakiej zamierało słabe to życie.

— Pocałuj go—rzekła Krystyna do Jerzego.

I wyciągnęła ku niemu dziecko, zanim go ułożyła pod kołderkę. Potem ujęła ręce synka; podniosła tę, która miała palec obandażowany, do czoła i piersi, potem od lewego do prawego ramienia, czyniąc nią znak krzyża; wreszcie złożyła je obie i wymówiła: *Amen*.

Była w tem wszystkiem jakaś pogrzebowa powaga. Dziecko w długiej białej koszuli, miało dziś już pozór trupa.

— Śpij teraz; śpij, moje kochanie. My tu zostaniem przy tobie.

Brat i siostra, złączeni raz jeszcze tymże samym smutkiem, usiedli po obu stronach łóżeczka. Nie rozmawiali z sobą. W pokoju czuć było wyziew lekarstw, nagromadzonych na stoliku przy łóżku. Mucha, siedząca na ścianie, wzleciała ku płomieniowi lampy i z głośnym brzękiem usiadła na kołdrze łóżeczka. Wśród ciszy, począł trzeszczeć jakiś mebel.

— Usypia—rzekł Jerzy cichym głosem.

Oboje zatopili się w obserwacyi tego snu, który obojgu podsunął obraz śmierci. Rodzaj odrętwienia ciężkiego ogarniał ich, ilekroć mogli oderwać myśl od tego obrazu.

Minęła nieokreślona chwila czasu.

Nagle dziecko wydało krzyk przerażający, otworzyło oczy szeroko, podniosło się na poduszkach, jakby pod wpływem przestrachu jakiejś okropnej wizyi.

— Mamo! mamo!

— Co tobie, co tobie, moje złotko?

— Mamo!

— Co ci jest? Ja tu jestem przy tobie.

— Wypędź go! wypędź, mamo!

VI.

Przy kolacyi, na której Diego nie był obecnym, czyliż Kamila nie powtórzyła tego samego oskarżenia, acz pod formą delikatną, kiedy powiedziała: „Skoro oczy nie widzą, serce nie cierpi“? A w słowach matki — o! jakże prędko zapomniała łez, któremi się zakończyła rozmowa przy oknie! — nawet w słowach matki czyliż toż samo oskarżenie nie powtórzyło się kilkakrotnie?

Jerzy myślał nie bez goryczy: „Wszyscy tu sądzą mnie tak samo. W gruncie rzeczy, nikt tu nie przebacza mi ani mego dobrowolnego zrzeczenia się prawa starszeństwa, ani sukcesyi po wuju Demetriu. Powinienem był pozostać w domu, by mieć nadzór nad postępowaniem ojca i brata, by strzedz szczęścia domowego! Podług nich, nic nie byłoby się stało, gdybym był pozostał. Skutkiem czego winnym jestem ja. A to jest pokutą“. W miarę jak zbliżał się do willi, gdzie schronił się przeciwnik, przeciw któremu popychano go niesłychanemi środkami, powiedzieć można nieomal gnano kijem, bez miłosierdzia, czuł, że ciąży nad nim rodzaj gnębiącego ucisku, dozna-

wał tego dziwnego oburzenia, które w nas wywołuje przymus niesprawiedliwy. Sprawiał sam na sobie takie wrażenie, jakby był ofiarą ludzi okrutnych i nieubłaganych, którzy nie chcą mu oszczędzić ani jednej męczarni. I wspomnienie niektórych zdań, wypowiedzianych przez matkę w dzień owego pogrzebu w framudze okna, wśród łez wzmagało jeszcze jego gorycz, zaostrzało ironię: „Nie, Jerzy, nie! nie tobie to się martwić, nie tobie cierpieć!... Powinnam była milczeć, powinnam była nie wspominać ci o tem wszystkiem... Nie płacz już. Nie mogę patrzeć na to jak płaczesz“. A przecież od dnia tego ani jednej nie oszczędzono mu tortury. Drobna ta scenka, nie spowodowała najmniejszej zmiany w postępowaniu matki względem niego. Następnych dni nie przestała wciąż być zagniewaną i gwałtowną: skazywała go na wysłuchiwanie dawnych i nowych zarzutów, pogorszonych jeszcze wstrętnemi szczegółami, skazywała go poniekąd na rachowanie na swem obliczu, jedna po drugiej wszystkich mąk przecierpianych; nieomal powiedziała mu: Patrz jak łzy wypaliły mi już oczy, jak głębokie poorały zmarszczki, jak mi włosy zbielały na skroniach. A cóż dopiero gdybym ci mogła ukazać serce moje! Na cóż więc przydał się ów wielki smutek dnia owego? Czyliż matka potrzebowała widzieć dopiero łzy płynące, by się módz wzruszyć, ulitować? Nie czuła zatem okrucieństwa tej męczarni, na którą skazywała bez-

pożytecznie swego syna? „O! jakże rzadkimi są na ziemi ci, co umieją cierpieć w milczeniu i przyjmować kielich ofiary z uśmiechem!“ Wburzony i rozjątrzony jeszcze świeżemi scenami, których musiał być świadkiem, przejęty cały grozą stanowczego wystąpienia, do którego miał przystąpić, dochodził do tego już, że przestawał rozumieć matkę, stawał się względem niej niesprawiedliwym, do tego stopnia, że skarżył się iż nie umiała cierpieć dość doskonale.

Im bardziej zbliżał się drogą (nie chciał wziąć powozu i udał się do willi ojca pieszo, aby swobodniej módz odwlec wedle woli chwilę widzenia a może także, by w ostatniej chwili jeszcze mieć możność zawrócenia lub błądzenia po polach); w miarę jak postępował naprzód, czuł jak w nim wzrasta ten wstręt niepokonany, tak dalece, że wreszcie przerósł w nim wszystkie inne uczucia i przesłonił wszelką myśl inną. Widział tylko obraz ojca wyłącznie, w całej plastyce realnej postaci. I począł sobie wyobrażać scenę, która mieć będzie miejsce za chwilę; studyował zachowanie, jakie mu przybrać przyjdzie, przygotowywał sobie pierwsze frazesy, któremi zagai rozmowę, błąkał się w nieprawdopodobnych przypuszczeniach, sięgał do wspomnień najodleglejszych swego dzieciństwa i wieku chłopięcego, starał się wyobrazić sobie kolejne usposobienia swej duszy względem ojca, w różnych okresach życia poprzedniego. Myślał: „Możem ja go nie kochał

nigdy". I w samej rzeczy, w żadnem z tych wspomnień najdokładniejszych choćby, nie mógł odnaleźć ani jednego porywu własnowolnej ufności, serdeczniejszego wylania, uczucia lub wzruszenia szczerego. Jak sięgnął tylko pamięcią, aż do najwcześniejszych czasów dzieciństwa, pamiętał tylko bezustanną obawę, która dominowała zawsze nad wszelkiem czulszem uczuciem, nad przywiązaniem: lęk przed karą cielesną, przed słowem cierpkiem, po którem następowały razy. „Nie kochałem go nigdy" Demetrio był jego ojcem rzeczywistym; jego jedynym krewnym.

I znowu ukazał mu się ten człowiek łagodny i pogrążony w zadumie, ta twarz pełna rzewnego, męzkiego smutku, której dziwnego użyczał wyrazu pukiel białych włosów wśród reszty czarnych, w pośrodku czoła.

Jak zawsze, obraz zmarłego sprawił mu nagle dziwną ulgę, tak dalece, że obcemi wydały mu się rzeczy, które go zajmowały do tej chwili. Niepokój ustąpił, gorycz się zmniejszyła, miejsce wstrętu zajęło nowe uczucie jakiejś spokojnej pewności. Bo i czegóż miał się obawiać? Czemu imaginacya jego zwiększała tak małodusznie cierpienia, które go czekały i które odtąd stawały się nieuniknionemi? I raz jeszcze doznał w głębi duszy świadomości, że się odrywa z gruntu od swego życia obecnego, od teraźniejszego stanu swej istoty, od obrotu spraw, który go dotąd najwięcej trapił. Raz jeszcze pod wpływem,

jaki stryj zawsze wywierał na niego z głębi grobu nawet, poczuł się otoczonym inną atmosferą, izolującą go zupełnie od wpływów świata rzeczywistego i utracił poczucie stanowcze tego co zaszło i co miało zajść jeszcze; wydarzenia rzeczywiste zdawały się utracać dla niego wszelkie znaczenie, nie mieć już innej wagi nad przelotną, chwilową. I była to jakby rezygnacya człowieka, którego fatalizm zmuszałby poddać się ciężkiej jakiejś próbie, by przez nią osiągnąć przyszłe wyzwolenie, pewność którego miałaby już jego dusza...

Ta przerwa w wewnętrznej trosce, ta zwłoka szczególniejsza, którą mu się udało uzyskać bez wysiłku a która nie dziwiła go bynajmniej, sprawiła, że oczy jego otworzyły się wreszcie na widok krajobrazu opustoszałego a wspaniałego. Wrażenie, jakie on sprawił na nim, wróciło mu spokój i swobodę. W tym widoku zdało mu się, że odnajduje symbol własnych uczuć i jakby widome piętno swych myśli.

Było to popołudnie. Niebo czyste, krystaliczne, oblewało swą barwą wszystkie ziemskie zjawiska i zdało się wysubtelniać materyę przenikając ją nawskroś niezmiernie powoli. Różnorodne kształty roślinne, wyraźne zbliska, gubiły się w oddali, utracały zwolna kontury, zdały się rozpływać we mgłę u góry, stapiały w jeden kształt jedyny, niezmierny a niewyraźny, który ożywiał, zda się, jeden wspólny oddech rytmiczny.

Po trochu, pod tym potopem błękitu, wzgórza wyrównywały się a głąb doliny przybierała widok spokojnej zatoki, w której odbija się niebo. Po nad tą jednolitą zatoką, wznosiła w niebiosa głowę potężna masa odosobnionej góry, kontrastując z temi płynnemi błękitami niewzruszoną trwałością swych załomów, które białość śniegów rozświecała nadprzyrodzonem jakiemś niemal światłem.

VII.

Nakoniec z pośród drzew ukazała się willa, bliska już, z dwoma szerokiemi tarasami bocznemi, obrzeżonemi balustradą, którą podtrzymywały filarki kamienne, zdobne w wazony z terracotty w kształcie biustów, przedstawiających królów i królowe, z głowami ukoronowanemi w iglaste liście aloesów.

Widok tych niezgrabnych, czerwonawych postaci, z których kilka odcinało się w całości na świetlanym lazurze, zbudził nagle w Jerzym na nowo wspomnienia odległych lat dziecięctwa; wspomnienia zmieszane tłumnie: rozrywek wiejskich, gier, wycieczek, wymyślanych powieści na temat tych królów nieruchomych i głuchych na wszystko. Przypominał sobie nawet, że długo bardzo miał szczególne upodobanie do jednej królowej, u której spływające w dół liście jakiejś rośliny, tworzyły gęste i długie zwoje włosów, co wiosna rozkwitających niezliczonemi złotemi kwiatkami. Szukał jej ciekawie oczyma a w myśli stawały mu obrazy tego życia fantastycznego, w które wyposażała ją dziecięca wyo-

braźnia. I spostrzegłszy ją na jednym z narożnych filarów, uśmiechnął się jak gdyby poznał dawną przyjaciółkę; przez kilka sekund cała dusza jego pobiegła ku niepowrotnej przeszłości z niepokojem, niepozbawionym jednak uroku. Dzięki ostatecznemu postanowieniu, które w nim dojrzało w chwili nieprzewidzianego ukojenia pośród tych pól różowych i milczących, odnajdywał teraz we wrażeniach zdawna zapomnianą słodycz i poczynał z przyjemnością wracać duszą w najodleglejsze zakątki biegu własnej egzystencyi. Ta ciekawość dla objawów najulotniejszych nawet, które istota jego rozproszyła w biegu czasu, ta sympatya dla rzeczy, z któremi miał niegdyś styczność, zamieniały się niemal w rozrzewnienie, rzekłbyś prawie kobiece. Ale kiedy posłyszał jakieś głosy w pobliżu sztachet, otrząsnął się z tego rozrzewnienia, kiedy zaś zobaczył okno otwarte, w którem między białemi firankami wisiała klatka z kanarkiem, powrócił do poczucia rzeczywistości obecnej i doznał ponownie poprzedniego udręczenia. Dokoła była cisza i dokładnie słychać było śpiew uwięzionej ptaszyny.

Powiedział sobie ze ściśnieniem serca: „Wizyta moja jest niespodziewaną. A jeśli ta kobieta jest u niego?...“ Przy sztachetach zobaczył dwoje dzieci, bawiących się w piasku i nie mając czasu im się przypatrzeć nawet, odgadł, że to byli jego bracia naturalni, synowie nałożnicy.

Szedł naprzód, dwoje dzieci odwróciły się i poczęły mu się przyglądać ze zdziwieniem, bez onieśmielenia jednakże. Zdrowi, silnie zbudowani, kwitnący zdrowiem, z różowemi policzkami chłopcy mieli widoczne cechy swego pochodzenia. Widok ten wzburzył go; niepokonana trwoga owładnęła nim; przyszła mu ochota ukryć się gdzie, cofnąć się, uciec ztąd i podniósł oczy ku oknu w obawie, że z po za firanek dojrzy twarz ojca lub nienawistnej kobiety, o której podstępach, chciwości, bezeceństwach słyszał tylokrotnie.

— Ach! pan tutaj?

Był to głos służącego, który wychodził na jego spotkanie. Równocześnie ojciec wołał na niego z okna:

— To ty, Jerzy, jakaż niespodzianka!

Odzyskał spokój, przybrał wyraz twarzy uśmiechniony, starał się okazać swobodnym, nieskrępowanym. Poczuł, że już między ojcem a nim powraca ten sam sztuczny stosunek form niemal ceremonialnych, którym posługiwali się przez lata całe względem siebie wzajemnie, aby ukryć obustronne zakłopotanie, ilekroć przychodziło się im zetknąć z sobą i skoro zetknięcia tego niepodobna już było uniknąć. A równocześnie poczuł, że opuszcza go w zupełności wola i że nie zdoła nigdy przedstawić z całą szczerością prawdziwego motywu swych nieoczekiwanych odwiedzin.

Ojciec mówił mu z okna.

— Nie wchodzisz?

— Owszem, owszem, idę zaraz.

Chciał udać, że nie zauważył zupełnie dwojga dzieci. Wchodził po stopniach schodów, które prowadziły na jeden z wielkich tarasów. Ojciec wyszedł naprzeciw niego. Uścisnęli się. Widocznem było, że ojciec chce zaznaczyć serdeczność swego zachowania.

Więc zdecydowałeś się odwiedzić mnie nakoniec?

— Chciałem zrobić pieszą przechadzkę a ta doprowadziła mnie aż tutaj. Nie widziałem już tej miejscowości od tak dawna! Nic tu się nie zmieniło, o ile mi się zdaje...

Spojrzenie jego błąkało się po tarasie wyasfaltowanym; przypatrywał się po kolei biustom z niezwyczajną ciekawością.

— Obecnie przebywasz tu ciągle niemal nieprawdaż?—spytał, aby cokolwiekbądź powiedzieć, byle tylko uniknąć przykrych przerw w rozmowie, które, przeczuwał to, że będą częste i długie.

— Tak; teraz przyjeżdżam tu często i pozostaję—odpowiedział ojciec z odcieniem smutku w głosie, który ździwił syna. Zdaje mi się, że świeże powietrze wiejskie dobrze na mnie oddziaływa... odkąd zdeklarowała się u mnie choroba serca.

— Masz chorobę serca? — zawołał Jerzy, zwracając się ku niemu, z szczerem wzruszeniem, mimowolnie przejęty niespodziewaną tą nowiną — Jakto? Odkądże to? Nic o tem nie wiedzia-

łem... Nikt nie wspomniał mi o tem ani słówka...

Patrzał teraz w twarz ojcu pod blaskiem rażącym tego światła, które rzucał mur, skąpany w skośnych promieniach słońca i zdawało mu się, że odkrywa na tej twarzy symptomaty śmiertelnej choroby. To też z bolesnem współczuciem zauważył te zmarszczki głębokie, te oczy podkrążone i mętne, te siwe, szczecinowate włosy, które sterczały na policzkach i podbródku, nieogolonym od dnia poprzedniego, te włosy i wąsy, którym farba nadawała niepewny jakiś koloryt między zielonkawym a fioletowym odcieniem, te grube wargi, dyszące astmatycznie, tę szyję krótką, zda się zabarwioną krwią przelaną.

— Odkąd to?—powtórzył, nie ukrywając swego pomięszania.

I czuł, że wobec tej wieści słabnie niechęć jego do człowieka, którego szybko po sobie następujące wizye wyobraźni, przedstawiały mu już pod groźbą śmierci, zeszpeconego śmiertelną agonią.

— Alboż się to wie kiedykolwiek, odkąd rozpoczęła się choroba?—odparł ojciec, który wobec tego szczerego zaniepokojenia, z umysłu przesadzał swe cierpienie, by utrzymać i wzmódz jeszcze litość, z której może spodziewał się wyciągnąć dla siebie jakąś korzyść.—Alboż człowiek wie, kiedy to się poczyna? Są to choroby, które tleją w organizmie lata całe; a potem nagle, peenwgo dnia, wybuchają niespodziewanie. Ale

wówczas nie ma już na nie lekarstwa. Trzeba się poddać i czekać ich ciosu w każdej chwili...

Kiedy tak mówił głosem zmienionym, zdawało się, że się pozbywa zwykłej swej surowości i brutalstwa, że staje się starszym daleko, słabszym, złamanym. Było to jakby nagłe rozprzężenie się całej jego osoby, z jakąś przymieszką sztuczności jednak, jakiegoś gonienia za efektem teatralnym, które nie uszły przenikliwej uwagi Jerzego. I natychmiast przyszli na myśl młodzieńcowi ci komedyanci, którzy na scenie mają dar w jednej chwili zmieniać się całkowicie jak gdyby wkładali i zdejmowali z twarzy maskę. Intuicyą jakąś nawet przeczuł, co dalej nastąpi. Bez wszelkiego wątpienia ojciec odgadł przyczynę tej niespodziewanej wizyty; a teraz chce z niej wyciągnąć jakiś zysk dla siebie, wystawiając na pokaz swą chorobę. I nie ma też wątpienia, że założył sobie osiągnąć cel jakiś, dokładnie z góry określony. Jakim był ten cel?... Jerzy nie oburzył się bynajmniej tem odkryciem, nie poczuł w sobie ani odrobiny gniewu; nie sposobił się nawet również bronić przeciw tej zasadzce, którą przewidywał z taką pewnością; przeciwnie bezwładność jego wzmagała się w miarę, im widział jaśniej. I czekał na dalszy przebieg komedyi, gotów poddać się wszystkim jej odmianom, smutny i zrezygnowany.

— Nie wejdziesz?—ozwał się ojciec.

— Jak zechcesz.

— A więc wejdźmy! Chciałbym pokazać ci niektóre papiery.

Ojciec szedł przodem, kierując się ku pokojowi, z którego otwartego okna dolatywał śpiew kanarka. Jerzy postępował za nim, nie rozglądając się dokoła. Spostrzegł, że ojciec zmienił nawet chód, udając wielkie zmęczenie; dojmujący przejął go smutek na myśl o poniżających szalbierstwach, których za chwilę będzie widzem i ofiarą. Czuł w domu obecność kobiety; pewien był, że się ukrywa w którymś pokoju, że podsłuchuje, szpieguje tu wszystko. Myślał: „Jakie to papiery będzie mi pokazywał? Co zamierza uzyskać odemnie? Z pewnością chce pieniędzy. W lot chwyta sposobność...“ I wydało mu się, że słyszy jeszcze niektóre napaści matki; przypomniał sobie pewne szczegóły nie do wiary niemal, których się od niej dowiedział... „Co zrobię? Co mu odpowiem?“

Kanarek w klatce śpiewał czystym i silnym głosem, zmieniając modulacye; białe firanki u okna, wzdymały się jak dwa welony, ukazując w dali lazur nieba. Wiatr poruszał tu i owdzie papierami, porozrzucanemi na stole; a na tym stole Jerzy spostrzegł w krążku kryształowym, który służył za przycisk, rysunek rozpustny.

— Co za dzień nieznośny dzisiaj! — mruknął ojciec, który udając, że cierpi na bicie serca, upadł całym ciężarem na krzesło, przymknął do połowy powieki i począł dyszeć jak astmatyk.

— Niedobrze ci? — spytał Jerzy, prawie nieśmiało, nie wiedząc czy ta słabość była rzeczywistą czy udaną, ani jakie mu wobec tego należy zająć stanowisko.

— Tak, ale to przejdzie za chwilę... Jak tylko cokolwiek się zmęczę, najmniejszy jakiś mam niepokój, zaraz mi jest gorzej. Potrzebaby mi trochę spokojności, trochę odpoczynku. A tu przeciwnie tymczasem...

Rozpoczynał mówić znów tym tonem ubolewającym przerywanych skarg, który z powodu niejakiego podobieństwa akcentu, przywiódł Jerzemu na myśl ciotkę Jokondę, tę nieszczęśliwą idyotkę, kiedy starała się wzbudzić w nim litość, aby otrzymać cukierki. Teraz już udawanie było tak widocznem, tak namacalnem i nieszlachetnem a mimo wszystko było tyle nędzy iście ludzkiej w stanie tego człowieka, zniewolonego do takich podłości, by zadowolnić nieubłaganą namiętność, tyle prawdziwego cierpienia w wyrazie tej kłamliwej twarzy, że Jerzemu wydało się, iż żadna z męczarni minionego jego życia nie da się porównać z okropnem udręczeniem tej chwili.

— A tymczasem? — spytał jak gdyby zachęcając ojca, by mówił dalej, byle tylko przyspieszyć kres własnej swej męczarni.

— A tu przeciwnie, tymczasem od niejakiego czasu, wszystko idzie coraz to gorzej i katastrofy spotykają mnie jedna za drugą bez ustanku. Poniosłem znaczne straty. Trzy złe lata kolejno,

zaraza winnic, inwentarz zdziesiątkowany, dzierżawy spadłe do połowy przeszło, podatki podniesione do niesłychanych rozmiarów... Patrz, patrz! Oto papiery, które ci chciałem pokazać...

I wziął ze stołu plik papierów, rozłożył je przed oczyma syna, rozpoczął tłomaczyć bardzo niejasno ogromną moc wszelakich interesów, wielce zagmatwanych, odnoszących się do nałożenia podatków gruntowych, nieopłaconych dotąd, które gromadziły się i rosły od kilku już miesięcy. Trzeba było koniecznie przyjść raz do porządku i to natychmiast aby uniknąć szkód nieobliczonych. Zarządzono już zajęcie i lada chwila może ponalepiają obwieszczenia o sprzedaży. Co tu zrobić w tym chwilowym kłopocie, w który wpadł bez własnej zgoła winy? Chodziło o sumę dość znaczną. Co tu zrobić?

Jerzy milczał, z oczyma utkwionemi w papiery, które ojciec przewracał ręką swą nabrzękłą, potworną niemal, o bardzo widocznych porach, bladą tą bladością, stanowiącą szczególniejszy kontrast z krwią nabiegłą twarzą. Chwilami nie słyszał już słów; ale zachowywał w uszach monotonię tego głosu, który się kłócił z przenikliwym śpiewem kanarka i z niemilknącemi krzykami, dobiegającemi tu z alei, gdzie dwaj chłopcy niezawodnie bawili się wciąż jeszcze w piasku. Firanki poruszały się u okna ilekroć wietrzyk żywszy wpadł w ich fałdy. I wszystkie te głosy, wszystkie te szmery miały w sobie nie-

wytłomaczony jakiś wyraz smutku dla milczącego gościa, przypatrującego się z rodzajem zdumienia zbitemu sądowniczemu pismu, po którem przesuwała się ta ręka nabrzmiała i blada, pocentkowana tu i owdzie krwawemi żyłkami niby bliznami. W pamięci jego stanął obraz pewien, wspomnienie z dzieciństwa niesłychanie jasne: ojciec stał u okna z twarzą poważną, z jednym rękawem u koszuli odwiniętym na ramieniu, które zanurzał w wielkiej miednicy, napełnionej wodą; a woda zaczerwieniała się coraz bardziej krwią, ściekającą z otwartej żyły; obok niego zaś stał felczer, śledząc odpływ krwi, z bandażem w pogotowiu do podwiązania. Jeden obraz wywoływał drugi: widział jeszcze lancety błyszczące w pudełku z zielonego safianu; widział kobietę, wynoszącą miednicę pełną krwi; widział rękę na temblaku z czarnej wstążki, skrzyżowanej na tłustych miękich plecach, wrzynającej się w nie cokolwiek...

Ojciec, widząc go zamyślonym, spytał:

— Słuchasz mnie?

— Tak, tak, słucham.

W tej chwili może ojciec spodziewał się własnowolnej, wspaniałomyślnej ze strony syna ofiary. Zawiedziony, umilkł na chwilę; potem przezwyciężając zakłopotanie, rzekł:

— Bartolomeo ocaliłby mnie, gdyby mi zechciał pożyczyć tę sumę...

Zawahał się a fizyonomia jego przybrała wyraz nieokreślony, w którym syn dopatrzył się ostatniej oznaki wstydu, pokonywanego potrzebą osiągnięcia bądź co bądź celu.

— Dałby on mi tę sumę na weksel; ale... o ile mi się zdaje, żądałby twego podpisu.

Nakoniec sidła były zastawione.

— A! mego podpisu — wybąknął Jerzy zmięszany, nie samą prośbą ale raczej nienawistnem imieniem tego szwagra, którego obwinienia macierzyńskie przedstawiły mu już w roli złowieszczego kruka czyhającego chciwie na pochłonięcie resztek domu Aurispów.

A ponieważ siedział wciąż niepewny i chmurny, nic nie dodając, ojciec z obawy odmowy, zrzekł się już wszelkiej ostrożności i uciekł wprost do błagania. „Nie miał już innego nad ten sposobu, jedyny to sposób uniknięcia sądowej licytacyi, zgubnej w skutkach, bo zdecydowałaby innych wierzycieli do rozszarpania wszystkiego. Ruina byłaby nieuniknioną. Czyżby syn chciał być świadkiem jego nieszczęścia? albo też, czy nie rozumie, że przychodząc ojcu z pomocą, działa we własnym swym interesie i broni dziedzictwa, które tak już niezadługo ma przypaść jego bratu i jemu samemu?

— O! na to długo nie potrzebujecie już czekać; lada dzień się to stanie; kto wie, może już jutro!

I znów począł mówić o nieuleczalnej swej chorobie, o ciągłem niebezpieczeństwie, które mu grozi, o niepokojach i zmartwieniach, które przyspieszają dla niego godzinę śmierci.

Wyczerpany z sił, nie mogąc już znieść dłużej tego głosu i tego widoku, niemniej przecież powstrzymywany myślą o reszcie swych katów, tych, którzy gwałtem przypędzili go w ten dom i którzy teraz oczekiwali tam na niego, by żądać od niego rachunku z przedsięwziętego kroku Jerzy wymówił z cicha:

— Ale czy to prawda tylko, że tych pieniędzy użyjesz na to, co powiadasz?

— Och! i ty także i ty także! — zawołał ojciec, u którego pod pozornym wylewem żalu czuć było źle hamowany wybuch zwykłej mu gwałtowności. Więc powtarzano ci, tobie także, co roznoszą po całym niemal świecie, wszędzie i zawsze, że ze mnie potwór, że popełniłem wszystkie możliwe zbrodnie, że jestem zdolny do wszelkiej podłości". Ale za cóż, za cóż nienawidzą mnie do tego stopnia w tym domu? Dla czego życzą mi śmierci? O! ty nie masz pojęcia, jak mnie twoja matka nienawidzi!... Gdybyś powrócił do niej w tej chwili i opowiedział jej, że mnie pozostawiłeś tu konającym, ucałowałaby cię i powiedziała: „Chwała, chwała Bogu!" Och! ty nie wiesz...

W brutalności akcentu, w otwarciu ust, które nadawało większą jeszcze cierpkość jego słowom,

w oddechu sapiącym, który rozszerzał mu nozdrza, w czerwoności rozdrażnionych oczu, człowiek prawdziwy ukazywał się mimowolnie i przeciw temu to człowiekowi syn poczuł nowy poryw wstrętu pierwotnego, poryw tak nagły i gwałtowny, że nie zastanawiając się, party potrzebą ułagodzenia ojca i uwolnienia się od niego, przerwał mu, mówiąc zdławionym głosem:

— Nie, nie; ja nie wiem o niczem.... Powiedz mi, co mam zrobić? gdzie mam podpisać?...

I powstał oszołomiony, przybliżył się do okna, obrócił do ojca... Zobaczył, jak szuka czegoś w szufladzie z pewnego rodzaju zdyszaną niecierpliwością; zobaczył, jak kładzie na stole weksel jeszcze czysty.

— Tu. Połóż podpis; to wystarczy...

I olbrzymim swym palcem wskazującym, w którym płaski paznokieć tonął w wałkach ciała, wskazywał miejsce, gdzie należało położyć podpis.

Nie siadając, nie mając jasnej świadomości tego co czyni, Jerzy ujął pióro i podpisał śpiesznie. Pragnął już tylko uwolnić się, byle módz wyjść z tego pokoju, wybiedz na świeże powietrze, uciec ztąd gdzieś daleko, być nareszcie samym. Ale skoro zobaczył, jak ojciec bierze weksel w rękę, jak przygląda się uważnie podpisowi, jak go osusza, sypiąc nań szczyptę piasku, potem składa, chowa i zamyka na klucz szufladę; kiedy zobaczył w każdym z tych ruchów radość potajemną

źle pokrywaną człowieka, któremu udał się czyn niecny; kiedy miał w duszy pewność, że się dał złowić na haniebne szalbierstwo; kiedy pomyślał o badaniu tych, którzy go oczekiwali w tamtym drugim domu—wtedy przejął go bezużyteczny żal tego czynu tak mocno, że omal nie wybuchnął najwyższem oburzeniem, że nakoniec podniósł się w nim bunt przeciw temu złoczyńcy, w obronie własnej swej rodziny, praw pogwałconych matki i siostry. „A! więc to było prawdą, więc to było prawdą wszystko, co mówiła mu matka! Wszystko było prawdą! Ten człowiek nie miał już i cienia hamulca i cienia wstydu. Nie cofał się przed niczem i przed nikim, kiedy chodziło o *zrobienie pieniędzy*...“ I poczuł raz jeszcze obecność nałożnicy, tej kobiety drapieżnej i nienasyconej, która się ukrywała niezawodnie w sąsiednim pokoju, podsłuchiwała, szpiegowała i czekała tam na swoją cząstkę łupu.

Rzekł więc, choć nie udawało mu się w zupełności zapanować nad dreszczem, który nim wstrząsał:

— Przyrzekasz mi... przyrzekasz mi, że te pieniądze nie posłużą ci... na nic innego?

— Ależ tak, ależ tak — odpowiedział ojciec, który już teraz okazywał jak bardzo go drażni to naleganie, i który widocznie zmienił zachowanie, odkąd nie potrzebował już błagać i udawać, by otrzymać to, czego żądał.

— Pamiętaj, ojcze, że ja to wiedzieć będę— dodał Jerzy, który pobladł mocno, głosem nieco zdławionym, z wysiłkiem powstrzymując wybuch oburzenia, które wzmagało się w miarę, jak ten człowiek ukazywał mu się widoczniej pod właściwą swą wstrętną postacią, w miarę jak zarysowywały się dokładniej wszystkie konsekwencye nierozważnego czynu, który spełnił przed chwilą.—Strzeż się! Bo ja nie chcę być twoim wspólnikiem przeciw matce...

Udając dotkniętego do głębi tem podejrzeniem, podnosząc nagle głos, jakby chciał onieśmielić syna, który zadawał sobie straszny gwałt, aby mu patrzeć w oczy, ojciec ryknął:

— Co ty mówisz? Kiedyż nareszcie ta żmija twoja matka przestanie raz pluć swoim jadem? Kiedy to się nareszcie skończy? Czy chce, żebym jej zamknął usta na zawsze? Dobrze! Zrobię ja to w tych dniach, powiedz jej. A! co to za kobieta! Od pietnastu lat, tak, od pietnastu lat nie daje mi ani chwili spokoju. Zatruła mi życie, piekła wciąż na wolnym ogniu. Jeżeli jestem zrujnowany, to jej wina; rozumiesz, to jej wina!

— Milcz!—krzyknął Jerzy nieprzytomny, zmieniony do niepoznania, blady jak trup, drżąc na całem ciele, ogarnięty taką wściekłością jak wówczas, kiedy omal nie rzucił się na Diega.—Milcz! Nie wymawiaj jej imienia! Nie godzien jesteś stóp jej całować. Przyszedłem tu po to, aby ci

o tem przypomnieć. A dałem się wziąć na lep dzięki twojej komedyi! Złapałem się w twoje sieci! Do czego ty dążyłeś, ot po prostu do pieniędzy na rozpustę i to osiągnąłeś... O! co za hańba!... I ty masz śmiałość łżenia mojej matki!...

Głosu mu zbrakło; dławiło go coś w gardle; zasłona jakaś przysłoniła mu oczy; kolana ugięły się pod nim, jak gdyby nagle miały go całkiem opuścić siły.

— A teraz żegnam cię! Wychodzę ztąd. Postępuj sobie, jak chcesz. Twoim synem już być przestaję. Nie chcę już ani cię widzieć, ani nic wiedzieć o tobie. Matkę zabieram z sobą i wywiozę ją ztąd daleko. Żegnaj!

Wyszedł chwiejnym krokiem z ponurym ogniem w spojrzeniu. Kiedy przechodził przez kilka pokojów, aby się wydostać na taras, posłyszał szelest spódnic i drzwi zatrzaśnięte, jak gdyby za kimś, co się oddalał pospiesznie, aby nie być pochwyconym. Skoro wyszedł na świeże powietrze, po za bramę, zdjęła go szalona chęć płakania, krzyczenia, uciekania przez pole, rozbicia sobie głowy o skałę, poszukania jakiejś przepaści, w której skończyłoby się raz ze wszystkiem. Nerwy jego drgały boleśnie, jak targane struny, zdało się, że ktoś je zrywał jedne po drugich. I myślał z przestrachem, który zamie-

ranie dnia czyniło jeszcze okropniejszem: „Gdzie ja pójdę? Czy *tam* powrócić dzisiaj?“ Dom wydał mu się oddalonym nieskończenie; długość drogi zdawała niezmierzoną, wszystko, co nie było natychmiastową przerwą okropnej jego tortury, przechodziło zakres jego pojęcia.

VIII.

Następnego ranka, kiedy otworzył oczy po śnie nadzwyczaj niespokojnym, o wydarzeniach dnia wczorajszego zachował niejasne zaledwie pojęcie. Tragiczne zapadanie zmroku wśród pól opustoszałych; poważne dźwięki dzwonu na „Anioł pański“, które, przedłużone halucynacyą słuchu, wydawały mu się nieskończonemi; trwoga, która go przejmowała kiedy się zbliżał do domu, na widok okien oświeconych, po szybach których przesuwały się chwilami ruchome cienie; podniecenie gorączkowe jakie go ogarnęło, kiedy, naciskany pytaniami matki i siostry, opowiadał całe zajście, przesadzając gwałtowność swego wystąpienia i dzikość sporu; wybuchy pogardy lub czułości, któremi przerywała mu matka w miarę, jak opisywał zachowanie się tego zbydlęconego człowieka i własną energię w stawieniu mu czoła; potem nagłe zachrypnięcie, straszny ból głowy, który młotami rozbijał mu skronie, spazmatyczne usiłowania wymiotów gorzkich, co go ściskały za gardło, straszne zimno, które go wstrząsało w łóżku; okropne widma, przed któremi zrywał się

z pościeli w pierwszej bezwładności rozprzężonych nerwów; wszystko to plątało się w jego pamięci, wszystko powiększało jeszcze odrętwienie fizyczne, tak przykre a z którego przecież nie byłby chciał się wyzwolić, chyba po to, by zstąpić w zupełną ciemność, w znieczulenie trupa.

Czuł potrzebę blizkiej śmierci, myśl ta górowała nad wszystkiem; ale nieznośnem dlań było pomyśleć, że aby wykonać swój zamiar, trzeba mu będzie wyrwać się z tej bezwładności, spełnić cały szereg czynności męczących, pokonać wstręt fizyczny do wszelkiego wysiłku. Gdzie ma sobie życie odebrać? w jaki sposób? czy w domu? czy tego samego dnia jeszcze? czy bronią palną? lub trucizną? Umysł jego nie natrafił jeszcze na żaden pomysł stanowczo określony. Samo to obezwładnienie, które go ogarnęło, i gorycz w ustach, poddawały mu myśl o narkotyku. I niejasno, nie namyślając się nad środkami praktycznego sposobu dostania wystarczającej dozy, wyobraził sobie następstwa. Zwolna obrazy się mnożyły, urastały w szczegóły, stawały się coraz wyraźniejszemi; a ich skojarzenie utworzyło scenę widomą. Mniej daleko starał się uprzytomnić sobie wrażenia powolnego konania, jak raczej chwilę, w której matka jego, siostra i brat mieli się dowiedzieć o katastrofie; usiłował przedstawić sobie objawy ich boleści, ich zachowanie, słowa, gesty. Po kolei myśl jego zatrzymywała się na wszystkich, którzy go przeżyją, nietylko na

pokrewnych, ale na przyjaciołach, znajomych, na Hipolicie, na tej Hipolicie oddalonej, tak oddalonej, że stała się dlań nieomal obcą...

— Jerzy!

— Był to głos matki, pukającej do drzwi.

— To ty, matko? Wejdź.

Weszła, zbliżyła się do łóżka z pełnym serdecznej czułości pośpiechem, pochyliła się nad nim, położyła mu rękę na czole i spytała:

— Jakże się czujesz? Czy ci dziś lepiej?

— Cokolwiek... ale jestem jeszcze niezupełnie przytomny... W ustach mi gorzko; chciałbym się napić.

— Kamila przyniesie ci filiżankę mleka. Czy chcesz abym ci otworzyła okno?

— Jak chcesz, matko.

Głos jego był zmieniony. Obecność matki drażniła w nim to uczucie litości dla samego siebie, które w nim zbudził urojony obraz pośmiertnych żalów, których godzina, jak sądził, była tak blizką. W umyśle jego czynność rzeczywista matki, odmykającej okno, identyfikowała się z wymarzoną sceną, kiedy zrobi straszliwe odkrycie i oczy jego napełniły się łzami współczucia dla siebie samego i dla tej nieszczęśliwej kobiety, którą zamierzał dotknąć ciosem tak okrutnym; i pojawiała się przed nim tragiczna scena z dokładnością rzeczy widzianej. Matka odwracała się w świetle okna, wołała go jeszcze po imieniu, cokolwiek przestraszona; przybliżała się po-

wtórnie, drżąca, dotykała go, wstrząsała, czuła, że jest bezwładny, lodowaty, stężały; a wtedy padała twarzą na jego trupa, zemdlona... martwa może? Taki cios mógłby ją razić jak gromom. I niepokój jego wzrósł jeszcze a chwila wydała mu się uroczystą, jak wszystko to, co jest finalnem; sam widok, czynności, słowa matki, nabrały dla niego znaczenia i wartości tak niezwykłej, że śledził je oczyma z trwożną niemal uwagą. Wyrwany nagle z wewnętrznego odrętwienia, miał teraz napowrót poczucie nadzwyczaj czynnego życia. Przejawiało się w nim zjawisko, dobrze znane, którego osobliwość często już zwracała na siebie jego uwagę. Było to przejście w jednej chwili z jednego stanu świadomości w inny; między stanem nowym a stanem poprzednim była taka różnica, jaka istnieje między snem a czuwaniem, a to mu przypominało nagłe zmiany w teatrach, kiedy kinkiety sceny zapalają się niespodziewanie, rzucając najżywsze światło.

To też, jak w owym dniu pogrzebu, syn podniósł na matkę oczy, które nie były już temi samemi i *zobaczył* ją taką, jaką ją widział wówczas z dziwnem jasnowidzeniem. Czuł, że życie tej kobiety stawało się bliższem, spojonem, zależnem jakby od własnego jego życia; odczuł tę łączność tajemniczą krwi i smutne przeznaczenie, które zawisło zarówno nad nią, jak nad nim. A kiedy matka powróciła do jego łóżka i usiadła

w głowach, uniósł się cokolwiek na poduszkach, wziął ją za rękę i usiłował uśmiechem pokryć swe pomieszanie. Pod pozorem przypatrzenia się kamei pierścionka, badał tę rękę długą i wychudłą, której każdy szczegół nadawał nadzwyczajny wyraz życia i której dotknięcie sprawiało mu wrażenie niepodobne do żadnego innego wrażenia. Myślał, z duszą, nie mogącą wyzwolić się jeszcze z ponurych wizyi, wywołanych przed chwilą: „Kiedy umrę, ona mnie dotknie a skoro poczuje, żem martwy, zimny...“ I dreszcz go przeszedł na myśl odrazy, której sam kiedyś doznał, dotknąwszy trupa.

— Co ci jest?—spytała go matka.

— Nic.. dreszcz nerwowy.

— O, tyś niezdrów jeszcze—podjęła, wstrząsając głową.—Co cię boli?

— Nic, matko... Jeszcze tylko nie mogę jakoś przyjść do siebie, to rzecz naturalna.

Ale macierzyńskiego oka nie uszło to, co było nienaturalnego i konwulsyjnego w twarzy syna.

Poczęła znów:

— Jak ja sobie wyrzucam, jak ja sobie wyrzucam, żem cię tam posłała! Jak ja źle zrobiłam, posyłając cię tam!

— Nie, matko. Dlaczego? Prędzej, czy później było to konieczne.

I nagle, z całą już teraz jasnością, przeżył w myśli wczorajszą okropną chwilę; widział do-

kładnie ruchy, słyszał napowrót głos ojca; słyszał własny swój głos, ten głos tak zmieniony, którym, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, wymówił słowa takiej wagi. Wydało mu się, że on sam nie miał nic wspólnego z tym postępkiem, z temi słowami wypowiedzianemi; a jednak w głębi duszy czuł rodzaj niejasnego wyrzutu, miał jakby instynktowną świadomość, że przekroczył granice, że się dopuścił nie dającego się już naprawić przekroczenia, że podeptał coś ludzkiego i świętego. Dlaczego odstąpił z taką gwałtownością od wielkiej, spokojnej rezygnacyi, którą go natchnął obraz zmarłego Demetria, kiedy mu się ukazał pośród pól niemych? Dlaczego nie wytrwał w zapatrywaniu się z równą przenikliwością i bolesną litością na podłość i sromotę tego człowieka, nad którym przecież, tak jak nad wszystkimi ludźmi, ciąży niepokonane przeznaczenie? A on sam, on, który tęż samą krew miał w swych żyłach, kto wie, czy w głębi swej istoty nie nosi uśpionych zarodków tychże samych wstrętnych występków? Gdyby żył dalej, czyliż nie naraziłby się także na to, że z kolei popadnie w podobne upodlenie? A wtedy wszelkie gniewy, wszelkie nienawiści, wszelkie gwałtowności, wszystkie kary i upokorzenia wydały mu się niesprawiedliwemi i próżnemi. Życie było głuchym fermentem brudnych materyj. Wydało mu się, że czuje w składowych częściach swojej istoty tysiące sił tajemniczych, nieznanych i nie dających się zburzyć, których

przewrot postępowy i fatalny składał się na istnienie jego przyszłe, gdyby przypadkiem nie stało się właśnie, że wola jego miała być posłuszną jednej z tych sił, która nakazywała mu rozstać się z życiem. „Wogóle pocóż żałować tego, com zrobił wczoraj? Czyż mogłem przeszkodzić sam sobie w wykonaniu tego?“

— To było konieczne—powtórzył sobie z nowem teraz znaczeniem, jak gdyby mówił do samego siebie.

I przypatrywał się, spokojny i uważny, rozwojowi tej reszty życia, które mu pozostawało przeżyć jeszcze.

IX.

Kiedy matka i siostra zostawiły go samego, pozostał chwil kilka jeszcze w łóżku, przez pewien wstręt fizyczny do jakiejbądź czynności. Zdawało mu się, że na to, by się podnieść, potrzebowałby niezmiernego wysiłku. Wydawało mu się zbyt męczącem porzucić tę pozycyę poziomą, w której, za godzinę już może, znajdzie wieczysty spokój. I ponownie przyszedł mu na myśl narkotyk. „Zamknąć oczy i oczekiwać na sen!“ Dziewicza jasność tego majowego poranku, błękit odbijający się w szybach, smuga słoneczna, co kładła się na posadzce, głosy i szmery, dobiegające z ulicy, wszystkie te echa życia, które zdały się wdzierać na balkon, by dotrzeć do niego i odzyskać go napowrót życiu, wszystko to napełniało go pewnego rodzaju przestrachem, zmieszanym z jakąś niejasną urazą. I w duszy stawał mu obraz matki, otwierającej okno. Widział znów Kamilę w nogach łóżka; słyszał powtórnie słowa jednej i drugiej, wiecznie odnoszące się do tegoż samego człowieka. Najdokładniej

uprzytomniło mu się w pamięci okrutne wyrażenie, wypowiedziane przez matkę ustami pełnemi goryczy i z wyrażeniem tem łączył mimowolnie wizyę twarzy ojcowskiej, tej twarzy, w której przypuszczał, że odkrywa, tam na tarasie, w rażącem świetle, odbijającem od białości murów, oznaki śmiertelnej choroby. Wobec niego i Kamili, matka powiedziała z uniesieniem: „Gdybyż to było prawdą! Oby Bóg dał, żeby to było prawdą". Jest to więc ostatnie wrażenie, które w przededniu jego śmierci pozostało w sercu istoty, co była niegdyś źródłem najczulszych uczuć w jego domu!...

Naszedł go nagły poryw energii; wyskoczył z łóżka, zdecydowany stanowczo działać. „Przed wieczorem będzie wszystko skończone. Gdzie to zrobię?" Przyszły mu na myśl zamknięte pokoje stryja Demetria. Nie miał jeszcze stanowczo obmyślonego planu; ale miał świadomość i pewność tego, że w ciągu dnia przedstawi mu się sposób sam z siebie, nagłem natchnieniem, któremu zmuszony będzie stać się posłusznym.

Kiedy się ubierał, myśl jego ciągle była zajęta odpowiedniem przygotowaniem ciała swego do grobu. Występował u niego ten rodzaj próżności pogrzebowej, którą zauważyć można u niektórych skazańców i niektórych samobójców. I przejął go żal jakiś, że umrzeć mu przyjdzie w tem małem, nieznanem miasteczku, w głębi dzikiej,

zapadłej prowincyi, zdala od swych przyjaciół, którzy może długo jeszcze nic nie będą wiedzieli o jego śmierci. Jeśli natomiast rzecz ta stałaby się w Rzymie, w wielkiem mieście, gdzie był tak dobrze znany, przyjaciele opłakiwaliby go, nadaliby niezawodnie tragicznej tajemnicy przystrój poetyczny. I ponownie usiłował wyobrazić sobie to wszystko, co nastąpiłoby po jego śmierci; swoją pozycyę na łóżku w pokoju, który był świadkiem jego miłości; głębokie wzruszenie dusz młodzieńczych, dusz bratnich, na widok trupa pogrążonego w śmiertelnym spokoju; rozmowy czuwających u zwłok przy blasku świec jarzących; trumnę pokrytą wieńcami, za którą szedłby cały tłum milczącej młodzieży; słowa pożegnania, wypowiedziane przez poetę, Stefana Gondi: „Chciał umrzeć, *ponieważ nie mógł uczynić swego życia takiem jak je wymarzył*:“ a potem boleść, rozpacz Hipolity...

Hipolita!... Gdzież ona teraz? Czego doznaje? Co robi?

„Nie—myślał—moje przeczucie nie myliło mnie!“ I widział w imaginacyi ruch kochanki, kiedy zapuszczała czarną woalkę na twarz po ostatnim pocałunku; przebiegał w myśli drobne fakty *finalne*. Jednej jednakże rzeczy nie mógł sobie wytłomaczyć, to zgodzenia się niemal absolutnego swej duszy na rezygnacyę konieczną i definitywną, którą go pozbawiała tej kobiety, tak nie-

dawno jeszcze będącej przedmiotem tylu marzeń i tylu zachwytów. Dlaczego po gorączkach i udręczeniach pierwszych dni, nadzieja opuszczała go po trosze? Dlaczego popadł w smutną pewność, że wszelki wysiłek byłby daremnym, by wskrzesić tę wielką rzecz zamarłą a tak niesłychanie odległą, *ich miłość?* Dlaczego cała ta przeszłość z taką łatwością oderwała się od niego, że w tych ostatnich dniach, pod wpływem tortur najświeższej daty, zaledwie odczuł kilka jej drgnień, jasno występujących w świadomości?

Hipolita! Gdzie ona teraz? Czego doznawała? Co robiła? Na jakie widoki otwarte były jej oczy? Jakie słowa, jakie stosunki oddziaływają na nią i jakie budzą w niej niepokój? Jaki był powód, że od dwu tygodni nie znalazła sposobności przesłania mu jakiejśkolwiek o sobie wieści, mniej czczej i mniej zwięzłej nad cztery, czy pięć telegramów, wysłanych z coraz to innych miejscowości?

„Być może, że ulega już żądzom innego mężczyzny. Ów szwagier, o którym wspominała przy każdej sposobności...“ I okropna myśl, którą mu podszeptywało dawne nawyknienie posądzania, przejęła go jak w najczarniejszych chwilach dawnych czasów. Burza wspomnień gorzkich podniosła się w jego sercu. Przechylony na tym samym balkonie, na którym pierwszego wieczoru, pośród zapachu kwiatów, w męczarniach świe-

żego jeszcze żalu, wzywał imienia ukochanej, przeżył w jednej sekundzie wszystkie nieszczęścia dwu lat minionych. I wydało mu się, że w tym przepychu majowego poranku ujawnia się obecne szczęście nieznanego rywala i dobiega aż do niego echem.

X.

Jakby na to, by się wtajemniczyć w głębokie tajnie, w które miał wstąpić niezadługo, Jerzy chciał raz jeszcze przejrzeć pokoje, w których Demetrio spędził swe dni ostatnie.

Legując cały swój majątek siostrzeńcowi, Demetrio przekazał mu również ten apartament. Jerzy zachował nietkniętemi pokoje z religijną starannością, jak się przechowuje relikwiarz. Pokoje te zajmowały górne piętro; okna wychodziły na południe, z widokiem na ogród.

Wziął klucz i wszedł po schodach ostrożnie, aby uniknąć zapytań. Ale przechodząc kurytarzem, musiał z konieczności minąć drzwi ciotki Jokondy. W nadziei, że przejdzie niespostrzeżony, szedł cicho, na palcach, wstrzymując oddech. Posłyszał, że staruszka kaszlała; zrobił kilka śpieszniejszych kroków, przypuszczając, że hałas, sprawiony kaszlem, zagłuszy odgłos jego kroków.

— Kto tam? — spytał z wewnątrz głos zachrypły.

— To ja, ciotko Jokondo.

— Ach! to ty, Jerzy? Chodź, chodź...

Pojawiła się na progu, z wyżółkłą twarzą, która w cieniu nabierała niemal trupiej barwy; spojrzała na siostrzeńca tem szczególniejszem, właściwem sobie spojrzeniem, które biegło pierwej do rąk, niż ku twarzy, jakby po to, by się przekonać, czy ręce nie przynoszą czego.

— Idę do pustych pokojów — ozwał się Jerzy, którego odpychał mimowolnie ten wstrętny wyziew ludzki, który go przejmował obrzydzeniem.— Do widzenia, ciotko. Muszę przewietrzyć cokolwiek zamknięte pokoje.

I szedł dalej kurytarzem aż do drzwi następnych. Kiedy wszakże wkładał klucz w zamek, posłyszał za sobą kulejący krok staruszki.

Jerzy poczuł, jak mu słabnie serce na myśl, że nie znajdzie może sposobu uwolnienia się od niej, że kto wie, czy nie będzie zmuszony słuchać jej zająkliwego głosu w ciszy, religijnej niemal tych pokojów, pośród najdroższych dla niego i straszliwych wspomnień. Nie mówiąc nic, nie oglądając się po za siebie, otworzył drzwi i wszedł.

Pierwszy pokój był ciemny, napełniony ciepłem, cokolwiek dusznem powietrzem, przesiąkły tym szczególniejszym wyziewem, który czuć się daje w starych bibliotekach. Smuga słabego światła wskazywała położenie okna. Zanim otworzył okno, zawahał się, wytężył ucho, przysłuchując się zgrzytowi zawiasów. Ciotka Jokonda zakaszlała z cicha, niewidzialna w cieniu. Wówczas kiedy po

omaćku szukał u okna żelaznej zasuwki, przejął go dreszcz przelotnego strachu. Otworzył i odwrócił się; dojrzał niewyraźne kształty mebli w zielonawym mroku, który rzucały żaluzye; zobaczył staruszkę na środku pokoju, przechyloną na bok, chwiejącą swem ciałem obwisłem i połykającą coś widocznie. Pchnął żaluzye, które zgrzytnęły w zawiasach. Fala słońca zalała wnętrze pokoju. Zadrżały u okna wyblakłe firanki.

Z początku stał niezdecydowany; obecność staruszki nie dozwalała mu swobodnie oddać się własnym uczuciom. Rozdrażnienie jego wzrosło do tego stopnia, że nie powiedział jej ani słowa, z obawy, że głos jego brzmieć może gniewnie i surowo. Przeszedł do następnego pokoju, otworzywszy okna. Swiatło wlewało się pełnemi snopami przez otwarte okna, firanki drżały. Przeszedł do trzeciego, otworzył okna. Swiatło rozbłysło, zadrżały firanki.

Nie szedł już dalej. Następny pokój, narożny, był sypialnią. Tam chciał wejść sam. Z niezmierną przykrością posłyszał krok kulejący natrętnej staruszki, która szła tuż za nim. Wziął krzesło i odgrodził się od niej upartem milczeniem,

Starowina przeszła przez próg powoli. Widząc, że Jerzy siedzi w milczeniu, stanęła zmieszana. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wiatr chłodny, wiejący od okna, widocznie podrażnił jej katar i zaczęła znów kaszlać, stojąc na środku pokoju. Za każdem zakrztuszeniem się, ciało jej

zdało się nabrzmiewać i znów zaklęsać, jak miechy kobzy pod napływem powietrza. Trzymała ręce na piersi, ręce tłuste, ręce łojowate, o paznogciach obrzeżonych czarnemi paskami. A w ustach, między próżnemi dziąsłami, drgał jej język białawy.

Skoro tylko napad kaszlu się uspokoił, wyjęła z kieszeni torebkę brudną i wydobyła z niej pastylkę. Wciąż stojąc na środku pokoju, żuła, utkwiwszy w Jerzego bezmyślne spojrzenie. Spojrzenie to odbiegało się do Jerzego, by pobiedz ku drzwiom zamkniętym czwartego pokoju. I stara przeżegnała się a potem i ona również przysiadła na krzesełku, najbliższem Jerzego. Z rękoma złożonemi na brzuchu i spuszczonemi powiekami powtarzała „wieczny odpoczynek!“

Jerzemu przyszło na myśl: „Modli się za brata, za *potępioną* duszę“. Że ta kobieta była siostrą Demetria Aurispy, to mu się wydawało rzeczą niepojętą! Jakim sposobem ta krew dumna i szlachetna, która oblała łoże przyległego pokoju, ta krew, co wytrysnęła z mózgu już strawionego poprzednio troską o najwyższe zadania inteligencyi, jakim sposobem krew taka mogła wypłynąć z tego samego źródła, co ta, która płynęła zanikła w żyłach tej dewotki. „U niej łakomstwo jej tylko, jedynie łakomstwo żałuje wspaniałomyślności dawcy. Jaka to osobliwsza ta wdzięczna modlitwa, płynąca ze starego, nad-

wątlonego żołądka ku najszlachetniejszemu z samobójców! Jakże życie bywa dziwacznem!"

Nagle ciotka Jokonda poczęła znów kaszlać.

— Idź ztąd, ciotko, to będzie lepiej — ozwał się Jerzy, który już nie miał siły zapanować nad swem zniecierpliwieniem.—To powietrze ci szkodzi. Idź, tak będzie lepiej. Prędko, wstawaj, odprowadzę cię.

Ciotka Jokonda popatrzała na niego, zdziwiona temi szorstkiemi słowy i tym tonem niezwykłym. Podniosła się, przeszła przez pokoje, kulejąc. Doszedłszy do kurytarza, ponownie zrobiła znak krzyża w rodzaju egzorcyzmu. Jerzy zamknął za nią drzwi na dwa spusty. Nakoniec był sam i swobodny z niewidzialnym towarzyszem.

Przez chwil kilka stał nieporuszony, jakby pod magnetycznym jakimś wpływem. I czuł, jak go przenika do najgłębszych tajni istoty nadnaturalny czar, który wywierał na niego z głębi grobu ten człowiek, istniejący po za życiem jeszcze.

Znów stanął on przed nim, ten człowiek łagodny i zamyślony, ta twarz pełna męzkiego smutku, której dziwnego nadawał wyrazu pukiel białych włosów, opadający na środek czoła, wmieszany w resztę czarnych.

„Dla mnie—myślał Jerzy—on istnieje. Od dnia jego śmierci cielesnej, czuję jego obecność w każdej dnia godzinie. Nigdy tak dokładnie nie czułem naszego pokrewieństwa, jak od jego śmierci. Nigdy tak dokładnie, jak od jego śmierci, nie

pojmowałem siły jego istoty. Wszystko, co rozproszył w zetknięciu się z bliźnimi, wszystkie czyny, ruchy, słowa, które rozsiał w biegu czasu, wszystkie najróżnorodniejsze objawy, które określały charakter specyalny jego istoty w zetknięciu z innemi istotami; wszystkie formy stałe lub zmienne, które odróżniały jego osobistość od innych osobistości i czyniły z niego odmiennego zupełnie człowieka wśród ludzkiego tłumu; słowem to, co wyodrębniało jego własne życie wśród życia innych; wszystko to wydaje mi się obecnie zebranem, skupionem, zawartem w jedynym związku idealnym, który go łączy ze mną. Dziś istnieje on tylko dla mnie, oswobodzony od wszelkiego innego zetknięcia, objawiający się mnie samemu jedynie. Istnieje czystszy i potężniejszy niż kiedykolwiek".

Postąpił zwolna kilka kroków. W ciszy drgały drobne tajemnicze jakieś szmery, ledwie dosłyszalne dla ucha. Świeże powietrze, gorąco dnia, kurczyło włókna mebli, drętwiejących w spokoju i przywykłych do ciemności zamkniętych okien Powiew niebieski przenikał pory drzewa, poruszał ziarnka pyłu, wzdymał fałdy obić. W pasie słonecznym wirowały miryady atomów. Woń zatęchłych książek pokonywał zwolna zapach kwiatów.

Rozstawione dokoła przedmioty poddawały pozostałemu przy życiu cały tłum wspomnień. Ze wszystkich tych rzeczy wydzierał się, rzekłbyś, chór

jakiś cichy, szemrzący, który go otaczał swym szeptem. Zewsząd podnosił się powiew przeszłości. Powiedziałbyś, że przedmioty wydzielały z siebie wyziew substancyi duchowej, którą nasiąkły.

„Czy to obłęd“? — zadawał sobie pytanie na widok obrazów, przeciągających przed jego wyobraźnią z cudowną niemal szybkością, jasnych jak wizye, nie zaćmionych ani jednym grobowym cieniem, ale żyjących wyższem jakiemś, górniejszem życiem. I stał zaniepokojony, pod urokiem tajemniczości, przejęty trwogą okropną w chwili, kiedy zamierzał przekroczyć granice tego nieznanego świata.

Firanki, które wzdymał rytmiczny oddech, falowały w miękich zwojach, odsłaniając w dali krajobraz szlachetny i spokojny. Lekkie szmery buazeryi, tapet i przepierzeń, wciąż trwały jeszcze. W trzecim pokoju, surowym i skromnym, wspomnienia nabierały muzykalnej harmonii, wybiegały, zda się, z oniemiałych instrumentów. Na długim palisandrowym fortepianie, którego powierzchnia błyszcząca, odbijała jak zwierciadło każdy przedmiot, spoczywały w swym futerale skrzypce. Na krześle jakaś karta nut podnosiła się i opadała, chwiana wietrzykiem, niemal w takt z ruchem firanek u okna.

Jerzy zbliżył się. Była to kartka psalmu Mendelssohna: DOMENICA IL POST PASCHA: *Andante quasi allegretto. Surrexit pastor bonus...*

Dalej na stole, leżał stos partycyj na skrzypce i fortepian, wydania lipskie: Beethovena, Bacha, Schuberta, Rodego, Tartiniego, Viottiego. Jerzy otworzył futerał, przypatrywał się wątłemu instrumentowi, drzemającemu na podkładzie z oliwkowego aksamitu z czterema swemi, zdawna nietkniętemi strunami. Przyszła mu ciekawość zbudzenia go. Dotknął wiolinowej struny, która wydała jęk przenikliwy, który wstrząsnął całym futerałem. Były to skrzypce Andrea Guarneriego, z datą 1680 r.

Demetrio, wysoki i smukły, nieco pochylony, z długą bladą szyją, z włosami w tył odrzuconemi, z białym puklem włosów na środku czoła, stanął teraz przed nim. W ręku trzymał skrzypce. Przegarnął jedną ręką włosy od skroni nad uchem właściwym sobie gestem. Nastroił skrzypce, potarł smyczek kalafonią, potem rozpoczął sonatę. Lewa ręka zaciśnięta dumnie, biegła wzdłuż szyi instrumentu; końce chudych jego palców naciskały struny a pod skórą widoczną była gra muskułów, tak, że widok ten sprawiał przykrość; prawa jego ręka przy pociągnięciu smyczka zataczała gest szeroki a pewny. Czasami przyciskał mocniej podbródkiem skrzypce, pochylał głowę, przymykał do połowy powieki, zatapiał się w wewnętrznej rozkoszy; czasami prostował się, podawał pierś naprzód, uśmiechał przelotnym uśmiechem; a czoło jego miało czystość linij niezwykłą.

Takim właśnie ukazał się skrzypek marzącemu. I Jerzy przeżył ponownie chwile już przeżytego życia; przeżył je nietylko w pojawiających się obrazach, ale we wrażeniach głębokich i rzeczywistych. Żył znów owemi długiemi godzinami gorącej życzliwości i zapomnienia, kiedy to Demetrio i on, sami tylko, w przyjemnie ciepłym pokoju, do którego nie dochodził żaden hałas z zewnątrz, wykonywali muzykę ulubionych swych mistrzów. Jakże wówczas zapominali o wszystkiem! W jakiż zachwyt dziwny wprawiała ich niebawem ta muzyka, wykonana własnemi rękoma! Często bardzo czar jakiej jednej wyłącznie melodyi więził ich przez całe długie popołudnie, tak, że nie mogli wydrzeć się z tego zaczarowanego koła, w którem byli zamknięci. Ileż to razy powtarzali tęż samą „Pieśń bez słów“ Mendelsohna, która odkryła przed nimi samymi, w głębi ich serc własnych, rodzaj rozpaczy niepocieszonej! Ileż razy powtarzali razem sonatę Beethovena, która zdawała się ich więzić, pociągać z zawrotną szybkością w nieskończoność przestrzeni, by ją zawieszać w przelocie nad wszystkiemi przepaściami!

Pozostały przy życiu, powracał pamięcią do jesieni 188... do tej niezapomnianej jesieni, pełnej smętku i poezyi, kiedy to Demetrio zaledwie przychodził do zdrowia. Miała to być ostatnia jesień! Po długim okresie przymusowego milczenia, Demetrio brał do ręki skrzypce z dziwnym

niepokojem, jak gdyby obawiał się, że utracił wszelką biegłość, całe dawne mistrzowstwo, że już nie umie grać. Oh! to drżenie palców, osłabionych na strunach i ta niepewność smyczka, kiedy chciał spróbować pierwszych nut! i te dwie łzy, co ściekły zwolna po policzkach i zatrzymały się w zaroście brody nieco długiej, źle utrzymanej jeszcze!

Pozostały przy życiu, ujrzał skrzypka improwizującego jakąś fantazyę, kiedy tymczasem on sam towarzyszył mu na fortepianie z trwogą nieopisaną, bacznie dążąc za grą jego, z wytężoną uwagą, by odgadnąć jego intencyę, wciąż lękając się, by nie utracić rytmu, by się nie pomylić w tonie, by nie wziąć fałszywego akordu, by nie opuścić jakiej nuty.

W improwizacyach swych, Demetrio Aurispa szukał niemal zawsze natchnienia w jakiejś poezyi. Jerzy przypominał sobie tę zdumiewającą improwizacyę, którą pewnego dnia październikowego utkał skrzypek na tle lirycznego poematu Alfreda Tennysona w „Księżniczce“. Jerzy sam przetłomaczył mu wiersze, aby je mógł zrozumieć Demetrio i zaproponował mu je na temat. Gdzież to była ta kartka?

Ciekawość smutnego wrażenia znagliła Jerzego do poszukania jej w albumie, leżącym między partycyami. Pewny był, że ją tam znajdzie; przypominał ją sobie dokładnie. W samej też rzeczy odnalazł ją.

Była to jedna jedyna kartka, zapisana fiołkowym atramentem. Litery pobladły a papier był zmięty, żółtawy, bez sztywności, mięki jak pajęczyna. Miała ona w sobie smutek kartek, kreślonych niegdyś przez ukochaną rękę, która znikła już na zawsze.

Jerzy, nie poznający omal już własnego pisma, pytał sam siebie: „Więc to ja kreśliłem tę kartkę! To ma być pismo mojej ręki!" Było to pismo cokolwiek nieśmiałe, nierówne, niemal kobiece, które przypominało jeszcze szkołę, które zachowało jeszcze zagadkowość świeżo minionego chłopięctwa, wdzięk niezdecydowanej duszy, która nie śmie jeszcze wiedzieć wszystkiego. „Jakaż odmiana i w tem także!" I odczytał wiersze poety, odarte ze swej melodyi rodzinnej:

„Te łzy, te łzy próżne, nie wiem co one znaczą—te łzy, które z głębi boskiej rozpaczy—tryskają z serca i nagromadzają się w oczach—na widok szczęśliwych wiosek jesiennych—na myśl dni, co już minęły.

„Radosne, jak pierwszy promień płomienisty na żaglu—który nam powraca naszych przyjaciół z zamorskich krajów;—smutne, jak ostatni błysk słońca rumieniący żagiel—który nam zabiera wszystko, co kochamy;—tak smutne i tak radosne są dni ubiegłe!

„Oh! smutne, dziwne, jak w mrocznym zmierzchu—świergot ptasząt budzących się jest smutnym dla ucha umierającego—jak

smutną jest chwila, kiedy w oczach konających okno, zwolna, staje się coraz bledszym kwadratem;—tak smutnemi, tak dziwnie smutnemi są dni odbiegłe.

„Drogiemi jak pocałunki przyzywane po śmierci—słodkiemi jak te, które beznadziejna wyobraźnia—marzy, że weźmie z ust, co należą do innych; głębokiemi jak miłość—jak pierwsza miłość a dzikiemi żalem—o! śmiercią w życiu są dni odbiegłe!“

Demetrio improwizował stojąc, obok fortepianu, nieco bledszy niż zwykle, nieco więcej pochylony; ale od czasu do czasu prostował się pod powiewem natchnienia, jak zgięta trzcina prostuje się pod wiatru powiewem. Oczy utkwione miał w okno, gdzie w ramach ukazywał się krajobraz jesienny, czerwonawy i mglisty. Wedle zmienności nieba, światło chwilami zalewało jego osobę, świeciło w wilgotnych oczach, złociło czoło niezwykle czyste. A skrzypce mówiły: „Smutne jak ostatni blask słońca, rumieniący żagiel, który nam zabiera wszystko, co kochamy; tak smutnemi są dni, co odbiegły!“ I skrzypce powtarzały z płaczem: „O! śmiercią w życiu są dni, co odbiegły!“

To wspomnienie, ta wizya najwyższem udręczeniem przejęły Jerzego. Skoro obrazy te znikły, cisza wydała mu się jeszcze pustszą. Wątły instrument na którym dusza Demetria wyśpiewała najwznioślejsze swe hymny, zasnął napowrót na

aksamicie pudła; zamilkły nietknięte cztery jego struny.

Jerzy spuścił wieko, jak nad trupem. Dokoła niego cisza stała się ponurą, grobową. On jednak zachował w głębi serca, niby zwrotkę pieśni, przedłużoną w nieskończoność, to westchnienie: O śmiercią w życiu są dni, co odbiegły!

Pozostał przez kilka chwil pod drzwiami, po za któremi był pokój tragiczny. Czuł, że odtąd nie jest już panem siebie samego. Nerwy owładnęły nim, narzucały mu swój rozstrój i zbytek swych wrażeń. W około głowy czuł obręcz, która zaciskała się i rozluźniała według tętna jego arteryi, niby jakaś materya elastyczna a zimna! Toż samo zimno przebiegało mu po kręgu pacierzowym.

Z nagłą energią, z pewnego rodzaju uniesieniem nacisnął klamkę i wszedł. Nie patrząc dokoła siebie, idąc wprost tylko w promieniu światła, co padał z drzwi otwartych i słał się po podłodze, dążył do balkonu i rozwarł obie drzwi jego połowy. Po tej spiesznej czynności, dokonanej pod wpływem pewnego rodzaju zgrozy, odwrócił się wzburzony, dyszący. I spostrzegł, że każdy włos na głowie, u swej osady stał się wrażliwym.

Przedewszystkiem dojrzał najprzód łóżko stojące naprzeciw niego, z kołdrą zieloną, z orzechowego drzewa, prostej formy, bez rzeźb, bez firanek. Przez kilka minut nie widział nic prócz

tego łóżka, jak w ów dzień straszliwy, w którym przestąpiwszy próg tego pokoju, stanął jak wryty, skamieniały z bólu wobec trupa.

Wywołany w pamięci żywego, trup z głową owiniętą czarnym krepowym welonem, z rękoma złożonemi wzdłuż ciała, zajął swe miejsce na śmiertelnem posłaniu. Jaskrawe światło, co się wdzierało przez otwarte drzwi balkonu, nie miało snać dość siły, by rozproszyć widmo. Była to formalna wizya, nie ciągła wprawdzie ale bezprzestannie wracająca, ukazująca się na mgnienie oka, jakby za każdem podniesieniem powiek, jakkolwiek powieki widza zostawały nieruchome.

W ciszy pokoju i w ciszy własnego ducha, Jerzy posłyszał jaknajwyraźniej zgrzyt toczącego drzewo czerwia i drobny ten fakt posłużył do rozproszenia w nim na chwilę niezmiernego nerwowego naprężenia, jak ukłucie igły wystarcza do wypróżnienia nadętego powietrzem pęcherza.

Wszystkie szczegóły dnia straszliwego powróciły mu do pamięci; wieść niespodziana, którą około trzeciej popołudniu przyniósł do Sarsa posłaniec zdyszany, jąkający się hałaśliwie; odbyta piorunem niemal podróż konno wśród żaru lata, między wzgórzami płonącemi ogniem—a podczas tej drogi nagłe zawroty głowy, prawie omdlenia, pod których wpływem, chwiał się na siodle; potem dom, napełniony szlochem i jękami, pełen trzasku drzwi, któremi wstrząsał wicher, pełen szumu szalejącej krwi w jego żyłach; a nakoniec

stanęło mu w pamięci jak sam wpadł nagle do tego pokoju, widok trupa, wzdęte i łopoczące u okien firanki, łoskot kropielnicy zawieszonej na ścianie...

Fakt miał miejsce rano 4-go sierpnia, nie poprzedzony żadną okolicznością, budzącą podejrzenie. Samobójca nie pozostawił żadnego zgoła listu, nawet do ukochanego siostrzeńca. Testament, którym naznaczał Jerzego ogólnym swym spadkobiercą, był daleko wcześniej już sporządzonym. Demetrio widocznie przedsięwziął środki ostrożności, by ukryć przyczyny swego postanowienia a nawet odjąć wszelką sposobność do przypuszczeń; starannie zatarł, aż do najdrobniejszego, ślady czynów, które poprzedziły krok ostatni. W mieszkaniu znaleziono wszystko w porządku, w porządku niemal zbytecznym: ani jednego kawałka papieru, pozostawionego na biurku, ani jednej książki, wyjętej z szaf bibliotecznych. Na stoliku obok łóżka tylko otwarta szkatułka od pistoletów; nic więcej.

Po raz tysiączny toż samo pytanie przedstawiło się umysłowi żyjącego: „Dlaczego on się zabił? Czy miał jakąś tajemnicę, która toczyła mu serce? Czy też może tylko sama przenikliwość okrutna jego umysłu, czyniła mu nieznośnem życie? Nosił sam w sobie swe przeznaczenie, los swój, jak ja w sobie mój noszę“.

Popatrzał na małą srebrną kropielnicę, zawieszoną dotąd w głowach łóżka na ścianie, pobo-

żną pamiątkę po matce. Było to wytwornie emaliowane dzieło starego mistrza jubilera z Guardiagrele, Andrzeja Galluci: rodzaj dziedzicznego klejnotu. „On tak lubił religijne emblemata, muzykę kościelną, zapach kadzideł, krucyfiksy, hymny katolickiego kościoła. Był to mistyk, asceta, skłonny do namiętnej kontemplacyi wewnętrznego życia; ale nie wierzył w Boga“.

Popatrzył na szkatułkę od pistoletów; i w głębi jego mózgu, jasno wystąpiła myśl, niby światło błyskawicy: „I ja zabiję się jednym z tych pistoletów, *tymże samym, na temże samem łóżku*“. Po krótkiej chwili ukojenia, egzaltacya brała znów górę; korzenie włosów stawały się znów wrażliwemi. Ponownie doznał najrealniejszego wrażenia dreszczu, co go przejął w ów dzień tragiczny, kiedy chciał unieść własnemi rękoma czarny welon, pokrywający twarz zmarłego i kiedy po przez bieliznę zdało mu się że widzi ranę, okropną ranę, zadaną przez wybuch broni, kulą, która rozsadziła kość czaszki na tem czole, tak delikatnem i czystem. W rzeczywistości widział zaledwie część nosa, usta i brodę. Reszta ukryta była pod bandażami kilkakrotnie okręcającemi górną część głowy, dlatego może, że oczy wyszły z orbitów. Ale usta niezmienione, nietknięte, które odsłaniał rzadki i delikatny zarost brody, te usta blade i zwiędłe, które za życia otwierały się z taką słodyczą nieoczekiwanym uśmiechem, tym ustom teraz pieczęć śmierci nadała wyraz

takiego spokoju niezmiernego, nadludzkiego tem więcej odbijający jeszcze od okrwawionego czoła, które pokrywały bandaże.

Ten obraz, utrwalony w pamięci, na zawsze pozostał w duszy spadkobiercy, stanowił centrum tej duszy; i po latach pięciu miał on jeszcze tęż samą wyrazistość, podtrzymywany fatalną jakąś potęgą.

Myśląc, że i on także położy się na tem łóżku, że się zabije tąż samą bronią, Jerzy nie doznawał już tego wzruszenia gwałtownego i przejmującego, jakie sprawiają nagłe postanowienia; było to raczej uczucie nieokreślone, jak gdyby chodziło o zamysł, zdawna powzięty, dopuszczony w sposób niejasny jeszcze zupełnie, na który dziś dopiero przyszła godzina wykonania. Otworzył szkatułkę, przyjrzał się pistoletom.

Była to broń wytworna, wykończona starannie, gwintowana, pistolety pojedynkowe starej fabryki angielskiej, z rękojeścią doskonale przystosowaną do ręki. Spoczywały na podścielisku jasno-zielonej materyi, cokolwiek wytartej po brzegach oddziałów, które zawierały wszystko, co było potrzebnem do nabicia. Ponieważ lufy były grube, kule były też wielkiego kalibru, z rodzaju tych, które gdy dosięgają celu, sprawiają skutek stanowczy.

Jerzy wziął jedną z nich do ręki, położył sobie na dłoni. „Zanim pięć minut upłynie, mogę nie żyć, Demetrio pozostawił jeszcze na tem łóż-

ku wgłębienie, w które ja się położę". I w wyobraźni zobaczył siebie samego, rozciągniętego na tem posłaniu. Ale ten czerw, ten czerw! Tak dokładnie słyszał, tak przerażająco szelest toczonego drzewa, jak gdyby owad znajdował się gdzieś w jego mózgu. Ten zgrzyt nieubłagany dobiegał od strony łóżka, spostrzegał to wyraźnie. Wówczas zrozumiał cały smutek, jaki przejmować musi człowieka, który zanim wyzionie ducha, słyszeć musi po za sobą ten zgrzyt czerwia. Wyobrażając sobie siebie samego w chwili pociągnięcia za cyngiel, poczuł we wszystkich nerwach kurcz przestrachu i wstrętu. Stwierdzając, że nic go nie zmusza do odebrania sobie życia i że może poczekać jeszcze, doznał dziwnej ulgi w głębi duszy. Tysiące niewidzalnych nici wiązało go wszakże do życia jeszcze. „Hipolita!"

Skierował się w stronę balkonu, ku światłu, z jakąś gwałtownością. Odległy krajobraz szeroki, błękitnawy i tajemniczy, stapiał się w półświetle zapadającego dnia. Słońce zniżało się zwolna po za górą, którą oblewało potokami złota, niby ku spoczywającej kochance, co nań oczekiwała. Majella olbrzymia i blada, skąpana w tem roztopionem złocie, rysowała się okrągłością swych konturów na tle nieba.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Pustelnia.

I.

W liście swym z 10-go maja, Hipolita pisała: „Rozporządzam nakoniec godziną swobodną, by napisać do ciebie list dłuższy. Od dziesięciu dni już szwagier mój włóczy swą boleść od hotelu do hotelu, dokoła jeziora; a my mu towarzyszymy obie, jak dusze pokutujące. Niepodobieństwem byłoby wyobrazić sobie, jak smutną jest ta pielgrzymka. Mnie już sił zbrakło; czekam na pierwszą sposobność dogodną, aby ich pożegnać. Czy odkryłeś już ową pustelnię?“ A dalej pisała: „Twoje listy wzmagają tylko niewypowiedzianie moje męczarnie. Twoja choroba dobrze mi jest znaną; i odgaduję, że brak ci słów na wypowiedzenie dręczącego cię cierpienia. Dałabym połowę krwi mojej, gdyby za tę cenę udało mi się przekonać cię bodaj raz, że jestem twoją, najzupełniej twoją, na zawsze i do śmierci. Myślę o tobie, o tobie jedynie, bezprzestannie, w każdej

chwili mego życia. Zdala od ciebie, niemożliwością jest dla mnie zaznać bodaj chwilę spokoju lub zadowolenia. Wszystko wzbudza we mnie obrzydzenie, wszystko mnie gniewa... O! kiedyż danem mi będzie znaleźć się z tobą na dni całe, żyć znowu twojem życiem! Zobaczysz, że nie będę już tąż samą kobietą. Będę dobrą, czułą, słodką. Starać się będę okazać zawsze jednostajną, zawsze delikatną. Zwierzać ci będą wszystkie me myśli a ty przedemną odkryjesz twoje. Będę dla ciebie kochanką, przyjaciółką, siostrą; a jeśli uznasz mnie godną tego, będę i twoją doradczynią. Mam ja jasny sąd o sprawach i po setne razy doświadczyłam tej jasności mego sądu, który mnie nigdy w błąd nie wprowadził. Jedyną moją troską będzie podobać się tobie, nie być ci nigdy ciężarem w życiu. We mnie tyś znaleźć powinien jedynie słodycz i odpoczynienie... Niemało mam wad mój drogi, ale ty mi dopomożesz do pokonania ich. Uczynisz mnie *doskonałą*, dla ciebie. Oczekuję od ciebie zachęty. Później, skoro już będę pewną siebie samej, powiem ci: Teraz jestem już godną ciebie; teraz mam świadomość zupełną, że jestem taką, jaką ty mnie mieć chciałeś. A i ty także z dumą myśleć będziesz, żem winna ci wszystko, że we wszystkiem jestem twoim tworem; świadomość zaś ta sprawi, że będę ściślej złączona z tobą i kochać mnie będziesz coraz, coraz więcej. Będzie to życie miłości, jakiego nie widziano jeszcze..."

W post-scriptum zaś: „Posyłam ci kwiatek rododendronu, zerwany w parku na Isola Madre... Wczoraj, w kieszeni tego popielatego ubrania, które znasz dobrze, znalazłam rachunek hotelu Europejskiego, rachunek z Albano, o który cię prosiłam na pamiątkę. Nosi on datę 9-go kwietnia. Zanotowano w nim kilka *koszy drzewa*. Czy ty pamiętasz te wielkie ognie na kominku, co oświecały naszą miłość?... Odwagi, odwagi! Nowe gody naszej miłości są już blizkie. Za tydzień, za dziesięć dni najdalej, będę już tam, gdzie ci się podobać będzie. Byle z tobą, mniejsza o to gdzie!“

II.

I Jerzy, który w głębi duszy nie wierzył zgoła w powodzenie, ale którego szalona żądza ogarnęła znów nagle, spróbował ostatniej tej próby,

Wyjechał z Guardiagrele na wybrzeże nadmorskie, celem wyszukania pustelni. Wieś, morze, ruch, działalność fizyczna, rozmaitość wydarzeń w ciągu tej wyprawy, szczególniejszy stan jego umysłu w danej chwili, wszystkie te nowe wrażenia wstrząsnęły nim, przywróciły poniekąd równowagę i natchnęły złudną ufnością. Zdawało mu się, że uniknął cudem napadu śmiertelnej choroby, w której zajrzałby śmierci w oczy. Przez pierwsze dni, życie miało dlań ten urok dziwny i głęboki, który miewa tylko dla rekonwalescentów. Marzenie romantyczne Hipolity owiało i jego serce.

„A jeśli też uda się jej wyleczyć mnie! Na to by wyzdrowieć, potrzebaby mi było miłości *zdrowej i silnej*". Unikał zajrzenia wgłąb siebie samego, usuwał z pod wpływu wewnętrznego sarkazmu, który w nim wywoływały te dwie nazwy: „Na ziemi jedno jest tylko szczęście trwałe:

bezpieczeństwo w posiadaniu innej istoty, bezpieczeństwo absolutne i niewzruszone. Tego szczęścia ja poszukuję. Pragnę módz powiedzieć sobie: Moja ukochana czy to obecną jest, czy nieobecną, żyje cała mną i we mnie; poddaje się z radością każdemu memu zachceniu; wola moja jest jedynem jej prawem, gdybym ją przestał kochać, umarłaby; umierając nie będzie żałowała niczego, prócz mojej miłości. Zamiast zrezygnować się na kosztowanie miłości w formie cierpienia, upierał się szukać jej w formie rozkoszy. Raz więcej jeszcze łamał i przekształcał w sobie ludzką naturę.

Odkrył poszukiwaną samotnię w San Vito, w kraju jałowców, nad brzegami Adryatyku. A była to prawdziwie idealna pustelnia: dom, zbudowany na pochyłości wybrzeża, pośród gaiku drzew pomarańczowych i oliwnych, na wprost zatoki zamkniętej dwoma wzgórzami.

Wielce prymitywną była architektura tego domku. Schody zewnętrzne prowadziły do loggii, na którą wychodziło czworo drzwi, wiodących do czterech pokoi. Każdy pokój miał naprzeciw drzwi innego w przeciwległej ścianie, okno wyglądające na gaik oliwny. Logii górnej odpowiadała loggia dolna; ale pokoje parteru, z wyjątkiem jednego, były niezamieszkałe.

Z jednej strony dom przytykał do rudery, którą zamieszkiwali wieśniacy, właściciele całej posiadłości. Dwa dęby olbrzymie, które pochylił

wiekuisty powiew mistrala, zgięte po nad wzgórzem, ocieniały dziedziniec i okrywały kamienne stoły, dogodne do spożywania na nich obiadu w letnią pogodę. Dziedziniec ten był otoczony balustradą kamienną, po nad którą zwieszały się gałęzie akacyi, obciążone wonnemi gronami kwiecia, rysując na tle morza delikatne, pełne elegancyi kontury swych liści.

Domek ten wyłącznie przeznaczony był na wynajmowanie go cudzoziemcom, którzy tu zamieszkiwali zawsze w porze kąpielowej, zwyczajem, uprawianym zwykle przez wieśniaków z okolic San-Vito. Dokoła oprócz zamku odległego o dwie mile, była tu niemal zupełna samotnia. Każde z dwu wzgórzy przebite było tunelem, których rozwarte czeluście widać było z okien domku. Droga żelazna biegła od jednego do drugiego w linii prostej, wzdłuż wybrzeża, na przestrzeni pięciu czy sześciuset metrów. Na najdalej wysuniętym krańcu prawego przedgórza, na ławicy widniał *Trabocco*, szczególniejsza maszyna rybołówcza, zbudowana cała z belek i desek, podobna do olbrzymiego potwornego pająka.

Lokator po sezonie letnim, musiał oczywiście być tu przyjmowanym jak nadspodziewane i nadzwyczajne jakieś szczęście.

Głowa rodziny, starzec, rzekł:

— Dom jest już twoim.

Nie chciał wymienić ceny, za jaką go oddaje a odpowiedział tylko:

— Dasz ile zechcesz i kiedy ci się będzie podobało, skoro będziesz zadowolony.

Wymawiając serdeczne te zapewnienia, przypatrywał się równocześnie lokatorowi tak badawczem okiem, że tenże doznał pewnego zakłopotania i zdziwiony był tem zbyt przenikliwem spojrzeniem. Stary był jednookim, czaszkę miał całkiem niemał wyłysiałą z dwoma kępkami rzadkiemi włosów siwych na skroniach, z brodą wygoloną, ciało zaś miał naprzód całe podane na podstawie nóg krzywych. Członki powykręcane, niekształtne od ciężkiej pracy, od pracy przy pługu, od której występuje wypukłość prawego ramienia i zaklęsa klatka piersiowa; od pracy u kosy, która znagla do rozsuwania kolan; od pracy pielenia, która zgina postać we dwoje; od wszystkich tych prac cierpliwych a powolnych rolnictwa.

— Dasz co zechcesz.

Zwęszył już w tym ujmującym młodzieńcu, z miną nieco roztargnioną, wspaniałomyślnego wielkiego pana, niedoświadczonego, nie troszczącego się o pieniądz. Wiedział dobrze, że wspaniałomyślność gościa przyniesie mu znacznie większą korzyść, niż własne, wyraźnie postawione żądanie.

Jerzy pytał:

— Czy to miejscowość spokojna, gdzie nikt nie przychodzi i nie ma hałasów?

Starzec ukazał morze i uśmiechnął się:

— Patrzaj; nic nad nie słyszeć nie będziesz.

I dodał:

— A czasami jeszcze i łoskot warsztatu. Ale teraz Kandya nie zajmuje się już tkactwem.

I uśmiechnął się, ukazując na progu zarumienioną synowę.

Była ona ciężarną, mocno już zgrubiałą w stanie, blondynką o jasnej karnacyi i twarzy, pokrytej piegami. Oczy miała szare, szerokie, z pożyłkowaną tęczówką jak agaty. W uszach miała ciężkie koła złote a na piersi *presentose* wielką gwiazdę filigranową z dwoma sercami w pośrodku. Na progu, u jej boku, stała dziesięcioletnia dziewczynka, również jasnowłosa, z wyrazem łagodności na twarzy.

— Tego dzieciaka—mówił stary—choć przyłóż do rany, takie to dobre i ciche. Prócz nas i Albadory nie ma tu już nikogo!

Obrócił się w stronę gaiku i począł wołać:

— Albadora! Albado!

Potem zwracając się do dziewczynki:

— Helenko, idźże ją zawołać.

Helenka zniknęła.

— Dwadzieścia dwoje dzieci!—zawołał stary.— Albadora obdarzyła mnie dwudziestu dwojgiem. sześciu chłopcami i szesnastu córkami. Straciłem trzech chłopców i siedem córek. Dziewięć pozostałych wyszły za mąż. Jeden z moich chłopców wyemigrował do Ameryki; drugi osiadł w Tocco i pracuje w kopalniach nafty; najmłodszy, ten

który ożenił się z Kandyą, ma miejsce przy kolei i przyjeżdża tylko co dwa tygodnie. My pozostaliśmy sami. Ach, panie, słusznie mówią, że jeden ojciec utrzymać może choćby i sto dzieci a sto dzieci nie utrzyma jednego ojca.

Siedmdziesięcioletnia Cybela, ukazała się, niosąc w fartuchu kupę ślimaków ziemnych, masę rozmazaną i lepką, z pośród której sterczały długie macki. Była to kobieta wysokiego wzrostu, ale przygarbiona, wychudła, złamana znać zmęczeniem i przebytemi połogami, wyczerpana słabościami, z małą głową pomarszczoną jak uwiędłe jabłko, osadzoną na szyi pooranej, obwisłej. W fartuchu ślimaki zlepiały się, skręcały, mrowiły jeden na drugim, zielonkowate, żółtawe, białawe, okryte pianą, połyskujące blademi tęczowemi odblaskami. Jeden z nich wypełzł jej aż na wierzch ręki.

Stary oznajmił:

— Ten pan chce od nas odnająć dom, od dziś zaraz.

— Niech cię Bóg błogosławi!—zawołała.

I z miną nieco głupawą ale i dobroduszną, zbliżyła się do Jerzego, przypatrując mu się przymrużonemi oczyma, osadzonemi gdzieś głęboko, zagasłemi niemal.

Potem dodała.

— Pan Jezus chyba wraca na ziemię. Niech cię Bóg błogosławi! Obyś żył póki tylko stanie na ziemi chleba i wina! Obyś stał się wielkim jak słońce!

I wyszła żywym krokiem przez te drzwi, któremi poniesiono do chrztu dwadzieścioro dwoje jej dzieci.

Stary ozwał się do Jerzego:

— Nazywam się Cola z Cinzio; ale ponieważ ojcu nadano przydomek Sciampagne, wszyscy nazywają mnie Cola Sciampagne. Chodź obejrzeć ogród.

Jerzy poszedł za wieśniakiem.

— Urodzaj będziemy mieć, jak się zdaje, tego roku.

Stary, idąc przodem, chwalił uprawę i przez nawyknienie rolnika, zestarzałego wśród roli i jej owoców, wyprowadzał prognostyki. Ogród był bujny i zdał się zawierać wszystkie dary obfitości. Pomarańczowe drzewa lały fale woni takie, że powietrze chwilami zdało się mieć jakiś smak słodki i silny jak szlachetne wino. Inne drzewa owocowe nie miały już kwiecia, ale nieprzeliczone ich owoce zwieszały się na gałązkach, kołysane powiewem niebieskim.

Jerzemu przyszło na myśl: „Może to własnie byłoby wyższem, górniejszem życiem: wolność bezgraniczna; samotność szlachetna i bujna, która owionie mnie najgorętszemi swemi wyziewami; chodzić pośród istot roślinnych, jakby się żyło wśród inteligentnych stworzeń; odgadywać myśl ich utajoną, odgadywać nieme uczucie, co krąży pod ich korą; przystosowywać się kolejno do każ-

dej z tych dusz bezwłasnowolnych, do każdej z tych dusz prostych a silnych; podziwiać naturę z taką ciągłością uwagi, by mi się udało w własnej mej osobie odtworzyć drgania harmonijne całego stworzenia; nakoniec przez moralną metamorfozę idealną identyfikować siebie z silnie zbudowanem drzewem, którego korzenie pochłaniają niewidzialny ferment podziemny, z którego wierzchołek naśladuje swym szumem odgłosy morza. Nie byłożby to rzeczywiście życiem górniejszem?" Na widok bujności wiośnianej, która przetwarzała okoliczne miejsca, dozwolił, by zawładnęło nim jakieś dziwne upojenie. Okropne wszakże nawyknienie do kontradykcyi przecięło nagle to uniesienie, zwróciło go ku dawnym myślom, przeciwstawiło rzeczywistość marzeniu. „Nie ma żadnego związku między nami a przyrodą. Mamy tylko pojęcie niedokładne jej zewnętrznych kształtów. Niepodobna jest, aby człowiek wchodził w związek z przedmiotami. Człowiek ma władzę wlewania w rzeczy własnej swej treści, ale nie odbiera w zamian od nich nic nigdy. Morze nie będzie miało dlań nigdy zrozumiałego języka. Ziemia nie odsłoni mu nigdy swych tajemnic. Człowiek może czuć dokładnie całą krew swą, krążącą w fibrach drzewa, ale drzewo nigdy nie użyczy mu żadnej kropli swych soków życiowych".

Stary jednooki wieśniak mówił, ukazując palcem ten lub ów dziw bujnej wegetacyi.

— Stajnia pełna gnoju, sprawia daleko więcej cudów niż kościół, pełen świętych.

Mówił ukazując palcem w końcu ogrodu zagon kwitnącej fasoli:

— Fasola to forpoczta i szpieg całego roku.

Wietrzyk poruszał całym zagonem, zaledwie widocznie. Drobne listki szarawo-zielone poruszały się pod kwieciem białem, ponsowem lub błękitnem. Każdy kwiat zdawał się wpół rozchylonemi usty i miał dwie plamki czarne niby oczy. U tych, które nie były jeszcze całkowicie rozwinięte, górne listki pokrywały nieco plamki jak blade powieki na źrenicach w bok patrzących. Drżenie wszystkich tych kwiatów, opatrzonych w oczy, miało dziwnie zwierzęcy wyraz, pociągający nieopisanie.

Jerzy myślał: „Jakże Hipolita będzie tu szczęśliwą! Ma ona gust rozwinięty dla wszystkich skromnych powabów przyrody. Przypominam sobie jej okrzyki zachwytu i radości, ilekroć odkryła nową jakąś, nieznaną sobie roślinę, kwiat jakiś, listek, jagodę innego kształtu, dziwaczny owad, cień oryginalny, refleks“. Przedstawił ją sobie zwinną i żwawą w pełnych wdzięku pozach pośród zieleni. I nagły niepokój go przejął: niepokój odzyskania jej, posiadania całej zupełnie, niepodzielnie, żądza, by go ukochała niezmiernie, by obdarzała go w każdej sekundzie nową rozkoszą. „Oczy jej pełne zawsze będą mnie. Wszystkie jej zmysły zostaną zamknięte

na wszelkie wrażenia, które nie będą pochodzić odemnie. Mój głos wydawać jej się będzie rozkoszniejszym, niż wszelki dźwięk inny". Nagle potęga miłości wydała mu się nieograniczoną.

Kiedy powrócił, wchodząc napowrót po schodach pustelni, zdawało mu się, że serce mu pęknie pod naciskiem wzrastającej wciąż trwogi. Przybywszy do loggii ogarnął krajobraz wzrokiem upojonym. W głębokiem wzruszeniu czuł, że w tej chwili słońce prawdziwie świeciło w głębi jego serca.

Morze poruszane rytmicznym i bezprzestannym dreszczem, odbijające szczęście rozlane na niebie, zdawało się wzajem słać toż samo szczęście w miryadach niegasnących uśmiechów. Po przez kryształ powietrza, wszystko, co odległe, rysowało się wyraźnie: szczyt Vaste, góra Gargan, wyspy Tremiti, na prawo; przylądek More, Nicchiola, przylądek Ortone—podobne były do płomiennego azyatyckiego miasta na wybrzeżu Palestyny, odcinającego się na lazurze w liniach równoległych, bez minaretów. Ten łańcuch przedgórzy i zatok w półksiężyc zagięty, podsuwał wyobraźni myśl o szeregu ofiarnych czar, każde naczynie bowiem, błyszczało w górze skarbem złotych zbóż. Jałowce rozciągały złoty płaszcz swój na całe wybrzeże. Z każdego krzaka wznosił się w górę obłoczek gęsty wyziewów, niby z kadzielnicy. Powietrze, którem się oddychało, było tak rozkosznem, jak haust nektaru.

III.

Przez pierwsze dni Jerzy zwrócił wszystkie starania ku przyozdobieniu tego domku, który miał zamknąć niezadługo nowe życie, w całym jego wielkim spokoju; i do pomocy w tych przygotowaniach, wziął sobie Colę Sciampagne, który, jak się zdawało, wprawnym był we wszystkie rzemiosła. Na świeżym tynku wypisał ostrzem trzciny tę starą dewizę, którą podyktowało złudzenie: *Parva domus, magna quies.* I dopatrzył się przepowiedni pomyślnej nawet w trzech ziarnkach groszku, zasianych przez wiatr w szczelinie ram okna.

Ale kiedy wszystko było już gotowe i kiedy minął już pierwszy zapał złudny, poczuł w głębi siebie samego niepokój, niezadowolenie i tę nieubłaganą męczarnię, której rzeczywista przyczyna była mu nieznaną; czuł niejasno, że i na ten raz jeszcze los pchnął go na drogę pochyłą i zgubną. Wydało mu się, że z innego domu, z innych ust dobiega doń głos wzywający go i czyniący mu wyrzuty. W duszy jego ożyła rozdzierająca chwila pożegnań, bez łez a przecież tak

okrutnych, kiedy to kłamał przez poczucie wstydu, czytając w zmęczonych oczach zawiedzionej matki to do zbytku smutne pytanie: „*Dla kogo mnie opuszczasz?*“

Czy to nie owo nieme pytanie właśnie, nie pamięć rumieńca tego i tego kłamstwa były powodem jego niepokoju, niezadowolenia z siebie i udręczeń, w chwili, w której wstępował w nowe życie? I co tu zrobić, by zagłuszyć ten głos? Jakiem zgłuszyć go upojeniem?

Nie śmiał szukać odpowiedzi. Mimo niepokoju głębokiego, pragnął wierzyć jeszcze w przyrzeczenia tej, co miała przybyć; spodziewał się, że będzie mógł jeszcze przyznać swemu uczuciu doniosłe, moralne znaczenie. Alboż nie było w nim więcej chęci życia, nadania wszystkim siłom swej natury równomiernego rozwoju, tego pragnienia, by módz czuć całkowicie i harmonijnie? Miłość dokonywała nakoniec cudu; odnajdował nareszcie w niej pełnię swego człowieczeństwa, okaleczałego, skarlałego, przez tyle nędz różnych.

Temi nadziejami i temi nieokreślonemi postanowieniami usiłował zażegnać wyrzuty sumienia; po nad wszystkie inne uczucia jednak, wobec obrazu tej kobiety, występowała zawsze, przed innemi fizyczna żądza. Na przekór wszelkim aspiracyom platonicznym, nie mógł dopatrzyć się w miłości nic więcej nad sprawy czysto zmysłowe, nie mógł wyobrazić sobie przyszłego życia inaczej, tylko jako szereg długi rozkoszy już zazna-

nych. W tej samotności błogiej, w towarzystwie tej kobiety namiętnej, jakież mógł tutaj wieść życie, jeśli nie życie lenistwa i rozkoszy?

I wszystkie minione smutki powróciły do jego umysłu, wraz z wszystkiemi bolesnemi obrazami: twarz zmieniona matki, jej oczy zapuchłe, zaczerwienione, wypalone łzami; uśmiech łagodny i rozdzierający Krystyny; wielka głowa słabowitego dziecka, wiecznie pochylona na pierś, której brakło oddechu; trupia twarz biednej żarłocznej idyotki...

A znużone oczy matki pytały: „*Dla kogo* mnie opuszczasz?“

IV.

Było popołudnie. Jerzy szedł ścieżyną skalista, która w górę, licznemi zakręty, prowadziła na szczyt Vaste, brzegiem morza. Patrzał przed siebie i dokoła z ciekawością czujną, niemal z wysiłkiem uwagi, jak gdyby chciał pochwycić myśl jakąś ciemną, którą wyrażały te proste linie, lub odgadnąć jakąś niepochwytną tajemnicę.

W jednym załomie wzgórza, biegnącego nad morzem, woda strumienia, wypływająca z rodzaju małego akwaduktu, utworzonego z pni wyżłobionych, podtrzymywanych ściętemi drzewami, przerzynała dolinę od jednego do drugiego brzegu. Tu i owdzie rowki przechodziły aż do ziemi urodzajnej a nad niemi kępki blado lila kwiatów chwiały się w wietrzyku z wdziękiem powiewnym. Wszystkie te proste widoczki, zdało się, że odychają życiem utajonem a głębokiem.

I cały zbytek wody ściekał i staczał się po pochyłości ku piaszczystemu nadbrzeżu, łącząc się pod małym mostkiem. W cieniu jego arkady, kilka kobiet prało bieliznę a ruchy ich odbijały się w wodzie niby w ruchomem zwierciadle. Na pła-

szczyźnie rozciągnięta bielizna olśniewała białością. Jakiś człowiek szedł kolejowym plantem, boso, niosąc na ramieniu przewieszone na kiju obuwie. Przed domkiem kolejowego dróżnika, stała kobieta, szybkim ruchem wysypując jakieś resztki z koszyka. Dwie dziewczynki, obciążone bielizną, biegły na wyścigi z śmiechem. Stara kobieta rozwieszała na żerdzi motki przędzy ufarbowanej na niebiesko.

Dalej, na spadzistości, biegnącej brzegiem ścieżyny, drobne muszle tworzyły białe plamy, wątłe roślinki drżały w wietrze. Znać było jeszcze ślady łopaty, która poczęła kopać grunt płowy. Z wysokości, w miejscu, gdzie ziemia obsunęła się widocznie, zwieszał się zwój korzeni uschłych, tak lekkich jak szkielet węża.

W oddali widać było folwarki, z dworkiem, gdzie na szczycie dachu widniały ozdoby fajansowe. Schody zewnętrzne prowadziły do krytej galeryi. W górze schodów, dwie kobiety przędły a w słońcu kądziel ich miała złotawe odblaski. Słychać było szczęk tkackiego warsztatu. Przez okno widoczną była postać tkaczki i ruch jej rytmiczny, kiedy rzucała czółenka. Na sąsiadującym boisku, leżał wół siwy, olbrzymiej postaci, który wstrząsał uszami i ogonem, spokojnie, bez ustanku, oganiając się od much. Dokoła niego grzebały kury.

Nieco dalej inny strumyk przerzynał ścieżkę: wesoły, uśmiechnięty zda się, pomarszczony falami, swywolny i przezroczy.

A jeszcze dalej, przed innym znów domkiem, widać było ogród, pogrążony w milczeniu, pełen gęstwy laurów, ogrodzony ze wszech stron. Gałązki cienkie i proste wznosiły się w górę nieruchome z koroną błyszczącego liścia. Jeden z tych laurów, najrozłożystszy, o pniu najgrubszym, opłotły zakochane powoje, odniosłszy tryumf nad ponurym kolorytem drzewa, delkatnością kwiatów śnieżystych, świeżością weselnej swej woni. Pod nim ziemia, zdało się, świeżo była wzruszoną. W jednym rogu ustawiony krzyż czarny piętnował szczelnie zamknięty, milczący przybytek owym rodzajem pełnego rezygnacyi smutku, co panuje na cmentarzach. W końcu ścieżki widać było schody, w połowie oblane słońcem, do połowy tonące w cieniu, po których dochodziło się do drzwi uchylonych, przysłoniętych dwoma ubłogosławionemi gałązkami z oliwnego drzewa, zawieszonemi nad architrawem. W dole, na ostatnim stopniu schodów, drzemał siedzący starzec, z odkrytą głową, z brodą pochyloną na piersi i rękoma złożonemi na kolanach; słońce za chwilę już miało dosięgnąć czcigodnego jego czoła. Z góry, przez uchylone drzwi, jakby przez życzliwość dla tego snu sędziwego dochodził równy odgłos poruszanej kołyski i rytm jednostajnej, nuconej piosenki.

Wszystkie te proste obrazki, zdało się, że oddychają życiem utajonem a głębokiem.

V.

Hipolita doniosła, że stosownie do swego przyrzeczenia przybędzie do San-Vito we wtorek dwudziestego maja pociągiem bezpośrednim około pierwszej z południa.

Było to za dwa dni. Jerzy napisał do niej:

„Przybywaj, przybywaj! Oczekuję cię i nigdy chyba oczekiwanie nie było szaleńszem. Każda minuta upływająca jest niepowetowanie straconą dla mego szczęścia. Przybywaj. Wszystko jest gotowe. Albo raczej nie; nic nie jest gotowe prócz mego pragnienia. Trzeba, kochana moja, żebyś się uzbroiła w cierpliwość i wyrozumienie niewyczerpane; bo w tej samotności dzikiej i niedostępnej zbywać ci będzie na wszelkich wygodach życia. O, jakże okropnie niedostępnej! Wyobraź sobie, moja droga, że od dworca San-Vito do Pustelni jest przeszło trzy kwadranse drogi; i chcąc przebyć tę przestrzeń, jedynym sposobem jest odbyć ją pieszo po ścieżce wyciętej w granicie, cyplem góry po nad morzem. Nie zapomnij zabrać mocnych bucików i olbrzymiej parasolki. Co do sukien, nie trzeba ich przywozić

wiele: kilka jasnych, wesołych i trwałych ubiorów na nasze spacery poranne, to ci wystarczy. Nie zapomnij kąpielowego kostiumu...

„List obecny jest ostatnim jaki do ciebie piszę. Otrzymasz go na parę godzin zaledwie przed odjazdem. Piszę go w bibliotece, pokoju, w którym leżą stosy książek, których nie będziemy czytać zgoła. Popołudnie jest jasne, białe niemal a morze rozsiewa dokoła nieskończoną jednostajność. O, gdybyś tu była ze mną!... Dzisiejszego wieczora spędzę długą noc w pustelni i spędzę ją sam. Gdybyś widziała to łóżko! Jest to łóżko wieśniacze monumentalny ołtarz hymenu, szerokie jak płaszczyzna, głębokie jak sen sprawiedliwego: *Thalamus talamorum!* Materace zawierają wełnę całej trzody, siennik—cały zbiór liści kukurydzowego pola. Te rzeczy tak czyste, czyliż dziś mogą mieć przeczucie nagości?...

„Żegnaj, żegnaj. Jakże te godziny wloką się bez końca! Nie pojmuję, kto to śmiał twierdzić, że czas ma skrzydła? Niewiem co dałbym za to, żeby usnąć w tem znużeniu denerwującem i nie obudzić się aż we wtorek o świcie. Ale nie będę mógł usnąć. Ja także zabiłem sen, bezustannie jedną mam wizyę, widzę wciąż twoje usta...“

VI.

Od kilku dni rozkoszne wizye prześladowały go bez przerwy. Żądze budziły się w nim z gwałtownością niesłychaną. Dość było ciepłego podmuchu, woni, jakiegokolwiek zetknięcia, nic nieznaczącej drobnostki, aby zmienić całą jego istotę, nabawić osłabienia, rozpalić twarz płomieniem, przyśpieszyć pulsacyę arteryj, wtrącić go w niepokój blizki szału.

W głębi swej natury, nosił on zarody odziedziczone po ojcu. On, istota nawskroś myśląca i uczuciowa, w ciele nosił dziedzictwo tego zezwierzęconego człowieka. Ale w nim instynkt stawał się namiętnością a zmysłowość przybierała niemal chorobliwe formy. Świadomość tego, dręczyła go jak jakaś haniebna choroba; bał się tych gorączek, które chwytały go niespodziewanie i trawiły nędznie a pozostawiały go spodlonym, oschłym, niezdolnym do myślenia. Uniesienia te sprawiały mu przykrość, jakby jakieś poniżenie. Niektóre nagłe napady brutalności, podobne do huraganu, opustoszały mu umysł, zamykały wszystkie źródła wewnętrzne, otwierały

wszystkie bolesne blizny, których długo potem nie mógł zagoić.

O świcie, uroczystego dnia, budząc się po kilku godzinach niespokojnego pół-snu, myślał z dreszczem wszystkich swych nerwów: „Ona przybywa dzisiaj! Dzisiaj, w dzisiejszem świetle, moje oczy ją zobaczą! Ujmę ją w moje ramiona! Wydaje mi się niemal, że po raz pierwszy ją posiądę; doznaję uczucia, jakbym z tego mógł umrzeć“. Wizya wywołana wstrząsnęła nim tak silnie i gwałtownie, że drgnął cały od stóp do głowy, jakby pod wpływem iskry elektrycznej. Był to ten sam straszliwy objaw fizyczny, wobec tyranii którego czuł się zawsze bezsilnym. Wszelka świadomość siebie ustawała pod władzą absolutną żądzy. Raz jeszcze niepowściągliwość dziedziczna wybuchała niepokonanym szałem u tego pełnego delikatności kochanka, który z upodobaniem zwał siostrą swoją ukochaną i który tak łaknął duchowego związku. Podziwiał w myśli wszystkie wdzięki swej kochanki i każdy kontur, oglądany po przez ten płomień krwi przybierał dla niego wspaniałość promienną, fantastyczną, niemal nadludzką. Podziwiał w duchu cały urok swej kochanki; i każda poza nabierała dlań czaru rozkosznego niezmiernej potęgi. W niej wszystko było światłem, wonią, rytmem.

Tę zachwycającą istotę on posiadał, on, on sam jeden wyłącznie... Ale nagle, jak dym wydziela się z nieczystego płomienia, myśl zazdrosna po-

wstała z jego żądzy. Aby rozproszyć niepokój, który w nim wzrastał, wyskoczył z łóżka.

U okna, w zmierzchu porannym, gałązki drzew oliwnych poruszały się zaledwie dostrzegalnem falowaniem, blade, mieniące się szarym i białym kolorem. Po nad głuchą monotonią morza, unosił się w powietrzu świergot wróbli, cichy jeszcze. W oborze jagnię pobekiwało nieśmiało.

Wyszedł na loggię, pokrzepiony wzmacniającą kąpielą i pił chciwie poranne powietrze, pełne wonnych wyziewów, płuca jego rozszerzały się; myśli przybrały bystrzejszy, zwinniejszy charakter, zwrócone wyłącznie do oczekiwanej kobiety; napływem młodości zadrżało mu serce; przed nim jaśniało poczynające się słońce, czyste, proste, bez przysłaniających je obłoków, bez tajemnic. Na morzu osrebrzonem wznosiła się twarz różowa o wyraźnych prawie konturach, odcinających się nieomal jak kontury tarczy metalowej, wyszłej wprost od płatnerza.

Cola Sciampagne, zajęty porządkowaniem dziedzińca, zawołał nań:

— Dziś wielkie święto. Pani przyjeżdża. Zboże kłosi się, nie czekając Wniebowstąpienia.

Jerzy uśmiechnął się na te słowa starca i spytał:

— Czy pomyśleliście już o kobietach do narwania kwiatów jałowcu? Trzeba niemi wysypać całą drogę.

Stary żachnął się niecierpliwie, jakby na znak, że nie potrzebuje przypomnienia.

— Zamówiłem już ich pięć!

I wymienił ich imiona, dodając zawsze miejscowości, w których mieszkały młode dziewczęta.

Te imiona wymawiane przejęły Jerzego nagłą radością. Wydało mu się, że wszystkie duchy wiosenne wstępują w jego serce, że fala świeżej jakiejś poezyi je zalewa. Czyż owe dziewice nie zstępowały, zda się z jakiejś baśni po to, by usłać kwiatami drogę pod stopy rzymianki?

Oddał się całkowicie trwożnej radości oczekiwania. Zeszedł na dół i począł badać gospodarza:

— Gdzież poszły po jałowiec?

— Tam na górę—odpowiedział Cola, ukazując widniejące wzgórze. — Dotrzesz do nich, kierując się ich śpiewem.

W samej rzeczy z pewnemi przerwami słychać było śpiew kobiecy, dochodzący od strony nadbrzeża. Jerzy puścił się po pochyłości na wyszukanie śpiewaczek. Skalista ścieżka wiła się wężowato wśród lasku młodej dębiny. W niektórych miejscach dzieliła się ona na liczne drobne dróżki, których końca nie można było dopatrzeć a wązkie rowki wyżłobień między gęstwiną, poprzerzynane niezliczonemi korzeniami, pełzającemi po ziemi, tworzyły rodzaj labiryntu górzystego, pośród którego świergotały wróble i gwizdały kosy. Jerzy, kierowany podwójnym tropem, śpiewu i zapachu, nie błąkał się. Odnalazł niebawem pole jałowcowe.

Była to płaszczyzna, na której jałowce kwitły tak obficie, że zdala przedstawiała się oczom jakby okryta obszernym płaszczem żółtego kwiecia, szafranowego koloru, pełnego blasków. Pięć dziewcząt rwało ukwiecone gałęzie, napełniając niemi kosze, przy czem śpiewały. Śpiewały donośnie doskonałym akordem tercyi i kwinty. Ilekroć dochodziły do powtarzającej się zwrotki prostowały pierś, podnosiły głowę z ponad krzaków, aby swobodniej wypuścić nutę i wytrzymywały ją długo, spoglądając sobie w oczy, wyciągnąwszy przed siebie pełne kwiatów ręce.

Na widok nieznajomego, przerwały śpiew i pochyliły się nad krzewami. Niezręcznie tłumione śmiechy pobiegły echem po żółtym kobiercu. Jerzy począł wypytywać:

— Któraż tu z was jest Favetta?

Jedna z dziewcząt, brunatna jak oliwka, podniosła się z ziemi, by odpowiedzieć, zdziwiona, niemal wylękła:

— To ja, panie.

— Więc to z ciebie najlepsza śpiewaczka w całem San-Vito?

— Nie, panie. To nieprawda.

— To prawda, to prawda! — krzyczały wszystkie jej towarzyszki. — Każ jej pan zaśpiewać, to się sam przekonasz.

— Nie, proszę pana, ja śpiewać nie umiem.

Broniła się ze śmiechem, zarumieniona cała; a kiedy jej towarzyszki nacierały na nią natar-

czywie, gniotła zaambarasowana fartuszek w ręku. Była to nizka, drobna, ale kształtna dziewczyna, o piersi szerokiej i bujnej, rozwiniętej przez pieśni. Włosy wiły się jej fantastycznie, brwi miała gęste, nosek drobny, głowę nieco hardo wzniesioną.

Po niejakiem wzdraganiu, zgodziła się wreszcie. Towarzyszki, ująwszy się za ręce, otoczyły ją kołem. Od pasa tonęły w powodzi kwiecistej, wśród brzęku pszczół pilnie pracujących.

Favetta rozpoczęła, z początku niepewnym głosem; po chwili wszakże, wraz z każdą nutą głos jej nabierał pewności. Był to głos czysty, dźwięczny, płynący jak potok, krystaliczny jak źródło. Śpiewała pieśń, której końcową zwrotkę powtarzały towarzyszki chórem. Przeciągały one finalną nutę unisonem, ściskając usta, by ton płynął jednolitą tylko śpiewu falą a fala ta chwiała się w świetle z powolnością kadencyi kościelnej.

Favetta śpiewała:

Wszystkie źródła wyschły
Moja miłość kona z pragnienia
Trom lari lira
Niech żyje miłość!
O miłości! mnie pali, pali pragnienie
Gdzież ta woda, którą mi przynosisz?
Trom lari, lira
Niech żyje miłość!

A towarzyszki jej powtarzały:

Niech żyje miłość!

Ten hołd maja składany miłości, płynący z piersi, które jej może nie zaznały nigdy jeszcze, które nigdy być może nie miały poznać całego jej istotnego smutku, brzmiał w uszach Jerzego jak dobra wróżba. Dziewczęta, kwiaty, las, morze, wszystkie te wolne, nieskrępowane i bezświadome istności, które dokoła niego oddychały rozkoszą życia, wszystko to pieściło jego duszę, głuszyło, usypiało w nim zwykłe poczucie samego siebie, dawało mu wrażenie wzrastające, harmonijne i rytmiczne jakiejś nowej zdolności, któraby się w nim obudziła zwolna, w głębi gdzieś treści jego ducha i która pojawiała się w sposób bardzo nieokreślony, niby rodzaj wizyi niejasnej, boskiej jakiejś tajemnicy. Był to czar ulotny, stan ducha tak wyjątkowy i tak niepojęty, że nie mógł nawet pochwycić jego cienia.

Śpiewaczki ukazały mu kosze napełnione: stos kwiatów wilgotnych od rosy. Favetta zaś spytała:

— Czy to wystarczy?

— Nie, nie, to nie wystarczy. Rwijcie dalej Trzeba usłać kwiatami całą drogę od Trabocco aż do domu. Trzeba wysypać schody, loggię...

— A co będzie na Wniebowstąpienie? Więc nie chcesz już zostawić ani jednego kwiatka dla Pana Jezusa?

VII.

Przybyła. Przeszła po kwiatach jak Madonna, od której cudu oczekują; przeszła po kobiercu kwiatów. Przybyła, przybyła nareszcie! Przestąpiła próg nakoniec!

A teraz zmęczona, szczęśliwa, podawała ustom kochanka twarz całą, skąpaną w łzach, bez słowa, z gestem niewypowiedzianego poddania się. Zdrożona, szczęśliwa, płakała i uśmiechała się na przemiany, pod ulewą pocałunków swego ukochanego. Co ją obchodziły wspomnienia tego czasu, w którym *on z nią nie był?* Co obchodziły kłopoty, zmartwienia, niepokoje, walki rozdzierace przeciw nieubłaganej prozie życia? Czemże były wszystkie zniechęcenia i wszystkie zwątpienia, w porównaniu z tą najwyższą słodyczą? Żyła, oddychała w uścisku kochanka; czuła się nieskończenie kochaną. Wszystko inne rozpraszało się gdzieś, niknęło, zapadało w nicość, zdało się nie istnieć nigdy.

— O, Hipolito, Hipolito, duszo mojej duszy! Jakże, ach jakże ja cię pragnąłem! I jesteś wreszcie! I teraz będziesz ze mną przez cały szereg

dni długich, długich, nie będziesz mnie opuszczała ani na chwilę, nieprawdaż? Nim mnie porzucisz, zadasz mi śmierć!...

I całował ją w usta, w policzki, po szyi, oczach, nienasycony, wstrząsany głębokim dreszczem za każdym razem, ilekroć usta jego natrafiły na łzę. Te łzy, ten uśmiech, ten rozpromieniony wyraz szczęścia na twarzy, przygnębionej zmęczeniem, myśl, że ta kobieta nie zawahała się ani na sekundę, by przybyć na jego wezwanie, myśl, że przybyła doń z bardzo daleka i że po wycieńczającej podróży, płakała teraz pod wpływem jego pocałunków, nie mogąc wymówić i słowa, bo miała do zbytku przepełnione serce—wszystko to wysubtelniało jego wrażenia, odejmowała żądzy nieczysty jej charakter, darzyło wzruszeniem nieomal przeczystej miłości, podnosiło duszę nad zwykłe poziomy.

Wyjmując długą szpilkę, co przytwierdzała jej kapelusz i zdejmując z niego woalkę, wymówił:

— Jak ty musisz być zmęczona, biedna moja Hipolito! Takaś blada, taka bardzo blada!

Podniosła woalkę na czoło; miała na sobie jeszcze płaszczyk podróżny i rękawiczki. Zdjął woalkę i kapelusz, dobrze znanym sobie ruchem. Piękna, czarna główka ukazała się z pod niego, oswobodzona, w prostej tej fryzurze, która tworzyła rodzaj hełmu z włosów, ściśle przylegającego do głowy, nie psującego bynajmniej czysto-

ści i elegancyi linij smukłych tylnej jej części a odsłaniającego kark w zupełności.

Miała na sobie krezę z białej koronki i wązką czarną aksamitkę na szyi, która odcinała się z wytworną gwałtownością od bladości skóry. Z po za rozchylonego płaszczyka, widać było suknię z cienkiego sukienka w białe i czarne wązkie paski, zlewające się w jeden ton szary; suknię z Albano, tak pamiętną. Wiała od niej słaba woń fiołków, woń tak mu dobrze znana.

Usta Jerzego stawały się coraz płomienniejsze i jak ona zwykła była mawiać, coraz *żarłoczniejsze.* Przerwał sobie, zdjął z niej płaszczyk; dopomógł zdjąć rękawiczki; ujął obnażone jej dłonie, by je sobie przycisnąć do skroni, w szalonem pragnieniu pieszczoty. I Hipolita, ująwszy tak jego skronie, pociągnęła go ku sobie, ogarnęła długą pieszczotą, obiegła całą twarz ustami, które zesłabłe a gorące, prześlizgiwały się w wielokrotnym pocałunku. Jerzy odnajdował teraz te uwielbione, nieporównane usta, które po tylekroć zdawało mu się, że czuje jak się kładą na jego duszy, darząc rozkoszą, co przechodzi już wrażliwość zmysłów a udziela się jakiemuś nadczułemu żywiołowi wewnętrznej istoty.

— Zabijasz mnie—szepnął, drżąc jak pęk strun napiętych a każdy włos jego, u osady, przejmował chłód przenikliwy, który kolejno przenikał każdy kręg z osobna, dochodząc go aż do szpiku.

I w głębi samego siebie dojrzał nieledwie dostrzegalne drgnienie tej instynktownej trwogi, którą już spostrzegał w innych okolicznościach.

Hipolita odezwała się wreszcie:

— Teraz cię pozostawię—rzekła.—Gdzież jest... mój pokój? Och, Jerzy, jak nam tu będzie dobrze!

Powiodła dokoła wzrokiem, uśmiechniona. Postąpiła kilka kroków ku progowi, pochyliła się, by podnieść garstkę kwiatów jałowcu, wciągnęła woń ich z lubością. Czuła się wciąż jeszcze głęboko wzruszoną i jakby upojoną tym hołdem monarszym, tem świeżem kwieciem, które Jerzy rzucił pod jej stopy. Nie byłże to sen? Byłaż to ona sama rzeczywiście, ona, Hipolita Sanzio, która w tem miejscu nieznanem, wśród magicznego prawdziwie krajobrazu, znalazła się otoczoną i uczczoną całą tą poezyą powitania?

Nagle z nowemi łzami w oczach, zarzuciła Jerzemu obie ręce na szyję i rzekła:

— Jakam ja ci wdzięczna, mój drogi!...

Ta poezya upajała jej serce. Czuła się podniesioną po nad ową skromną istność, przez tę idealną apoteozę, którą ją otaczał kochanek; czuła, że żyje teraz innem życiem, życiem jakiemś wyższem, górniejszem, które chwilami zdało się tak dławić jej duszę, jak wicher szerokich przestrzeni dławi pierś, nawykłą do oddychania zacieśnionem powietrzem.

— Jakam ja dumna z tego, że do ciebie należę. Tyś moją dumą. Jedna jedyna minuta, spędzona obok ciebie, wystarcza, bym się poczuła inną kobietą, absolutnie inną. Wlewasz mi nagle inną krew w żyły, innym darzysz umysłem. Nie jestem już Hipolitą, tą wczorajszą Hipolitą. Nadaj mi nowe imię.

I nadał jej:

— Duszo!

Gwałtownym, duszącym złączyli się uściskiem, jak gdyby pragnęli wyrwać, zda się, z korzeniem pocałunki, które paliły im usta. Nareszcie Hipolita wydarła się i powtórzyła:

— Teraz pozostawię cię już. Gdzież mój pokój? Zobaczmyż raz wreszcie...

Jerzy objął ją wpół ramieniem i poprowadził do sypialnego pokoju. Wydała okrzyk zachwytu zobaczywszy owo *Thalamus thalamorum*, obrzucone draperyą szerokiej kapy z żółtego adamaszku.

— Ależ my się tu zgubimy...

I śmiała się, obchodząc dokoła ten monument.

— Najtrudniejszem będzie tam się dostać.

— Postawisz naprzód nogę na mojem kolanie, wedle starego obyczaju tych stron.

— Co tu świętych!—zawołała, przypatrując się ścianie w głowach łóżka, na której rozwieszono długi szereg pobożnych obrazów.

— Trzeba je będzie przysłonić...

— Tak, masz słuszność...

Obojgu z trudnością przychodziły słowa na usta; obojga głos był zmieniony cokolwiek; oboje drżeli, przejęci nieprzepartą żądzą, niemal omdlewający na samą myśl przyszłych rozkoszy.

Posłyszeli pukanie do drzwi od strony schodów. Jerzy wyszedł do loggii. To Helenka, córka Kandyi, przychodziła zawiadomić ich, że śniadanie było już gotowe.

— Co chcesz zrobić teraz?—spytał Jerzy, zwracając się do Hipolity, niezdecydowany, wzburzony.

— Doprawdy, Jerzy, ja w tej chwili nie mam najmniejszego apetytu. Jedzenie odłożę na wieczór dopiero, jeśli pozwolisz...

Jerzy odparł głosem zdławionym:

— Chodź teraz do twego pokoju. Wszystko tam jest przygotowane do kąpieli. Chodź!

I poprowadził ją do jednego z pokojów, który wybił całkowicie szerokiemi prostemi matami.

— Widzisz, masz tu już twoje kufry i podróżne pudła. Do widzenia. Pośpiesz się. Pamiętaj o tem, że czekam na ciebie. Każda minuta opóźnienia będzie dla mnie jedną więcej torturą. Pamiętaj o tem...

Pozostawił ją samą. Po kilku chwilach, posłyszał plusk wody, ściekającej z olbrzymiej gąbki w wodę wanny. Znał dobrze lodowy chłód tej wody źródlanej i wyobrażał sobie dreszcze, wstrzą-

sające ciałem Hipolity, tem ciałem smukłem i giętkiem, pod ulewą orzeźwiającą kąpieli.

Wtedy w umyśle jego nie pozostało nic już, prócz płomiennych myśli. Dokoła niego wszystko zniknęło. A kiedy plusk skończył się wreszcie, przejęło go tak silne drżenie, że począł szczękać zębami, jak w śmiertelnej febrze. Oczyma, straszliwemi żądzą, patrzał na kobietę, zrzucającą peniuar, oschniętą już, czystą, delikatną jak alabaster o złotawych tonach.

VIII.

Daleko więcej zmęczona jeszcze, niemal omdlewająca, Hipolita zwolna zapadała w sen. Stopniowo na jej ustach znikał, zacierał się uśmiech. Usta zwarły się na sekundę, potem rozchyliły, ukazując w głębi białość kwiatów jaśminu. I znowu zwarły się na sekundę; i znowu powoli, powoli rozchyliły a z głębi wyjrzała białość wilgotna.

Jerzy, wsparty na łokciu, podniósłszy się, patrzał na nią. Wydała mu się tak dziwnie piękną, tak piękną; piękną tąż samą pięknością, która przejawiła się dlań po raz pierwszy w tajemniczej kaplicy, wobec orkiestry filozofa Aleksandra Memmi, wśród woni kadzideł i fijołków. Była blada, tak blada jak w ów dzień właśnie

Była blada, ale tą szczególniejszą bladością, której Jerzy nie napotkał nigdy u żadnej innej kobiety; bladością niemal śmiertelną, bladością głęboką a matową, która, ilekroć padł na nią cień, nabierała nieco sinawego odcienia. Długi cień zarysowywał się na górnej części policzków od rzęs; cień męzki, zaledwie dostrzegalny, przysłaniał górną wargę. Usta, nieco grube, miały

linię wygiętą nader miękką a przecież smutną, która w chwilach zupełnej ciszy nabierała dziwnie wybitnego wyrazu.

Jerzy myślał: „Jak jej piękność uduchawia się w chorobie i osłabieniu! Znużona jak obecnie, podoba mi się daleko więcej. Poznaję w niej tę samą kobietę nieznajomą, która przeszła przedemną w ów wieczór lutowy: kobietę, *która nie miała już ani jednej kropli krwi w żyłach*. Zdaje mi się, że martwa, osiągnęłaby najwyższą doskonałość swego piękna... Martwa? A gdyby też umarła? Stałaby się wówczas przedmiotem dla myśli, czystem, idealnem pojęciem. Kochać ją będę po za grobem jeszcze, bez tego zazdrosnego niepokoju, z boleścią uspokojoną i wiecznie jednaką".

Przypomniał sobie, że w innych już okolicznościach, wyobrażał sobie piękność Hipolity w spokoju śmierci. O, w ów dzień róż! Wielkie pęki białych róż więdły w wazonach: było to w czerwcu, w samych zaczątkach ich miłości. Zdrzemnęła się na otomanie, nieruchoma, bez oddechu niemal. I przypatrywał jej się długo; potem przyszła mu nagle fantazya do głowy osypania jej różami, ostrożnie, tak by jej nie zbudzić; i wpiął jej kilka róż we włosy. Tak uwieńczona jednak, wydała mu się ciałem bez duszy, trupem. Pozór ten trupi przejął go przerażeniem; wstrząsnął ją, chcąc rozbudzić; ale pozostała nieporuszona, sparaliżowana znać jednem z tym

omdleń, którym podlegała w tych czasach. Co za przestrach, jakaż trwoga, dopóki nie odzyskała zmysłów; a równocześnie jakiż zachwyt dla wszechwładnej piękności tej twarzy, którą uszlachetniał niezwykle odblask śmierci! Ten epizod przyszedł mu żywo na pamięć; ale kiedy w tak szczególniejszych tonął myślach, doznał nagłego porywu litości i wyrzutów. Pochylił się, by ucałować czoło śpiącej, która nie zauważyła zupełnie jego pocałunku. Z wielkim trudem powstrzymał się od silniejszego uścisku, aby odczuła jego pieszczotę i odpowiedziała na nią. I poczuł wtedy całą beztreść pieszczoty, która nie byłaby bezustannem i bezpośredniem wzajemnem udzielaniem sobie wrażeń doznawanych; poczuł niepodobieństwo upojenia, jeśliby również silne upojenie nie odpowiadało jego wrażeniom.

„Alboż jestem pewnym, myślał, alboż jestem pewnym zupełnie, że wówczas kiedy ona daje mi rozkosz, ja wzajem udzielam jej rozkoszy? Ileż razy była ona świadkiem trzeźwym, może mojego szału? Ileż razy mój zapał wydawał się jej niedorzecznością?“ Krew ciężką falą niepokoju napłynęła mu do głowy w chwili, w której przypatrywał się śpiącej. „Prawdziwy i głęboki związek zmysłów jest także chimerą. Zmysły mojej kochanki są równie ciemne i niedociekłe dla mnie, jak jej dusza. Nigdy nie uda mi się pochwycić w jej fibrach tajemnego obrzydzenia, niezaspokojonych pragnień, nieukojonego podra-

żnienia. Nigdy nie uda mi się poznać różnorodnych wrażeń, które jej daje taż sama pieszczota, powtórzona w rozmaitych chwilach. W ciągu jednego jedynego dnia, organizm chory, jak jej, przechodzi przez znaczną ilość stanów, wbrew odrębnych jedne od drugich, częstokroć wprost sobie przeciwnych. Taka zmienność zbija z tropu baczność najprzenikliwszą. Pieszczota, która o świcie wydzierała z ust jej jęk rozkoszy, taż sama pieszczota w godzinę później może jej być natrętną. Wynikiem tego jest, że nerwy jej mogą stać się dla mnie wrogiemi, na przekór jej woli. Pocałunek, który zbytnio przedłużam i który przejmuje mnie samego najwyższym szałem rozkoszy, może wywołać w jej nerwach zniecierpliwienie. To pewna, że w przedmiocie zmysłowości udawanie i ukrywanie wspólne jest wszystkim kobietom, tym, które kochają i tym, co nie kochają zupełnie. Co ja mówię? Kobieta kochająca, kobieta namiętna, skłonniejszą jest do ukrywania fizycznych wrażeń; obawia się ona bowiem zasmucić swego kochanka skoro mu okaże, że mało jest w danej chwili skłonną do zupełnego oddania się jemu. Co więcej, kobieta namiętna znajduje częstokroć upodobanie w przesadzaniu mimiki rozkoszy, bo wie ona, że to pochlebia dumie męzkiej i wzmoże jeszcze upojenie mężczyzny. Faktem jest, że radość i duma wzbiera w mem sercu, kiedy widzę Hipolitę szalejącą z rozkoszy. Jest szczęśliwą z tego, czuję to do-

brze, iż może okazać się tak pokonaną, zgnębioną kompletnie przez moją siłę; i ona wie to doskonale, że moją ambicyą młodego kochanka, jest właśnie doprowadzenie jej do stadyum, w którem prosić mnie już musi o łaskę, w którem krzyk konwulsyjny wydziera się z jej piersi, w którem powalona, bezwładna upada na poduszki. Jakaż część zatem w tych objawach przypada na szczerość fizyczną a jaka na przesadę namiętną? Czy jej zapał nie jest sztuczną tylko pozą, przybraną na to, by mi się przypodobać? Czyliż częstokroć nie robi ona z siebie poświęcenia na rzecz mojej żądzy, choć bynajmniej mnie nie pożąda sama? Kto wie, czy czasami nie zmuszoną jest pokonywać poczynającej się odrazy?“

Uważny i trwożny niemal, pochylił się nad tą nieprzeniknioną, zagadkową dlań istotą. Ale zwolna, widok jej piękności ukoił go. I począł rozważać stan swój nowy. A zatem, począwszy od dziś dnia, nowe miało się dlań rozpocząć życie.

Przez chwilę wytężył ucho i umysł, by nie utracić nic z wielkiej, otaczającej go ciszy. Nie słychać było nic więcej, prócz powolnego, jednostajnego szmeru spokojnego morza w tej ciszy głębokiej. Na szybach okna, chwiały się gałązki drzew oliwnych, posrebrzone słońcem, rzucając lekki cień na białość firanek. W odstępach czasu dochodziły tylko dźwięki kilku ludzkich głosów, rzadkie i zrozumiałe.

Po tej chwili wsłuchiwania się w ciszę otaczającą, pochylił się ponownie nad ukochaną. Jawna harmonia istniała między oddechem kobiety i oddechem morza; a zgodność tych dwu rytmów, dodawała jeden wdzięk więcej śpiącej kobiecie.

Leżała na prawym boku, w pełnej wdzięku pozie. Kształty jej były smukłe i wydłużone, może nieco za długie nawet, ale wężowej elastyczności i wytworności. Wązkość bioder, czyniła ją niemal niedorosłą. Brzuch bezpłodny, zachował pierwotny swój kształt dziewiczy. Pierś była mała i jędrna, jak wyrzeźbiona w alabastrze niezmiernie delikatnym, różowo-fioletowawym, na kończynach piersi, niesłychanie sprężyste. Cała tylna część ciała, od karku aż do zgięcia kolan, przywodziła na myśl efebów; był to fragment typu ludzkiego idealnego, który czasami rzuca przyroda między ogół miernot, by uwiecznić rasę. Osobliwością najcenniejszą wszakże tego ciała, był w oczach Jerzego koloryt. Skóra miała koloryt nieopisany, niesłychanie rzadki, całkiem różny od zwykłego kolorytu brunetek. Porównanie do alabastru, ozłoconego wewnątrz umieszczonym płomieniem, nie zdołałoby oddać jeszcze tej dziwnej jego wytworności. Zdało się, że rozlanie się złota i ambry nieujęte, złociło tkankę, zabarwiając ją różnorodnością bladości, harmonijnej jak muzyka: ciemniejsza w bruzdach lędźwi i w miejscu, w którem lędźwie łączyły

się z bokami, jaśniejsza na piersiach i w pachwinach, w miejscu, gdzie naskórek najbujniej się rozwija.

Jerzemu przyszły na myśl słowa Otella: „Wolałbym raczej być ropuchą i żywić się miazmatami posępnej jaskini, niż pozostawić do użytku innego człowieka bodaj jeden atom z tej istoty, którą kocham".

We śnie, Hipolita poruszyła się z wyrazem jakiegoś cierpienia, który zniknął natychmiast. Przechyliła głowę w tył na poduszce, co odsłoniło szyję wyciągniętą, na której zarysowywała się delikatna sieć żył. Dolną szczękę miała nieco zbyt silnie wysuniętą, brodę cokolwiek zbyt wydłużoną w profilu, nozdrza szerokie. W skróceniu, wady tej głowy występowały dokładnie; ale Jerzemu podobały się one, bo niepodobieństwem dlań było wyobrazić sobie, aby można je poprawić, nie odejmując zarazem fizyonomii żywego jej wyrazu. Wyraz, ta rzecz niepochwytna, bezmateryalna, która promienieje w materyi, ta siła zmienna a nie dająca się wymierzyć, która zapanowuje nad rysami ciała i przeobraża je; ta dusza zewnętrzna, pełna znaczenia, która nakłada na określoną rzeczywistość linii, piękno symboliczne daleko wyższego i zawilszego rodzaju, wyraz był największym czarem Hipolity Sanzio, ponieważ poddawał myślicielowi namiętnemu, bezustanny powód do wzruszeń i marzeń.

„Taka kobieta—myślał—należała do innych, zanim została moją! Dzieliła łoże z innym mężczyzną; sypiała z innym w tem samem łóżku, na tej samej poduszce. U wszystkich kobiet istnieje rodzaj pamięci fizycznej nadzwyczajnie żywej, pamięci wrażeń. Czy też ona pamięta wrażenia których doznała z tamtym mężczyzną? Czyliż w możności jej jest zapomnieć, kto posiadł ją pierwszy? Czego doznawała wobec pieszczot męża?“ Na te pytania, które zadawał sobie po raz tysiączny, udręczenie, tak dobrze znane, ścisnęło mu serce. „O, dlaczegóż nie możemy na śmierć skazywać istoty, którą kochamy i wskrzesić ją następnie z ciałem dziewiczem i duszą nową?“

Przyszły mu na myśl niektóre wyrażenia Hipolity, w chwili najwyższych uniesień wypowiedziane do niego: „Bierzesz mnie dziewicą: ja nie znam *żadnej z rozkoszy* miłości“.

Hipolita wyszła za mąż wiosną, która poprzedziła wiosnę ich miłości. W kilka tygodni po ślubie, poczęła cierpieć na chorobę powolną a ciężką, która ją powaliła na łoże i przez długie dni trzymała między życiem a śmiercią. Ale na szczęście, ta choroba oszczędziła jej wszelkiego zbliżenia z człowiekiem wstrętnym, który opanował ją, jak bezwładną, bezwłasnowolną zdobycz. Przyszedłszy do zdrowia, wstąpiła w namiętność jak w krainę snów: nagle, na oślep, bez zastanowienia, oddała się młodzieńcowi nieznajo-

nemu, którego głos słodki, o dziwnem brzmieniu, ozwał się do niej słowami, nie zasłyszanemi nigdy. I nie skłamała mówiąc mu: „Bierzesz mnie dziewicą: ja nie znam jeszcze co to rozkosz“.

Wszystkie epizody tych zaczątków miłosci, powracały Jerzemu na pamięć jedne po drugich kolejno, bardzo wyraźnie. Odtworzył sobie w myśli niezwykłe uczucia i nadzwyczajne wrażenia tych czasów. W dniu 2-im kwietnia spotkała go Hipolita na owem oratorium a 10-go kwietnia już przyrzekła, że przyjdzie do niego. O, dniu niezapomniany! Nie mogła uledz jeszcze pragnieniom kochanka, bo nie była dotąd wyleczoną zupełnie; i przez długi ciąg schadzek, przez dwa tygodnie niemal, nie mogła mu się oddać w zupełności. Z głębokiem zdumieniem poddawała się wszystkim pieszczotom, na jakie odważa się mężczyzna, którego żądza dochodzi do szału niemal; nowicyuszka, nieświadoma niczego jeszcze, czasami wylękła, była dlań objawem zdrowym a wzniosłym niewieściego wstydu, zamierającego pod wpływem zwycięzkiej namiętności. W tej epoce często zdarzały się jej zemdlenia; padała bezwładna, lodowata, tak że miała zupełny pozór umarłej, lub popadała w atak nerwowy, którego jedynemi symptomatami zewnętrznemi były: siność, zgrzytanie zębami, kurcz palców, zniknięcie tęczówki w białku oczu pod powieką. A wreszcie, nakoniec mogła mu się oddać

w zupełności! W tym pierwszym uścisku zdała się zupełnie bezwładną, niemal lodowato zimną, rzekłbyś, że pokrywała obrzydzenie. Po dwa lub trzykroć, wyraz nieopisanego bólu przeszedł po jej twarzy. Ale zwolna, z dniem każdym, pojawiała się widocznie rozbudzona wrażliwość w nerwach, stężałych pod wpływem choroby, zbolałych jeszcze od histerycznych spazmów, owładnionych może dotąd instynktownym wstrętem do uczynku, który tak niedawno jeszcze, w okropnych pośłubnych nocach, wydał się jej tak ohydnym. Aż pewnego dnia majowego, wobec zapału młodzieńca, który powtarzał jej w twarz płomienne słowa, nagle odsłonił się przed nią świat namiętności najwyższej. Straszny okrzyk wydarł się z jej piersi; potem padła jak martwa z dwiema łzami, wprawionemi niby dwie perły w oczodoły, przeistoczona, przetworzona całkowicie. Kiedy przywodził sobie na pamięć to wspomnienie, Jerzy poczuł powiew dawnego szału. W tej chwili doznał dreszczu twórcy.

Odtąd jakaż zmiana głęboka zaszła w tej kobiecie! Coś nowego, nieokreślonego ale realnego, pojawiło się w jej głosie, ruchach, spojrzeniu, w najmniejszym akcencie słów, w najlżejszem poruszeniu, w najdrobniejszej oznace zewnętrznej. Jerzy był świadkiem najbardziej upajającego widoku, o jakim tylko marzyć może kochanek inteligentny. Patrzył na metamorfozę kochanej ko-

biety, na to, jak kształtowała się na jego obraz, jak zapożyczała od niego jego myśli, jego sądów, gustów, antypatyj, upodobań, jego smutków, wszystkiego, co umysłowi nadaje odrębne piętno, pewien charakter. Mówiąc, używała Hipolita jego upodobanych zwrotów, wymawiała niektóre słowa z naciskiem jemu właściwym. Pisząc, naśladowała w zupełności jego pismo. Nigdy wpływ jednej istoty na drugą nie był tak szybki i tak silny. Hipolita zasłużyła na dewizę, którą jej nadał Jerzy: *gravis dum suavis*. Ale ta istota poważna a słodka, ta, którą on umiał natchnąć z taką umiejętnością, wzgardą do wszystkiego, co powszednie i poziome, jakież stosunki upokarzające miała może z ludźmi w chwilach, w których była zdala od niego?

Jerzemu przyszły na myśl dawniejsze udręczenia, ilekroć ją widział odchodzącą, powracającą do małżeńskiego ogniska, do domu człowieka, o którym nic zgoła nie wiedział, w świat, który mu był nieznanym zupełnie, w tę płaskość i drobnostkowość mieszczańskiego życia, wśród którego ona zrodziła się i wzrosła jak rzadka roślina wśród warzywnego ogrodu. Czyliż w owym czasie nie ukryła nic przed nim nigdy? Nigdy żadnego nie popełniła kłamstwa? Czyliż mogła ustrzedz się przed żądzami męża pod pretekstem, że jej wyleczenie nie było jeszcze zupełnem? Czy jej się to udawało zawsze?

Jerzy przypomniał sobie ten ból okropny, jakiego doznał, kiedy pewnego dnia, spóźniwszy się, przyszła zdyszana, zarumieniona i zgrzana daleko więcej niż kiedykolwiek, z włosami przesiąkłemi tytuniowym wyziewem, tym wstrętnym wyziewem, którym przechodzą ci, co przez czas dłuższy pozostawali w pokoju, w którym przebywało wielu palących. Powiedziała mu wówczas: „Wybacz mi, jeśli się opóźniłam; ale miałam na śniadaniu kilku przyjaciół męża, którzy mnie zatrzymali aż do tej chwili“. I słowa te podsunęły mu wizyę ordynarnego stołu, dokoła którego zasiadało grono gburów, racząc gospodynię domu ordynarnością swych dowcipów i manier.

Jerzy przypominał sobie tysiączne podobne temuż fakta i nieskończoną ilość takichże cierpień okrutnych a i teraźniejsze, najświeższej daty cierpienia, które się odnosiły do nowego położenia Hipolity, do jej pobytu u matki, w domu niemniej jemu nieznanym i niemniej dlań podejrzanym. „Nakoniec jest wreszcie ze mną! Codziennie, w każdej dnia minucie, bezprzestannie widzieć ją będę i cieszyć się nią; będę umiał zająć ją bezprzestannie sobą, memi myślami, marzeniami, smutkami. Poświęcę jej wszystkie me chwile, bez przerwy; wymyślę tysiące nowych sposobów przypodobania się jej, wzbudzenia w niej niepokoju, zasmucenia, wprawienia w szał; przeniknę ją tak dokładnie sobą, że w końcu

uwierzy, iż jestem najgłówniejszą treścią własnego jej życia“.

Pochylił się ku niej ostrożnie; zlekka złożył pocałunek na jej ramieniu zaokrąglonem, wytwornego kształtu i kolorytu, gdzie naskórek miał miękość aksamitu. Odetchnął wonią tej kobiety, tak przenikliwą i tak słodką, tą wonią skórną, która w chwilach rozkoszy stawała się upajającą jak tuberozy, obudzającą—smagającą, rzekłbyś—żądzę. Patrząc tak zbliska na tę śpiącą istotę, wątłą, wytworną i skomplikowaną, którą sen spowijał w dziwną jakąś tajemnicę, tę oryginalną, nieodgadnioną istotą, z której wszystkich por ciała, zdał się promienieć ku niemu czar niezrozumiałej jakiejś mocy, dopatrzył raz jeszcze w sobie samym ów nieokreślony odruch instynktownej trwogi.

Ponownie Hipolita zmieniła pozycyę, nie budząc się ze snu przecież, z cichą jakąś wszakże na ustach skargą. Położyła się na wznak teraz. Lekki pot zwilgotnił jej skronie; z ust jej nawpół otwartych, szybszem tentnem wychodził oddech nieco nieregularny; chwilami brwi się jej ściągały. Śniła widocznie. O czem śniła?

Jerzy, przejęty niepokojem, który wprędce wzrósł w udręczenie szalone, począł śledzić na jej twarzy jakiejś oznaki zdradzieckiej, czegoś, coby mu dało wskazówkę.—Jaką wskazówkę?—Niezdolnym był zastanawiać się, niezdolnym po-

hamować burzę szaloną obaw, powątpiewań, podejrzeń.

We śnie Hipolita drgnęła nagle; całe jej ciało skurczyło się, jakby ją prześladowała jakaś zmora; odwróciła się na bok ku Jerzemu; jęk i okrzyk wydarły się z ust jej:

— Nie, nie!

Potem dwa czy trzy wydała westchnienia, podobne do szlochu i wstrząsnęła się raz jeszcze.

Jerzy, przejęty szaloną trwogą, nie spuszczał z niej oka, z wytężonym słuchem, w obawie innych słów jeszcze, w obawie, że inne jakie może posłyszy imię, imię mężczyzny! Czekał w okropnej niepewności, jak pod groźbą spodziewanego gromu, który go może unicestwić w jednej chwili.

Hipolita zbudziła się; spojrzała zamglonemi oczyma, nie zdając sobie z niczego jeszcze sprawy, zaspana; przycisnęła się do niego, bezświadomym niemal ruchem.

— Co ci się śniło? — spytał wzburzonym głosem, w którym echem powtarzały się uderzenia jego serca.

— Nie wiem — odpowiedziała osłabła, tonąca jeszcze we śnie, opierając twarz na piersi kochanka. Nie pamiętam już...

Usypiała na nowo.

Pod delikatnym naciskiem tej twarzy, Jerzy pozostał nieporuszony z głuchym jakimś żalem w głębi duszy. Czuł się obcym jej całkowicie, odo-

sobnionym, oddzielonym od niej, bezpotrzebnie tylko ciekawym. Wszystkie gorzkie wspomnienia powróciły mu tłumnie. Przeżył w jednej jedynej chwili, wszystkie bóle dwu lat całych. Nie mógł nic przeciwstawić niezmiernemu zwątpieniu, które ogarniało jego duszę i sprawiało, że głowa kochanki ciężyła mu jak skała na piersiach.

Niespodzianie Hipolita drgnęła we śnie ponownie i wydała jęk stłumiony, potem znów wić się poczęła i wydała krzyk bolesny. Wreszcie otwarła oczy przelęknione z jękiem.

— O, mój Boże!

— Co tobie? Co ci się śniło?

— Nie wiem...

Twarz jej ściągnięta była kurczem.

Podjęła:

— Więc to ty oparłeś się na mnie całym ciężarem? Zdało mi się, że mnie gdzieś popychasz, że chcesz mi zrobić coś złego.

Widocznie cierpiała.

— O, mój Boże! Dawna moja choroba powraca znowu...

Od czasu owej choroby minionej, nachodziły ją czasami jeszcze krótkie napady, spazmy, które przecież rozpraszały się wprędce, acz przejście ich wydzierało zawsze jęk a czasem krzyk z jej ust.

Obróciła się do Jerzego, popatrzała mu wprost w oczy, wzrokiem zupełnie już przytomnym, po-

chwyciła w jego spojrzeniu zapowiedź nadciągającej burzy. I tonem pieszczotliwej wymówki powtórzyła:

— Chciałeś mi zrobić coś złego!...

Jerzy nagle pochwycił ją w swój uścisk, otoczył ramionami, przycisnął gwałtownie, dusił niemal, dławił pieszczotami.

IX.

Ponieważ ciepło było niemal zupełnie letnie, Jerzy zaproponował:

— A może jedlibyśmy dziś obiad na dworze?

Hipolita przystała. Zeszli na dół.

Na schodach trzymali się za ręce i schodzili po stopniach powolnie, zatrzymując się, by się przypatrzeć deptanym kwiatom, spoglądając co chwila wzajem na siebie, jak gdyby widzieli się po raz pierwszy. Zdało się każdemu z nich, że drugie ma dziś oczy większe, głębsze i okrążone nadnaturalnym jakimś cieniem. Uśmiechali się do siebie w milczeniu, owładnieni oboje urokiem tego nieokreślonego wrażenia, które zdało się rozpraszać gdzieś w przestrzeni istoty ich, zmienione, rzekłbyś, w jakieś ciała lotne. Podeszli ku ogrodzeniu i zatrzymali się, nasłuchując szmeru morza.

To, co widzieli przed sobą, było niezwykłem, nadzwyczajnie rozległem a jednak prześwieconem jakiemś własnem, z głębi, zda się, tryskającem światłem, niby promieniowaniem własnych ich serc. To, co słyszeli, również było niezwykłem, nadzwy-

czaj głośnem a jednak skupionem w sobie jak odsłaniana jakaś im samym tylko tajemnica.

Przywołał ich do rzeczywistości nie powiew wiatru, ni szmer fali, ni pomruk morza, ni szczekanie psa, ni głos ludzki, ale lęk jakiś, co się wydzielał z samej ich radości zbyt silnej. Sekunda, co przepadała natychmiast, bezpowrotnie! I obojgu powróciło poczucie tego, że życie upływa, że czas ucieka, że różne rzeczy stają się obcemi ich istocie, że ich dusze przejmuje trwoga— a miłość jest niedoskonałą. Ta sekunda zapomnienia najwyższego, ta sekunda jedyna, minęła dla nich na zawsze.

Hipolita, wzruszona uroczystością tego odosobnienia, z sercem ścieśnionem nieokreśloną jakąś trwogą na widok tych wód rozlanych szeroko, pod tem niebem opustoszałem, które od zenitu aż do nieboskłonu bladło powolnie stopniami, wyszeptała:

— Jakże to daleko!

Wydało się obecnie obojgu, że ten punkt przestrzeni, gdzie oddychali, nieskończenie jest oddalonym od miejsc im znanych, gdzieś na uboczu, odosobniony, nieznany, niedostępny, niemal het po za światem. W chwili, w której widzieli urzeczywistnione pragnienia swych serc, doznawali oboje tegoż samego wewnętrznego przestrachu, jak gdyby przeczuwali, że niezdolnymi są wytrzymać pełnię nowego życia. Przez kilka chwil jeszcze milczący, stojąc tuż obok siebie, ale nie

objęci już uściskiem, podziwiali jeszcze Adryatyk ponury i lodowaty, porznięty w wielkie fale z grzebieniami piany. Od czasu do czasu, chłodny wietrzyk porywał wierzchołki akacyj, unosząc ich zapach.

— O czem myślisz? — spytał Jerzy, otrząsając się, jakby chciał obronić się przed natrętnym smutkiem, który go opanowywać poczynał.

Był tu sam z swoją kochanką, wolny zupełnie; a przecież serce jego nie było zadowolonem. A zatem w samym sobie widocznie nosił zarody niepocieszonej rozpaczy?

Czując ponownie rozdział między tą istotą milczącą i sobą, ujął ją za rękę i popatrzał jej głęboko w oczy.

— O czem myślisz?

— Przychodzi mi na myśl Rimini — odpowiedziała Hipolita z uśmiechem.

Zawsze tylko przeszłość! Wspomnienia dni minionych w takiej chwili! Czyż może właśnie to morze, które rozciągało się przed nimi, wywołało w niej to wspomnienie? Pierwszem jego wrażeniem była pewna uraza względem tej, co wywołała to wspomnienie bezświadomie. Potem, jakby olśniony niespodzianie, z nagłym niepokojem ujrzał szczyty swej miłości rozświecone i migocące cudownie w blaskach przeszłości. Rzeczy niezmiernie odległe powróciły mu na pamięć, wraz z falą muzyki która je oczyszczała i przeobrażała. W ciągu jednej sekundy, prze-

żył chwile najbardziej liryczne swej namiętności i przeżył je w najsposobniejszych ku temu miejscach, pośród najwspanialszego tła natury i sztuki, które je uszlachetniły i pogłębiły. Dlaczego zatem teraz, w porównaniu z tą przeszłością, chwila obecna bladła i traciła barwy? W jego oczach, olśnionych, rozpłomienionemi nagle wspomnieniami, wszystko bladło teraz. I spostrzegł, że postępowe zmniejszanie się światła, sprawiało mu rodzaj fizycznej przykrości, jak gdyby to zjawisko zewnętrzne, było w bezpośredniej łączności z którymś żywiołem własnego jego życia.

Szukał takiego słowa, którem mógłby Hipolitę napowrót pociągnąć ku sobie, przywiązać do siebie jakimśkolwiek węzłem uczucia; aby znaleźć napowrót to poczucie rzeczywistości obecnej. Ale poszukiwanie to było dlań trudnem; myśli wymykały się, rozpraszały, pozostawiając po sobie próżnię.

Posłyszawszy szczęk talerzy, spytał:

— Chce ci się jeść?

To pytanie, poddane drobnym faktem materyalnym i wypowiedziane niespodzianie z żywością iście chłopięcą, wywołało uśmiech Hipolity.

— Tak, cokolwiek — odpowiedziała z uśmiechem.

I podeszli, aby się przypatrzeć zastawie stołu, nakrytego pod dębem. Za kilka minut miał być obiad podany.

— Trzeba ci będzie zadowolnić się tem, co znajdziesz—ozwał się Jerzy. — Kuchnia tu wielce sielska...

— O, ja się zadowolnię choćby i trawą...

I wesoło przystąpiła do stołu, przypatrzyła się z ciekawością obrusowi, nakryciom, kryształom, talerzom, znalazła, że wszystko to ładne, cieszyła się jak dziecko widokiem wielkich kwiatów, zdobiących białą i cienką porcelanę.

— Wszystko mi się tu podoba—rzekła.

Pochyliła się nad wielkim, okrągłym bochenkiem chleba, ciepłym jeszcze pod rudawą, pięknie wypieczoną skórką. Wciągnęła z lubością woń jego.

— O, jakiż zapach!

I z dziecinnem łakomstwem, odłamała obeschły brzeg bochenka.

— Jakiż dobry ten chleb!

Zęby jej białe i mocne, połyskiwały w gryzionym chlebie; ruch ust wyrażał przyjemność doznawaną. W tej czynności cała jej osoba rozlewała wdzięk niezmiernej świeżości, który porywał i zdumiewał Jerzego nowością niespodziewaną.

— Patrz, sprobuj jakie to dobre!

I wyciągnęła ku niemu kawałek chleba, na którym znać było jeszcze wilgotne ślady jej zębów; podsunęła mu go do ust, śmiejąc się, z zaraźliwie udzielającą się wesołością.

— Bierz-że!

Przyznał, że smak jest wyborny i poddał się w zupełności temu urokowi przelotnemu, który wydał mu się nowym całkowicie. Ogarnęła go szalona ochota zdławienia w uścisku tej wyzywającej kobiety, uniesienia jej w ramionach gdzieś daleko, jak pochwyconą zdobycz. Serce wezbrało mu niejasnym porywem ku fizycznej sile, ku jakiemuś potężnemu życiu, ku życiu uciech dzikich niemal, ku miłości prostej i surowej, ku wielkiej swobodzie pierwotnej. Doznał jakby nagłej potrzeby zrzucenia z siebie dawnej powłoki, która go uciskała, wyjścia z niej całkowicie odrodzonym, wynagrodzonym za wszystkie przeżyte cierpienia, za wszystkie zboczenia i kalectwa ducha, które krępowały jego polot. Miał wizyę halucynacyjną przyszłego istnienia, które byłoby jego istnieniem a w którem, wyzwolony od wszystkich smutnych nawyknień, od całej ich tyranii, od wszystkich błędów, zapatrywałby się na rzeczy tak, jak gdyby je widział po raz pierwszy i miał przed sobą świat cały, stojący dlań otworem, zrozumiały niby otwarta twarz ludzka. Czyżby niepodobnem być miało, by cudu tego dokonała ta młoda kobieta, która na kamiennym stole, pod dębem opiekuńczym, przełamała się z nim i podzieliła chlebem nowym? Nie mogłożby rzeczywiście, począwszy od dnia dzisiejszego, rozpocząć się dlań *nowe życie?*

CZĘŚĆ CZWARTA.

Nowe życie

I.

Nad Adryatykiem panowało gorąco wilgotne i ciążące, wschodniego wiatru. Niebo było przysłonięte obłokami, mgliste, białe jak mleko. Morze całkowicie nieruchome, bezmateryalne prawie, stapiało się z parami rozproszonemi oddali, bardzo blade, bez oddechu, zda się. Żagiel biały jedyny żagiel biały — ta rzecz tak rzadka na Adryatyku—wznosił się w dali gdzieś, od strony wysp Diomede, nie poruszając z miejsca, odbity w długość nieokreśloną w morskiem zwierciedle, niby nieruchome centrum tego bezwładnego świata, który zdał się rozpływać we mgłach powoli.

Siedząc na podmurowaniu loggii w znużonej postawie, Hipolita utkwiła w białym żaglu oczy, zamagnetyzowane tą białością. Nieco pochylona, miała w twarzy wyraz zdumienia jakiegoś, niemał osłupiałości, która świadczyła o chwilowem przyćmieniu życia wewnętrznego. I ten brak ener-

gii wyrazistej, uwydatniał wszystko to, co było powszedniego i nieregularnego w jej rysach, dodawał ociężałości dolnej części twarzy. Usta nawet, te usta elastyczne o wężowatem wgięciu, których dotknienie tylokrotnie przejmowało Jerzego rodzajem instynktownego i nieokreślonego uczucia trwogi, te usta zdawały się obecnie odarte z swego uroku czarodziejskiego i zeszłe do zwykłej roli fizycznego tylko organu, który jeśli przywodzi na myśl pieszczotę, to wyłącznie jako akt machinalny, odarty z wszelkiego piękna.

Jerzy przyglądał się okiem bacznem i trzeźwem nagiej rzeczywistości tej kobiety, z której życiem zespalał dotąd tak szalenie własne życie. I myślał: „W jednej chwili wszystko się skończyło. Płomień zagasł. Nie kocham jej już!... Jakim sposobem stało się to tak prędko?“ Czego doznawał teraz, był to nietylko już przesyt po nadużyciu, ten wstręt cielesny, który następuje po przedłużonym okresie rozkoszy, ale głębszy jeszcze jakiś rozdział, który zdawał się stanowczym i któremu nie można już było zaradzić. „Jakże możnaby kochać jeszcze, skoro się widziało to, co ja widzę?“ Zachodził w nim objaw dość zwykły: równocześnie z pierwszemi pojęciami rzeczywistemi, odosobnionemi i przesadnemi, przez skojarzenie pojęć, wewnętrzny obraz, który nadawał jego nerwom popęd daleko silniejszy niż przedmiot obecny. Odtąd, widział w osobie Hipolity z niepojętą wyrazistością, wyłącznie tylko istotę

płciową, proste narzędzie rozkoszy i zbytku, narzędzie ruiny i śmierci. I wzdrygał się na myśl o swym ojcu! Ale czyż w głębi i on tegoż samego nie czynił? I wspomnienie nałożnicy przeszło mu przez myśl: odnalazł w swej pamięci niektóre szczegóły ohydnej zwady z tym wstrętnym człowiekiem, w wiejskiej willi, u otwartego okna, przez które dobiegały go krzyki bękartów, przed wielkim stołem, zarzuconym papierami, na którym spostrzegł przycisk kryształowy z winietką plugawą...

— Ach, Boże mój, jakież ciężkie powietrze!— szepnęła Hipolita, odrywając oczy od białego żagla, który wciąż pozostawał nieporuszony w nieskończoności morskiego przestworza.—A ty, czy nie czujesz się także zgnębiony tem powietrzem?

Powstała, postąpiła kilka kroków, powłócząc nogami ku szerokiemu fotelowi z łozy, zarzuconemu poduszkami i rzuciła się nań jak martwa ze zmęczenia, z głębokiem westchnieniem, przechylając w tył głowę, z przymkniętemi nawpół oczyma, których wygięte rzęsy drżały zlekka. Nagle, zdało się, wypiękniała. Piękność jej zapłonęła niespodziewanie, jak pochodnia.

— Kiedyż wreszcie mistral już powieje? Patrzno na ten żagiel. Wciąż na jednem jest miejscu! To pierwszy żagiel od czasu mego przyjazdu. Wydaje mi się, że przyśnił mi się chyba.

Że zaś Jerzy wciąż milczał, podjęła znowu:

— A ty, czyś tu już widział kiedy inne?

— Nie; i dla mnie to pierwszy.

— Zkąd on przybywa?

— Z Garganu może.

— A dokąd płynie?

— Może do Ortone.

— Co może wieść?

— Pewnie pomarańcze.

Zaczęła się śmiać; sam śmiech ten obrzucał ją falą żywej świeżości, przeobrażał znowu.

— Patrzaj, patrzaj! — zawołała, podnosząc się na łokciu i ukazując widnokrąg morski, który, zdało się, że przysłoniła firanka. Pięć innych żagli, ot tam, szeregiem... Widzisz je?

— Tak, tak, widzę.

— Pięć ich jest, nieprawdaż?

— Tak, pięć.

— Jeszcze, jeszcze! Ot tam! Patrzaj! Drugi szereg... Ileż ich tam!

Żagle ukazywały się w najdalszej kończynie morza, czerwone, niby płomyki, nieporuszone.

— Wiatr się zmienia. Czuję, że się wiatr zmienia. Patrzaj tam, widzisz jak się marszczy powierzchnia wody.

Wietrzyk nagły zachwiał wierzchołkami akacyi, które poruszyły się, sypiąc kwieciem, podo-

bnym do martwych motyli. Nim wszakże dosięgły one ziemi, już wszystko powróciło do poprzedniego spokoju. Przez tę przerwę zupełnej ciszy, słychać było plusk wody, gnanej na żwir nadbrzeżny i szmer ten głuchy szedł, słabnąc z uciekającą falą, wzdłuż całego brzegu, potem ustał.

— Czy słyszałeś?

Powstała i przechylona przez parapet, z natężonym słuchem wsłuchiwała się w ten szmer fali, w pozie muzyka, co stroi swój instrument.

— Znowu powraca fala! — zawołała jeszcze, ukazując ruchem ręki marszczącą się wód powierzchnię; i czekała nieporuszona, ożywiona niecierpliwością, sposobiąc się do pochwycenia w płuca fali wiatru.

Po kilku sekundach, akacye znów potrącone, poruszyły się, obsypując nowym kwiatem murawę. I świeży powiew przyniósł aż do loggii wyziew słony, zmieszany z wonią uwiędłych gron kwiecia. Dźwięk srebrzysty, szczególniejszej harmonii, napełnił jak drganiem cymbału wnętrze zatoki, między dwoma przedgórzami.

— Słyszysz?—ozwała się Hipolita cichym, ale przejętym głosem; zdało się, że ta muzyka przejęła ją do głębi duszy, że całe jej życie bierze udział w tych przemianach rzeczy.

Jerzy śledził każde jej poruszenie, gest każdy, wszystkie słowa, z taką uwagą, że wszystko inne

zdawało się nie istnieć dla niego. Obraz poprzedni nie kwadrował już z obecnem wrażeniem, jakkolwiek w umyśle jego przeważało jeszcze to uczucie moralnego oderwania się, niedopuszczające, aby pomieścił tę kobietę napowrót w dawnych jej ramach, poprzednie przywrócił jej w życiu swem miejsce. Ale z każdego jej czynu, z każdego gestu, z każdego słowa, wydzielała się dziwna moc jakaś. Wszystkie te objawy fizyczne, zdawały się tworzyć jakby jakąś przędzę, co go oplątywała i więziła. Zdawało się, że między tą kobietą a nim, wytworzył się rodzaj zależności cielesnej, rodzaj łączności organicznej, spójni, skutkiem której najlżejszy ruch wywoływał u niego mimowolną odmianę zmysłową i że odtąd niezdolnym on już będzie żyć i czuć niezależnie. Jakim sposobem to widoczne powinowactwo mogło się pogodzić z tajoną nienawiścią, którą odkrywał w tejże samej chwili, nawet w głębi swego serca?

Hipolita, przez ciekawość naturalną, przez potrzebę instynktowną wzmożenia wrażeń, rozpraszania się w otaczającem środowisku, wciąż jeszcze przypatrywała się uważnie widokowi. Łatwość jej wrodzona wnikania we wszystkie kształty życia naturalnego i wynajdywania całego świata analogii między wyrażeniami ludzkiemi a widokiem najróżnorodniejszych rzeczy; ta sympatya gwałtowna i wylana, która ją wiązała nietylko

z przedmiotami, z któremi była w codziennem zetknięciu ale nawet z przedmiotami całkowicie jej obcemi; ten rodzaj daru naśladowczego, który częstokroć pozwalał jej jednym jedynym znakiem wyrażać charakterystyczną cechę jakiejś istoty żywej lub martwej, porozumiewać się ze zwierzętami domowemi i tłomaczyć ich język; wszystkie te zdolności mimiczne, zbiegały się w niej właśnie na to tylko, by w oczach Jerzego tem widoczniej jeszcze wykazać w niej przewagę życia niższego gatunku.

— Co to?—ozwała się zdziwiona, posłyszawszy huk jakiś nagły, tajemniczego pochodzenia.—Czy nie słyszysz?

Był to jakby odgłos jakiś głuchy, niby uderzenia, po którem nastąpiłyby inne z wciąż wzrastającą szybkością: łoskoty tak dziwne, że nie można było rozróżnić, czy pochodzą z bardzo blizka, czy z bardzo daleka. w powietrzu coraz to bardziej przezroczem.

— Nie słyszysz?

— Może to grzmi gdzieś daleko.

— O, nie...

— Więc cóż to zatem?

Rozglądali się dokoła z niepokojem. Od chwili do chwili, morze zmieniało barwę, w miarę jak z nieba osuwały się mgły; tu i owdzie przybierało ten odcień zielonkawy, nieokreślony, lnu niedojrzałego, kiedy skośny promień słońca, prze-

świeci wątłe, przezrocze jego łodygi, w kwietniowym półzmroku.

— Ach, to trzask żagla, białego żagla, tam! zawołała Hipolita, rada z tego, że pierwsza odkryła tajemnicę.—Patrzaj: teraz wiatr dmie weń... Już się puszcza w drogę!

II.

Z kilku przerwami sennego ociężenia, miała ona zawsze szaloną ochotę wychodzenia, robienia wycieczek dalekich, biegania po wybrzeżach i wsiach sąsiednich, zbadania wszystkich ścieżek nieznanych. Pobudzała swego towarzysza, czasami pociągała go z sobą gwałtem; czasami także i on ją doganiał niespodziewanie.

Chcąc dostać się na wzgórze, szli zwykle drogą, obrzeżoną dwoma gęstemi szpalerami fiołków, pośród których wykwitały kielichy szerokie i delikatne innych kwiatów pięciolistnych, wonnych.

Po za temi żywopłotami, falowały pochylone w dół kłosy na swych łodygach, żółtawej ziemi, co lada chwila miała się zamienić w złoto; a miejscami zboża te były tak wysokie i gęste, że przenosiły żywopłot, przywodząc na myśl piękną czarę, z której płyn przelewa się przez brzegi.

Nic nie uszło czujnego oka Hipolity. Pochylała się co minutę, by zdmuchnąć puszek z wątłej łodyżki kwiatu. Co minuta zatrzymywała się, by się przyjrzeć jakiemuś pająčzkowi, co się

wdrapywał po nizko rosnącym kwiatku na wysoką gałąź, po niewidzialnej nici.

Na wzgórzu, w półkolu zacieśnionem i oblanem promieniami słońca, było małe pólko lnu już suchego. Łodygi żółkniejące unosiły na szczycie kulkę złotą, tu i owdzie złoto zdawało się poczerniałem rdzą żelazistą. Najwyższe łodygi chwiały się niedostrzegalnym niemal ruchem. Na skutek tej niezmiernej lekkości, całość przywodziła na myśl jakąś niezmiernie delikatną robotę złotniczą.

— Widzisz, to istny filigran! — ozwała się Hipolita.

Jałowiec poczynał już opadać z kwiatu. Tu i owdzie opadał z krzaków rodzaj białej pianki, po innych ślizgały się wielkie gąsienice pomarańczowe i czarne, miękie z pozoru jak aksamit. Hipolita wzięła z nich jedną do ręki, której puszek pocentkowany był purpurą i spokojnie trzymała ją na dłoni.

— To piękniejsze jeszcze, niż kwiat—rzekła.

Jerzy zauważył i to nie po raz pierwszy, że brak w niej było zupełnie wszelkiego instynktowego obrzydzenia względem owadów i że wogóle nie doznawała bynajmniej tej żywej i niepokonanej odrazy, której on sam doznawał zwykle dla całej masy rzeczy, uchodzących za nieczyste.

— Rzućże to, proszę cię!

Poczęła śmiać się i wyciągnęła rękę, jakby zamierzała położyć mu gąsienicę na szyi. Krzy-

knął i rzucił się wstecz; to wywołało u niej śmiech jeszcze gwałtowniejszy.

— O, cóż za odważny mężczyzna!

Rozochocona tą zabawką, poczęła go ścigać między pniami młodych dębczaków po stromych ścieżkach, które tworzyły rodzaj górzystego labiryntu. Wybuchy jej śmiechu płoszyły z pośród kamieni gromady szarych wróbli.

— Dajże pokój, daj pokój! Zestraszysz owce.

Trzodka owiec zestraszonych, rozbiegała się na wszystkie strony, wlokąc za sobą po skalistej pochyłości kłębek łachmanów, brudno niebieskich.

— Stój! Patrzaj! Nic już nie mam.

I ukazywała uciekającemu próżne już ręce.

— Pomóżmy niemowie.

I podążyła ku kobiecie w łachmanach, która daremne czyniła wysiłki, by zegnać do kupy owce, poprzywiązywane na długich linkach, uplecionych z wiciny. Pochwyciła za zwój linek, zaparła się nogami o kamień, ku większej odporności. Była zdyszana, z zaczerwienioną twarzą i w tej pozie gwałtownego naprężenia, była istotnie piękną. Piękność jej zapalała się niespodziewanie, jak pochodnia.

— Chodźże, chodź i ty tutaj — wołała na Jerzego, udzielając mu również swej szczerej, dziecinnej niemal wesołości.

Owce zatrzymały się w kępkach jałowcu. Było ich sześć ogółem, trzy czarne i trzy białe

a każda miała węzeł z łoziny zadzierzgnięty dokoła wełnistej szyi. Kobieta pasąca je, wychudła, ledwie okryta niebieskawemi łachmanami, gestykulowała żywo a usta jej bezzębne wydawały kwik jakiś niezrozumiały. Zielonawe, maleńkie oczy, bez rzęs, kaprawe, załzawione i krwią zabiegłe, miały wyraz złośliwy.

Kiedy Hipolita podała jej jałmużnę, ucałowała podane jej pieniądze. Potem, puszczając sznury, zdjęła z głowy łachman, który już nie miał ani kształtu, ani barwy, pochyliła się ku ziemi i powoli, z nadzwyczajną uwagą poczęła zawiązywać pieniądze w liczne węzły.

— Zmęczyłam się—rzekła Hipolita.—Siądźmy tutaj na chwilę.

Usiedli. Jerzy spostrzegł wówczas, że to miejsce sąsiadowało z wielkiem polem jałowcowem, na którem w ów majowy poranek pięć dziewcząt zbierało kwiaty dla usypania niemi drogi pięknej rzymiance. Ranek ten obecnie wydawał mu się już niesłychanie dalekim, zapadłym gdzieś w mgły senne. Przemówił:

— Czy widzisz tam ot te krzaki, niemal zupełnie odarte z kwiecia? Tam to właśnie napełnialiśmy kosze, żeby ukwiecić twoją drogę, w dzień twego przyjazdu... O, co to był za dzień! Pamiętasz?...

Uśmiechnęła się i w porywie nagłego rozrzewnienia, pochwyciła jego rękę, zatrzymując w uścisku swych dłoni; twarz oparła o ramię ko-

chanka, zatapiając się w uroku tego wspomnienia, tej samotności, tej ciszy, tej poezyi.

Od czasu do czasu, powiew wietrzyka przebiegał po wierzchołkach dębów; w dole zaś, nieco dalej, w szarawej zieleni drzew oliwnych, migotała od chwili do chwili, fala jasnego srebra. Niemowa oddalała się drobnym kroczkiem za pasącemi się owcami; i zdawało się, że swemi ślady pozostawia za sobą coś fantastycznego, niby odblask legend, w których czarownice zamieniały się w ropuchy na zakręcie ścieżek.

— Czyż nie jesteś teraz już szczęśliwym?— szepnęła Hipolita.

Jerzy myślał: „Przeminęły już dwa tygodnie od jej przyjazdu a we mnie nic się nie zmieniło dotąd. Zawsze tenże sam niepokój, też same obawy, toż samo niezadowolenie! Zaledwie rozpoczęliśmy to życie a ja już przewiduję jego koniec. Co robić, by się módz cieszyć chwilą obecną?“ Niektóre zdania jednego z listów Hipolity przyszły mu na pamięć: O, kiedyż danem mi będzie spędzać obok ciebie dni całe, żyć twojem życiem? Zobaczysz, nie będę ja już teraz tąż samą, dawną kobietą... Wypowiadać ci będę myśl moją każdą a ty wzajem podzielisz się każdą twoją ze mną. Będę twoją kochanką i przyjaciółką razem, twoją siostrą; a jeśli uznasz mnie godną tego, będę i twoją doradczynią... We mnie tyś znaleźć powinien słodycz i odpocznienie...

Będzie to życie miłości, jakiego nie widziano dotąd...

I myślał dalej: „Od dwóch tygodni życie nasze składa się z drobnych wydarzeń czysto materyalnych, w rodzaju tych, co dzisiejsze. To prawda: *już* w niej zaobserwowałem *inną kobietę!* Poczyna się zmieniać, nawet zewnętrznie. Nie do wiary, jak szybko przychodzi do zdrowia. Powiedziałbyś, że każde odetchnienie wychodzi jej na korzyść, że każdy owoc zamienia się u niej w krew natychmiast, że dobre to powietrze wnika w nią wszystkiemi porami. Stworzona była widocznie do tego istnienia bezczynnego, pełnego swobody, uciech fizycznych, bez troski. Do tej pory nie wyszło z ust jej ani jedno poważne słowo, które okazałoby, że dusza czemś jest zajętą. Ilekroć milczy lub siedzi nieruchoma, to z pewnością tylko dlatego, że muskuły jej są zmęczone, jak w tej chwili".

— O czem myślisz?—spytała nagle.

— O niczem. Jestem szczęśliwy.

Po chwili milczenia, podjęła znowu:

— Możebyśmy ztąd poszli?

Podnieśli się. Złożyła mu głośny pocałunek na ustach. Była ogromnie wesołą, nie mogła ustać na miejscu. Co chwila rozłączała się z nim i zbiegała szybko po jakiej pochyłości skał; a ilekroć chciała powstrzymać swój rozpęd. chwytała się za pień młodego dębczaka, który skrzypiał i giął się we dwoje pod tym naciskiem.

Zerwała lila kwiatek i poczęła go wysysać.

— Szczery miód!

Zerwała takiż sam drugi i podniosła go do warg kochanka.

— Skosztuj!

A po ruchu jej ust sądzić było można, że ona sama powtórnie rozkoszuje się tą słodyczą.

— Tyle tu kwiatów, tyle pszczół, że z pewnością ul musi być gdzieś w pobliżu — mówiła dalej. — Którego ranka, kiedy ty będziesz spał jeszcze, ja się puszczę na poszukiwanie tego ula... Przyniosę ci plaster miodu.

Paplała dość długo o tej wyprawie, która się jej uśmiechała bardzo; a w jej słowach, obok żywości rzeczywistego wrażenia, było coś ze świeżości poranka, z tajemniczości lasu, jakaś niecierpliwość poszukiwania, radość z odkrycia, jasność barwy i słodycz miodu.

Zatrzymali się nad wybrzeżem, na granicy części zadrzewionej, pociągani smętkiem, który szedł od morza.

Morze miało dziś delikatny koloryt, między zieloną a błękitną barwą; zieloność przeważała stopniowo zwolna; niebo zaś, o błękicie ołowianym u zenitu, porznięte obłoczkami tu i owdzie, nabierało różanych odblasków dołem, w kierunku Ortone. Ta jasność, odbijała się nieco bledszym odcieniem na powierzchni wód i przywodziła na myśl rozsypane listki róż opadłych, płynących na fali. Na tem tle morskiem, piętrzyły się har-

monijnemi stopniami naprzód dwa rozłożyste dęby o ciemnych konarach, potem oliwne drzewa srebrzyste, dalej drzewa figowe o żywym kolorycie liści i fioletowych gałęziach. Księżyc pomarańczowo-żółty, olbrzymi, prawie w pełni, występował na obręcz nieboskłonu, podobny do kryształowego globu, przez który prześwieca jakiś kraj fantastyczny, wyobrażony w płaskorzeźbie na tarczy z szczerego złota.

Z pobliża i z oddali dochodził świergot ptactwa. Słychać było ryk wołu; potem bek owiec; później znów płacz dziecka. Była chwila zupełnej ciszy, w której zamilkły wszystkie odgłosy; i nic już nie było słychać, prócz tego płaczu jedynie.

Była to skarga, nie gwałtowna i przerywana, ale piskliwa i bezustanna, niemal łagodna. I pociągała ona duszę, odrywała od czaru zapadającego zmierzchu po to, by przejąć dziwnem jakiemś udręczeniem odpowiadającem cierpieniu tej nieznanej istoty, tego niewidzialnego maleństwa.

— Słyszysz?—ozwała się Hipolita, której głos, zmieniony już współczuciem, mimowolnie stał się cichszym.—Wiem już co to za dziecko tak płacze.

— Ty to wiesz?—spytał Jerzy, który na dźwięk głosu i zmianę w rysach kochanki, dziwnie drgnął jakoś.

— Wiem.

Wciąż jeszcze miała wytężone ucho w stronę, z której dobiegał ten jęk płaczliwy, który teraz zdał się napełniać całą wioskę. I dodała:

— To dziecko ssane przez upiory...

Wymówiła te słowa bez cienia uśmiechu, jak gdyby sama wierzyła w ten zabobon.

— Mieszka ot tam, w tej ruderze. Kandya opowiadała mi o niem.

Po krótkiej chwili wahania, przez którą oboje wsłuchiwali się w płacz ten i w wyobraźni widzieli konającą dziecinę, Hipolita zaproponowała:

— A może poszlibyśmy je zobaczyć? To niedaleko ztąd.

Jerzy był niezdecydowany, obawiał się smutku tego widoku i zetknięcia z ludźmi, strapionymi a nieokrzesanymi.

— No, dobrze?—powtórzyła Hipolita, która nie mogła oprzeć się ciekawości —To tam, w tej ruderze, pod tą sosną. Znam dobrze drogę.

— Chodźmy!

Szła prosto przed siebie, przyśpieszając kroku przez pole, leżące na stoku góry. Milczeli oboje; cała ich uwaga skierowana była tylko na tę skargę dziecięcą, którą się kierowali. I za każdym krokiem niepokój ich wrastał, stawał się bardziej dojmującym, w miarę jak skarga była wyraźniejszą i malowała dokładniej to biedne, zbo-

lałe ciało bezkrwiste, z którego piersi wydzierał się ten jęk bólu.

Przeszli gaik pomarańczowych drzew wonnych, po których opadłem kwieciu, stąpały ich nogi. Na progu chaty sąsiadującej z tą, której szukali, siedziała kobieta niezmiernie otyła; a to potwornie rozrosłe ciało, nosiło głowę maleńką i okrągłą, o łagodnych oczach, białych zębach i spokojnym na ustach uśmiechu.

— Gdzie ty idziesz, pani? — spytała kobieta, nie podnosząc się z miejsca.

— Idziemy zobaczyć dziecko, ssane przez upiory.

— Po co? Zostań lepiej tutaj i odpocznij. Jeśli ci chodzi o dzieci i u mnie ich nie brak także. Patrzaj!

Troje, czy czworo dzieci nagich, z tak wielkiemi brzuchami, że można je było posądzić o wodną puchlinę, włóczyło się po ziemi, kwicząc, przewracając się i niosąc do ust wszystko, co im wpadło pod rękę. A kobieta trzymała na ręku jeszcze piąte dziecko, całe pokryte brunatnemi strupami, z pośród których wychylały się wielkie oczy przeczyste i lazurowe, podobne do cudnej piękności kwiatów.

— Widzisz sama, że i mnie ich nie braknie a najmłodsze jeszcze w dodatku jest chore. Zatrzymaj się więc tutaj u nas trochę.

Uśmiechała się, oczyma wzywając wspaniałomyślności obcej pani. I z wyrazem, w którym odgadnąć było można pragnienie zniechęcenia cie-

kawych gości, za pomocą niejasnej wzmianki o niebezpieczeństwie:

— Po co ci tam iść?—powtarzała.—Patrz jakie to jest chore.

I znów ukazywała nieszczęsne dziecko, nie udając jednak boleści, jak gdyby po prostu tylko przedstawiała przybyłej przedmiot godzien litości, bliższy, w zamian za inny, bardziej oddalony, jak gdyby chciała powiedzieć: „Ponieważ czujesz potrzebę litowania się, bądź litościwą względem tego, które masz przed sobą“.

Jerzy przypatrywał się z wielką przykrością tej biednej twarzyczce oszpeconej, w której wielkie oczy czyste i jasne, jak się zdało, brały w siebie całe światło rozlane wśród tego czerwcowego wieczora.

— Co mu jest?—spytał matki.

— Eh, panie, któżby to wiedział kiedy?—odparła otyła kobieta, zawsze z tymże samym niezmąconym spokojem. — Jest mu, czem się Bogu podobało je nawiedzić.

Hipolita obdarzyła ją jałmużną, poczem zwrócili się do drugiej rudery, unosząc z sobą wyziew mdlący, co się wydzielał z tych drzwi pełnych cienia.

Nie mówili nic z sobą. Serca ich ściskały się, na usta występował niesmak, nogi uginały się pod nimi. Słyszeli wciąż piskliwy płacz, zmięszany z innemi głosami, z innemi dźwiękami i dziwili się, że mogli z tak daleka słyszeć ten

jeden głos wyłącznie i tak wyraźnie jeszcze. Co wszakże pociągnęło ich oczy, to sosna wysoka i prosta, której pień silny, odcinał się na tle rozlanego światła zachodu, wznosząc w górę wierzchołek melodyjny od świergotu wróbli, co go obsiadły tłumnie.

Za ich nadejściem, szept pobiegł wśród kobiet, zebranych dokoła nieszczęśliwej ofiary.

— To ci państwo obcy, co mieszkają u Kandyi!

— Przyjdźcie, przyjdźcie!

I kobiety, stojące zwartem kołem, rozstąpiły się, dając przystęp przybyłym. Jedna z nich, stara, o pomarszczonej skórze i cerze ziemistej, o zamglonych bez wyrazu oczach, białawych i szklistych w głębi zaklęsłych orbitów, rzekła zwracając się do Hipolity i dotykając jej ramienia.

— Patrzaj, pani, patrzaj! Upiory tak wysysają to biedne stworzenie! Patrz do jakiego doprowadziły je stanu! Niechaj Bóg strzeże twoich dzieci!

Głos jej tak był suchy, że wydawał się sztucznym i przypominał dźwięki, wydawane przez automaty.

— Przeżegnaj się pani! — dodała jeszcze.

A ostrzeżenie to dziwnie jakoś brzmiało ponuro w tych ustach bez warg, w których głos utracał ludzki swój charakter i stawał się jakąś

rzeczą martwą. Hipolita zrobiła znak krzyża i popatrzyła na swego towarzysza.

Na dworze, przed drzwiami rudery, kobiety ustawiły się kołem, niby dokoła jakiegoś widowiska, od czasu do czasu tylko dając jaki znak ubolewania. I koło to zmieniało się bez przerwy: jedne, zmęczone już przypatrywaniem się, odchodziły; inne przybywały znów z domów sąsiednich. A wszystkie niemal, na widok tej powolnej śmierci, powtarzały też same niemal gesty, też same słowa.

Dziecko spoczywało w kołysce sosnowej nieheblowanej, podobnej do trumienki bez wieka. Nieszczęśliwe stworzenie, nagie, wątłe, wychudłe, zielonkowate, płakało bezprzestannie, poruszając bezsilnemi rękami i nóżkami, na których nic już nie było, prócz skóry i kości, jakby przyzywało pomocy. Matka zaś, siedząca w nogach łóżeczka, zwinięta w kłębek, tak że głową dotykała kolan, zdawała się nic nie słyszeć zupełnie. Rzekłbyś, że jakiś ciężar straszliwy przywalił jej kark i niedozwala się wyprostować. Chwilami, machinalnym ruchem kładła na brzeg kolebki ciężką, namuloną, spaloną od słońca rękę; i poczynała kołysać, nie zmieniając pozycyi, nie przerywając milczenia. A wtedy święte obrazki, talizmany i relikwie, któremi sosnowa kołyska była niemal w zupełności pokryta, chwiały się i szczękały w czasie jakiejś przerwy w płaczu dziecka.

— Liberato! Liberato! — zawołała jedna z kobiet wstrząsając ją za ramię. — Patrzaj Liberato! Pani przyszła; pani jest w twoim domu. Patrzaj!

Matka podniosła czoło powolnie i obejrzała się dokoła błędnym wzrokiem; potem utkwiła w odwiedzającej oczy suche i martwe, w głębi których mniej było boleści i znużenia, niż trwogi ponurej: tego lęku przed jakimś czarem tajemniczym, przeciw któremu żaden egzorcyzm nie poradzi, obawy przed temi istotami nienasyconemi, które zawładnęły teraz jej domem i które nie opuszczą go może, aż dopiero wraz z ostatnim trupem.

— Mówże, mów! — nastawała jedna z kobiet, potrząsając ją znów za ramię. — Mów! Powiedz pani, żeby cię posłała do cudownej Madonny.

Inne otoczyły Hipolitę, zanosząc chórem błagania.

— O, tak, pani, ulituj się nad nią, zrób jej tę łaskę! Poślij ją do Madonny! Poślij ją do Madonny.

Dziecko płakało mocniej. Na wierzchołku wielkiej sosny wróble ćwierkały przeraźliwie. W pobliżu, między bezkształtnemi pniami drzew oliwnych, pies naszczekiwał głośno. Księżyc poczynał rysować na drodze cienie.

— Owszem—wybąknęła Hipolita, niezdolna dłużej już wytrzymać nieruchomego wzroku ponurej matki.—Tak, tak, poślemy je... jutro...

— Nie, jutro nie; w sobotę pani.

— W sobotę, to wigilia.

— Każ jej kupić gromnicę.

— Piękną gromnicę.

— Grubą na jakie dziesięć funtów przynajmniej.

— Słyszysz, Liberato? Słyszysz?

— Pani cię pośle do cudownej Madonny.

— Madonna ulituje się nad tobą.

— Mówże, mów!

— Ona zaniemiała, proszę pani.

— Od trzech dni nic już nie mówi.

Pośród zmięszanych krzyków kobiet, dziecko płakało coraz mocniej.

— Słyszysz, jak to maleństwo płacze?

— Zawsze tak płacze, jeszcze bardziej skoro noc zapada.

— Może już *jeden* przychodzi...

— Może dziecko już go *zobaczyło*...

— Przeżegnaj się, signora.

— Noc zapada.

— Czy słyszysz jak okropnie płacze?

— Przysiągłbyś, że to dzwon gdzieś dzwoni.

— Nie; ztąd go nie słychać.

— Cicho!

— Ztąd go nie słychać.

— Ja słyszę.

— Ja słyszę także.

— *Zdrowaś Maryo!*

Umilkły wszystkie, przeżegnały się i pochyliły głowy. Zdawało się, że kilka fal głębokich tonów dobiegło z oddalonego miasteczka, zaledwie dosłyszalnych; ale płacz dziecka niedopuszczał, by je dosłyszało natężone ucho. I raz jeszcze nic nie było słychać prócz tej żałosnej skargi. Matka upadła na kolana w nogach kołyski, pochylona aż do ziemi. Hipolita schylona, modliła się gorąco.

— Patrzaj, tam, w otworze drzwi — szepnęła jedna z kobiet swej sąsiadce.

Jerzy, baczny i zaniepokojony, odwrócił głowę. Framuga drzwi pełną była cienia.

— Patrzaj, tam, we drzwiach. Nic nie widzisz?

— Tak, widzę—odpowiedziała druga, niepewna, nieco stropiona.

— Co to? Co tam widać? — spytała trzecia.

— Co widać? — pytała czwarta.

— Co widać?

Nagle ciekawość i przestrach ogarnął je wszyskie. Poglądały ku drzwiom. Dziecko wciąż płakało. Matka podniosła się i poczęła również wpatrywać się rozszerzonemi oczyma w te drzwi, którym ciemność dodawała tajemniczości. Pies szczekał w oliwnych zaroślach.

— Co to? — spytał Jerzy głośno, nie bez pewnego wysiłku wszakże, sam bronił się od trwogi, co ogarniała jego wyobraźnię. — Co tam widzicie?

Żadna z kobiet nie śmiała odpowiedzieć. Wszystkie w cieniu widziały błyszczącą jakąś postać, niepochwytnych kształtów.

Wtedy postąpił ku drzwiom. Kiedy przeszedł próg, gorąco szalone i wyziew wstrętny zatamowały mu oddech. Odwrócił się i wyszedł.

— To kosa—rzekł.

W samej rzeczy była to zawieszona na ścianie kosa.

— Ach, kosa...

I głosy ozwały się znowu:

— Liberato! Liberato!

— Czyś ty zwaryowała?

— Zwaryowała.

— Noc zapada. Idziemy.

— Dziecko już nie płacze.

— Biedne stworzenie! Zasnęło?

— Nie płacze już.

— Teraz wsuńcież kołyskę; wieczór wilgotny. Pomożemy ci, Liberato.

— Biedne stworzenie! Czy śpi?

— Powiedziałbyś, że to mały trupek. Nie rusza się wcale.

— Wnieśże do domu kołyskę. Czy słyszysz nas, Liberato?

— Ona zwaryowała.

— Gdzie lampa? Józef powróci. Nie masz lampy? Józef powróci z wapniarni.

— Ona zwaryowała widocznie. Nie mówi nic już.

— No, idźmyż. Dobranoc.

— Biedna udręczona dziecina. Czy też śpi?

— Śpi, śpi... Już przestało cierpieć przynajmniej.

— O, Panie Jezu, ocal je!

— Miej nas w swojej opiece, Boże!

— Adieu, adieu! Dobranoc.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

III.

Pies szczekał wciąż w gaju oliwnym, gdy tymczasem Jerzy i Hipolita powracali ścieżką ku domowi Kandyi. Kiedy zwierzę poznało mieszkańców domu, umilkło i w podskokach wybiegło na ich spotkanie.

— Patrzaj, to Giardino! — zawołała Hipolita i pochyliła się, by popieścić poczciwe zwierzę, które już polubiła. — On nas wołał. Już też późno.

Księżyc wśród ciszy wznosił się coraz wyżej, powoli, poprzedzany falą światła, która zalewała stopniowo cały lazur. Wszystkie ogłosy wioski zasypiały pod tą pogodną jasnością. I to niespodziewane ustanie wszystkich odgłosów, wydało się nadnaturalnem niemal Jerzemu, którego niewytłomaczony przestrach czynił dziwnie czujnym.

— Zatrzymaj się na chwilę—rzekł, przytrzymując Hipolitę.

I począł nasłuchiwać.

— Czego tak słuchasz?

— Wydawało mi się...

I oboje obejrzeli się po za siebie, w stronę płaszczyzny, którą przed ich wzrokiem zasłaniały drzewa oliwne.

Ale nic nie było słychać prócz równego, kołyszącego rytmu morza w wygięciu zatoki. Nad ich głowami świersz przeszył powietrze zgrzytem podobnym do tego, jaki wydaje dyament posuwający się po tafli szklanej.

— Czy ty sądzisz, że to dziecko umarło?— spytał Jerzy, nie mogąc ukryć swego wzruszenia.—Przestało płakać.

— To prawda!—ozwała się Hipolita.—I ty sądzisz, że umarło?

Jerzy nie odpowiedział nic. Puścili się napowrót w drogę pod srebrzystemi drzewy oliwnego gaju.

— Czyś ty się dobrze przypatrzyła matce?— spytał jeszcze po chwili milczenia; widocznie prześladował go cały ten ponury obraz.

— Boże mój! Boże!

— A ta stara, co cię trąciła w łokieć.. Co to za głos, jakie oczy!

Słowa te zdradzały szczególniejsze przerażenie, które nim owładło, jak gdyby ten widok rzeczywisty odsłonił przed jego umysłem okropne jakieś, nieznane mu dotąd rzeczy, jak gdyby życie nagle przedstawiło mu się z jakiejś swej strony tajemniczej i straszliwej, raniąc go i znacząc niezmazanym stygmatem.

— Wiesz, kiedy wszedłem do tej chaty, na na ziemi, za drzwiami, leżało jakieś zdechłe zwierzę, które musiało już być nawpół zgniłem... Wyziew był taki, że niepodobna było oddychać.

— Co ty mówisz?

— Był to kot czy pies. Nie zdołałem rozróżnić... Trudno było wogóle rozróżnić coś w tej ciemności.

— Jesteś tego pewien.

— Tak, tak. Bez wszelkiego wątpienia leżało tam jakieś martwe zwierzę... Ten wyziew...

Pod wrażeniem budzącego się w nim wspomnienia, wstrząsnął się cały z obrzydzenia.

— Ale z jakiej przyczyny? — pytała Hipolita, która czuła jak i jej udziela się wrażenie strachu i obrzydzenia.

— Alboż wiedzieć można?

Pies zaszczekał, jakby zawiadamiając. Przybyli już do domu. Kandya czekała na nich i stół pod dębem był już przygotowany.

— Jakże powracasz dziś późno, signora! — zawołała uprzejma gospodyni z uśmiechem. — Zkąd przychodzisz? Co mi dasz za to, jeśli zgadnę?... Nieprawdaż, że poszłaś zobaczyć dziecko Liberaty Mannella... Niech nas Bóg strzeże od złego ducha!

Kiedy kochankowie zasiedli już do stołu, podeszła zaciekawiona, by ich wypytać o wszystko.

— Widziałaś je pani? Nie może przyjść do siebie, nie powraca do zdrowia. A przecież ojciec i matka zrobili wszystko, by je ocalić.

Czego też bo nie robili! Kandya opowiedziała o wszystkich próbowanych sposobach, wszystkich egzorcyzmach. Przychodził ksiądz i pokrywszy głowę dziecka brzegiem swej stuły, odmawiał nad nim słowa z Ewangelii. Matka zawiesiła nadedrzwiami krzyż z wosku, poświęcany w dzień Wniebowstąpienia; pokropiła święconą wodą zawiasy drzwi i odmawiała na cały głos „Wierzę w Boga“, trzy razy po sobie; włożyła garść soli w kawałek płótna, które następnie zawiązała i zawiesiła na szyi umierającego syna. Ojciec *odbył siedem nocy:* przez siedem następujących po sobie nocy czuwał w ciemnościach przed latarką zapaloną i nakrytą rondlem, bacznie śledząc szmer każdy, gotów w każdej chwili pochwycić i zabić upiora. Jedno jedyne ukłucie szpilką wystarczyłoby, by go uczynić widzialnym dla oczu ludzkich. Ale te siedem nocy czuwanych przeszły bez rezultatu! Dziecko chudło i trawiło się bez ratunku z każdą niemal godziną. Nakoniec, za poradą jakiejś czarownicy, ojciec zabił psa i zwłoki jego położył za drzwiami. Tym sposobem upiór nie może wejść, dopóki nie porachuje wszystkich włosów szerści zdechłego zwierzęcia...

— Słyszysz?—rzekł Jerzy do Hipolity.

Nie jedli już; serce ścisnęło im się litością na widok nagły tych mar dzikiego i ciemnego życia, co otaczało bezpotrzebną ich miłość.

— Niech Bóg nas strzeże od złego ducha!— powtórzyła Kandya i pobożnie, dłonią rozwartej ręki, dotknęła łona, które nosiło owoc żywy.— Niech Bóg strzeże twych dzieci, signora!

Potem dodała:

— Nic nie jesz dziś wieczór. Nie masz apetytu. Ta niewinna duszyczka zasmuciła ci serce. I twój mąż także nic nie je. Patrzaj.

Hipolita zagadnęła.

— Czy wiele ich umiera... tak samo?

— O—odparła Kandya—zła to okolica. Przeklęte plemię tu się mnoży. Nigdy tu człowiek nie jest bezpieczny. Niech nas Bóg strzeże od złego ducha!

Powtarzała wciąż zaklęcie, potem dodała, ukazując stojący na stole półmisek:

— Widzisz te ryby? Pochodzą z Trabocco przyniósł je nam Turchino...

I zniżyła głos.

— Czy wiesz, od roku blizko Turchino wraz z całą swoją rodziną zostaje pod władzą złego ducha, od którego nie mógł się dotąd uwolnić.

— Kto to jest ten Turchino? — spytał Jerzy, którego wzrok zawisł na ustach młodej kobiety, podrażniony tajemniczością wszystkich tych historyj.—Czy to ten człowiek z Trabocco?

I przypomniał sobie tę twarz ziemistą, niemal bez podbródka, niewiele większą od pięści, z wielkim nosem sterczącym i spiczastym jak pysk szczupaka, między parą małych oczy połyskujących.

— Tak, panie. Patrzaj sam. Jeśli masz dobry wzrok, możesz go dojrzeć. Tej nocy łowi on ryby przy świetle księżyca.

I Kandya wskazała na czarniawych rafach wielką maszynę rybacką, to zbiorowisko pni odartych z kory, desek i lin okrętowych, których białość dziwna podobną była z daleka do olbrzymiego szkieletu, jakiegoś płazu przedpotopowego. W spokojnem powietrzu słychać było zgrzyt windy. Ponieważ przypływ był nieznaczny i skały odkryte, woń morskich porostów przeważała na wybrzeżu mocniejsza i świeższa, niż wyziewy urodzajnych wzgórzy.

Hipolita wciągała z lubością ten zapach upajający, przejęta już całkowicie tem silnem wrażeniem, od którego drżały jej nozdrza i przymykały się nawpół powieki. Poszepnęła:

— Och, co za rozkosz! Nie czujesz, Jerzy?

On uważnie słuchał słów Kandyi i w wyobraźni widział niemy dramat rozgrywający się na morzu. Widmom, wywołanym przez tę naiwną kobietę wśród pogodnej nocy, dusza jego skłonna do tajemniczości i z natury zabobonna, użyczała

życia i tragicznej grozy bez granic. Po raz pierwszy zajrzał on przelotnie w życie tej rasy, nieznanej dlań dotąd, całego tego ludu nędznego, pełnego instynktów zwierzęcych i zwierzęcych boleści, zgiętego i pocącego się nad glebą lub zakopanego w głębi chat, pod ustawiczną groźbą jakichś potęg tajemniczych. Między uroczem bogactwem ziemi, które wybrał na tło dla swej miłości, odkrywał gwałtowne burzenie się ludzkiego żywiołu; i sprawiało mu to takie wrażenie, jakby nagle odkrył rojące się robactwo wśród bogatych, wspaniałych zwojów włosów namaszczonych wonnościami. Doznawał tegoż samego dreszczu, który go przejmował już poprzednio przy zetknięciu się z życiem, brutalnie mu się odsłaniającem tak niedawno, na widok swych najbliższych, ojca, brata, biednej żarłocznej dewotki. Nagle przestał się czuć sam z swą kochanką pośród ubłogosławionych istot roślinnego świata, pod których korą, zdało mu się kiedyś, że dopatruje się myśli. Poczuł się wprost przeciwnie otoczonym i jakby naciskanym przez tłum nieznany, który nosząc w sobie tę samą żywotność, jaką mają pnie drzew, ślepą, uporną i niezmienną, spowinowacony z nim był związkami gatunku i mógł mu udzielić bezpośrednio swego cierpienia jednem spojrzeniem, gestem, westchnieniem, łkaniem, jękiem, okrzykiem.

— Oh, zła to okolica! — powtarzała Kandya

wstrząsając głową. — Ale Mesyasz z Chapelles przyjdzie niebawem oczyści ziemię.. [1])

— Mesyasz?

— Ojcze — zawołała Kandya, zwracając się w stronę domu—kiedy to ma przyjść Mesyasz?

Stary ukazał się na progu.

— W tych dniach już—odpowiedział.

I zwracając się ku wybrzeżom, kąpiącym się w półświetle księżyca, co się gubiły gdzieś aż ku Otrone, gestem zaznaczył tajemniczość tego nowego wybawcy, w którego lud wioskowy wierzył i w którym pokładał całą nadzieję.

— W tych dniach już. Niezadługo.

I stary, którego brała ochota pogawędki, zbliżył się do stołu, popatrzał na swego gościa z niepewnym uśmiechem i spytał:

— Ty nie wiesz, co to za jeden?

— To może Symplicyusz—rzekł Jerzy, w którego pamięci budziło się niejasne i oddalone wspomnienie tego Symplicyusza z Sulmone, który wpadał w ekstazę, oczy utkwiwszy w słońcu.

— Nie signore — *Sembri* umarł. Nowym Mesyaszem jest Orestes z Chapelles.

I starzec jednoki gorącemi słowy począł kre-

---

[1]) Epizod o Mesyaszu z Chapelles jest historycznym. Orestes de Amicis, urodzony w Chapelles 1824 r., odgrywa istotnie tę rolę, jaką mu naznaczył powieściopisarz; zmarł on 1889 r. Antonio de Nino zebrał i wydał ciekawe dokumenty, dotyczące tej osobistości.

ślić w barwnych obrazach świeżo obiegającą legendę, taką, jaka się urobiła w wierze ludności wiejskiej.

Orestes, będąc braciszkiem u kapucynów, zapoznał się z Symplicyuszem w Sulmone i nabył od niego sztuki czytania przyszłych rzeczy w tarczy wschodzącego słońca. Potem rozpoczął obiegać świat; poszedł do Rzymu i mówił tam z papieżem; w innym znów kraju rozmawiał z którymś królem. Powróciwszy do Chapelles, swej ojczyzny, przebył siedm lat na cmentarzu w towarzystwie kościotrupów, nosząc włosienicę i biczując się dnie i noce dyscypliną. Kazał on w parafialnym kościele i wzruszał do łez grzeszników. Potem odjechał znów na pielgrzymkę do wszystkich miejsc świętych; przez trzydzieści dni był na górze w Ankonie, dwanaście dni pozostawał na górze św. Bernarda; wdarł się na najwyższe szczyty, gołą głowę wystawiając na śniegi i zamiecie. Powróciwszy następnie do Chapelles znów rozpoczął swe kazania w tamecznym kościele. Wkrótce potem wszakże prześladowany, wygnany przez swych wrogów, schronił się na Korsykę i tam stał się apostołem, postanowił przebiegać całe Włochy i zapisywać krwią swoją na drzwiach każdej willi imię przeczystej Dziewicy. Jako apostoł powrócił do swego kraju, oznajmiając, że zobaczył gwiazdę w pośrodku gęstwy drzew i od niej otrzymał „słowo“. I nakoniec, z natchnienia Ojca

Przedwiecznego, przybrał wielkie imię Nowego Mesyasza.

Pielgrzymował teraz po wsiach, przebrany w czerwoną tunikę i płaszcz błękitny, z długiemi, spływającemi na ramiona włosami i z brodą przyciętą po nazareńsku. Apostołowie jego towarzyszyli mu; byli to ludzie, co porzucili motyki i pługi, by się poświęcić dla tryumfu nowej wiary. W Pantaleonie Donadio odżył duch świętego Mateusza; w Antonim Secamiglio odżył duch świętego Piotra; w Józefie Scurti duch Maksymina; w Maryi Klarze duch świętej Elżbiety. A Wincenty de Giambattista, który reprezentował Michała Archanioła, był poprzednikiem Mesyasza.

Wszyscy ci ludzie poprzednio uprawiali rolę, żęli zboże, hodowali winnice, wyciskali oliwki, prowadzili bydło na jarmarki i targowali się o jego cenę; prowadzili żonę do ołtarza i płodzili dzieci i patrzyli jak dzieci te rosły, rozwijały się i umierały; słowem pędzili życie wspólne wieśniakom, pośród równych sobie. A teraz szli śladami Mesyasza, uważani za jakieś uświęcone postacie przez tychże samych ludzi, z którymi, poprzedniego tygodnia jeszcze, spierali się o wagę pszenicy. Szli teraz przetworzeni, współuczestniczący w świętem powołaniu Oresta, przyobleczeni jego łaską. Czy to w polu, czy w domu posłyszeli *głos*, poczuli, że duchy czyste wstępują nagle w grzeszne ich ciała. Duch świętego Jana przebywał w Józefie Coppa; świętego Zacharyasza

w Paskalu Basilice. I kobiety otrzymywały również znaki. Jedna kobieta z Senegallia, żona niejakiego Augustinone, krawca z Chapelles, zapragnęła, by dowieść Mesyaszowi zapału swej wiary, wznowić ofiarę Abrahama, podpalając siennik, na którym spały jej dzieci. Inne kobiety innym znów poddawały się próbom.

I wybraniec pielgrzymował teraz po wsiach z orszakiem swoich apostołów i Magdalen. Z najodleglejszych okolic, z wybrzeży i gór tłumy biegły na jego spotkanie. O świcie, kiedy ukazywał się na progu domu, gdzie zamieszkał; widział zawsze gęstą ciżbę, na klęczkach go oczekującą. Wyprostowany we drzwiach siał *słowo*, słuchał spowiedzi, rozdzielał komunię w odłamkach chleba. Na swój pokarm używał jaj, przyprawionych bzowym kwiatem lub łebkami dzikich szparagów; jadał także jakąś miksturę z miodu, orzechów i migdałów, którą nazywał *manną* przez pamięć dla manny z pustyni.

Cudów jego niepodobna już było zliczyć. Przez prostą własność wielkiego, wskazującego i średniego palca, wzniesionych w górę, wyzwalał opętanych, leczył chorych, wskrzesał umarłych. Jeśli kto szedł się go radzić, nie pozostawiał mu czasu nawet na otwarcie ust a sam wymieniał mu natychmiast imiona wszystkich jego krewnych, przytaczał wszystkie interesy rodzinne, odsłaniał największe jego tajemnice. Uwiadamiał także o losie dusz zmarłych; wskazywał miejsca, gdzie by-

ły ukryte skarby; za pomocą pewnego rodzaju szkaplerzy trójkątnego kształtu, wypędzał z serc smutki.

— To Chrystus, co powrócił na ziemię—zakonkludował Cola Sciampagne gorąco, z akcentem wiary serdecznej. — I w nasze strony on przyjdzie. Czy nie widziałeś, jak zboża wyrosły wysoko? Czy nie widzisz, jak rozkwitły oliwne drzewa? Czy nie widzisz, jak winna latorośl obficie pokryła się gronami?

Pełen poszanowania dla wiary starca, Jerzy spytał poważnie:

— A w tej chwili, gdzież on jest?

— Teraz jest w Piomba—odpowiedział stary.

I wskazał na wybrzeża oddalone, gdzieś po za Ortone jeszcze, wywołując w umyśle swego gościa wizyę tego zakątka prowincyi Teramo, kąpiącej się w falach morskich; wizyę niemal mityczną ziem urodzajnych, zroszonych krętemi rzeczkami, gdzie wśród wieczystego drżenia topoli sączyły się strumienie wód po wygładzonem, żwirowem łożysku.

Po chwili milczenia, Cola podjął znowu:

— W Piomba jedno słowo wystarczyło mu, by powstrzymać pociąg w biegu na żelaznej drodze! Mój syn to widział. Nieprawdaż, Kandyo, że Vito opowiadał nam o tem?

Kandya przyświadczyła słowom starca i opowiedziała szczegóły spełnionego cudu. Mesyasz, okryty czerwoną tuniką, wyszedł naprzeciw pę-

dzącego pociągu i szedł najspokojniej między dwoma szynami.

Mówiąc, tak Kandya jak starzec zwracali wciąż spojrzenia i giesty w dal, jak gdyby uświęcona osoba przybywającego była już widzialną dla nich.

— Słuchaj!—przerwała Hipolita, pociągając za ramię Jerzego, który zatapiał się coraz bardziej w wewnętrznym jakimś widoku, coraz dlań wyraźniejszym.—Nie słyszałeś nic?

Podniosła się, przeszła dziedziniec i przystąpiła do balustrady pod akacyami. On szedł za nią; przysłuchiwali się oboje.

— To procesya, w której idą pielgrzymi do Madonny z Casalbordino—objaśniła Kandya.

W spokoju księżycowego światła śpiew nabożny płynął powolnym i jednotonnym rytmem, z kolejnem następstwem głosów męzkich lub kobiecych, w równych odstępach. Jedna połowa chóru śpiewała strofkę głosem poważnym; druga powtarzała donośniejszemi tony refren, przeciągając dowolnie kadencyę. I brzmiało to z daleka tak, jak zbliżanie się fali, wznoszącej się i opadającej bez przerwy.

Procesya zbliżała się z szybkością, wprost przeciwną powolności rytmu. Już pierwsi pielgrzymi ukazywali się na zakręcie ścieżki, w pobliżu pomostu Trabucca.

— Już idą!—zawołała Hipolita, wzruszona no-

wością tego, co widziała i co słyszała.—Już idą! A jakże liczni!

Szli zbitą masą. I przeciwieństwo pochodu ze śpiewem tak dziwny stanowiło obraz, że nadawało im pozór niemal fantastyczny. Zdawało się, że jakaś nadprzyrodzona siła popycha ich naprzód, bezwiednie, ku zamierzonemu celowi, kiedy tymczasem słowa, co z ust ich wybiegały, pozostają zawieszone w świetlanem powietrzu i falują wciąż w niem po ich przejściu jeszcze.

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

Przeszli z ciężkim tupotem i przenikliwym wyziewem trzody, tak zwarci, ściśnieni między sobą, że z pośród zlanej tej masy nic nie wystawało, prócz wysokich kijów, w kształcie krzyża. Mężczyźni szli przodem, kobiety z tyłu, liczniejsze z migotaniem klejnotów pod białemi opaskami.

Niech żyje Marya!
Niech żyje Jej Stwórca!

Zbliska, za każdym początkiem zwrotki, śpiew ich miał w sobie gwałtowność krzyku; później słabnął, zdradzając znużenie, pokonywane wysiłkiem bezprzestannym i jednomyślnym; w każdej połowie chóru, głos jeden, mocniejszy nad inne, wybijał się i przewodniczył. I głos ten nietylko przy zaintowaniu wznosił się ponad inne, ale często pośród płynącej fali śpiewu utrzymywał się donośniejszy nad inne i dający się rozeznać dokładnie, przez cały ciąg trwania strofy, lub po-

wtarzanej zwrotki, zaznaczając jakby duszę jakąś wybitniejszą, panującą między zacierającym się, niewyraźnym, szarym tłumem.

Jerzy zauważył głos ten i ścigał go uchem, stopniowo ginący w oddaleniu, dopóki tylko mógł go rozeznać. Wzmagało to w nim poczucie mistycznej potęgi, będące rdzenną podstawą wielkiej rasy krajowców, z której i on wyszedł.

Procesya zniknęła po za nadbrzeżnem wzgórzem; potem ukazała się znowu na szczycie przedgórzy w świetle; następnie zniknęła ponownie. I śpiew, poprzez dal nocną cichł, słabnął, łagodniał, stawał się tak leciuchnym, że jednostajny i powolny plusk spokojnego morza zagłuszał go niemal.

Siedząc na balustradzie, z plecami opartemi o pień akacyi, Hipolita milczała, nieporuszona, nie śmiejąc mącić religijnego skupienia, w którem zdał się pogrążonym jej kochanek.

Cóż więcej mogłoby odsłonić Jerzemu światło najjaśniejszego słońca nad to, co mu odkrywał ten śpiew prosty, płynący w nocnej ciszy? Wszystkie rozproszone obrazy, świeże i dawne, te, co drgały jeszcze w żywem wrażeniu, które z nich wzięło początek, i te, co leżały pogrzebane pod najgłębszemi pokładami jego pamięci; wszystkie łączyły się z sobą i tworzyły dlań obraz idealny, który przewyższał najbujniejszą, najwspanialszą rzeczywistość. Ziemia jego i lud tej ziemi wydały mu się przeobrażonemi, wzniesionemi

gdzieś ponad miarę czasu, w jakiejś legendowej, potwornej może, ciężkiej postaci wszystkich rzeczy tajemniczych, wieczystych, bez imienia. Góra, podobna do olbrzymiego pnia, wznosiła się wpośrodku, pokryta wiekuistemi śniegami; a wybrzeża wykrojone w półkole, przedgórza, okryte oliwnemi drzewami, kąpały się w falach morza, kapryśnego a smutnego, na którem żagle przybierały żałobne i płomienne barwy. Drogi szerokie niby rzeki, zieleniejące trawą i posiane nagiemi skałami z olbrzymiemi śladami, posianemi tu i owdzie, spuszczały się z wyżyn, wiodąc ku dolinom wędrujące gromady. Obrządki religij zamarłych i zapomnianych przetrwały wśród nich; godła niezrozumiałe potęg, w proch rozsypanych przed wiekami, tu istniały nietykalne; zwyczaje ludów pierwotnych i zanikłych tu się przechowały, przekazywane bez odmiany z generacyi na generacyę; mody bogate, dziwaczne i bezpotrzebne, pozostały tutaj, jako świadectwo szlachetności i piękna życia poprzedniego. Długie szeregi koni, objuczonych pszenicą, przechodziły tędy, a pobożni jechali konno, z głowami uwieńczonemi w kłosy, z naręczami ciast i składali u stóp jakiegoś posągu ofiary zbożowe. Młode dziewczęta z koszami zboża na głowach, prowadziły temi drogami oślicę, niosącą na grzbiecie kosz większy i składając ofiary, szły przed ołtarz ze śpiewem. Mężczyźni i chłopcy, uwieńczeni różami i czerwonemi jagodami, odbywali pielgrzymkę do

skały, na której miał być odciśnięty ślad stopy Samsona. Biały wół, tuczony od roku obfitą paszą, okryty kapą różową, na którym siedzi dziecko, postępował pompatycznie między szeregami chorągwi i świec zapalonych, przyklękał na progu świątyni, wśród oklasków i radosnych okrzyków ludu; potem, doszedłszy do środka nawy, pozostawiał tu swe ekskrementa, a pobożni z tej dymiącej materyi wyciągali wnioski i przepowiednie rolnicze. W czasie świąt ludność nadrzeczna wieńczyła sobie głowy kwiatem przestępu i nocą przechodziła przez wodę ze śpiewami i muzyką, niosąc w rękach gałęzie. O świcie na łąkach dziewice myły sobie ręce, nogi i twarze w świeżej rosie, dopełniając przez to uczynionego ślubu. Na górach, w dolinach pierwsze wiosenne słońce witane było hymnami starożytnemi, szczękiem i biciem w metalowe narzędzia, okrzykami i tańcami. Wszędzie w wioskach mężczyźni, kobiety i dzieci szukali pierwszych wężów, zbudzonych z zimowego letargu, chwytali żywe i okręcali sobie niemi szyje i ramiona, by w tym przystroju przedstawić się swemu świętemu, który w nagrodę chronił ich od ugryzień jadowitych. Na pochyłości wzgórz słonecznych młodzi oracze pługiem zaprzężonym w parę wołów, w obecności starców wioskowych, stawali do wyścigu, kto zaznaczy prostszą bruzdę od stoku aż na dolinę; a sędziowie przyznawali nagrodę zwycięzcy, ojciec zaś ze łzami otwierał ramiona zasłużonemu

synowi. I tak to we wszystkich ceremoniach, we wszystkich obchodach, pracach, zabawach, czy to podczas urodzin, w miłości, przy weselach, podczas pogrzebów—wszędzie obecnym był i widocznym jakiś symbol ziemiański, wszędzie była reprezentowaną i czczoną ta wielka rodzicielka Ziemia, z której łona wytryskały potoki wszelkiego dobra i wszelkiej szczęśliwości. Kobiety rodziny zbierały się w domu nowozamężnej, niosąc na głowach kosze pszenicy, na pszenicy zaś leżał bochen chleba, na chlebie kwiatek; wchodziły pojedynczo jedna po drugiej i sypały po garści tego ziarna wieszczego na włosy szczęśliwej małżonki. W nogach łoża umierającego, kiedy przedłużało się konanie, dwóch pokrewnych składało lemiesz od pługa, który miał tę własność, że przerywał konanie lub śmierć przyśpieszał. Narzędzia i owoc nabierały tym sposobem znaczenia i jakiejś potęgi wyższej. Głębokie uczucie i bezustanna potrzeba tajemniczości, nadawała wszystkim otaczającym rzeczom duszę działającą, błogosławioną lub złowrogą, dobrej lub złej wróżby, która brała udział w każdej zmianie losu, przez czyn jawny lub tajemniczy. Listek parzący, przyłożony do obnażonego ramienia, wyrokował o miłości lub obojętności; łańcuch z ogniska, rzucony na drogę, miał władzę zażegnywania uraganu; moździeż postawiony na listwie okna, przywoływał zabłąkane gołębie; serce jaskółki spożyte, darzyło mądrością. Tajemniczość plą-

tała się we wszystkie zdarzenia życia, spowijała wszystkie istnienia, i życie nadprzyrodzone przeważało, pokrywało i absorbowało życie powszednie, stwarzając niezliczone i nie dające się zażegnać mary, które zaludniały pola, zamieszkiwały w domach, wypełniały niebo, mąciły wody.

Tajemnica i rytm, te dwa żywioły podstawowe wszelkiej religii, rozproszone tu były wszędzie. Mężczyźni i kobiety wyrażali bezustannie wrażenia swych dusz śpiewem; śpiew towarzyszył wszystkim ich czynnościom, zarówno pod dachem, jak pod gołem niebem; śpiewem cześć składali oni życiu i śmierci. U kolebek i u trumien rozbrzmiewały pieśni, powolne miarą i przejmujące, tak starożytne może, jak rasa, której smutku głębokiego były wyrazem. Smutne, poważne, ujęte w rytm niewzruszony, zdały się urywkami hymnów, należących do niepamiętnych liturgij, co przeżyły zagładę jakiegoś wielkiego, pierwotnego mytu. Nieliczne one były, ale tak wszechwładne, że nowe pieśni nie zdołały ani ich pokonać, ani zmniejszyć ich potęgi. Przekazywało je pokolenie pokoleniu, niby dziedzictwo duchowe, nieodłączne od materyi cielesnej, i każdy, budząc się do życia, słyszał, jak one rozbrzmiewały w nim samym, niby język wrodzony, któremu głos nadawał dotykalną formę. Tak dobrze jak góry, doliny i rzeki, tak obyczaje, wady, cnoty i wiary, stanowiły one część budo-

wy kraju i rasy. Nieśmiertelne były jak gleba i jak krew.

Takim był kraj, taką była rasa, jakie nawiedzić miał nowy Mesyasz, którego dzieje i cuda opowiedział wieśniak stary. Czemże był ten człowiek? Genialnym a niewinnym ascetą, jak Symplicyusz, czcicielem słońca? Czy szarlatanem przebiegłym i chciwym, co zamierzył wyzyskać na swą korzyść łatwowierność pobożnych? Czemże wreszcie był ten człowiek, który z brzegów małej rzeczki samem swem imieniem tylko mógł w ruch wprawić sąsiednie i dalekie tłumy, doprowadzić do tego matki, że porzucały swe dzieci, wywołać w najbardziej nieokrzesanych duszach wizye i głosy innego świata?

I ponownie Jerzy wywołał postać Oresta, przyodzianego w czerwoną tunikę, idącego za biegiem małej krętej rzeczki, gdzie w cieniu drżących topoli ściekał, po wygładzonym żwirze czystych wód sznureczek.

„Kto to wie, myślał, czy to nagłe objawienie nie będzie dla mnie zbawieniem? Abym się mógł odnaleźć całkowitym, abym mógł poznać do głębi treść moją istotną, czyliż nie potrzeba mi zetknąć się bezpośrednio a niezwłocznie z tą rasą, z pośród której wyszedłem? Zanurzając napowrót korzenie mej istoty w grunt rodzimy, czyliż zeń nie wyciągnę soków czystych i ożywczych, które będą miały moc wyparcia wszystkiego, co jest we mnie sztucznem i niejednolitem, wszystkiego, com

otrzymał świadomie i bezwiednie wśród tysiącznych zaraz? Jak na teraz nie szukam prawdy: dążę tylko do odzyskania własnej mej istoty, do odnalezienia w sobie charakteru mej rasy, by go umocnić w sobie i nadać mu, o ile podobna, największą siłę. Dostrajając tak duszę moją do harmonii rozpierzchłej duszy ludu, odzyskam równowagę, której mi braknie. Dla człowieka rozwiniętego umysłem, tajemnica równowagi mieści się w umiejętności podniesienia instynktów, potrzeb, kierunków i uczuć podstawowych swej rasy do wyższego porządku".

Tajemniczość i rytm rozlane były wszędzie. W pobliżu, na bielejącem wybrzeżu szedł oddech morza w równomiernych odstępach; ale w czasie przerw słychać było, coraz to słabszy spadek fal, co się roztrącały o brzeg w coraz to dalszych punktach. Powtarzany zapewne echem jakiejś wklęsłości dźwięcznej, śpiew pielgrzymów dobiegł raz jeszcze, potem ucichnął. Od strony Veste na niebie występowały bruzdy częstych błyskawic a w pogodnej jasności księżyca, błyskawice te mieniły się różową barwą. H polita marzyła, oparta plecami o pień drzewa, z utkwionemi oczyma w to ognisko niemych błyskawic.

Nie poruszyła się ani razu. Dłuższa jej nieruchomość w jednej pozycyi dość była częstą; czasami nawet objaw ten przybierał pozór kataleptyczny, który przejmował nieomal strachem. Nie miewała wówczas tej powierzchowności mło-

docianej i pobłażliwej, którą znały tak dobrze rośliny i zwierzęta, ale raczej była to ponura i nieposkromiona już istota, w której skoncentrowały się wszystkie własności odosabniające, wyłączne i destrukcyjne namiętności miłosnej. Trzy żywioły boskie jej piękności, czoło, oczy, usta, nigdy może nie dosięgały takiego stopnia potęgi symbolicznej w wyrażaniu pierwiastku wieczystego złowrogiego czasu niewieściego. Zdawało się, że noc pogodna sprzyjała jeszcze temu charakterowi jej postaci, że dopuszcza, by związany z nią człowiek wniknął do dna jej duszy, nie bystrością wzroku ale bystrością myśli. Noc letnia, pełna światłości księżycowych i marzeń i gwiazd bladych lub niedojrzanych i odgłosów morskich, najmelodyjniejszych, zdała się właściwem polem tego wszechpotężnego obrazu. Tak jak cień urasta częstokroć ponad miarę ciała, które go rzuciło, tak nieskończoność tego tła fatalizmu miłości sprawiała, że postać Hipolity olbrzymiała, urastała w tragizm dla widza, u którego świadomość przyszłości z każdą chwilą stawała się jaśniejszą i straszliwszą.

Czyliż nie była to w tejże samej nieruchomości taż sama kobieta, która z wysokości logii przypatrywała się jedynemu żaglowi białemu na zmartwiałych spokojem wodach? To była ona i teraz jeszcze, mimo nocy, co odzierała jej osobę z wszelkiej rzeczywistości brutalnej; taż sama nienawiść wrzała pod uczuciem, wznieconem przez nią: ta

nienawiść śmiertelna płci, która się kryje w głębi miłości i która, tajemna lub jawna, istnieje w głębi wszystkich wrażeń, począwszy od pierwszego spojrzenia, aż do najwyższego przesycenia.

„A zatem, myślał, ona jest moim wrogiem. Dopóki żyć będzie, dopóty będzie wywierać na mnie swą władzę, nie dopuści, bym postawił nogę na progu, który spostrzegam. I jakimż sposobem uda mi się odzyskać treść własnej istoty, jeśli większa część mnie samego zostaje w rękach tej kobiety? Daremnem jest dążenie ku nowemu światu, ku życiu nowemu? Dopóki trwa miłość, oś świata spoczywa w jednej jedynej istocie i życie zamknięte jest w ciasnem kole. By odżyć, by zdobywać, trzebaby mi było oswobodzić się od, miłości, trzebaby było uwolnić się od wroga“...

Raz jeszcze wyobraził ją sobie umarłą.

„Umarłą stałaby się przedmiotem dla myśli, czystym idealizmem. Z istnienia zależnego i niedoskonałego, wstąpiłaby w istnienie doskonałe i stanowcze, porzucając na zawsze ciało słabe, okaleczałe i zbyteczne. Zniweczyć ją po to, by posiąść! Dlatego co szuka niezależności w miłości, niema innego sposobu“.

Nagle Hipolita zerwała się, jak gdyby nią niezwykły dreszcz jakiś wstrząsnął. Ozwała się, zgodnie z powszechnym zabobonem:

— Śmierć przeszła obok mnie.

I uśmiechnęła się. Ale kochanek jej, przejęty dzi-

wnym zbiegiem ich myśli, nie mógł obronić się od instynktownego wrażenia trwogi i przestrachu. „Czyżby miała odczuć myśl jego?“

Pies począł szczekać z nagłą gwałtownością i powstali oboje równocześnie.

— Kto to taki?—odezwała się Hipolita niespokojnie.

Szczekanie psa wzmogło się w kierunku oliwnego gaiku, tam gdzie szła ścieżka. Kandya i starzec wyszli z domu.

— Kto to taki?—powtórzyła Hipolita zaniepokojona.

— Kto to być może? — powtórzył starzec, poglądający w ciemności.

Głos ludzki wyszedł z oliwnych zarośli, głos, co błagał i łkał zarazem. Potem ukazał się cień czarny, który Kandya rozeznała natychmiast.

— Liberata!

Matka niosła na głowie kołyskę, pokrytą ciemnem suknem. Szła wyprostowana, niemal sztywna, nie odwracając się nie zbaczając ani na włos z swej drogi, zamknięta w sobie, niema, podobna do lunatyczki złowróżbnej, popychanej ślepo ku jakiemuś nieznanemu celowi. Za nią tuż szedł mężczyzna, z odkrytą głową, nieprzytomny niemal, łkający, błagający, wołający ją wciąż po imieniu, zgięty, uderzający się po udach, to znowu zanurzający dłonie we włosach, z ruchami dzikiej rozpaczy. Śmieszny i nędzny, szedł krok

w krok za kobietą, głuchą zda się, wyjąc wśród łkania.

— Liberato! Liberato! Słuchaj! Słuchaj! Wracaj do domu! O, mój Boże, mój Boże! Gdzie ty chcesz iść! Co chcesz zrobić? Liberato! Słuchaj! Słuchaj! O mój Boże, mój Boże!

Błagał wciąż, chcąc ją powstrzymać, znaglić, by stanęła; ale jej nie dotykał. Wyciągał ku niej ręce z gestami szalonej boleści; nie dotykał jej wszakże, jak gdyby tajemnicza jakaś przyczyna w tem mu przeszkadzała, jak gdyby czary jakieś uczyniły istotę tę nietykalną.

Kandya nie wyszła również naprzeciw niej, nie zagrodziła jej drogi. Spytała tylko mężczyznę:

— Co to jest? Co się stało?

Mężczyzna gestem tylko pokazał, że to obłąkana. I gest ten przywiódł Jerzemu i Hipolicie na pamięć słowa kumoszek: „Zwaryowała. Nie mówi już, proszę pani. Od trzech dni nic nie mówi. To waryatka. Waryatka“.

Kandya ukazała przykrytą kołyskę, pytając znów cichym głosem:

— Umarło?

Mężczyzna zaszlochał głośniej. I znowu w uszach Jerzemu i Hipolicie zabrzmiały słowa kumoszek: „Nie płacze już. Biedne stworzenie! Czy śpi? Powiedziałbyś, że to mały trupek. Nie poruszy się nawet. Śpi, śpi... Przestało już cierpieć“.

— Liberato! — zawołała Kandya z całej siły

płuc, jakby pragnęła wstrząsnąć tym okrzykiem skamieniałą.—Liberato! Dokąd idziesz?

Ale nie dotknęła jej, nie przeszkodziła iść dalej.'

Potem umilkli wszyscy i przypatrywali się tylko.

Matka szła wciąż naprzód, wysoko wyprostowana, niemal sztywna, nie odwracając się nigdzie, z oczyma utkwionemi wprost przed siebie, rozszerzonemi nadmiernie i suchemi, z wargami zaciśniętemi, które zdały się zamknięte pieczęcią, jakby skazane już na wieczyste milczenie i pozbawione oddechu. Na głowie jej chwiała się kołyska, zamieniona w trumienkę a lament mężczyzny nabierał jakiegoś rytmu dziwnej monotonii.

Tragiczna ta para przeszła tak przez dziedziniec, zeszła ścieżką, którą niedawno deptały stopy pielgrzymów, kiedy unosił się jeszcze duch religijnego hymnu, co tu rozbrzmiewał przed chwilą.

A kochankowie, z sercem ściśnionem litością i grozą, ścigali oczyma postać tej matki żałobnej, która oddalała się w noc ciemną w kierunku ogniska niemych błyskawic.

VI.

Obecnie nie Hipolita to już, ale Jerzy proponował dalekie wycieczki. Skazany na „oczekiwane wciąż życie", przypuszczał, że wychodzi naprzeciw niego, że je znajdzie i zdoła uszczknąć w rzeczywistości dotykalnych wydarzeń. Sztuczna jego ciekawość chwytała się też rzeczy, które zaledwie zdolne zająć powierzchownie, nie mogły przeniknąć i wstrząsnąć nim do głębi duszy. Usiłował wynaleźć między swoją duszą a pewnemi przedmiotami jakiś związek nieistniejący; usiłował otrząsnąć się z obojętności wewnętrznej, tej obojętności bezwładnej, która tak długo czyniła go obcym i niedostępnym wszelkiemu pochodzącemu z zewnątrz wzruszeniu. Zbierając wszystkie swe zdolności badawcze, usiłował odnaleźć jakąś wspólność między sobą samym a otaczającą go przyrodą; by się módz nakoniec pogodzić z tą przyrodą i wiernym jej już pozostać.

Ale nie zbudziło się w nim bynajmniej owo niezwykłe wzruszenie, które po kilkakroć uniosło go i zdumiało w najpierwszych dniach pobytu w pustelni, przed przybyciem ukochanej. Nie

mógł wskrzesić w sobie ani tego wielkiego upojenia, jakiego doznał w pierwszym dniu zaraz, kiedy to zdało mu się, że czuje istotnie słońce w własnem sercu, ni smętnego uroku pierwszej samotnej przechadzki, ni radości nieoczekiwanej i wzniosłej, którą w ów majowy poranek przejął go śpiew Favetty i zapach jałowcu, osypanego rosą. Na ziemię i morze ludzie rzucali cień tragiczny. Ubóstwo, choroba, obłąkanie, postrach i śmierć czatowały na każdym kroku i wszędzie rozścielały się swobodnie. Wicher płomienny fanatyzmu przebiegał z końca w koniec kraj ten cały. Dniem i nocą, z daleka i zblizka rozbrzmiewały hymny religijne, monotonne i nieskończone. Oczekiwano Mesyasza a maki wśród zbóż przywodziły na myśl obraz jego tuniki czerwonej.

Dokoła wszędzie wiara uświęcała wszystkie formy roślinne. Legenda chrześciańska owijała się około pni drzew, wykwitała z pomiędzy gałęzi. Na kolanach Madonny uciekającej i ściganej przez faryzeuszów, Dzieciątko Jezus zamieniało się w pszenicę, co się rozsypuje. Ukryci w dzieży, podnosili ciasto na chleb rozczynione i czynili je niewyczerpanem. Na słonecznikach suchych i ciernistych, co rozraniły słodką stopę Dziewicy cięży przekleństwo; len za to był błogosławionym ponieważ jego kołysanie olśniło oczy faryzeuszów. Błogosławionem także jest drzewo oliwne za to, że dało schronienie Przenajświętszej Rodzinie w pniu swym otwartym w kształcie chaty

i za to, że ją darzyło światłem czystej oliwy, błogosławionym jałowiec, bo ukrył Przenajświętsze Dzieciątko w swoich gałązkach; i błogosławiony ostrokrzew za tęż samą przysługę; i błogosławiony laur, bo wyrósł na gruncie oblanym wodą, w której był mytym Syn Boży.

Jakże tu uniknąć czaru tajemniczości, który rozlany po wszystkich rzeczach stworzonych przetwarzał je w symbole i godła innego życia.

Jerzy, zaniepokojony wszystkiemi temi podsuwanemi mu pojęciami, które budziły w nim pociąg do mistycyzmu, i tak już pociągającego go zawsze, mówił sobie: „O, gdybym posiadał prawdziwą wiarę, tę wiarę, która pozwalała świętej Teresie widzieć *istotnie* Boga w hostyi!“ A nie było to pragnienie nieujęte i przelotne; było to głębokie i żarliwe pożądanie całej jego duszy i było to także niesłychane udręczenie, które wstrząsało wszystkiemi żywiołami jego istoty; czuł bowiem, że się znajduje wobec tajemnicy swego nieszczęścia i swej słabości. Jak Demetrio Aurispa, Jerzy był ascetą bez Boga.

I znowu stanął przed nim ten człowiek łagodny i zamyślony, ta twarz pełna męzkiej rzewności, której pukiel siwych włosów nad czołem, wmięszany w gęstwę czarnych włosów, dziwnej dodawał wyrazistości.

Demetrio był prawdziwym jego ojcem. Szczególniejszem skojarzeniem imion, to duchowe ojcowstwo zdawało się uświęcone legendą, zapisa-

ną dokoła kadzielnicy ofiarowanej przez przodków i przechowanej w katedrze Guardiagrele.

† EGO DEMETRIUS AURISPA ET UNICUS GEORGIUS FILIUS MEUS DONAMUS ISTUD TABERNACULUM ECCLESIAE S. M. DE GUARDIA, QUOD FACTUM EST PER MANUS ABBATIS JOANNIS CASTORII DE GUARDIA, ARCHIPRESBYTERI AD USUM EUCHARISTIAE.

† NICOLAUS ANDRAE DE GUARDIA ME FECIT A. D. MCCCC XIII.

Obadwaj, w samej rzeczy istoty wysokiej inteligencyi i uczucia nosili dziedzictwo mistyczne domu Aurispów; obadwaj mieli dusze nawskroś religijne, skłonne do tajemniczości, podatne do życia pośród całego lasu symbolów, lub w niebie czystych abstrakcyj; obadwaj miłowali obrzędy katolickiego kościoła, muzykę kościelną, woń kadzideł, wszystko co dogadza zmysłom w religijnych obrzędach, zarówno najgwałtowniej jak najdelikatniej. Ale utracili wiarę Klękali przed ołtarzem, od którego Bóg odbiegł. Nieszczęście ich zatem pochodziło w potrzeby metafizycznej, której wątpienie nieubłagane nie dozwalało się rozwinąć, zadowolnić się i odpocząć na przedwiecznem łonie. Ponieważ nie były to natury, zdolne do podjęcia i podtrzymywania walki z powszednią egzystencyą, zrozumieli potrzebę odosobnienia się w życiu. Ale jakimż sposobem człowiek, wygnany z szranek życia może zamknąć się i pozostawać w celi, w której brak godła Nieśmiertelnego? Samotność jest najwyższą próbą pokory

lub wzniosłości duszy; bo znieść ją podobna jedynie pod warunkiem absolutnego wyrzeczenia się wszystkiego dla Boga lub wówczas, kiedy się posiada duszę tak potężną, iż służyć może za niewzruszoną opokę dla rozbijającego się oń świata.

Naraz jeden z nich, czując może, że siła katuszy poczyna przechodzić odporność jego organizmu, zapragnął przetworzyć się przez śmierć w istotę wyższą i rzucił się na oślep w tajemnicę śmierci, zkąd poglądał wiecznie otwartemi oczyma na pozostałego przy życiu. *Ego Demetrius Aurispa et unicus Georgius filius meus...*

Otóż w chwilach jasności poglądu, pozostały na ziemi rozumiał doskonale, że żadnym sposobem nie uda mu się urzeczywistnić typu życia bujnego, ideału owego greckiego zdrowego, istnienia pierwotnego, które dlań błysło w ów wieczór pod dębem, kiedy to łamał się chlebem z młodą, rozradowaną kobietą. Rozumiał, że zdolności jego umysłowe i moralne, zbyt nieproporcyonalne, nie dopuszczą nigdy do znalezienia ich równowagi i ich prawideł. Rozumiał nakoniec, że zamiast usiłować odzyskać siebie samego dla siebie, winien był wyrzec się samego siebie i że do tego celu doprowadzićby go mogły dwie tylko drogi: bądź pójście za przykładem Demetria, bądź zupełne oddanie się niebu.

Druga z tych dróg pociągała go ku sobie. Czyż bo na tej ziemi rodzinnej nie czuł wciąż, jak go ogarnia zewsząd żarliwość wiary, potęż-

niejsza jeszcze nad płomienne słońce tych krain? Nie miałże w żyłach czystej krwi chrześciańskiej? Alboż ideał ascetyzmu nie istniał pod różnemi formami w pośród jego rodu, począwszy od szlachetnego fundatora Demetria, aż do tej pożałowania godnej istoty, co nosiła imię Jokondy? Czyliż zatem nie było możliwem, by ten ideał odrodził się w nim, podniósł do najwznioślejszych wyżyn, doścignął szczytu ludzkiej ekstazy w Bogu? W nim wszystko było w pogotowiu do uczczenia chwili, która go przeobrazi. Posiadał wszystkie przymioty ascety: umysł kontemplacyjny, zamiłowanie w symbolach i alegoryach, zdolność oderwania się, wrażliwość i podatność niezwykłą na złudzenia wzroku i słuchu, wrodzoną skłonność do obrazowania i do halucynacyj. Brak mu było tylko jednej rzeczy wyłącznie, jednej wielkiej rzeczy, ale która być może, że w nim nie zamarła i drzemała tylko; wiary, starej wiary jego rasy, tej, co to zstępowała z gór i śpiewała tu godzinki nad brzegiem morza.

Jak ją zbudzić w sobie? Jak ją wskrzesić? Żadna sztuka nie byłaby tu skuteczną. Trzeba mu oczekiwać nagle pojawiającej się bożej iskierki, nieprzewidzianego jakiegoś wstrząśnienia. Trzeba było może, by jak sekciarze Oresta i on ujrzał grom, a w błyskaniu posłyszał „słowo“ wśród pól lub na zakręcie gdzieś ścieżki.

I ponownie wywołał sobie w myśli postać Oresta, przybranego w czerwoną tunikę, kroczącego

brzegiem małej, krętej rzeczki, gdzie w wieczystem drżeniu topolowych liści, wstęga wód płynie łożyskiem wygładzonego żwiru. Wyobraził sobie spotkanie, rozmowę z Orestem. Było to w południe, na wybrzeżu, w bliskości łanu pszenicy. Mesyasz przemawiał, jak człowiek prosty a pokorny, uśmiechał się ze szczerością dziecięcą, a zęby jego miały białość jaśminu. Wśród wielkiej ciszy morza, szmer bezustanny trzcin u stóp przedgórza, naśladował oddalone akordy organu. Ale po za tą pełną słodyczy postacią, wśród złota dojrzałych pól żniwnych, promieniały purpurą maki, symbol żądz odwieczny...

„Żądza—myślał Jerzy, któremu myśl ostatnia przywiodła na pamięć kochankę i smutki cielelesne tej miłości.—Któż zabije żądzę?“ Przestrogi Ojców Kościoła przyszły mu na pamięć. *Non des mulieri potestatem animae tuae... A muliere initium factum est peccati, et per illam omnes morimur... A carnibus tuis abscinde illam...* Widział w świętym brzasku wieków, w pośród wspaniałego ogrodu pierwszego człowieka, samotnego i smutnego, który ściągał do siebie pierwszy towarzyszkę, jak stawała się klęską, jak rozsiewała naokół boleść i śmierć. Ale rozkosz, z punktu zapatrywania się na nią, jako na grzech, wydała mu się daleko dumniejszą i daleko też więcej niepokojącą; wydało mu się, że żadne inne upojenie nie wyrównywało szalonemu upojeniu pocałunku, któremu się oddawali męczennicy kościoła pier-

wotnego, w więzieniach, gdzie oczekiwali na karę śmierci. Wywołał myślą obrazy kobiet, szalonych trwogą i miłością, które podawały do pocałunków twarze, skąpane cichemi łzami.

Pragnąc dążyć do wiary i odkupienia, czyż nie dążył raczej do nowych spazmów i dreszczy rozkoszy, do uciech nieznanych? Przekroczyć powinność i otrzymać przebaczenie; popełnić winę i wyspowiadać się z niej wśród łez; wyznać najdrobniejsze swe nędzę, powiększając je do potworności; składać bezprzestannie duszę schorzałą i schorzałe ciało w ręce lekarza wszechmiłosiernego—czyliż to wszystko nie miało całkowicie zmysłowego uroku?

Od samego już początku namiętność jego przesiąknęła kościelną wonią kadzideł i fiołków. Przypomniał sobie pierwszy hołd swej miłości w opuszczonym kościołku przy ulicy Belsiana — tajemniczą szczupłą kaplicę, zanurzoną w błękitnawym zmroku; chór młodych dziewcząt, wieńczący trybunę, wysuniętą niby balkon; na dole orkiestrę rzniętych instrumentów, stojącą przed pulpitami z białej sośniny; dokoła w stalach dębowych siedzieli nieliczni słuchacze, wszyscy niemal białowłosi lub łysi; kapelmistrz wybijał takt; pobożna woń zwietrzałych kadzideł i fiołków mieszała się z muzyką Sebastyana Bacha.

Przypomniał sobie również marzenie swe o Orvieto, odnalazł wizyę gwelfijskiej opustoszałej stolicy—okna szczelnie zamknięte, uliczki szare, gdzie

wśród kamieni rozrasta się trawa; kapucyn przechodzący placem; biskup, co przed szpitalem wysiada z czarnej karocy, z sędziwym lokajem u drzwiczek; wieżycę na białem dżdżystem niebie, zegar wydzwaniający powolnie godziny i nagle w głębi ulicy cud: katedrę. Czyliż nie roił o tem by się schronić na szczyt tej skały, uwieńczonej klasztorami? Czyliż nieraz nie wzdychał z głębi duszy do tej ciszy, do tego spokoju? I marzenie to teraz również wracało mu do duszy takiem, jakiem natchnęło go iście niewieście obezwładnienie w ciepły szarawy półmrok kwietnia: „Mieć kochankę, albo słuszniej mówiąc, siostrę kochającą, która byłaby szczerze pobożną; pojechać tam i tam z nią pozostać... Spędzać całe godziny, długie godziny w katedrze, przed nią, dokoła niej; chodzić, rwać róże w ogrodach klasztornych; odwiedzać zakonnnice, które cię raczą konfiturami... Kochać bardzo i spać wiele w łóżku miękiem, osłonionem białemi muślinami, dziewiczem, między dwu klęcznikami“...

I zdjęła go ponownie tęsknota rozemdlona za cieniem, za ciszą, za ustroniem zamkniętem szczelnie i odosobnionem, gdzie mogły rozwijać się kwiaty najwątlejsze, myśli najsubtelniejsze, wrażenia zmysłów najgwałtowniejsze. Cały ten blask słoneczny, kładący się na linie zbyt wyraźne, zbyt silne, począł go razić, obrażać niemal. I tak samo, jak obraz szemrzącego źródła wywiera pewien urok na mózg tego, co jest spragniony, tak

i jego myśl więził obraz chłodnego cieniu i skupienia, co panuje w nawie romańskiej świątyni.

Odgłos dzwonów nie dochodził do Pustelni, albo przynajmniej dochodził w rzadkich tylko odstępach, na falach lekkiego wietrzyka. Kościół miasteczka zbyt był odległy, powszedni prawdopodobnie, bezwątpienia niesłynący bynajmniej z piękności lub tradycyj starożytnych. Jerzemu potrzeba było sąsiedniego ustroina, godnego jego, w którym mistycyzm jego mógłby wykwitnąć estetycznie niby w głębokiej urnie marmurowej, która zamyka wizyę dantejską Luki Signorelli.

I przypomniał sobie opactwo świętego Klemensa w Casauria, to opactwo, widziane gdzieś dawno, w dniach dzieciństwa jeszcze i przypomniał sobie, że je zwiedzał podówczas z Demetriem. To wspomnienie, jak wszystkie wspomnienia odnoszące się do pokrewnego mu człowieka, jasnem było i wyraźnem, jak gdyby wczoraj zaledwie rzecz miała miejsce. By przeżyć raz jeszcze tę godzinę swego życia, by wskrzesić widma wszystkich wrażeń wówczas doznanych, dość mu było skupić się w sobie przez chwilę. I chodzili Demetrio i on szeroką drogą, kędy schodziły pielgrzymujące gromady ku opactwu, ukrytemu jeszcze wśród drzew. Spokój nieskończony panował dokoła, wśród tej wspaniałej samotni, na tej szerokiej drodze, zorośniętej murawą, zasypanej ka-

mieniami, pustej, nierównej, której początek krył się gdzieś w tajemniczości gór dalekich i świętych. Unosił się tam jeszcze jakiś duch pobożności pierwotnej, jak gdyby trawy i kamienie udeptane były długą wędrówką gromad biblijnych, dożących ku morskim horyzontom. Dołem, na równinie, ukazywała się bazylika: niemal zwaliska. Dokoła wszędy grunt zawalony był rumowiskami i krzakami; odłamy kamienia rzeźbionego opierały się stosami o pilastry świątyni; dzikie trawy zwieszały się ze wszystkich rozpadlin; budowy nowoczesne, z cegły i wapna zamykały szerokie otwory arkad bocznych; drzwi rozpadały się. Gromada pielgrzymów odprawiała poobiednią drzemkę na kościelnym cmentarzu, zwierzęco pod cieniem szlachetnego portyku, wzniesionego przez Leonata Wspaniałego. Ale trzy łuki zachowane jeszcze, rysowały się śmiało, biegnąc w górę od kapitelów z tak butną elegancyą a słońce wrześniowe złociło ten kamień żółtawy tak wspaniałym blaskim, że obaj Demetrio i on czuli, iż stoją wobec skończonego piękna. To pewna, że w miarę im podziwiali dłużej, harmonia zbiorowa tych linij stawała się coraz jaśniejszą i czystszą, i stopniowo z tego zuchwałego akordu łuków obłąkowatych, łuków szpiczastych, łuków w podkowę; z tych profilów, tych archiwolt o fryzach cudnie urozmaiconych, z wypukłości palm, z rozet, z powykręcanych liści, potworów symbolicznych, ze wszystkich szczegółów

dzieła, wychodziło przez oko ujawniając się dla umysłu prawo jedyne i absolutne, prawo rytmu, któremu wielkie masy i drobne ornamenta posłusznemi były we wspólnej zgodzie. I potęga tajna tego rytmu była tak wielką, że ostatecznie udawało się jej zapanować nad wszelkiemi niezgodnościami otaczającemi i dać obraz uroczy dzieła skończonego w sobie, takiego, jakiem w XII wieku za dostojną wolą prałata Leonate wytrysnęło pośród żyznej wyspy, opasanej i zasilanej potężną rzeką. Obadwaj, oddalając się, zabrali z sobą ten obraz. Było to we wrześniu a dokoła w to zamierające lato, wieś miała pozór pełnej wdzięku powagi, był w jej widoku rodzaj tajemnego związku z duchem monumentów chrześciańskich. Dwa wieńce opasywały spokojną dolinę: pierwszy, złożony z pagórków, okrytych winnicami i gajami oliwnemi, drugi ze skał nagich o ostrych szczytach. I w tym widoku wedle słów Demetria było coś podobnego do tego niejasnego uczucia, które ożywia owo płótno Leonarda, gdzie na tle skał rozpacznych uśmiecha się kobieta czarodziejka. Aby uwydatnić bardziej jeszcze zagadkowy niepokój ich dwu dusz, śpiew dobiegał z oddalonej winnicy, preludyum wczesnego winobrania a poza niemi odpowiadała temu śpiewowi litania pielgrzymów, puszczających się w powrotną drogę. I dwie te melodye, kościelna i świecka zlewały się z sobą...

Oczarowany tem wspomnieniem, ten, co przeżył drugiego, miał już teraz jedno tylko pragnienie urojone, powrócić tam, zobaczyć tę bazylikę, osiąść przy niej, by bronić od ruiny, odbudować ją w jej piękności pierwotnej, powrócić w niej dawne świetne obrzędy i po tak długim okresie opuszczenia i zapomnienia, wznowić *Chronicon Casauriense*. Nie byłaż to istotnie najchwalebniejsza świątynia z istniejących w całej ziemi Abruzzów, wystawiona na wyspie rzeki praojca, siedziba starożytna potęgi doczesnej i duchowej, ognisko szerokiego i dumnego życia przez długi szereg wieków? Dusza Klementyńska głęboka przebywa w niej jeszcze, w to odległe już dziś letnie popołudnie objawiła się ona stryjowi i synowcowi boską myślą rytmiczną, którą starały się wyrazić wszystkie jej linie.

Przemówił do Hipolity:

— Może zmienilibyśmy miejsce pobytu. Przypominasz sobie moje marzenie o Orvietto?

— Oh, pamiętam—zawołała—owo miasto klasztorów, do którego chciałeś mnie zawieźć!

— Zawiozę cię do opustoszałego opactwa, jeszcze samotniejszego niż nasza pustelnia, pięknego jak owa katedra, pełnego wielce starożytnych pamiątek, gdzie jest wielki kandelabr z białego marmuru, cudny wykwit sztuki, stworzony przez bezimiennego artystę. Kiedy staniesz przy tym kandelabrze wyprostowana w milczeniu, opromie-

niać będziesz twoją twarzą rozmyślania pobożne mej duszy.

Uśmiechnął się na ten frazes liryczny, podziwiając przecież w duszy równocześnie piękny obraz nim wywołany. A ona w prostoduszności swego egoizmu, z tą zwierzęcością upartą, która stanowi podkład istoty niewieściej, nie upajała się niczem więcej nad ten obraz poetyczny przelotny. Szczęściem jej było ukazać się oczom kochanka tak wyidealizowaną, jak w pierwszy wieczór wśród błękitnawego półzmroku ulicy, lub tak jeszcze, jak w ukrytej kaplicy, pośród muzyki kościelnej i rozwianych woni kadzideł, lubjak na dzikiej ścieżce, usypanej kwiatami jałowca.

Niezmąconym, najczystszym swym głosem spytała:

— Kiedyż jedziemy?

— Czy chciałabyś pojechać jutro?

— Jutro, niech tak będzie.

— Strzeż się. Skoro raz tam wejdziesz, zejść nie będziesz mogła.

— A cóż to szkodzi? Będę spoglądać na ciebie.

— Spalisz się tam, strawisz, jak świeca.

— Ale tobie będę przyświecać.

— Przyświecać będziesz także i memu pogrzebowi...

Wymawiał te słowa tonem lekkim; ale w głębi samego siebie, ze zwykłą sobie potęgą życia urojonego, tworzył sobie baśń mistyczną. Po dłu-

gich latach błąkania się po przepaściach zepsucia, powracała mu skrucha i żal. Wtajemniczony przez tę kobietę we wszystkie tajnie, które zapalała jeszcze jego chuć szalona, błagał teraz Wszechmiłosiernego o łaskę, coby zdołała rozproszyć nieznośny smutek tej miłości cielesnej. „Litości dla mych uciech dawniejszych i dla mych cierpień obecnych! Spraw, o Panie, bym znalazł siłę spełnienia ofiary w twem imieniu!“ I uciekał z kochanką na poszukiwanie takiej przystani. A na koniec u progu tej przystani spełniał się cud, bo ta nieczysta, ta zepsuta, ta nieubłagana dotąd nieprzyjaciółka jego duszy, ta róża piekieł, nagle zrzucała z siebie grzech wszelki, oczyszczała się z wszelkich zmaz, by za swym ukochanym iść aż do stóp ołtarzy. Sama promienna, oświecała święte ciemnice. U szczytu wysokiego kandelabru z marmuru, gdzie od wieków całych nie zajaśniały już światła, ona świeciłaby płomieniem niewygasłym swej miłości. „Kiedy staniesz przy tym kandelabrze wyprostowana, w milczeniu, opromieniać będziesz twoją twarzą rozmyślania mej duszy“. Ona płonąć miała wewnętrznym ogniem, nie żądając nigdy żadnego podsycenia dla swego płomienia, nie żądając nigdy nic wzajem od kochanka *Amabat amare.* Ona miała wyrzec się na zawsze wszelkiego posiadania, wszelkiej własności: wyższa w czystości swej wszechwładnej od samego Boga, ponieważ Bóg ukochał swe stworzenie, ale

wzajem odeń domaga się wzajemnego ukochania i staje się straszliwym dla tego, kto mu odmawia swej miłości. Jej miłość, to miała być miłość anachorety, wzniosła i samotna, podsycana jedną krwią tylko i jedną duszą. Poczuła, jak odpada od niej ta część jej istoty, która opierała się całkowitej ofierze. Nie było nic już w niej mętnego ni nieczystego. Ciało jej przeobraziło się w żywioł jakiś subtelny, rzutki, przezroczysty, nieskazitelny; zmysły jej stopiły się wszystkie w jedną jedyną i najwyższą rozkosz. Wzniesiona na szczyt cudownego pomnika, płonąć będzie i cieszyć się swym zapałem i swą wspaniałością, niby płomień, który byłby świadomym swego własnego płomiennego życia...

Hipolita wytężyła ucha i rzekła:

— Słyszysz? Nowa jeszcze procesya! To jutro wigilia.

Jutrzenki, południa, zmroki i noce dźwięczały religijnemi pieniami. Jedna procesya szła po drugiej, przy blasku słońca, w świetle księżyca. Wszyscy dążyli do tegoż samego celu i sławili toż samo imię, pociągani gwałtownością tejże samej namiętności, straszliwi i nędzni zarazem z pozoru, porzucając na drodze chorych i umierających, nie zatrzymując się ani na chwilę, gotowi do przełamania każdej jakiejkolwiekbądź przeszkody, byle dojść tam, gdzie był balsam na wszystkie ich nieszczęścia, gdzie była obietnica spełnienia wszystkich ich nadziei. Szli, szli bez

wytchnienia, zlewając swym potem własne ślady na pyle bez końca.

Jakież niezmierne promieniowanie siły musiało iść od tego obrazu prostego, by wstrząsnąć i pociągnąć te ciemne masy ciał ociężałych! Około czterech wieków temu, starzec siedemdziesięcioletni wśród pola spustoszonego gradem, ujrzał na wierzchołku drzewa Najświętszą Pannę Miłosierdzia, i odtąd corocznie w rocznicę tego ukazania się, cała ludność gór i nadbrzeża pielgrzymowała do świętego miejsca błagać o ulgę w swych cierpieniach.

O legendzie tej dowiedziała się Hipolita z ust Kandyi; od dni kilku zaś żywiła tajemną ochotę odwiedzenia sanktuarium. U niej przewaga miłości i nawyknienie do zmysłowych rozkoszy usunęły na plan dalszy uczucia religijne; ale jako rzymianka z rasy, a co więcej jeszcze, urodzona w Transtevere, wychowana wśród jednej z tych rodzin mieszczańskich, w których niepamiętną tradycyą władza nad sumieniami spoczywa zawsze w ręku księdza, była głęboką katoliczką, przywiązaną do wszystkich praktyk zewnętrznych kościoła, podlegającą porywom peryodycznym żarliwości gorącej.

— Tymczasem—mówiła—dla czegóż nie mielibyśmy i my pojechać do Casalbordino? Toć jutro wigilia. Czy się godzisz na to, żebyśmy tam pojechali? Dla ciebie to będzie zajmującem widowiskiem. Zabierzemy z sobą starego.

Jerzy zgodził się. Życzenie Hipolity odpowiadało jego chęciom. Myśl jego czuła potrzebę iść za tym prądem głębokim, stanowić cząstkę tego dzikiego aglomeratu ludzkiego, spróbować materyalnego zetknięcia ze spodniemi pokładami swej rasy, z temi pokładami skupionemi, zbitemi i niewzruszonemi, gdzie może znamiona pierwotne przechowały się dotąd nietknięte.

— Pojedziemy jutro—dodał, przejęty niepokojem na dźwięk zbliżającego się śpiewu.

Hipolita doniosła, wedle opowiadań Kandyi, o niektórych pokutach dzikich, którym się poddawali pielgrzymi na skutek uczynionych ślubów. Drżała na ich wspomnienie ze zgrozy! A w miarę, jak śpiew nabierał sił, oboje czuli, jak umysły ich przechodził powiew jakiś tragiczny.

Stali na pagórku, nocą. Księżyc świecił wysoko na niebie. Chłodna wilgoć kładła się na gęstych masach roślinności, drżących jeszcze po burzy popołudniowej. Wszystkie listki płakały, a te miryady łez, połyskujące niby dyamenty w księżycowej jasności, przetwarzały las cały. Kiedy Jerzy potrącił przypadkowo pień drzewa, świetlane te krople opadły ze wstrząśnionych gałęzi na Hipolitę, osypując ją gwiazdami. Krzyknęła i poczęła śmiać się.

— Ach, zdrajco!—szepnęła, przekonana, że Jerzy chciał jej zrobić figla tem niespodzianem pokropieniem.

I sposobiła się do odwetu.

Pod wstrząśnieniami drzewa i krzaki traciły swe płynne klejnoty z szelestem a głośny śmiech Hipolity rozbrzmiewał na stoku wzgórza. Jerzy wtórował jej także śmiechem, zapominając nagle o dręczących go zmorach, poddając się temu urokowi młodości, poddając się z rozkoszą temu orzeźwiającemu chłodowi nocnemu, przesiąkłemu wszystkiemi wyziewami ziemi. Starał się przybiedz pierwszy do drzewa, którego liście zdawały się najbardziej zmoczonemi; ona zaś usiłowała go wyprzedzić, spuszczając się odważnie po pochyłości oślizgłej. Przybywali niemal zawsze równocześnie pod pień wskazany i wstrząsali go razem oboje, wystawiając się jednakowo na deszcz spadających kropli. W ruchomym cieniu liścia na twarzy Hipolity białka oczu i białość zębów nabierały niezwykłego blasku a drobniutkie kropelki, podobne do brylantowego pyłu świeciły na kędziorach jej skroni, na policzkach, wargach, nawet rzęsach, drgając za każdym wybuchem śmiechu.

— Ach, czarodziejko!—zawołał Jerzy, puszczając pień wstrząsany i chwytając kobietę, która ukazała mu się raz w tajemniczym blasku swej piękności nocnej.

I począł okrywać pocałunkami całą jej twarz; pod dotknięciem ust czuł, że była mokrą od rosy jak owoc świeżo zerwany.

— Masz! masz! masz!

I za każdy raz całował ją gwałtownie w usta,

policzki, w oczy, w skronie, w szyję, nienasycony, jak gdyby to ciało było całkiem nowem dla niego. Ona zaś pod ulewą tych pocałunków, przybierała postawę zachwycenia niemal, jak zwykle kiedy czuła, że kochanek jej ma chwilę prawdziwego upojenia. W takich chwilach zdawało się, że z najtajniejszych głębin własnej jej istoty, wydziela się najsłodsza i najpotężniejsza woń miłości, by podnieść jeszcze zapał Jerzego aż do niepokoju.

— Masz!

Przestał; niepokój począł go ogarniać. Dosięgnął najdalszych krańców wrażenia i nie mógł już ich przekroczyć.

Nie mówili nic do siebie; wzięli się za ręce; szli dalej drogą ku pustelni, środkiem pól, bo w tym biegu zbili się ze ścieżki. Doznawali obecnie znużenia i nieokreślonego smutku. Jerzy wydawał się zdziwionym. Zatem życie tak niespodzianie dało mu chwilkę nowej przyjemności nieznanej: nowe wrażenie, rzeczywiste a głębokie, na schyłku dnia niespokojnego, przeżytego wśród mar klasztornych! Ale czyż to było życiem? Nie byłoż to snem raczej? „Jedno jest zawsze cieniem drugiego; tam gdzie jest życie jest sen; tam, gdzie jest sen, jest życie".

— Patrzaj!—przerwała Hipolita z dreszczem zachwytu.

A było to tak, jak gdyby objaśniała obrazem myśl, której on nie wypowiedział,

W blasku księżycowym, cicha, nieruchoma, sta-

ła tam winna latorośl. Szczepy proste owijały się dokoła tyczek niby w koło gibkich lasek bachantek a gałązki ociekające, liście przezrocze w przeglądającem przez nie blasku, z tysiącem splątań delikatnej tkanki ich nerwów, w dokładnej nieruchomości minerału, z tym pozorem kryształu i jaspisu, nieopisanie kruchego i znikomego, nie miały w sobie ni ziemskiej rzeczywistości, ni żadnego związku z otaczającemi je kształty, ale wydawały się ostatnim odłamkiem widomym świata alegorycznego, poczętego przez jakiegoś teurga i już dogasającego.

Mimowolnie z pamięci Jerzego wypłynął wiersz hymnu: „*Vinea mea coram me est*“.

V.

Od świtu na stacyi Casalbordino pociągi wylewały raz po raz niezmierne fale ludu. Byli tu ludzie przybywający z małych miasteczek i osad pomięszani z bractwami najodleglejszych wiosek które nie mogły lub nie chciały odbyć pieszo pielgrzymki. Wysypywali się z wagonów tłumnie, zbijali w gromady u wyjścia, wyli, gestykulowali, popychali jedni drugich, by dostać się do wozów i powozów, pośród trzaskań z biczów i brzęku dzwonków uprzężnych; albo też ustawiali się w długie szeregi za krucyfiksem i procesyą szli na miejsce, intonując hymny.

Przerażeni już tym tłokiem, Jerzy i Hipolita instynktownie zwrócili się ku morzu, tak bliskiemu, by przeczekać aż tłum przerzedzi się nieco. Pole konopi falowało spokojnie na tle wód błękitnawych. Żagle połyskiwały jak płomyki na czystym horyzoncie.

Jerzy ozwał się do swej towarzyszki:

— Czy się nie boisz? Ja się obawiam, że się zmęczysz zanadto tą wycieczką.

Odparła:

— Nie lękaj się niczego; jestem silna. A zresztą na to, aby uprosić sobie jakąś łaskę, czyż nie trzeba i znieść cokolwiek przykrości?...

Odrzekł jej z uśmiechem:

— Chcesz więc uprosić sobie jakąś łaskę?

— Tak, jedną tylko.

— Ale czyż nie jesteśmy oboje w stanie grzechu śmiertelnego?

— To prawda.

— A zatem?

— A jednak modlić się o nią będę.

Zabrali z sobą starego Colę, który, znając doskonale miejscowość i obyczaje, służył im za przewodnika. Jak tylko wyjście zostało opróżnionem, wyszli i zajęli miejsce w powozie, który ich poniósł galopem wśród wielkiego brzęku dzwoneczków uprzęży. Konie przystrojone były w błyskotki i pióra. Woźnice mieli u kapeluszy pawie piórka i bezprzestannie wywijali batami, na ochotę, wydając chrapliwe okrzyki i ogłuszające trzaskanie.

Hipolita, którą dręczyła niecierpliwość i nadzwyczajny niepokój, jak gdyby dzień ten miał urzeczywistnić dla niej jakieś wielkie zdarzenie, spytała starca:

— Jak daleko mamy jeszcze do przybycia na miejsce?

— Najmniej z pół godziny drogi — odpowiedział jednooki.

— A ten kościół jest starożytny?

— Nie, signora. Przypominam sobie jeszcze czasy, gdzie go nie było. Przed piędziesięciu laty była tam tylko mała kapliczka.

Wyjął z kieszeni kartkę, złożoną we czworo, rozłożył ją i pokazał Jerzemu.

— Możesz przeczytać. Cała ta historya jest tam opisana.

Był to obrazek z umieszczoną u spodu legendą. Madonna w pośród chóru aniołów umieszczona była na wierzchołku drzewa oliwnego a starzec klęczący u stóp drzewa zatopiony był w modlitwie do niej. Ten starzec zwał się Aleksander Muzzio a oto, co zachowała legenda. W roku pańskim 1527 wieczorem dnia 10 czerwca, w niedzielę Zielonych Świątek rozszalał się huragan na terytorium Casalbordino i spustoszył winnice, łany zbóż i oliwkowe gaje. Następnego rana pewien siedmdziesięcioletni starzec z Pallutri, Aleksander Muzzio, posiadacz pola pszenicy w Piano del Lago, puścił się w drogę, by je obejrzeć. Serce ściskało mu się na widok spustoszenia całej okolicy; ale w głębokiej swej pokorze, sławił sprawiedliwość boską. Ponieważ miał wielkie do Najświętszej Panny nabożeństwo, w drodze odmawiał rożaniec, kiedy, na skraju doliny posłyszał dzwon, bijący na podniesienie, podczas mszy—natychmiast przyklęknął i z całem skupieniem począł się modlić. Kiedy jednak się modlił, spostrzegł. że zewsząd otacza go jasność, która zaćmiewała blask słońca, i w jasności tej

ukazała mu się Matka miłosierdzia w płaszczu z lazurów i mówiła doń dobrotliwie: „Idź i ponieś tę nowinę. Powiedz, że skrucha będzie wynagrodzoną. Niechaj w tem miejscu stanie świątynia a ja tu zleję na was łaski. Idź aż do twego pola a zobaczysz, że zboże twoje zostało nietknięte“. Zniknęła wraz z całym wieńcem aniołów, co ją otaczały dokoła. Starzec zaś podniósł się, doszedł do swego pola, zastał na niem zboże nietknięte. Wówczas podążył do Pollutri, udał się do proboszcza Maryana Iddone i opowiedział mu cud ów. W jednej chwili wieść ta obiegła całe terytoryum Casalbordina. Ludność cała zbiegła się do miejsca świętego, zobaczyła ziemię suchą zupełnie dokoła tego drzewa, zobaczyła jak faluje pszenica na oszczędzonem polu, uznała cud i wylewała łzy skruchy i rozrzewnienia. Wkrótce potem wikary z Arabona położył węgielny kamień pod budowę kaplicy a umocowanymi do prowadzenia budowy zostali Hieronim z Geromino i Jan Fatalone, obaj z Casalbordino. W ołtarzu umieszczono obraz Madonny, wraz z starym Aleksandrem Muzzio, klęczącym u stóp drzewa.

Legenda prostą była niezmiernie, banalną, podobną do stu innych tego rodzaju. Od owego pierwszego dobrodziejstwa, imię tej Madonny ocaliło niejeden okręt wśród burzy, niejedną wioskę od gradu, niejednego podróżnika od łotrów, chorych od śmierci. Pomieszczony wśród ludu nieszczęśli-

wego, obraz stał się niewyczerpanem źródłem pociech.

— Ze wszystkich Madonn na świecie nasza najwięcej cudów sprawia—mówił Cola Sciampagne, całując święty obrazek, zanim go schował napowrót na piersiach.—Powiadają, że ukazała się nowa jakaś w państwie. Ale nasza lepsza z pewnością. Nie bójcie się państwo. Ona zawsze pierwszą pozostanie ze wszystkich...

Akcent jego i cała postać znamionowały ten fanatyzm sekciarski, który rozpłomienia krew wszystkich bałwochwalców i który czasami na ziemi Abruzzów popycha ludność do dzikich walk w obronie supremacyi któregoś z jej bożyszcz. Stary tak, jak wszyscy jego współbracia w wierze, nie pojmował istoty boskiej po za jej wyobrażeniem; w obrazie tylko lub posągu widział i oddawał cześć rzeczywistemu istnieniu niebieskiej istoty. Obraz na ołtarzu żył tu w pojęciach osobą z ciała i kości: oddychał, uśmiechał się, podnosił i spuszczał powieki, pochylał czoło, dawał znaki ręką. I wszędzie było tak samo; wszystkie posągi pobożne, z drzewa, z wosku, z bronzu czy srebra, żyły życiem dotykalnem w ich pojęciach. Jeśli zestarzały się, połamały, zniszczyły z biegiem czasu, nie ustępowały bynajmniej miejsca nowym posągom bez oznak srogiego gniewu. Pewnego razu jakiś odłam biustu, który stał się już niepodobny do poznania i zamieszany został między drzewo opałowe, trysnął

strumieniem krwi pod uderzeniem siekiery i odezwał groźnemi słowy. Kiedyindziej inny jakiś odłamek sheblowany i osadzony między klepkami kadzi, dał znak swego nadprzyrodzonego pochodzenia tem, że w wodzie ukazało się widmo jego pierwotnej i integralnej formy...

— Hej!—krzyknął jednooki na człowieka, idącego pieszo z trudem brzegiem szosy, w dławiącym kurzu.—Hej-no! Hej! Aligi!

Zwrócił się ku swym gościom, dodając ze współczuciem:

— To dobry chrześcianin, człowiek z naszych stron. Idzie zanieść swe wotum. Wstał z ciężkiej choroby. Widzisz, signora, jaki on zadyszany? Pozwól mu wsiąść na kozioł.

— Owszem, owszem. Stój, stój!—mówiła Hipolita wzruszona.

Powóz zatrzymał się.

— Biegaj, Aligi! Państwo litują się nad tobą, chcą cię zabrać. Dalej, siadaj!

Dobry chrześcianin zbliżył się. Dyszał z ciężkością, zgarbiony, opierający się na lasce, okryty kurzem, ociekły potem, osłupiały z gorąca. Zarost rudawy okalał mu twarz, posianą piegami; pukle rudawych włosów wymykały się z pod kapelusza, przylepione na czole i skroniach; oczy jego zapadłe, skierowane ku osadzie nosa, bez określonego koloru, przypominały oczy owych średniowiecznych sekciarzy-konwulsyonistów. Odezwał się dysząc, głosem zachrypłym:

— Dziękuję! Niech wam Bóg zapłaci! Niech się wami opiekuje Madonna! Ale ja siąść nie mogę.

Trzymał w prawej ręce przedmiot jakiś, owinięty w białą chustę.

— To twoje wotum?—spytał jednooki. — Pokaż że?

Zagadniony podniósł róg chusty i ukazał nogę z wosku tak blado-siną, jak noga trupa, na której wymalowaną była fioletowa rana. Pod wpływem gorąca wosk zmiękł i noga stała się połyskliwą, jakby wilgotną od potu.

— Czy nie widzisz, jak się topi?

I Cola wyciągnął rękę, by pomacać.

— Miękka już jest. Jeśli dalej iść będziesz pieszo, rozmięknie ci do reszty i z rąk odpadnie na drodze.

Aligi powtórzył:

— Cóż, kiedy siąść nie mogę. Zrobiłem ślub, że pójdę pieszo.

I nie bez niepokoju badał uszko do zawieszenia, podnosząc nogę do wysokości skośnych swych oczu.

Na tej drodze, pałającej ogniem, wśród tego kurzu, pod tem światłem rażącem, nie było nic smutniejszego chyba nad tego człowieka wynędzniałego i ten przedmiot blado-siny, wstrętny jak członek odcięty, który miał uwieczniać pamięć rany na murach już okrytych wyobrażeniami nie-

ruchomemi i milczącemi tylu chorób i nędz, trapiących od wieków biedne ludzkie ciało.

— Wio!

I konie pomknęły dalej.

Pozostawiwszy w tyle za sobą wzgórki, droga przerzynała teraz obfite pola zbóż, niemal już dojrzałych. Stary, z gadatliwością właściwą sędziwemu wiekowi, opowiadał epizody choroby Aligiego, mówił o zgangrenowanej już jego ranie, uleczonej palcem Najświętszej Panny. Na prawo i lewo od drogi, wał kłosów wyrastał ponad płoty, przywodząc na myśl obraz pięknej czary, z przelewającym się po za brzegi złotym napojem.

— A otóż i świątynia!—zawołała Hipolita.

I ukazała ręką budynek z czerwonawych cegieł, wznoszący się w pośrodku rozległej łąki, zapchanej teraz tłumami ludu.

W kilka minut później, powóz zrównał się z tym tłumem.

V [1]).

Widok to był przecudny i straszliwy zarazem, niesłychany, niemający żadnego zgoła podobieństwa z jakiemś innem nagromadzeniem, już widzianem, rzeczy i ludzi, złożony z mięszaniny tak dziwacznej, tak przykrej i niezgodnej, że przechodziła wszelkie mary snów najniespokojniejszych. Wszystkie brzydoty i ohydy wieczystego heloty, wszystkie haniebne występki, wszelka osłupiałość stępienia; wszystkie konwulsye i wszystkie kalectwa ciała, wszystkie łzy żalu i skruchy, wszystek śmiech pijacki; obłąkanie, idyotyzm, przewrotność, lubieżność, niedołęztwo, strach, znużenie śmiertelne, zobojętnienie skamieniałe, rozpacz ponura; chóry kościelne, wycie opętanych, popisy akrobatów, muzyka dzwonów, dźwięki trąb, ryk, beczenie, rżenie; trzask ogni pod kotłami, stosy owoców i łakoci, porozkładane utensylia, tkaniny, broń, klejnoty, różańce; tańce plugawe skoczków i tancerek, kontorsye epileptyków, bijatyki, zwady, uciekanie złodziei

[1]) Należy może przypomnieć tutaj, że powieść obecna Annunzia, ukazała się w neapolitańskim dzienniku „Mattino“ w lutym 1893, gdy tymczasem „Lourdes“ poczęło wychodzić w dzienniku „Gil-Blas“ dopiero w kwietniu 1894.
(Przyp. tłom.)

ściganych wśród popychającego się tłumu; szumowiny najgorszego zepsucia, które wyzionęły zaułki potworne wielkich miast oddalonych na tłum bezświadomy i zahukany: ćma pasorzytów, jak bąki na bydle, zażartych na ten tłum zbity, niezdolny się obronić; wszystkie nikczemne pokusy dla żądz zwierzęcych, wszystkie oszustwa, wszystkie bezwstydy, rozkładające się wśród dnia białego; zlepek wszechrzeczy był tam i wrzał, kotłował się, fermentował dokoła przybytku Przenajświętszej Dziewicy.

Przybytek ten był ciężki, pospolitej, gminnej architektury, bez ozdób, zbudowany z cegły, nieotynkowanej, czerwonawej. W koło murów zewnętrznych, w koło pilastrów portalu, porozbijali namioty przekupnie świętości i porozkładali towar swój na straganach; i kupczyli. W pobliżu wznosiły się baraki przybyszów, budy jarmarczne, przystrojone w wielkie obrazy, przedstawiające bitwy krwawe i uczty ludożerców. U wejścia ludzie podejrzani, o zagadkowej i nikczemnej powierzchowności, dęli w trąby i wykrzykiwali z całych sił. Kobiety bezwstydne, o nogach olbrzymich, o wielkich, wypukłych brzuchach, o piersiach obwisłych, źle okryte brudnemi trykotami i łachmanami świecideł, sławiły w dziwacznej gwarze cuda, ukryte po za czerwoną kotarą, zawieszoną za ich plecami. Jedna z tych rozpustnic zniszczonych, która wyglądała na potwora zrodzonego z karła i maciory, karmiła z ust

swych lepkich małpkę lubieżną; obok niej zaś potwór jakiś, pomazany mąką i karminem wywijał z frenetycznym szałem ogłuszającym dzwonkiem w powietrzu.

Kompanie pielgrzymów nadciągały długiemi szeregami, poprzedzane przez przewodników, niosących krzyż, wśród dźwięku pobożnych hymnów. Kobiety parami trzymały się za fałdy sukien i kroczyły jak w ekstazie, oszołomione, z oczyma szeroko rozwartemi, nieporuszonemi. Mieszkanki z Trigno nosiły suknie z szkarłatnego jedwabiu, o tysiącu fałd, od połowy pleców, przewiązane w pasie wstęgą różnobarwną, która je podnosiła i tworzyła wypukłość, podobną do garbu. I złamane, zda się, ze zmęczenia, szły pochylone, wlokąc za sobą ciężkie jak ołów obuwie na odsłoniętych nogach; sprawiały wrażenie dziwacznych jakichś zwierząt jucznych. Niektóre z nich miały wielkie wole a złote naszyjniki połyskiwały na tych wolach spalonych.

Niech żyje Marya!

Po nad tym tłumem, zwrócone do niego twarzą, górowały lunatyczki, siedzące naprzeciw siebie, na ustawionych na kozłach wzniesieniach. Opaski i chusty zakrywały im twarz całą, odsłaniając tylko usta gadatliwe, niestrudzone, pełne śliny. Mówiły wciąż z monotonnością kantyczki, podnosząc, to zniżając głos, z kiwaniem głów, które rytm markowało. Chwilami połykały zbyteczną ślinę z lekkiem syczeniem. Jedna

z nich ukazywała kartę zatłuszczoną, krzycząc: „Oto kotwica nadziei!“ Inna, której usta nadmiernie szerokie, ukazywały i zasłaniały z pomiędzy popsutych zębów język, pokryty żółtawą powłoką, pochylała się cała ku słuchaczom, trzymając na kolanach ręce grube, nabrzmiałe a na podołku stos miedzianych pieniędzy. Słuchacze okrążali je kołem, uważnie w nie wpatrzeni, nie tracąc słowa, nie spuszczając oczu, bez jednego gestu. Od czasu do czasu tylko językiem odwilżali oschłe wargi.

Niech żyje Marya!

Nowe gromady pielgrzymów przybywały, przechodziły i niknęły. Tu i owdzie, w cieniu baraków, pod szerokiemi niebieskiemi parasolami, lub nawet na słońcu spały stare kobiety, wyczerpane snać zmęczeniem, z ciałem podanem naprzód, z twarzą w dłoniach ukrytą, na spieczonej trawie. Inne, usadowione w półkole, z nogami rozsuniętemi na ziemi, żuły rożki świętojańskiego chleba, przegryzając chlebem, mozolnie, w milczeniu, nie troszczące się o nic, obce całemu otaczającemu je zgiełkowi; i widać było, jak zbyt wielkie kęsy z trudem przechodziły przez ich gardziele żółte i pomarszczone jak skorupa żółwia. Niektóre z nich okryte były ranami, strupami lub bliznami, bez zębów, bez rzęs, bez włosów; nie spały, nie jadły; siedziały nieruchome i zobojętniałe, jak gdyby już tylko oczekiwały na śmierć; nieszczęsne ich kadłuby obsiadały chmary much

wirujących dokoła zbitą, gęstą, zajadłą gromadą jakby nad padliną w rowie.

W oberżach natomiast, pod namiotami płonącemi w południowem słońcu, dokoła pali wbitych w ziemię i przystrojonych w gałęzie, odbywały się popisy żarłoczności tych, którzy pracowicie zbierali do dziś dnia drobne oszczędności, po to, by dopełnić pobożnego ślubu a także, by zadowolić niezmierne pragnienie hulanki, o której marzyli zdawna wśród ciężkiej pracy i nędznej strawy powszedniej. Widać tam było ich twarze pochylone nad miskami, ruch ich szczęk żujących, poruszenia rąk szarpiących, całe zachowanie zwierząt, porających się z pokarmami, do których nie nawykły. Szerokie rondle dymiły na ognisku, pełne ślimaków fioletowych; zapach nęcący rozchodził się dokoła. Młoda dziewczyna, wybujała i wątła jak konik polny, sprzedawała sery w kształcie małych koników, ptaków, lub kwiatów. Mężczyzna z twarzą gładką i tłustą, kobiecą niemal, z wisiorami złotemi w uszach, z rękoma zabarwionemi aniliną jak u farbiarzy, ofiarował przechodniom sorbety w kształcie ryb.

Niech żyje Marya!

Nowe znów kompanie przybywały. Tłum wzmógł się dokoła portalu, nie mogąc dostać się do wnętrza kościoła, zapchanego już i natłoczonego. Kuglarze, rzezimieszki, wszelkiego rodzaju draby, szulerzy, oszuści, szarlatani nawoływali tłum pobożny, odciągali, tumanili. Wszyscy ci sojuszni-

cy w łupieztwie zdaleka już węszyli swą zdobycz, spadali na nią jak grom i nigdy nie chybiali celu. Przywabiali głupca tysiącznemi sposoby, poddając mu nadzieję szybkiego i pewnego zysku; z niesłychaną sztuką skłaniali go, by zaryzykował; podbudzali w nim chciwość aż do gorączki. Potem, skoro stracił całą cierpliwość i przezorność, obdzierali go do ostatniego grosza, bez miłosierdzia, najłatwiejszemi w świecie podstępami, w jednej chwili; i rzucali go potem zdumiałego i zrozpaczonego, śmiejąc się w sam nos, ginęli mu w tłumie. Przykład jego jednak nie ustrzegł drugich, którzy tak samo wpadali w zastawione sidła. Każdemu zdawało się, że jest domyślniejszy i zręczniejszy od poprzednika i sam własnowolnie ofiarował się pomścić towarzysza ograbionego, biegnąc na oślep na własną zgubę Niezliczone prywacye, znoszone bez wytchnienia by tylko odłożyć trochę pieniędzy, oszczędności całoroczne urywane grosz po groszu od potrzeb życia, te prywacye nieopisane, które skąpstwo wieśniaka stawiają na równi z brudnem i łapczywem sknerstwem żebraków, ujawniały się wszystkie w drżeniu ręki, kiedy sięgała do kieszeni po pieniądz, by go postawić na hazard.

Niech żyje Marya!

Nowe procesye nadchodziły drogą, mijały tłum zebrany. Potok, wciąż wznawiający się, usiłował przebić tłum zmieszany i falujący; melodya wciąż jednaka panowała nad mieszaniną wszystkich

krzyków, nad całą tą wrzawą jarmarczną. Zwolna, na tem tle głuchem niezgodnych dźwięków, ucho nie rozróżniało już nic wyraźnego, prócz imienia Maryi. Hymn odniósł zwycięztwo nad zgiełkiem. Fala napływająca bezprzestannie rozbijała się o mury świątyni, rozpłomieniona słońcem.

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

Przez kilka minut jeszcze Jerzy i Hipolita, oszołomieni, potrącani, przypatrywali się temu potwornemu zbiegowisku, zkąd unosiły się mdlące wyziewy, gdzie tu i owdzie wypływała twarz wymalowana komedyanta lub obwiązane czoło wróżki. Obrzydzenie ściskało im gardła, brała ich ochota ucieczki; a jednak atrakcya tego widowiska ludzkiego zbyt była silna i powstrzymywała ich wśród tej zgrai, popychała ku miejscom, gdzie nagromadzoną była największa nędza, gdzie widzieć można było najgorsze wybryki okrucieństwa, głupoty i oszustwa, gdzie głosy ludzkie wyły, gdzie łzy płynęły.

— Podejdźmy ku kościołowi — ozwała się Hipolita, która nieprzytomna prawie, ulegać poczynała temu szałowi, który bił od fanatycznych tłumów, tem szaleńszych, im słońce z większą wściekłością przepalało czaszki.

— Czyś ty nie zmęczona jeszcze? — spytał Jerzy, ujmując ją za ręce. — Jeśli chcesz, odjedziemy ztąd. Poszukamy sobie jakiego miejsca do

odpoczynku. Obawiam się, abyś tu nie rozchorowała się. Pojedziemy, jeśli zechcesz.

— Nie, nie, nic mi nie jest, czuję się silną, mogę wytrzymać. Idźmy ku kościołowi, wejdźmy tam. Widzisz, że wszyscy tam dążą. Słyszysz, jak krzyczą!

Widocznie była cierpiącą. Usta miała ściągnięte kurczowo, muskuły twarzy skurczone; a ręka ściskała nerwowo ramię Jerzego. Ale nie odrywała oczu od drzwi świątyni, od tego obłoczku błękitnawego dymu, po przez który świeciły i zagasały kolejno drobne płomyki świec.

— Słyszysz, jak oni krzyczą!

Chwiała się na nogach. Krzyki rosły wciąż, rzekłbyś, że tam mężczyźni i kobiety zabijają się wzajem i toną w krwi kałużach.

Cola ozwał się:

— Oni się modlą tak żarliwie, błagają o litość.

Starzec nie odstąpił ani na chwilę swych gości; z niemałym trudem próbował utorować im drogę wśród tłumu.

— Państwo chcecie tam iść? — dodał.

Hipolita zdecydowała się.

— Tak, chodźmy.

Cola postępował przed nimi, roztrącając łokciami tłok, by się zbliżyć do drzwi kościoła. Hipolita nie dotykała już ziemi, unoszona w powietrzu niemal na ramieniu Jerzego, który zbierał wszystkie siły, aby utrzymać na nogach ją i siebie. Żebraczka

jakaś ścigała ich wciąż, następując na pięty, skomląc o jałmużnę płaczliwym głosem, z wyciągniętą ręką, którą dotykała ich chwilami. I nie widzieli nic, prócz tej ręki zgrzybiałej, bezkształtnej, węzłowatej u stawów, sino żółtej, z długiemi fioletowemi paznokciami, ze skórą porozpadaną między palcami: ręki podobnej do dłoni małpy chorej a zgrzybiałej.

Nakoniec przecisnęli się aż do portalu; oparli się o jeden z filarów, w pobliżu któregoś straganu, jakiegoś przekupnia różańców.

Procesye, czekając na swą kolej wejścia do świątyni, tymczasem okrążały dokoła kościół, obchodziły, obchodziły dokoła bez wytchnienia, z odkrytemi głowami, za przewodnikami, niosącymi krzyże, nie przerywając ani na chwilę śpiewów. Mężczyźni i kobiety nieśli laski zakończone w górze krzyżem lub bukietem kwiatów i podpierali się na nich całym ciężarem znużenia. Czoła ich ociekały potem; strumienie potu spływały po policzkach, zwilżały ubranie. Mężczyźni mieli na piersiach roztwarte koszule, szyje obnażone, nagie ramiona, a na rękach, na pięściach, na ramionach, skóra była popstrzona wytatuowanemi błękitnemi znakami, na pamiątkę odwiedzonych miejsc cudownych, łask otrzymanych, ślubów dopełnionych. Wszystkie wykoszlawienia muskułów, kości, wszystkie odmiany brzydoty cielesnej, wszystkie niezmazane ślady, pozostawione tam przez ciężką pracę, niewstrze-

mięźliwość i choroby; czaszki spiczaste lub spłaszczone, łyse lub wełniste, pokryte bliznami lub naroślami; oczy zaszłe bielmem i zezowate jak bąble maślanki, oczy smutnie niebieskie jak oczy osamotniałej ropuchy; nosy płaskie, jakby rozbite pięścią, lub haczykowate jak dzioby jastrzebiów, lub długie i mięsiste jak trąby lub stoczone niemal zupełnie przez wrzody zjadliwe; policzki pożyłkowane czerwono jak listki winogradu w jesieni, lub żółtawe i pomarszczone jak żołądek zwierząt przeżuwających, to znów obrosłe rudawym włosem jak brody kukurudzy; usta wązkie jak zacięcie brzytwą, albo otwarte i miękie jak przejrzała figa, lub też pokurczone jak zeschłe liście, to znów zaopatrzone w zęby potworne jak kły dzika; wargi zajęcze, wola rozdęte, róże, skrofuły, krosty; wszystkie obrzydliwości ciała ludzkiego przeciągały w świetle słonecznem długim korowodem przed przybytkiem Maryi.

Niech żyje Marya!

Każdy pochód miał swego przodownika, niosącego krzyż przodem i swego prowodyra. Prowodyr był silnym, rozrosłym i gwałtownym mężczyzną, który podniecał bezustannie wiernych wyciem i ruchami opętańca, uderzając po grzbiecie opóźniających się, ciągnąc za sobą starców osłabłych, wymyślając kobietom, co przerywały hymn, by odetchnąć. Olbrzym o cerze oliwkowej, którego oczy świeciły jak pochodnie, z pod czarnych, zwichrzonych włosów, wlókł trzy kobiety

za sznury uzd. Inna kobieta szła przodem całkiem naga w worku tylko, z którego wychodziły tylko głowa i ręce. Inna znów, długa jak tyka i wychudła, z twarzą sinawo-bladą, z oczyma białawemi, spłowiałemi, szła na czele jak lunatyczka, nie śpiewając, nie odwracając się na żadną stronę, z czerwonym sznurem na szyi, który podobnym był do okrwawionego bandaża rany śmiertelnej; za każdym niemal krokiem chwiała się, jak gdyby nie miała już siły utrzymać się na nogach, jak gdyby lada chwila miała upaść i nie podnieść się już nigdy. Inna, dzika jak zwierz, idący za łupem, istna wcielona furya wioskowa, w płaszczu koloru krwi, owiniętym dokoła kościstych bioder z haftem na piersiach błyszczącym jak łuska rybia, wznosiła w górę krzyż czarny, podniecając tą zaciekłością swą kompanię. Inna niosła na głowie kolebkę, okrytą ciemnem suknem, jak Liberata w ową noc okropną.

Niech żyje Marya!

Obchodzili i obchodzili kościół dokoła bez wytchnienia, przyśpieszając pochód, wznosząc głos, podniecając się coraz bardziej w wyciu i gestykulowaniu jak opętani. Dziewice z włosami rzadkiemi, rozpuszczonemi na ramiona i wysmarowanemi oliwą, niemal łyse na wierzchołku głowy, z głupowatym wyrazem twarzy jak u owiec, szły sznurem, każda oparłszy rękę na ramieniu towarzyszki, z oczyma w ziemię spuszczonemi, pełne skruchy... W rodzaju trumny głębo-

kiej, niesionej przez czterech ludzi, leżał paralityk, którego dusiła otyłość, z rękoma bezwładnie opadającemi, pełnemi węzłów jak korzenie drzew i powykręcanemi przez straszliwą podagrę. Drżenie bezustanne poruszało te ręce; obfity pot kroplami ściekał z czoła i łysej czaszki, spływając w strumieniach po twarzy szerokiej, koloru zwiędłej róży, zlekka pożyłkowanej różowo, jak śledziona wołów. Na szyi zawieszoną miał całą kolekcyę szkaplerzy, na brzuchu rozłożoną kartkę z wyobrażeniem cudownego obrazu. Cierpiał i wyrzekał jak w śmiertelnej trwodze konania, już nawpół umarły; woń zgnilizny już wiała od niego; wszystkie pory jego ciała, zda się, wydzielały z siebie tę nieopisaną, dziką męczarnię, którą mu sprawiały ostatnie drgnienia życia; a przecież umrzeć nie chciał jeszcze i aby nie umrzeć, kazał się nieść w tej trumnie do stóp Najświętszej Panny. Nieopodal od niego, inni mężczyźni, silni, nawykli na procesyach nosić statuy świętych lub chorągwie, wlekli za ręce opętanego; opętany wyrywał się z uścisku ich dłoni, szarpał, ryczał w poszarpanem na strzępy odzieniu, z pianą na ustach, z oczyma wybiegłemi z orbitów, z szyją, na której nabrzmiały żyły, z rozczochranemi włosami, fioletowy jak wisielec. Przeszedł także i Aligi, człowiek wybrany, co doświadczył łaski, bledszy teraz, niż noga woskowa, którą niósł w ofierze. I ponownie przeciągnęli wszyscy w tym pochodzie bez końca; prze-

szły trzy kobiety, wleczone na uzdach, przeszła furya z czarnym krucyfiksem; i owa ponura z krwawą szarfą; i ta, co niosła kolebkę na głowie i ta, co była w wór przybrana, uwięziona w nim mocą zadanego sobie umartwienia, oblana łzami cichemi, które spływały z pod przymkniętych powiek, postać symboliczna wieków przeszłych dalekich, osamotniona w tłumie, spowita, rzekłbyś, powiewem starożytnej surowości pokutniczej, wskrzeszająca w umyśle Jerzego wizyę wielkiej i czystej bazyliki klementyńskiej, której krypta pierwotna, surowa, przypominała chrześcian IX go wieku, czasy Ludovica II.

Niech żyje Marya!

Obchodzili, obchodzili dokoła, nie zatrzymując się ani na chwilę, przyśpieszając kroku, podnosząc głos, oszaleli niemal od słonecznego żaru, co im palił czoła lub tył głowy, podniecani wyciem opętanych i okrzykami, wychodzącemi z kościoła, ilekroć mijali drzwi jego, uniesieni dziką frenezyą, która ich popychała do ofiar krwawych, do tortur ciała, do umartwień nadludzkich. Obchodzili kościół ciągle, niecierpliwie wyczekując możności wejścia, niecierpliwie wyczekując chwili, w której rzucić się będą mogli na kamienie święte posadzki, zapełnić swemi łzami bruzdy, jakie w nich wyżłobiły tysiące tysięcy kolan. Wciąż krążyli i krążyli w tem zaczarowanem, zda się kole, urastając w liczbę, pchając się, depcząc sobie po piętach z taką zgodnością sza-

łu, że mieli pozór nie już aglomeracyi osobników ludzkich, ale masy zbitej, jednolitej jakiejś materyi ślepej, wytworzonej przez siłę zawrotną, odurzającą.

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

W pośród tłumu, młody jakiś człowiek padł całym ciężarem nagle na ziemię, dotknięty napadem wielkiej choroby. Sąsiedzi otoczyli go, wywlekli po za obręb wiru. Inni, dość liczni, odłączyli się od tłumu, który zajmował plac przedkościelny i zbiegli się patrzeć na ten widok.

— Co to się stało?—spytała Hipolita, blednąc, z niezwykłem pomięszaniem w twarzy i głosie.

— Nie, nic... porażenie słoneczne — odpowiedział Jerzy, ujmując ją za rękę i starając się ztąd uprowadzić.

Ale Hipolita zrozumiała co to się stało. Widziała jak dwaj ludzie otwierali przemocą szczęki epileptyka i kładli mu klucz w usta, w celu, niedopuszczenia niezawodnie, by sobie pogryzł język zębami.

I przez suggestyę poczuła jak własne jej zęby wydają zgrzyt okropny; instynktowny dreszcz wstrząsnął nią całą do głębi istoty, tam właśnie, gdzie straszna choroba drzemała, zdolna się zbudzić lada chwila.

Cola Sciampagne rzekł:

— To ktoś dostał choroby świętego Walentego. Niech się pani nie boi.

— Chodźmy ztąd, chodźmy! — nastawał Jerzy zaniepokojony, starając się uprowadzić swą towarzyszkę.

„Gdyby miała paść tutaj nagle!—myślał.—Gdyby dostała ataku choroby tu, wśród tego tłumu!“

Dreszcz ściął mu lodem serce. Przypomniał sobie listy datowane z Caronno, te listy, w których rozpacznemi słowy uczyniła mu przerażające wyznanie. I znowu jak wówczas, wyobraził sobie „blade i zaciśnięte konwulsyjnie jej ręce a w palcach promień włosów wyrwany“...

— Chodźmy ztąd! Może chcesz, żebyśmy weszli do kościoła?

Nie odpowiadała nic, ogłuszona jakby jakiemś nagle w kark otrzymanem uderzeniem.

— Chcesz, byśmy tam weszli? — powtórzył Jerzy, trącając ją i usiłując ukryć własny niepokój.

Chciał dodać jeszcze: „O czem myślisz?“ ale nie śmiał. Dojrzał w oczach Hipolity tak ponury smutek, że ścisnęło mu się serce i czuł, że go dławi coś w gardle. Potem podejrzenie, że ta cisza i ta odrętwiałość mogły być zapowiedzią blizkiego ataku, przejęło go panicznym jakimś strachem. Nie zastanawiając się, szepnął:

— Czy ci niedobrze?

A te słowa trwożne, które wyznawały podejrzenie i odsłaniały tajemną obawę, wzmogły jeszcze pomięszanie obojga kochanków.

— Nie, nie!—wymówiła z widocznym dreszczem przejęta zgrozą, przyciskając się do Jerzego, jakby domagając się odeń, by ją bronił przed niebezpieczeństwem.

I naciskani przez ciżbę, na poły nieprzytomni, udręczeni, nędzni jak wszyscy inni w tym tłumie, potrzebujący, tak jak inni, litości i pomocy, upadający, jak wszyscy inni, pod ciężarem śmiertelnego ciała, przez jedną chwilę oboje złączeni byli ścisłym, prawdziwym związkiem z tym tłumem, pośród którego drżeli i cierpieli jednako; oboje na chwilę zapomnieli w niezmierności ludzkiego smutku, o granicach dusz własnych.

Hipolita pierwsza zwróciła się ku kościołowi, ku jego wielkiej bramie, ku temu obłokowi błękitnawych dymów, z po za których świeciły lub ćmiły się kolejno drobne płomyki świec po nad oszołomionym ludzkim potokiem.

— Wejdźmy—rzekła głosem zdławionym, nie opuszczając ramienia Jerzego.

Cola oznajmił, że niepodobna było wejść przez główną bramę.

— Ale—dodał—znam inne wejście. Chodźcie państwo za mną.

Torował z wielkim trudem przejście. A przecież podtrzymywała ich sztuczna energia, ślepy upór popychał naprzód, takiż sam niemal jak owych fanatyków, co okrążali świątynię bez końca. Ulegli ogólnej zarazie. Odtąd Jerzy czuł,

że nie jest już panem samego siebie. Nerwy zawładnęły nim w zupełności, narzucając mu bezład własnych wrażeń.

— Chodźcie za mną — powtarzał stary, przedzierając się przez potok ludzki za pomocą łokci i osłaniając swych gości od kułaków tłoczących się zewsząd pielgrzymów.

Weszli przez drzwi boczne do rodzaju zakrystyi, zkąd widać było przez niebieskie obłoki dymu, ściany pokryte całkowicie wotami woskowemi, rozwieszonemi na pamiątkę cudów, dokonanych przez Najświętszą Pannę. Nogi, ręce, stopy, piersi bezkształtne, członki, przedstawiające nabrzmiałości, gangreny, wrzody, niezgrabne, prymitywne wyobrażenia chorób potwornych, malowidła ran szkarłatne i fioletowe, które odbijały krzycząco na bladości wosku, wszystkie te wizerunki, nieruchomie rozścielające się na czterech ścianach wysokich, miały coś pogrzebowego w sobie, przejmowały wstrętem, obrzydzeniem i trwogą, przywodziły na myśl kostnicę, w której nagromadzonoby całe stosy członków, amputowanych w jakimś szpitalu. Kłęby ciał ludzkich zaściełały posadzkę; a z pośród tych kłębów, wyłaniały się trupio blade twarze, usta okrwawione, czoła osypane kurzem, czaszki wyłysiałe, włosy białe jak śnieg. Byli to wszystko niemal starcy, leżący w prochu przed ołtarzem, jak trupy składane stosami w czasach zarazy. Tu jakiegoś starca także wnosiło do kościoła na ręku

dwóch ludzi szlochających; w tym ruchu, głowa starca chwiała się, to opadając na piersi, to znów na ramię; krople krwi spływały mu na koszulę z ran nosa, ust i brody. Po za nim rozlegały się wciąż krzyki rozpaczy: krzyki szaleńców, błagających o łaskę, której tamten nie dostąpił.

— Madonno! Madonno! Madonno!

Zgiełk to był nieopisany, dzikszy niż ryk człowieka, który pali się żywcem w pożarze, bez nadziei ratunku, okropniejszy niż wołanie o pomoc rozbitków, skazanych na śmierć pewną na morzu, wśród nocy.

— Madonno! Madonno! Madonno!

Tysiące rąk wyciągały się ku ołtarzowi z dziką frenezyą. Kobiety wlokły się na kolanach, łkając, rwąc sobie włosy, bijąc się po biodrach, raniąc sobie czoła o kamienie posadzki, wijąc się w konwulsyach jak opętane. Niektóre na czworakach, na łokciach i wielkich palcach od nóg podtrzymując cały ciężar ciała, poziomo wyciągniętego, zwolna zbliżały się ku ołtarzowi. Pełzały jak gady; zwijały się, zgięte w kabłąk, z ruchami coraz to szybszemi; z pod ich spódnic widać było stopy opalone, popękane i żółtawe, kostki nóg wypukłe i spiczaste. Chwilami ręce dopomagały łokciom, drżące u ust co zcałowywały proch posadzki, u języka, co znaczył znaki krzyża po niej śliną, zmieszaną ze krwią. I pełzające ciała przesuwały się po tych znakach krwawych, nie zmazując ich, przed każdą zaś

głową, mężczyzna stojący z boku, uderzał w posadzkę końcem laski, wskazując prostą drogę do ołtarza.

— Madonno! Madonno! Madonno!

Krewne włokły się na kolanach z obu stron tej ścieżki, nadzorując dopełnienia ślubu. Od czasu do czasu pochylały się, dodając odwagi nieszczęśliwym. Kiedy te zdawały się już omdlewać, wstrząsały niemi, podtrzymywały pod pachami, lub wachlowały twarze bielizną. Czyniąc to, płakały gorącemi łzami. A płakały jeszcze rzewniej, kiedy towarzyszyły starcom lub młodzieniaszkom, spełniającym ślub takiż. Bo nie były to tylko same kobiety; starcy i młodzieńcy i chłopcy niedorośli, zbliżali się tak samo do ołtarza; aby stać się godnymi podnieść oczy na obraz, poddawali się tej męczarni. Każdy dotykał językiem miejsca, gdzie poprzednik pozostawił już ślad wilgotny; każdy uderzał czołem lub brodą w toż samo miejsce, w którym inny pozostawił już strzęp swojej skóry, kroplę krwi swej, swego potu, lub łez swoich. Nagle promień światła prostopadły przeniknął przez wielkie drzwi kościoła do wnętrza zapełnionego tłumem i oświecił stopy nóg pokurczonych, stwardniałych od spiekłej ziemi, lub skalistego gór gruntu, tak wykoszlawionych i bezkształtnych, że mniej podobne były do nóg ludzkich niż do zwierzęcych; oświecił wierzchołki czaszek uwłosionych lub łysych, białych od starości, płowych lub czar-

nych, które podnosiły się na byczych karkach, nabrzmiałych wysiłkiem, lub chwiały, zwątlałe jak zielonkawa głowa starego żółwia, wysuwająca się ze skorupy, albo wykopana z ziemi czaszka, na której pozostałoby jeszcze kilka kępek siwawych włosów i kilka strzępów czerwonawej skóry.

Chwilami po nad tym sznurem pełzających gadów, fala błękitna kadzideł unosiła się powoli, przysłaniając na chwilę te zgięte w upokorzeniu postacie, tę nadzieję i tę boleść fizyczną, niby przez poczucie litości.

Nowi pielgrzymi torowali sobie drogę, cisnęli się do ołtarza, by żądać cudu; i przysłaniali swym cieniem i swemi głowami ciała rozciągnione, które, zdało się, że nigdy już powstać nie będą mogły.

— Madonno! Madonno! Madonno!

Matki obnażały swe piersi wyschnięte, które ukazywały Najświętszej Pannie, błagając ją o łaskę, by w nich napowrót pojawiło się mleko, kiedy tymczasem tuż za niemi krewniaczki niosły ich niemowlęta wyschłe, konające niemal, które kwiliły żałośnie. Małżonki błagały o płodność dla swych żywotów i oddawały na ofiarę ślubne suknie i ślubne klejnoty.

— Panno święta, zmiłuj się nademną, w imię tego Syna, którego nosisz na ręku!

Modliły się naprzód po cichu, opowiadając swe nieszczęścia wśród łez, jak gdyby rozmawiały po

tajemnie z obrazem, jak gdyby obraz pochylał się z góry aż do nich, by wysłuchać ich skarg serdecznych, ich żalów. Potem stopniowo podniecały się aż do szału niemal, aż do wściekłości, jak gdyby chciały mocą przyzywań i giestów szalonych, gwałtem wydrzeć od Madonny zezwolenie na cud. Zbierały całą energię, by wydać z siebie ryk przenikliwy, zdolny przedrzeć się aż do głębi serca Przenajświętszej Dziewicy.

— Zlituj się! Zlituj nademną!

I ustawały w wołaniu, poglądając z trwogą rozszerzonemi i nieruchomemi oczyma, w nadziei, że spostrzegą wreszcie znak jakiś na obliczu świętem, połyskującem wśród klejnotów płonących, między niedostępnemi kolumnami ołtarza.

Nowa fala fanatyków napływała, zabierała miejsce, rozlewała się w całej szerokości okratowania. Wrzaski zgiełkliwe i gwałtowne gesty przeplatały modlitwy. Po za kratą, która broniła przystępu do wielkiego ołtarza, księża zbierali w tłuste swe i blade ręce, pieniądze i klejnoty, składane na ofiarę. W tej czynności wyciągania to prawej to lewej ręki, przechylali się z jednego boku na drugi i kiwali jak zwierzęta uwięzione w klatce menażeryi. Po za nimi klerycy trzymali szerokie tace metalowe, na które zsypywały się ofiary z brzękiem. Z jednego boku, u drzwi zakrystyi, inni znów księża, stali pochyleni nad stolikiem: liczyli oni pieniądze i przypatrywali się badawczo klejnotom, kiedy

tymczasem jeden z nich, kościsty i płowy, zapisywał coś gęsiem piórem na długim regestrze. Opuszczali zajęcie swe kolejno i szli zbierać znów ofiary. Od czasu do czasu dzwonek dzwonił i wznosiła się kadzielnica w pośród chmur dymu. Długie wstęgi błękitnawe dymu rozwijały się nad głowami tonzurowanemi i rozpraszały po za kratą. Woń kościelna mięszała się z wyziewami ludzkiemi.

— *Ora pro nobis, sancta Dei Genitrix...*

— *Ut digni efficiamur promissionibus Christi.*

Czasami podczas przerw niespodziewanych i straszliwych, jak chwile ciszy, w których uragan odpoczywa, kiedy tłum dyszał trwogą i oczekiwaniem, słychać było wyraźnie słowa łacińskie:

— *Concede nos famulos tuos...*

Pod wielkim portykiem, zbliżała się pompatycznie para małżonków, w orszaku całej gromady krewnych, wśród błyskotania złotych ozdób i szelestu jedwabiów. Żona świeża i silna, miała głowę, rzekłbyś, jakiejś barbarzyńskiej królowej; o brwiach gęstych i zrośniętych, o włosach czarnych jak heban, sfalowanych i błyszczących, o ustach mięsistych i purpurowych, w których przednie zęby nieregularne podnosiły górną wargę, zacienioną puszkiem męzkim. Naszyjnik z grubych ziarn złotych, trzykrotnie opasywał jej szyję; szerokie koła, zdobne filigranowemi kwiatami, zwieszały się z jej uszu na policzki; gorsecik, połyskujący jak pancerz, obciskał jej piersi.

Szła z powagą, zatopiona w myślach, nie podnosząc niemal powiek, trzymając rękę, obciążoną pierścionkami na ramieniu małżonka. Mąż był również młody, niższy wzrostem, niemal bez zarostu, bardzo blady z wyrazem głębokiego smutku, jak gdyby go trawiła tajona jakaś boleść. I zdało się, że widok tych obojga niesie z sobą fatalność jakiejś tajemnicy, wielce pierwotnej.

Szept powstawał gdy przechodzili. Oni nie mówili ani nie zwracali nigdzie głowy, idąc przodem przed orszakiem krewniaków, mężczyzn i kobiet, trzymających się za ręce w łańcuchu, przypominającym taniec starożytny. Jakiż ślub ci spełniali? Jakiej błagali łaski? Wieść biegła po cichutku z ust do ust: błagali dla młodzieńca o powrót siły rodnej, której niezawodnie pozbawiło go „złe“ jakieś, co się doń przyplątało. Dziewiczość małżonki pozostała nienaruszoną; krew nie splamiła jeszcze małżeńskiego łoża.

Kiedy już stanęli u samej kraty prezbiteryum, podnieśli oboje oczy ku obrazowi w milczeniu; i przez chwil kilka pozostali nieporuszeni, zatopieni w temże samem niemem błaganiu. Ale po za nimi, obie matki wyciągały ręce, poruszały pomarszczonemi i spalonemi dłońmi, które w dniu zaślubin daremnie rozsypywały wieszczbiarskie ziarno. Wyciągały je teraz i krzyczały:

— Madonno! Madonno! Madonno!

Powolnemi ruchami, żona zdejmowała z palców pierścienie i składała je na ofiarę. Potem wyję-

ła z uszu wielkie koła. Nakoniec zdjęła naszyjnik dziedziczny. Wszystkie te bogactwa złożyła u ołtarza.

— Bierz to, o, Panno błogosławiona! Bierz, Przenajświętsza Maryo cudowna! — wołały matki głosem zachrypłym już od krzyku ze zdwojonym zapałem, poglądając na siebie z ukosa, by jedna nie dała się przewyższyć drugiej w gorliwości przed oczyma tłumu.

— Bierz, bierz!

Widziały jak spadają klejnoty w ręce niewzruszonych, spokojnych księży; potem słyszały jak zabrzęczał na tacy kleryka cenny kruszec, pozyskany za cenę pracy wytrwałej, upornej a ciężkiej kilku pokoleń z rzędu, przechowywany przez całe lat szeregi w głębi kufrów, wkładany tylko w dzień każdych zaślubin. Widziały jak przepada rodzinne bogactwo, jak niknie na zawsze. Gwałtowność poświęcenia przyprawiała je o rozpacz a ich wzburzenie udzielało się najbliższym. Wszyscy krewni wreszcie zawodzili i krzyczeli razem. Tylko młody małżonek milczał, z oczyma wciąż utkwionemi w obraz a dwa strumienie łez cichych spływały mu po twarzy.

Nastała następnie chwila milczenia, w której słychać było tylko łacińskie słowa modlitwy i rytm hymnu, śpiewanego po za obrębem kościoła. Potem młode małżeństwo poczęło cofać się zwolna, z oczyma utkwionemi w obraz. Nowy pochód stanął między nimi a kratą prezbiteryum

z krzykami. Przez kilka sekund, młoda małżonka, górowała po nad tłumem, ale piękniejsza i potężniejsza, spowita, zda się, w rodzaj tajemniczości bachijskiej, ziejąc na ten tłum barbarzyński powiew niezmiernie starożytnego życia; zniknęła wreszcie niezapomniana.

Oderwany od czasu i rzeczywistości, Jerzy ścigał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. Umysł jego przeniósł się w okropności nieznanego świata, w jakiś lud bez nazwy, wcielony w obrzędy dziwnie ciemne. Twarze mężczyzn i kobiet ukazywały mu się jakby w wizyi szału, napiętnowane innym jakimś stygmatem ludzkości niż jego, złożone z innej, zda się, materyi; a spojrzenia ich, ruchy i głosy, wszystkie znamiona spostrzegane, przejmowały go zdumieniem, jak gdyby nie miały żadnej analogii ze zwykłemi objawami ludzkiemi, jakie mu znane były dotychczas. Niektóre z tych postaci miały dla niego szczególniejszą atrakcyę, iście magnetyczną. Ścigał je pośród tłumu, pociągając za sobą Hipolitę; szedł za niemi wzrokiem, wspinając się na palce; śledził każdą ich czynność; czuł jak każdy ich okrzyk znajduje echo w własnem jego sercu; czuł jak go ogarnia tenże sam szał; doznawał i on również, brutalnej potrzeby krzyczenia, poruszania się.

Od czasu do czasu Hipolita i on spoglądali sobie wzajem w twarze; i spostrzegali jak bardzo oboje są bladzi, oszołomieni, przelękli. Ale ani

jedno, ani drugie nie proponowało, by opuścić straszliwe miejsca; coś ich tu przykuwało choć sił brakło im już niemal obojgu. Deptani, potrącani przez tłum, unoszeni niemal w powietrze chwilami, błąkali się tu i owdzie pośród tego zgiełku chaotycznego, trzymając się za ręce; stary wieśniak usiłował ciągle osłaniać ich i dopomagać. Świeżo nadeszła procesya popchnęła ich na kratę. Przez kilka minut pozostali tu uwięzieni, naciskani ze wszech stron, przesłonięci obłokiem kadzideł, ogłuszeni krzykami, dławieni gorącem w pośród tego ogniska najwyższego już szału.

— Madonno! Madonno! Madonno!

To kobiety pełzające, doszedłszy wreszcie do celu, podnosiły się kolejno. Jedna z nich, podniesiona z ziemi przez krewnych, zdrętwiała, sztywną była jak trup. Postawiono ją na nogi i wstrząśnięto silnie. Zdała się już umarłą. Całą twarz miała osypaną pyłem, czoło i nos poscierane, usta krwi pełne. Te, co z nią były, dmuchały jej w twarz, aby otrzeźwić, ocierały jej usta płótnem, które zaróżowiło się całe, przywoływały po imieniu w ucho. Nagle przechyliła w tył głowę; potem rzuciła się na okratowanie, pochwyciła żelazne sztachety oburącz i poczęła wyć jak w bólach porodu.

Wiła się i wydzierała z rąk podtrzymujących, głos jej górował nad wszystkiemi innemi krzykami. Potok łez spływał po twarzy, zmywając z niej pył i krew.

— Madonno! Madonno! Madonno!

A po za nią, obok niej, inne kobiety wynurzały się, podnosiły z ziemi, chwiały się, ożywiały, wzywały miłosierdzia.

— Łaski! Łaski!

To wycie, co rozrywało piersi, z których się wydzierało, te wyrazy, powtarzane bez wytchnienia, z uporem tej samej niepokonanej wiary, ten gęsty obłok dymu, co opadał w dół, ciężki jak chmura brzemienna burzą, to zetknięcie się ciał, to zmieszanie oddechów, widok tej krwi i tych łez, wszystko to sprawiło, że w jednej chwili tłum cały zdał się przejęty jedną niemal duszą, stał się jedyną tylko istotą, pełną nędz a straszliwą, która miała jeden już tylko giest, jeden głos wspólny, jedną wspólną konwulsyę i szał jeden. Wszystkie cierpienia, wszystkie bóle spłynęły w jedną jedyną nadzieję, której Przenajświętsza wysłuchać musi.

— Łaski! Łaski!

I u stóp połyskującego obrazu chwiały się świec płomienie, pod tym wichrem namiętności.

VII.

Teraz Jerzy i Hipolita siedzieli na świeżem powietrzu, na uboczu zupełnie, pod drzewami, zdumieni i przygnębieni jak dwoje rozbitków, którym się udało uniknąć niebezpieczeństwa, niemi, pozbawieni niemal wszelkiej myśli, jakkolwiek dreszcz świeżo oglądanych okropności wstrząsał nimi jeszcze. Hipolita miała oczy zaczerwienione od płaczu. Oboje tam w świątyni, w chwili tragicznej porwani zostali powszechnym szałem i z obawy obłąkania uciekli ztamtąd.

Siedzieli teraz na uboczu, na skraju kościelnego cmentarza, w cieniu drzew. Ten kącik był niemal pustym zupełnie. Widać tam było tylko dokoła kilku pogiętych pni oliwnych, gromadki jucznego bydła o pustych jukach, nieruchome jak kształty pozbawione życia; nadawały one dziwny smutek cieniowi drzew. Zdala dobiegał zgiełk tłumu, rojącego się jak mrowie; słychać było rytm hymnów kościelnych, odgłosy trąb, dźwięki dzwonów; widać było orszaki pielgrzymów rozwijające się w długie szeregi i obchodzące dokoła kościelne mury, wchodzące doń, lub wychodzące.

— Spać ci się chce?—pytał Jerzy, który spostrzegł, że Hipolita przymyka powieki.

— Nie, ale nie mam już odwagi patrzenia...

Jerzy doznawał tegoż samego wstrętu. Ciągłość i dosadność wrażeń przeszły miarę odporności organizmu. Widok stał się niemożliwym już do zniesienia. Powstał.

— Chodź, podnieś się—rzekł.—Idźmy usiąść gdzieś dalej jeszcze.

Zeszli w uprawną dolinę, poszukiwali nieco cienia. Słońce paliło okropnie. Oboje pomyśleli o swym domu w San-Vito, o swych pokojach przewiewnych, wychodzących na morze.

— Bardzo jesteś słaba? — spytał Jerzy, spostrzegając na twarzy swej towarzyszki wyraźne ślady cierpienia a w oczach ponury smutek, który niedawno, pośród ciżby, w pobliżu filaru fasady, tak go już przeraził.

— Nie. Jestem tylko bardzo zmęczona.

— Czy nie usnęłabyś? Czemużby nie usnąć na chwilę? Oprzej się o mnie. Po przespaniu się będzie ci lepiej. Dobrze?

— Nie, nie.

— Oprzej się. Poczekamy na powrót Coli, by iść do Casalbordino. Tymczasem odpocznij.

Zdjęła kapelusz, pochyliła się ku niemu, oparła o ramię jego głowę. Patrzał na nią w tej pozie.

— Jakaś ty piękna!—wymówił.

Uśmiechnęła się. Znowu cierpienie ją przetwarzało, użyczało nowej ponęty.

Dodał jeszcze:

— Jak to już dawno mnie nie pocałowaś!

Uścisnęli się.

— Teraz uśnij cokolwiek—prosił serdecznie.

Zdało mu się, że uczucie miłości odmłodniało w nim po tylu straszliwych i dziwnych widokach, co go przygnębiły. Poczynał oddzielać się wreszcie od tego ogółu wrażeń, odzyskiwać indywidualność własną, powracać do niejakiej równowagi, odtrącać wszelki związek inny po za związkiem z wybranką swej duszy. Umysł jego wyswabadzał się z niepojętą szybkością od wszystkich widm, wylęgłych podczas okresu mistycznych złudzeń ideału ascety; otrząsał z siebie to jarzmo „święte", które próbował podstawić na miejsce bezwładnej swej woli, powodowany rozpaczą na myśl, że ona zbudzić się może. Doznawał obecnie dla „wiary" tegoż samego wstrętu, który go ogarnął tam w kościele, wobec tego potwornego zwierza, co się czołgał w święconym pyle. I widział znowu tłuste i blade ręce księży, przyjmujących ofiary, bezustanny ruch wahadłowy czarnych postaci po za zamkniętą kratą prezbiteryum. Wszystko to było nieszlachetne jakieś, wszystko przeczyło obecności tego Pana, którego, ufał, że pozna w piorunnem objawieniu. Ale w każdym razie wielka próba została dokonaną. Doświadczył zetknięcia mate-

ryalnego z pokładem spodnim swej rasy i nie pozostało mu z tego doświadczenia nic, prócz uczucia niepokonanego wstrętu. Istota jego nie mogła zapuścić korzeni w tym gruncie, nie mogła mieć nic wspólnego z tą zgrają, która jak większość zwierzęcych gatunków doszła do stanowczego swego typu, wcieliła ostatecznie w zwierzęcem swem ciele moralność swych nawyknień.

Od iluż to wieków, przez ileż generacyj uwieczniał się ten typ niewzruszony? Rodzaj ludzki zatem miał tło absolutnie niezmienne, utrzymujące się mimo falowania i ruchu stref górnych. A więc typ idealny ludzkości nie był gdzieś w przyszłości odległej u nieznanego dziś kresu, wiecznie postępującej ewolucyi; mógł on przejawiać się tylko na wierzchołkach fali, w istotach najpodnioślejszych ludzkiego gatunku. Spostrzegał teraz, że usiłując odnaleźć treść swej istoty za pomocą bezpośredniego zetknięcia się z rasą, z pośród której wyszedł, mylił się, jak się myli człowiek, który usiłowałby określić kształt, rozmiar, kierunek, szybkość i siłę morskiej fali, z biegu całej objętości wód, płynących spodem. Doświadczenie nie udało się. Równie był on obcym temu tłumowi, jak obcym byłby jakiemuś szczepowi australczyków; równie obcym był swemu krajowi, swej ziemi rodzinnej, swej ojczyźnie, jak nim był swej rodzinie i swemu ognisku domowemu. Trzeba mu było wyrzec się nazawsze próżnych tych poszukiwań stałego punktu opar-

cia, podpory trwałej, zapewnionego poparcia. „Istota moja sprawia mi takie wrażenie, jakiego doznawać musi człowiek, skazany na to, by się utrzymywać na powierzchni wiecznie chwiejnej; czuje, że mu co chwila brak oparcia i równowagi, gdziekolwiekbądź postawi nogę". Raz już posłużył się tym obrazem, by odmalować swój niepokój wieczysty. Dla czegóżby jednak, skoro chciał zachować życie, nie miał stać się, mocą jakiejś metody, dość silnym i dość gibkim na to, by przywyknąć do zachowywania równowagi pośród różnorodnych poruszeń tej powierzchni, przywyknąć do tańczenia nad brzegiem przepaści, swobodnie i odważnie? To pewna, że *chciał* przecież *zachować* życie. Co tego dowodziło najdobitniej, to właśnie same te doświadczenia kolejne. W nim instynkt głęboki, co pozostał dotąd nienaruszony, buntował się z coraz to nowemi fortelami przeciw bezwładności śmiertelnej. Owo ascetyczne marzenie, które zbudował z takiem bogactwem, przystroił w takie ozdoby, byłoż to co innego, niż wybieg w walce przeciw śmierci? Czyliż on sam nie postawił od samego zaraz początku tego dylematu: Albo pójść za przykładem Demetria, albo oddać się niebu? Wybrał niebo, by zachować życie. „Przyuczaj odtąd twój umysł w nabyciu obrzydzenia do prawdy i pewności wszelkiej, jeśli chcesz żyć. Wyrzecz się przenikliwego doświadczenia. Uszanuj obsłony. Wierz w kształ-

ty widzialne i w słowo wypowiedziane. Nie szukaj nic po za światem pozorów, który stworzyły twe zmysły. Uwielbiaj złudzenia".

I już znajdował urok w tej chwili ulotnej. Głębokość własnej świadomości i przestwór nieskończony własnej wrażliwości, wbijały go w dumę. Wobec niezliczonych zjawisk, które od chwili do chwili następowały kolejno po sobie w jego świecie wewnętrznym, bezgraniczną wydała mu się potęga pojmowania jego duszy. I rzeczywiście urok szczególniejszy miała dla niego ta ulotna godzina, w której zdało mu się, że odkrywa związek jakiś ukryty między zdarzeniami przypadku a własnem uczuciem.

W dali słychać było szmer zmięszany i niewyraźny tłumu dzikiego, którego wiry opuścił przed chwilą; i pomruk ten zmięszany, wywoływał w jego umyśle, na błyskawiczne mgnienia, wizyę wielkiego ognistego, ponurego pieca, w którym rwali się opętańcy w tragicznej jakiejś walce. A wśród tego bezprzestannego zgiełku rozróżniał jeszcze za każdym oddechem wietrzyku, rozkoszne drżenie gałązek, co osłaniały jego zamyślenie i sen Hipolity. Hipolita odpoczywała, zdrzemnąwszy się, z ustami wpół otwartemi, zaledwie oddychając; lekki pot zwilżał jej czoło. Ręce trzymała splecione na kolanach, bez rękawiczek, blade; a wyobraźnia Jerzego widziała pośród nich „wyrwany pęk włosów". Tak jak ten promień wło-

sów, ukazywało się i znikało w rażącem świetle, na spalonej spiekotą ziemi, widmo epileptyka, który padał nagle u drzwi portalu; widział jak wije się pod naciskiem dwu ludzi, co chcieli gwałtem roztworzyć mu szczęki i wcisnąć klucz w usta. Ukazywało się i znikało to widmo, jak gdyby było uzewnętrznionym i widomym snem śpiącej. „A gdyby przebudziła się teraz i gdyby ta straszliwa choroba zbudziła się w niej nagle?—myślał Jerzy z dreszczem wewnętrznym.—Obraz, tworzący się w moim mózgu, jest mi może przesłanym przez nią. Może to jej sen widzę tylko. A snu jej przyczyną kto wie czy nie jest jakieś zaburzenie w organizmie, które tam rozpoczęło się i które wzrastać będzie aż do napadu choroby. Nie jestże czasami sen przeczuciem tkwiącej w nas choroby?“ Rozmyślał tak długo o tych tajemnicach materyi zwierzęcej, niejasno podpatrzonej. Na tle jego wrażliwości fizycznej, już wytworzonej pięciu wysubtelnionemi zmysłami, zwolna występować poczęły inne pośrednie jakieś zmysły, subtelniejsze jeszcze, które odsłaniały przed nim cały świat, dotąd mu nieznany. Nie byłoż możliwem, by ukryta choroba Hipolity dostarczyła mu warunków pomyślnych do skomunikowania się z nią w jakiś sposób nadzwyczajny?

Patrzał na nią uważnie, jak to czynił wówczas na łóżku w ten pierwszy dzień tak już daleki. Widział jak miga na jej twarzy drżący

cień lekkich gałązek, co się zwieszały nad nimi. Słyszał zgiełk bezustanny, który biegł ze świątyni wśród nieskończonej dnia jasności. Smutek padł mu znowu na serce, znużenie dzienne przygniotło ponownie. Oparł głowę o pień drzewa i zamknął oczy nie myśląc już o niczem.

Sen począł go już ogarniać, kiedy nagle wstrząsnęło nim silne drgnienie Hipolity.

— Jerzy!

Zbudziła się przelękła, pomięszana, nie poznając już gdzie jest; blask wielki olśnił ją i przysłaniała ręką oczy z jękiem.

— Mój Boże, jak mi okropnie!

Skarżyła się na mocny ból w skroniach.

— Gdzie my jesteśmy?... Oh, jakiż to sen okropny to wszystko!

— Nie powinienem był tu cię przywozić—mówił Jerzy zaniepokony. — Jakże sobie to wyrzucam!

— Nie mam siły podnieść się. Pomóż mi.

Podniósł ją oburącz za ramiona. Chwiała się i, czując zawrót głowy, uchwyciła się rąk jego.

— Co tobie? Co cię boli? — zawołał głosem zmienionym, przejęty paniczną trwogą, pewien, że dostaje napadu dawnej swej choroby, tu w polu opustoszałem, zdala od wszelkiej pomocy.—Co ci jest? Co ci?

— Nie, nie, to nic—wyszeptała Hipolita, która nagle zrozumiała jego przestrach i pobladła mo-

cno.—To nic... W głowie zawróciło mi się cokolwiek. Słońce olśniło mnie tak mocno. To nic...

Wargi miała niemal całkiem białe i unikała spojrzeń kochanka. Jemu nie udawało się jeszcze zapanować nad trwogą i czuł prócz tego żal dojmujący, że zbudził w niej ten lęk i wstyd. Pamięć przywiodła mu na myśl ów ustęp jej listu: „A gdyby choroba napaść mnie miała w twych objęciach? Nie, nie, nie zobaczę cię już nigdy; nie chcę cię widzieć!"

Ona mówiła słabym głosem:

— To już przeszło. Lepiej mi teraz. Ale pić mi się chce okropnie. Gdzieby tu się napić można?

— Tam, w pobliżu kościoła, gdzie te namioty—odpowiedział jej Jerzy.

Wstrząsnęła żywo głową, odmawiając stanowczo.

— Pójdę przynieść. Ty tu poczekasz na mnie.

Ona upierała się przy swej odmowie.

— Poślijmy Colę. On tu musi być gdzieś w pobliżu; zawołam go.

— Tak, przywołaj go, ale po to tylko, by iść do Casalbordino. Tam się napiję. Mogę poczekać. Chodźmy.

Wsparła się na ramieniu Jerzego. Weszli napowrót po stoku wzgórza; doszedłszy do wierzchołka, ujrzeli całą dolinę mrowiącą się ludem, białe baraki, czerwonawy gmach świątyni. Dokoła pogiętych pni drzew oliwnych, stały wciąż nieruchome, me-

lancholijne postacie jucznych zwierząt. W ich pobliżu, tam gdzie oni poprzednio szukali schronienia, siedziała teraz stara kobieta, która z powierzchowności przynajmniej, wyglądała na stuletnią; tak samo nieruchoma, z rękoma złożonemi na kolanach, z wyschniętemi kościstemi nogami, wyciągniętemi przed siebie, które odsłaniała podsunięta w górę spódnica. Siwe włosy opadały jej wzdłuż woskowych policzków; usta bez warg zdawały się zmarszczką głęboką, oczy zamknięte były wieczystą pieczęcią krwawych powiek; postać cała była jakoby wspomnieniem nieprzeliczonych cierpień.

— Czy ona umarła? — spytała po cichu Hipolita, zatrzymując się, przejęta trwogą i poszanowaniem.

Tłum tłoczył się i popychał dokoła świątyni. Procesye wirowały, śpiewając pod palącemi promieniami okrutnego słońca. Jedna z tych procesyj wychodziła z drzwi głównych i kierowała się ku wolnej przestrzeni; na jej czele szedł przewodnik, krzyż niosący. Doszedłszy do końca placu, mężczyźni i kobiety zatrzymali się i obrócili ku kościołowi, tworząc półkole; kobiety przyklękły, mężczyźni stali wyprostowani z niosącym krzyż w pośrodku. Modlili się i żegnali. Potem zwróceni wciąż ku kościołowi wydali okrzyk jednogłośny; ostatnie snać pozdrowienie. I puścili się w drogę, intonując kantyczkę:

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

Stara kobieta nie zmieniła swej pozycyi. Coś wielkiego, straszliwego i nieokreślenie nadnaturalnego szło od tej osamotnionej starości, w cieniu nawpół uschłego oliwnego drzewa, skamieniałego niemal, którego pień rozszczepiony zdał się naznaczonym gromem nieba. Jeżeli żyła jeszcze oczy jej przynajmniej nic już nie widziały, uszy nic nie słyszały, wszystkie zmysły w niej zagasły. A jednak zdała się być świadkiem, patrzącym w niewidzialne regiony wieczności. „Śmierć nie jest tyle tajemniczą, ile te resztki życia w tej ludzkiej ruinie“—myślał Jerzy. Równocześnie wyłaniał się w jego umyśle, dziwnem przejmując go wzruszeniem, niejasny obraz bardzo starego mytu. „*Dlaczego nie budzisz stuletniej matki, co zasypia na progu śmierci? W jej śnie przebywa pierwsze źródło wiedzy. Dlaczego nie rozpytasz mądrej matki ziemskiej?...*“ Nieokreślone jakieś słowa, urywki niejasnych epopei starożytnych, budziły się w jego pamięci; niewyraźne linie symboliczne falowały i ogarniały go zadumą.

— Chodźmy ztąd, Jerzy! — mówiła Hipolita, zlekka wstrząsając jego ramieniem, po chwili zamyślonej ciszy.—Jakie tu wszystko smutne!...

Głos jej słabnął a w oczach miała ten cień ponury, w którym kochanek czytał zgrozę i niesmak nieopisany.

Nie śmiał dodawać jej odwagi, z obawy, by nie poczuła, że wciąż mu stoi na myśli owa groźba straszliwa, która zdawała się wciąż ją

zajmować od chwili, kiedy zobaczyła w tłumie padającego na ziemię epileptyka.

O kilka kroków jednak dalej, zatrzymała się znowu; niepochwytny jakiś niepokój zatamował jej oddech, łkanie wydzierające się gwałtem a powstrzymywane, dławiło formalnie. Spojrzała na kochanka, rozejrzała się dokoła nieprzytomna.

— Boże mój Boże, jakże mi smutno!...

Był to smutek czysto fizyczny, smutek zwierzęcy, który wydzierał się z głębin jej istoty, niby coś zwartego, dotykalnego i ciążącego, przygniatając ją nieznośnym ciężarem. Gdyby mogła, pragnęłaby teraz upaść na ziemię jak pod naciskiem niezmiernego jakiegoś brzemienia, by już się nie podnieść więcej; rada była stracić świadomość, stać się bezwładną masą; wyzionąć życie.

— Powiedz mi, powiedz, co chcesz, bym zrobił? Co mogę uczynić, by ci dopomódz?—szeptał Jerzy, ściskając jej rękę w szalonym niepokoju.

Ten smutek, nie byłaż to może larwa choroby?...

Przez kilka sekund stała tak z oczyma utkwionemi nieruchomie i błędnemi nieco. Drgnęła całem ciałem, posłyszawszy okrzyk wydany przez procesyę, którym żegnano kościół, odchodząc.

— Zaprowadź mnie gdziekolwiek. Może tu jest jaki hotel w Casalbordino... Gdzież się podział Cola?

Jerzy wytężał oczy w nadziei, że odkryje gdzie starca; potem odparł:

— Może on szuka nas między tłumem; a może poszedł już do Casalbordino, sądząc, że nas tam zastanie...

— Więc jedźmy sami w takim razie. Tam dalej, w głębi, widzę powozy.

— Chodźmy, jeśli chcesz. Ale oprzyj się na mnie.

Zwrócili się ku drodze, która bielała po jednej stronie wielkiego placu przedkościelnego. Zdawało się, że zgiełk ich ściga. Trąba jakiegoś linoskoka, posyłała za nimi przeraźliwe swe dźwięki. Rytm ciągle jednostajny hymnu górował wciąż nad wszystkiemi innemi odgłosami, do rozpaczy doprowadzającą wiecznie powtarzaną zwrotką:

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

Żebrak jakiś ukazał się niespodziewanie, jak gdyby wyszedł z pod ziemi, wyciągając ku nim rękę.

— Zlitujcie się dla miłości Madonny!

Był to młody jeszcze człowiek z głową owiązaną chustką czerwoną, której róg jeden przysłaniał mu oko. Uniósł ten koniec i ukazał oko ogromne, nabrzmiałe jak torba, zaropiałe, na którem drganie górnej powieki jakieś okropne kładło dreszcze.

— Zlitujcie się dla miłości Madonny!

Jerzy dał mu jałmużnę; a żebrak ukrył znów swe wstrętne kalectwo. Nieco dalej jednak ol-

brzymi mężczyzna jednoręki odchylał do połowy koszulę, aby ukazać pomarszczoną bliznę w miejscu, gdzie dokonano amputacyi.

— Ugryzienie! Ugryzienie konia! Patrzcie państwo! Patrzcie!

I rzucił się na ziemię tak rozebrany i ucałował po kilkakroć ziemię, krzycząc za każdym razem szorstkim swym, twardym głosem.

— Litości, litości!

Pod drzewem leżał inny żebrak, krzywonogi, wśród barłogu, złożonego z juków, skóry koziej, z blaszanego pudła od nafty i wielkich kamieni. Owinięty w brudną kołdrę, z pod której wychodziła para nóg obrosłych i uwalanych zaschłem błotem, poruszał zapalczywie ręką powykręcaną jak korzeń drzewa, by odegnać muchy, które obsiadały go chmarami.

— Litości, litości! Zlitujcie się nad nieszczęśliwym kaleką! Madonna waszych próśb wysłucha. Zlitujcie się!

Na widok innych żebraków, co nadbiegali, Hipolita przyśpieszyła kroku. Jerzy skinął na najbliższego woźnicę. Kiedy już wsiedli do powozu, Hipolita zawołała z westchnieniem ulgi:

— Ach, nareszcie!

Jerzy pytał woźnicę:

— Czy jest jaki hotel w Casalbordino?

— Tak, panie, jest jeden.

— Jak długo się tam jedzie?

— Małe pół godziuki.

— Więc jedźmy.

Ujął rękę Hipolity, usiłując ją rozweselić.

— Odwagi, odwagi! Zażądamy pokoju; będziemy mogli odpocząć. Nie będziemy nic już widzieć, nic słyszeć. I ja także upadam ze zmęczenia... głowa mi pęka...

I dorzucił z uśmiechem:

— Nie jesteś czasem głodna?

Odpowiedziała na jego uśmiech. By ją rozerwać, począł wywoływać wspomnienia starego hotelu Ludovica Togni:

— To będzie tak jak w Albano. Pamiętasz?

Zdało mu się, że się rozpogadza zwolna. Chcąc zwrócić jej myśli na przedmioty lekkie, wesołe, ozwał się:

— Co też się stało z Pankracym? A, gdybyśmy tak mieli jedną z jego pomarańcz! Pamiętasz? Nie wiem co dałbym teraz za pomarańczę. Bardzo ci się pić chce? Czyś słaba?

— Nie... lepiej mi teraz... Nie mogę uwierzyć, że ta męczarnia już się skończyła nareszcie... Mój Boże, nie zapomnę nigdy tego dnia, nigdy, nigdy!

— Biedaczko!

Ucałował z uczuciem jej ręce. Potem wskazując na pola uprawne, co z dwu stron obrzeżały drogę:

— Patrz — zawołał — jakie piękne zboża. Oczyśćmy sobie tym widokiem oczy.

Po prawej i lewej stronie, rozciągały się pola, niepokalanych zbóż, gotowych już do sierpa; wysokie i proste, oddychając w powietrzu szczytami rozwiniętych kłosów, które chwilami zdały się płomienieć i zamieniać w złoto lotne. Samotne pod łukowem sklepieniem przeczystego nieba, wyziewały z siebie zda się, jakąś woń czystości, od której na dwa te serca zasmucone i znużone, płynęło orzeźwienie.

— Jakiż tu blask jest mocny!—ozwała się Hipolita, przymykając do połowy długie swe rzęsy.

— Masz przecie firanki...

Uśmiechnęła się. Zdało się, że chmura smutku miała się już rozproszyć.

Kilka powozów nadjeżdżało szeregiem w przeciwnym kierunku, staczając się po pochyłości, ku świątyni. Przejazd ich podniósł dławiącą chmurę kurzu. Przez kilka minut, droga, krzaki, pola, wszystko zniknęło dokoła nich, w białym obłoku pyłu.

— Zlitujcie się, przez miłość dla Madonny! Zlitujcie się! Zlitujcie!

— Wspomóżcie ubogiego w imię cudownej Dziewicy!

— Obdarzcie jałmużną biedne boskie stworzenie!

— Litości, litości!

— Dajcie jałmużnę!

— Dajcie kawałek chleba!

— Litości!

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć głosów i inne, wciąż inne jeszcze, niewidzialne, podniosły się z po za tego tumanu pyłu, zachrypłe, ostre, cierpkie, głuche, pokorne, gniewne, każdy odrębny, w nieharmonijnym chórze.

— Dajcie jałmużnę!

— Zlitujcie się!

— Miłosierdzia!

— Stój! Stój!

— Miłosierdzia w imię Najświętszej Panny cudownej!

— Litości! Litości!

— Stój!

I z po za chmury kurzu ukazała się sfora ruchoma potworów. Jeden wywijał kikutami rąk odciętych, krwawych, jak gdyby rany świeże były jeszcze, lub źle zagojone. Inny miał dłonie zaopatrzone w mosiężne tarcze i posługiwał się niemi, by wlec z wielkim trudem masę bezwładnego swego ciała. Inny miał u szyi olbrzymie wolę pomarszczone i sine, które chwiało się jak podgardle wołu. Inny, skutkiem narośli na wardze, zdawało się że trzyma między zębami kawał surowej wątroby. Inny znów miał twarz wygryzioną głęboko, toczącym ją rakiem, który odsłaniał rowki nosowe i górną szczękę. Inni znów inne ukazywali ohydy, na wyścigi, z gwałtownemi giestami, z groźną prawie postawą, jak gdyby chcieli udowodnić swe prawa.

— Stój! Stój!

— Dajcie jałmużnę!
— Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie!
— Mnie! Mnie!
— Dajcie jałmużnę!
— Zlitujcie się!
— Zlitujcie nademną!

Był to istny atak, niemal rozbój na publicznej drodze. Zdawali się zdecydowani przemocą domagać się swych kilku groszy, choćby im przyszło pochwycić za koła, lub uczepić się nóg końskich.

— Stój! Stój!

Kiedy Jerzy szukał pieniędzy w kieszeniach, by je rzucić tej zgrai, Hipolita przyciskała się do niego wylękła; obrzydzenie ściskało jej gardło, nie mogła już zapanować nad fantastycznym przestrachem, który ją ogarniał w jaskrawem białem świetle, na tej ziemi nieznanej, gdzie roiło się tak straszne, posępne życie.

— Stój! Stój!
— Dajcie jałmużnę!
— Mnie! Mnie!

Ale woźnica zirytowany, podniósł się nagle na koźle, wzniósł w górę bicz w krzepkiej dłoni i począł okładać żebraków z całej siły; a za każdem uderzeniem nie szczędził wymyślań. Rzemień wił się jak wąż i świstał. Pod razami, żebracy wyli i przeklinali, ale nie cofali się ani na krok. Każdy domagał się swej cząstki.

— Mnie dajcie! Mnie!

Wówczas Jerzy rzucił garść drobnych pieniędzy w pył drogi; i chmura kurzu zasłoniła zbitą masę potworów i ich bluźnierstwa. Człowiek z odciętemi rękoma i żebrak czołgający się na rękach, usiłowali jeszcze przez chwilę ścigać powóz, ale pod groźbą bata powstrzymali się.

— Nie bój się, signora—mówił woźnica—nikt się już nie zbliży, przyrzekam ci to.

Nowe głosy podnosiły się, jęczały, wyły, wzywały Najświętszej Panny i Jezusa, oznajmiały o swych kalectwach i ranach, opowiadały o swych chorobach lub cudownych uzdrowieniach. Po za czatami ustawionemi pierwszych bandytów, druga armia dziadów stała wyciągnięta w dwa szeregi, aż do domów oddalonego miasteczka.

— Mój Boże, mój Boże! Cóż to za kraj przeklęty!—szeptała Hipolita wyczerpana, czując się bliską omdlenia.—Uciekajmy ztąd! Uciekajmy! Zawróćmy, Jerzy, proszę cię, zawróćmy!

Nic, ani ten wir szału, co się kłębił fanatycznemi gromadami dokoła świątyni, ani krzyki rozpaczne, co zdawały się wybiegać z pośród pożaru, z tonącego statku lub rzezi, ani ci starcy bezwładni i okrwawieni, którzy zalegali tłumami pod murami kościoła, ni te kobiety pokurczone, co się czołgały do ołtarza, raniąc sobie język o kamienie posadzki, ni ten krzyk niezmierny, ostatni, rzekłbyś, co się wydzierał gdzieś z głębin wnętrzności tłumu, pochłoniętego jedynem udręczeniem, jedną wyłączną nadzieją; nic, nic nie

było tak straszliwe, jak widok tej wielkiej, szerokiej, pełnej kurzu drogi, oślepiającej białością, gdzie wszystkie te szczątki rasy zniszczonej, te ciała upodlone i zniżone do poziomu niechlujnego zwierzęcia i materyi plugawej, rozpościerały i obnażały swe kalectwa z łachmanów, obwieszczając je przechodniom.

Nieprzeliczona horda zalegała spadzistości i rowy; mieli z sobą swe rodziny, progeniturę, krewnych, utensylia całe Widać było kobiety wpół nagie, z zapadłemi bokami jak suki, co urodziły; dzieci zielone jak jaszczurki, z oczyma żarłocznemi, z ustami już zwiędłemi, ponure, noszące we krwi chorobę dziedziczną. Każda rodzina posiadała swego potwora: bezrękiego, krzywonogiego, z wolem, ślepca, trędowatego, epileptyka. Każda otrzymywała w spuściznie swój wrzód, który jej należało pielęgnować tylko, aby zeń mieć dochód. Potwór, popychany przez swych krewniaków, oddzielał się od grupy, zbliżał się wśród kurzu, giestykulował i wzywał litości na korzyść reszty.

— Zlitujcie się, jeśli chcecie, byście byli wysłuchani! Obdarzcie jałmużną! Patrzcie jakie to moje życie! Jakie życie!

Jeden z tych potworów, czarny i płaskonosy jak mulat, z wielką lwią grzywą, zbierał kurz z drogi w pukle swych włosów, potem wstrząsał głową, otaczając się istnym obłokiem. Jakaś znów schorzała, bez wieku, zda się, niemająca

już ludzkiej postaci, przykucnąwszy u słupa, podnosiła fartuch, ukazując swą rupturę, olbrzymią i żółtą jak pęcherz, pełen łoju. Siedząc na ziemi, inna znów, trędowata, wskazywała palcem na swą nogę, potwornie rozrosłą jak pień dębu, pokrytą brodawkami i strupami żółtemi, posianą czarnemi lub brunatnemi plamami, tak nadmiernie wielką, że trudno było uwierzyć, iż należy do niej. Ślepiec na kolanach z pięściami wzniesionemi ku niebu, jakby był w ekstazie, miał pod szerokiem czołem dwa otwory krwawiące. Inni znów jeszcze, stawali wciąż, jak daleko tylko oko mogło zasięgnąć, w olśniewających promieniach słońca. Całe rozległe przydroże, zda się, było ich pełne, bez żadnej przerwy. Ich błagania, lamenty szły w nieskończoność, to podnosiły głośniej, to znów zniżały w chórze, różnorodne, z tysiącem akcentów. Obszar samotny wsi, niebo milczące i puste, odblaski oślepiające płonącej ogniem drogi, nieruchomość roślinnych kształtów, wszystkie dokoła przedmioty czyniły tę chwilę iście tragiczną, przywodziły na myśl obraz biblijny drogi rozpaczy, która prowadzi do przeklętego jakiegoś grodu.

— Uciekajmy ztąd, zawracajmy, błagam cię, Jerzy, zawróćmy!—powtarzała Hipolita z dreszczem przestrachu, owładnięta przesądną myślą jakiejś okropnej kary bożej, lękając się nowych widoków, straszliwszych może jeszcze pod tym błę-

kitem pustym nieba, siejącego żarem, gdzie poczynało grzmieć już.

— Ale dokąd się udać? Dokąd?

— Mniejsza o to dokąd. Gdziebądź, to wszystko jedno, byle nie tutaj. Wracajmy w stronę morza. Doczekamy się tam godziny odjazdu... Błagam cię!

A głód, męczarnia pragnienia, żar powietrza wzmagały w obojgu jeszcze niepokój umysłów.

— Widzisz! Widzisz! — wołała, nie panując już nad sobą, jak wobec nadprzyrodzonego jakiegoś zjawiska. — Widzisz? To się nie skończy już nigdy!

W świetle słonecznem, w białem i nieubłaganem świetle, zbliżała się ku nim gromada mężczyzn i kobiet, okrytych łachmanami, a przed tą gromadą szedł jeden, rodzaj obwoływacza, z okrzykami, potrząsając tacką miedzianą. Ludzie ci nieśli na ramionach tapczan pokryty siennikiem, na którym leżała chora, raczej półtrup już, żółtawe, wychudłe jak szkielet stworzenie, pookręcane w bandaże z płótna, jak mumia, z obnażonemi nogami. A idący przodem obwoływacz—mężczyzna o cerze oliwkowej, wijący się jak wąż, z oczyma szaleńca—ukazywał konającą i opowiadał donośnym głosem, że ta kobieta, chora na krwotoki od lat już całych, doznała od Matki Boskiej cudu tegoż dnia jeszcze o świcie. I błagał o jałmużnę, by uleczona z choroby, mogła odzyskać napowrót krew utraconą. Wstrząsał przytem

tacką blaszaną, na której dźwięczało kilka pieniążków.

— Madonna sprawiła cud! Cud! Cud! Dawajcie jałmużnę! W imię Maryi przenajświętszej i najlitościwszej, bądźcie miłosierni!

A kobiety, mężczyźni, wszyscy razem wykrzywiali twarze, jakby do płaczu. Chora zaś słabym ruchem podnosiła cokolwiek kościste ręce, których palce poruszały się jakby chwytały coś w powietrzu; nogi zaś obnażone, żółte jak twarz jej i ręce, połyskujące u kostek, miały sztywność śmierci. A wszystkie te nędze ludzkie, wszystkie te ohydy rozpościerały się w białem i nieubłaganem świetle, blizko, blizko, coraz to bliżej...

— Zawracaj, zawracaj! — krzyknął Jerzy na woźnicę—zawracaj i poganiaj co siły!

— Już przybyliśmy, signore. Co cię tak przestraszu?

— Zawracaj!

A rozkaz tak był stanowczy, że woźnica zawrócił pośród ogłuszających wrzasków.

— Poganiaj, poganiaj!

I od góry aż na sam stok pochyłości, powóz mknął szybko, jakby uciekał pośród chmur gęstego kurzu, przez które przedzierało się chwilami schrypłe wycie.

— Gdzie jedziemy, panie?—spytał woźnica, pochylając się, w obłoku pyłu.

— Tam, tam, do morza! Poganiaj!

Jerzy podtrzymywał Hipolitę, niemal zemdloną, nie starając się jej cucić. Doznawał teraz niejasnego zaledwie pojęcia o tem wszystkiem co się działo dokoła. Obrazy rzeczywiste i obrazy fantastyczne wirowały mu razem w umyśle, mięszały, przyprawiały o halucynacye. Brzęczenie bezustanne napełniało mu uszy i nie dozwalało rozróżnić wyraźnie żadnego innego odgłosu. Serce ściskał mu przygniatający niepokój, niby zmora senna: niepokój wydostania się z tej strefy okropnej, z tego snu ohydnego, niepokój odzyskania poprzedniej jasności wrażeń, pragnienie, by znowu czuć drżącą na piersi ukochaną istotę i znowu módz napowrót zobaczyć uśmiech jej serdeczny.

Niech żyje Marya!

Raz jeszcze fala hymnu dobiegła aż do niego; raz jeszcze przybytek Maryi ukazał się po lewej stronie po nad olbrzymiem mrowiskiem, czerwonawy, w pożodze słońca, tronujący po nad szczytami namiotów, promieniujący rzekłbyś, potworną jakąś, pochłaniającą, tajemniczą potęgą.

Niech żyje Marya!
Niech żyje Marya!

I fale tłumów ginęły, znikły a po za wzniesieniem stoku zniknęła też i świątynia. I nagle świeży podmuch przemknął po szerokich zbóż po-

lach, które zafalowały w wietrze. I długa błękitna wstęga przecięła widnokrąg.

— Morze! Patrzaj, już morze! — zawołał Jerzy, jak gdyby dobił do portu zbawienia.

I serce wezbrało mu w piersi.

— Odwagi, duszo moja! Patrz i podziwiaj teraz morze!

CZĘŚĆ PIĄTA.

Tempus destruendi.

I.

Ustawiony w loggii stół—wesoły przedstawiał widok; zastawiony był jasną porcelaną, lazurowemi kryształami, bukietami ponsowych gwoździków, pod złotawem światłem wielkiej lampy, która przyciągała ćmy nocne, rozproszone w zmroku.

— Patrzaj Jerzy, patrzaj! Motyl piekielny. Przypatrz mu się, ma oczy demona. Widzisz jak mu błyszczą?

Hipolita ukazywała ćmę, większą od innych, szczególniejszego pozoru, pokrytą płowym pluszem gęstym, z oczyma wypukłemi, które przy świetle lampy iskrzyły się jak dwa karbunkuły.

— Leci prosto na ciebie! Leci na ciebie! Uważaj!

Śmiała się na całe gardło, bawiąc się instynktownym niepokojem, którego Jerzy nie mógł utaić, ilekroć który z tych owadów skrzydlatych groził mu muśnięciem.

— Muszę go pochwycić! — zawołała z porywem dziecinnego kaprysu.

I usiłowała uwięzić wielką ćmę piekielną, która bez odpoczynku krążyła dokoła lampy. Usiłowania jej gwałtowne i nagłe pozostawały jednak bezskutecznemi. Przewróciła szklankę, strąciła na stole piramidę owoców, o mało nie stłukła klosza od lampy.

— Co za zaciekłość! — ozwał się Jerzy, który chciał ją podniecić jeszcze — ale i tak ci się to nie uda.

— Owszem, zobaczysz, że uda—odpowiedziała z uporem, patrząc mu prosto w oczy.—A może założysz się?

— O co zakład?

— O co chcesz tylko.

— Więc niech będzie *à discrétion*.

— Dobrze, *à discrétion*.

W gorącem świetle twarz jej miała najbogatszy swój i najłagodniejszy koloryt, ten koloryt idealny „złożony z ambry bladej i matowego złota, w który mięszało się może kilka zaledwie tonów bladej róży“, ten koloryt, w którym niedawno Jerzy dopatrywał się całej tajemnicy i całego piękna starożytnej duszy wenecyańskiej, przeniesionej w słodką krainę Cypru. We włosach miała wpięty gwoździk, płonący jak jej żądza. A oczy przyćmione rzęsami połyskiwały jak jeziora o zmroku, w oprawie wierzb płaczących.

W tej chwili wydawała się istnem wcieleniem rozkoszy, silnem a delikatnem narzędziem przyjemności, zwierzem lubieżnym i wspaniałym, przeznaczonym do zdobienia festynów, rozweselania łoża, wywoływania fantazyi zagadkowych rozpustnego estetyka. Ukazywała się w najwyższym przepychu swej zwierzęcości: radosna, ruchliwa, gibka, lubieżna, okrutna.

Jerzy przypatrywał się jej z ciekawością baczną i myślał: „Ileż ona przybiera w moich oczach najróżnorodniejszych postaci! Wciąż się mieni. Moja żądza nadaje jej kształt coraz inny; jej odcienie moja myśl wytworzyła. Taką, jaką mi się ukazuje w każdej chwili, jest ona tylko wytworem bezustannej mojej twórczości wewnętrznej. Istnieje ona tylko we mnie. Jej powierzchowność zmienną jest jak rojenia chorego. *Gravis dum suavis!* Kiedyż to? O tej epoce, w której przyozdobił ją tym tytułem idealnej szlachetności, całując w czoło, pozostało mu bardzo niejasne zaledwie wspomnienie. Teraz ta gloryfikacya ukochanej stała się dlań niezrozumiałą niemal. Przypominał sobie jak przez mgłę niektóre wypowiedziane przez nią słowa, które zdawały się odsłaniać umysł głęboki: „To co przemawiało podówczas przez nią, nie byłaż to własna myśl moja, duch mój własny? Toż przecie jedną z moich ambicyj było oddać na posługę smutnej mej duszy te wargi wygięte, żeby mogła wyle-

wać swą boleść przez to narzędzie wielkiej piękności".

Popatrzał na te usta. Ściągały się lekko, nie bez wdzięku, uczestnicząc w natężeniu uwagi, z jaką Hipolita starała się pochwycić chwilę sposobną do przytrzymania ćmy, wciąż krążącej.

Czatowała na nią z niecierpliwością podstępną; chciała jednym ruchem jedynym, piorunująco szybkim, zagarnąć w dłoń ręki zdobycz skrzydlatą, która wirowała zawzięcie, bez odpoczynku w koło światła. Zmarszczyła brwi i zdawała się napinać cała jak łuk, gotowy do pocisku. Pocisk powtórzony został dwa czy trzy razy, ale bezskutecznie. Ćma była niepochwytną.

— Przyznaj, żeś przegrała—mówił Jerzy.—Ja moich praw nie nadużyję.

— Nie!

— Przyznaj, żeś przegrała.

— Nie! Biada jej i tobie, jeśli ją pochwycę.

I rozpoczęła na nowo polowanie z cierpliwością drżącą.

— O, patrzaj, uciekła — wołał Jerzy, który stracił z oczu zwinną wielbicielkę płomienia.—Uleciała!

Hipolita doznała prawdziwego rozczarowania; zakład roznamiętnił ją na dobre. Podniosła się i bystremi oczyma rozpatrywała się dokoła, by odkryć gdzie zbiega.

— Jest! — zawołała z tryumfem. — Tam ot na ścianie. Widzisz?

I uczyniła ruch żalu, że tak krzyknęła głośno:

— Nie poruszaj się — podjęła cichym głosem, zwracając się ku Jerzemu.

Ćma usiadła na ścianie oświeconej i pozostawała tam nieruchoma, podobna do plamki brunatnej. Z niesłychanemi ostrożnościami, zbliżyła się do niej Hipolita; a piękne jej ciało smukłe i giętkie zarysowywało się cieniem na białym murze. Szybko dłoń jej podniosła się, opadła i zamknęła.

— Mam ją! Już trzymam!

I wybuchnęła radością dziecinną.

— Jaką ci zadam pokutę? Wsadzę ci ją za kołnierz. I ty także jesteś teraz w mojej mocy.

I zrobiła ruch, jak gdyby zamierzała spełnić swą groźbę, jak w ów dzień przechadzki po wybrzeżu.

Jerzy śmiał się, podbity swobodą tej wesołości, która budziła w nim wszystko, co tam pozostało młodzieńczego. Przemówił:

— Dość tego, teraz siadaj już i zajadaj spokojnie owoce.

— Czekaj, czekaj!

— Co chcesz zrobić?

— Czekaj.

Wyjęła szpilkę, którą przypięty był gwoździk we włosach i wzięła ją w wargi. Potem ostrożnie rozchyliła dłoń, ujęła ćmę za skrzydełka i zabierała się do przebicia jej szpilką.

— Jakaś ty okrutna!—wymówił Jerzy.—Jakaś ty okrutna!

Uśmiechnęła się, całą uwagę zwróciwszy na swe zajęcie, kiedy tymczasem ofiara trzepotała skrzydełkami, już opadającemi zwolna.

— Jakaś ty okrutna! — powtórzył Jerzy cichszym już ale poważniejszym głosem, dostrzegłszy na twarzy Hipolity jakiś wyraz zagadkowy, złożony z upodobania i wstrętu, który zdawał się dowodzić, że doznawała specyalnej przyjemności w sztucznem dręczeniu własnej wrażliwości.

Przypomniał sobie, że w kilku okolicznościach, okazała już upodobanie chorobliwe do tego rodzaju podnieceń. Nigdy prawdziwe, czyste uczucie litości nie napełniło jej serca ani wobec łez i krwi pielgrzymów w świątyni, ni wobec dziecka konającego na barłogu chłopskiej chaty. I stanęło mu w myśli także jak przyśpieszała kroku ku gromadce ciekawych, pochylonych przez parapet w Pincio, chcących dopatrzeć się na bruku śladów krwi samobójcy.

„W głębi jej miłości utajonem jest okrucieństwo—pomyślał.—Jest w niej coś destrukcyjnego, co się ujawnia tem wyraźniej, im zapał jej pieszczot jest większym...“

I stawał mu w myśli obraz przerażający, niemal gorgoński tej kobiety, takiej, jaką się ukazywała często jego wpół przymkniętym oczom, w spazmie rozkoszy lub w bezwładności najwyższego wyczerpania.

— Patrz!—zawołała—ukazując mu ćmę przeklętą, która poruszała jeszcze skrzydełkami.— Patrz jak się jej świecą oczy!

I obracała ją na wszystkie strony, ukazując na różne sposoby tak, jak kiedy się chce ożywić blask drogiego kamienia. Następnie dodała:

— Śliczny klejnot!

I zręcznym ruchem wpięła ją sobie we włosy. Potem patrząc Jerzemu prosto w oczy, rzekła:

— Ty bo tylko wciąż myślisz, myślisz i myślisz! Ale o czem tak myślisz, nad czem łamiesz sobie tak głowę? Dawniej, mówiłeś przynajmniej i może więcej nawet niż należało. Teraz stałeś się milczący, skryty, przybierasz jakąś tajemniczą minę spiskowca... Czy masz co przeciw mnie? Mów, chociażby mi to miało sprawić przykrość.

Dźwięk jej głosu, nagle zmieniony, wyrażał niecierpliwość i wyrzut. Spostrzegała ponownie, że kochanek był tylko widzem rozważnym i odosobnionym, świadkiem czujnym, a może nawet wrogim.

— Ale mówże przecież! Wolę już dawne przykre wyrzuty, niż to milczenie tajemnicze. Co ci jest? Czyś niezadowolony z tego, że tu jesteś? Czy czujesz się nieszczęśliwym? Może ciągła obecność moja cię męczy? Możem zawiodła twoje oczekiwanie?

Zaskoczony tak wprost niespodziewanie, Jerzy

oburzył się, ale pohamował swój gniew; więcej, spróbował uśmiechnąć się.

— Po co te pytania tak dziwne? — odpowiedział spokojnie.—Gniewasz się, że jestem zamyślony? Pytasz, o czem myślę? Jak zawsze myślę o tobie i o wszystkiem, co dotyczy ciebie.

I śpiesznie, ze słodkim uśmiechem, z obawy, by nie spostrzegła odcienia ironii w jego słowach, dodał:

— Ty użyźniasz mój umysł. Kiedy jestem w twojej obecności, życie moje wewnętrzne tak jest przepełnionem, tak obfitem, że dźwięk własnego głosu sprawia mi nawet przykrość.

Była zadowoloną z tego frazesu przesadnego, który zdał się podnosić ją do jakiejś funkcyi duchowej, przypisywać jej władzę twórczą w górniejszem jakiemś życiu. Wyraz jej twarzy stał się poważnym a uwięziony pośród włosów motyl, bez wytchnienia poruszał barwnemi skrzydełkami.

— Pozwól, bym milczał, nie będąc podejrzywanym—ciągnął dalej, doskonale zdając sobie sprawę ze zmiany, jaką sprawił jego podstęp w tej duszy kobiecej, którą podniecały i upajały idealne strony miłości.—Pozwól mi milczeć. Czyliż żądasz odemnie, bym mówił, kiedy widzisz, jak konam pod twoją pieszczotą? Nie same tylko usta twoje mają moc wywoływania wrażeń, przechodących zwykłą miarę. Nigdy nie wyobrazisz sobie, jaki niepokój budzi w umyśle moim jeden

często twój ruch, jedna poza. Kiedy się poruszasz, kiedy mówisz, w duchu moim odbywa się szereg cały wrażeń, cudów. Czasami wywołujesz we mnie reminiscencye jakiegoś życia, którem nie żyłem nigdy. Olbrzymie cienie rozświecają się nagle i stają dla mnie zdobyczami niespodziewanemi. Czemże są wówczas chleb, potrawy, owoce, wszystkie te rzeczy materyalne, które wywołują zmysłowe wrażenia? Czem są nawet wszystkie funkcye moich organów, objawy zewnętrzne mego cielesnego istnienia? Kiedy usta moje mówią, zdaje mi się niemal, że głos mój nie jest w stanie dosięgnąć głębin, pośród których żyję. Zdaje mi się, że nie chcąc mącić mych wizyj, powinienem pozostać nieporuszony i niemy, podczas gdy ty przechodzisz, bezprzestannie przetwarzana, pośród światów, które odsłaniasz przedemną...

Mówił powoli, z oczyma utkwionemi w Hipolitę, oczarowany tą twarzą, niezwykle rozpromienioną, uwieńczoną głęboko, ciemnemi jak noc splotami, wśród których migotała bezustannie żywa, konająca istota. Ta twarz tak blizka a przecież w jego pojęciu tak niepochwytna, niedosięgła i te przedmioty, rozrzucone na stole, te purpurowe kwiaty na wysokich łodygach, te wirujące dokoła światła lekkie uskrzydlone postacie i ten spokój czysty, niezmierny, co płynął od gwiaździstego nieba i oddech harmonijny, co szedł od morza, wszystko to nabierało w jego

oczach pozoru sennego widziadła. Własna osoba jego, głos własny nawet wydawał się mu złudzeniem. Myśli i słowa jednoczyły się z sobą w jakiś sposób nieokreślony. Jak w ową noc księżycową, przed cudną, winną latoroślą, istota własnego jego życia i istota życia wszechświata rozwiewała się w mgłę senną.

II.

Pod namiotem rozbitym na nadmorskim piasku, po kąpieli, wpół nagi jeszcze, przypatrywał się Hipolicie, niemogącej oderwać się dotąd od słonecznych promieni nad brzegiem wód, owiniętej białym peniuarem. W oczach miał jeszcze migotanie, bolesne niemal, a wielki blask południa sprawiał mu wrażenie przykrości fizycznej, połączonej z nieokreślonym jakimś przestrachem. Była to straszliwa godzina, punkt kulminacyjny światła i ciszy, unoszących się nad próżnią życia. Rozumiał teraz przesąd pogański, obawę świętą przed południami kanikularnemi na wybrzeżu, zamieszkiwanem przez boga tajemniczego a okrutnego. W głębi nieokreślonej jego obawy było coś, jakby oczekiwanie człowieka, który spodziewa się zobaczyć jakieś zjawisko nagłe a potworne. Wydawał się sam sobie dziecinnie słaby i trwożliwy, czuł, że mniej teraz miał odwagi i sił, jakby po jakiejś próbie, która się nie udała. Zanurzając ciało swe w morzu, wystawiając czoło na działanie słońca, przepływając krótką przestrzeń, próbując się w ulubionem swem ćwiczeniu

mierzenia swego oddechu oddechem bezgranicznej przestrzeni, przekonał się po niewątpliwych oznakach o zmniejszeniu się swej siły żywotnej, o schyłku swej młodości, co było destrukcyjnem dziełem Nieprzyjaciółki; odczuł raz jeszcze, jak ta obręcz żelazna zaciskała się dokoła jego działalności życiowej, jak nową jej sferę skazuje na bezwładność i nieudolność. Wrażenie tej słabości muskułów tem głębszem stawało się dla niego, im uważniej przypatrywał się postaci tej kobiety, stojącej w przepychu dnia słonecznego

By osuszyć włosy, rozplotła je a pukle, które woda uczyniła ciężkiemi, spadały jej na ramiona tak ciemne, że nieomal zdały się fioletowemi. Smukłe jej i proste ciało, owinięte jakby w fałdy starożytnego peplum, rysowało się w połowie na tle błękitnem nieba, w połowie na promiennem morza przezroczu. Z poza włosów zaledwie widać było profil pochylonej bacznie twarzy. Cała zatopiona była w przyjemności zanurzenia kolejnego stóp bosych w piasku skwarnym i trzymania ich tam, dopóki mogła wytrzymać, to znowu kładzenia ich rozpalonych jeszcze w falę pieszczącą, co lizała wybrzeże. A podwójne to wrażenie zdawało się sprawiać jej nieskończoną przyjemność, w której zapominała o ubiegających chwilach. Zanurzała się, wzmacniała tem zetknięciem ze zdrowemi i swobodnemi rzeczami, pochłanianiem wód słonych i słonecznych promieni. Ja-

kim sposobem równocześnie mogła być tak chorą i tak silną? Jak mogła w swej istocie łączyć tyle przeciwieństw, przybierać tyle różnorodnych na siebie postaci w ciągu jednego, jedynego dnia, jednej jedynej godziny? Kobieta milcząca i smutna, w której tkwiła straszna epileptyczna choroba, chciwa kochanka, wijąca się w konwulsyach rozkoszy, której zapał częstokroć był przerażającym, której rozwiązłość miewała czasami pozory agonii, ta sama kobieta, stojąca na morskim brzegu, miała zmysły zdolne do napawania się wszystkiemi przyrodzonemi rozkoszami, rozproszonemi w całem otoczeniu, ukazywania się na podobieństwo starożytnego ideału piękna, pochylona nad nurtami wdzięcznego Helespontu.

Miała ona widocznie odporność wyższą. Jerzy przypatrywał się jej z pewną urazą, która skupiając się w sobie coraz to więcej, wytwarzała w nim poważny żal do niej. Poczucie własnej słabości zamącało się jeszcze nienawiścią, w miarę jak przenikliwość jego stawała się jaśniejszą i niemal mściwą.

Nie były bynajmniej piękne te jej nogi bose, które kolejno grzała w piasku nadbrzeżnym i chłodziła w wodzie; miały nawet palce bezkształtne, plebejskie, bez wszelkiej delikatności rysunku; miały widoczne znamiona nizkiego pochodzenia. Jerzy przyglądał się im uważnie, nie spuszczał z nich wzroku, ze szczególnem jasnowidzeniem

pojęć, jak gdyby kształt ich miał mu odsłonić jakąś ważną tajemnicę. I myślał:

„Ileż to rzeczy nieczystych fermentuje w tej krwi! Wszystkie instynkty dziedziczne jej rasy pozostały w niej, niewytępione, gotowe rozwinąć się i zbuntować przeciwko jakiemukolwiek przymusowi. Nigdy nie uda mi się uczynić ją czystą. Co najwyżej będę mógł tylko podkładać pod rzeczywistą jej istotę zmienne obrazy własnych marzeń, i nigdy ona nie będzie mogła dla moich upojeń samotnych być czem innem, nad nieodzowne dla organizmu narzędzie".

Ale kiedy umysł jego strącał tę kobietę do roli prostej tylko osnowy dla wyobraźni, odzierając pochwytną formę z wszelkiej wartości realnej, sama przemożność wrażeń dawała mu odczuć, że najwięcej właśnie przywiązywała go do niej nie rzeczywista jakość tego ciała, nie to nawet, co w niej było najpiękniejszego, ale to przedewszystkiem, *co w niej było najmniej pięknem*. Odkrycie jakiejś brzydoty nie rozluźniało bynajmniej więzów, nie zmniejszało uroku. Rysy najpospolitsze nawet wywierały na niego atrakcyę drażniącą. Znał on dobrze to zjawisko, które się powtarzało często. Nieraz z doskonałą jasnością oczy jego dopatrywały w Hipolicie najdrobniejszych błędów, i długo pociągały je te błędy właśnie ku sobie, długo nie mogły się od nich oderwać, zmuszone były przypatrywać się im bezustannie, badać je i przesadzać. I doznawał zmy-

słami zarówno jak i w umyśle nieokreślonego niepokoju, po którym następował zawsze niemal nagły poryw żądzy. W tem właśnie leżał objaw najstraszliwszy tej wielkiej władzy fizycznej, jaką jedna ludzka istota posiada nad drugą. Takiemu to przekleństwu ulegał ów niewymieniony młodzieniec, którego w jego kochance pociągały najwięcej ślady, jakie wiek wyrył na bladej jej szyi, rozdział włosów z każdym dniem szerszy, uwiędłe usta, na których łzy słone utrwalały jeszcze słodycz pocałunków.

Zastanawiał się nad tem, że lata biegną, nad łańcuchem spojonym na zawsze przez siłę przyzwyczajenia, nad niesłychanym smutkiem miłości, co przeszła w fazę znużonego występku. Widział sam siebie w przyszłości, związanego z tem ciałem, jak niewolnik przykuty do swej obręczy żelaznej, pozbawionego woli i myśli, zezwierzęconego i z pustką w duszy; widział nałożnicę przekwitającą, starzejącą się, poddającą z rezygnacyą, bez walki, powolnemu dziełu czasu, wypuszczającą ze swych dłoni osłonę rozdartą złudzeń, ale niemniej przeto zachowującą fatalną swą nad nimi władzę; widział dom opustoszały, pełen rozpaczy, milczący, w oczekiwaniu ostatniego gościa—śmierci!...

Przypomniał sobie krzyki małych bękartów, zasłyszane w ojcowskim domu w owo odległe już popołudnie. I pomyślał:

„Ona jest bezpłodną; jej wnętrzności dotknięte są klątwą. Wszelkie zarodki giną w nich, jak

w płonącem ognisku. Zawodzi ona bezustannie we mnie najgłębszy z instynktów życia".

Bezużyteczność jego miłości ukazała mu się jako pogwałcenie potworne najwyższego prawa. Dla czegóż zatem miała ona ten charakter nierozerwanej fatalności? Nie byłże instynkt uwiecznienia rasy jedynym i prawdziwym motywem wszelkiej płciowej miłości? Ten instynkt prosty, ślepy a wieczysty nie byłże źródłem żądzy, a żądza czyż nie powinna była mieć za cel, tajemny czy jawny, rozradzania się, przepisanego przez przyrodę? Zkądże więc pochodziło, że węzeł tak silny wiązał go z kobietą bezpłodną? Dla czego w nim okropna „wola" rodzaju z uporem, z zaciekłością domagała się haraczu życiowego od tego organizmu spustoszonego, wyczerpanego chorobą i niezdolnego do poczęcia? Czego brak było przedewszystkiem jego miłości, to podstawowej, pierwszej przyczyny miłości: utwierdzenia i rozwoju życia poza granicami indywidualnego istnienia. Czego brak było kobiecie kochanej, to najwyższej tajemnicy płci: „cierpienia tej, która wydaje na świat dziecko". A co było przyczyną nędzy obojga, to właśnie ta potworność trwała.

— Nie wyjdziesz ogrzać się na słońcu? — spytała nagle Hipolita, zwracając się ku niemu. — Patrz, jak ja wytrzymuję żar słoneczny! Chcę rzeczywiście zostać tem, co ty zawsze mówisz: *podobną do oliwki.* Będąc taką, podobam ci się, nieprawdaż?

Przybliżyła się do namiotu, unosząc oburącz brzegi długiej tuniki, z ruchami pełnemi wdzięku, lubieżnego niemal, jakby ogarniona nagle osłabieniem.

— Będę ci się podobać?

Pochyliła się cokolwiek, by wejść do namiotu. Pod obfitością śnieżnych fałdów, ciało jej szczupłe a giętkie, przybierało ruchy niedbale wdzięczne, siało gorąco i zapach, które zawsze były szczególniejszym bodźcem dla wrażliwości młodzieńca. A rozciągając się na macie obok niego, osypała mu twarz rozpłomienioną ulewą włosów, mokrych jeszcze od słonej wody morskiej, po przez które świeciły białka oczu i purpurą wykwitały usta, na podobieństwo owocu ukrytego pośród liści.

W głosie jej tak samo jak na twarzy, jak w uśmiechu, przebijał cień jakiś, cień nieskończenie tajemniczy i uroku pełen. Zdało się, że odgaduje w swym kochanku niechęć utajoną i zamierza odnieść nad nią tryumf.

— Co tak patrzysz?—spytała z nagłem drgnieniem.—Nie, nie, nie patrz na nie! Wiem, że są brzydkie.

I cofnęła nogi, ukrywając je pod fałdami peniuaru.

— Nie, nie, zabraniam ci patrzeć!

Przez chwilę gniew i wstyd wziął nad nią górę; zmarszczyła brwi; zdawało się, że dostrzegła w oczach Jerzego iskierkę okrutnej prawdy.

— Nieznośny!—rzekła jeszcze zagadkowym tonem wpół żartu, wpół urazy.

Odparł nieco zdenerwowany:

— Wiesz dobrze, że dla mnie jesteś cała piękną, w każdym szczególe.

I zrobił taki ruch, jakby ją chciał przyciągnąć ku sobie, podając usta do pocałunku.

— Nie. Czekaj. Nie patrz.

I odsunęła się od niego, wcisnęła w róg namiotu Nagle, szybkiemi ruchy włożyła długie pończochy czarne, jedwabne; potem odwróciła się, bez wstydu już; na ustach krążył uśmiech jakiś nieokreślony. I wyciągając przed oczyma Jerzego kolejno jednę po drugiej swe nogi bez zarzutu, w lśniącej powłoce, przypinała po nad kolanem podwiązki. Było w jej ruchu coś umyślnie lubieżnego i wyzywającego, w uśmiechu pewna domieszka ironii. A ta niema a straszna wymowa nabierała dla mężczyzny tego określonego znaczenia: „Ja jestem zawsze niepokonaną. Zaznałeś ze mną wszystkich rozkoszy, jakich spragnione są twe żądze nigdy nieskończone i zawsze przyoblekać się będę w kłamstwa, które bez końca wyzywać je będą. Co mnie obchodzi twoja przenikliwość? Obsłonę, którą ty zdzierasz, ja mogę naprawić natychmiast, zawiązkę, którą zrywasz z twych oczu, ja ci ją mogę zawiązać w jednej chwili napowrót. Jestem silniejszą, niż myśl twoja. Znam tajemnicę moich przeobrażeń w twej duszy. Znam słowa i gesty, które mają moc

przetwarzania mnie w twych oczach. Zapach mojej skóry ma władzę zatapiania w tobie całego świata".

W nim, dla niego tonął też świat cały, kiedy się zbliżała, jak wąż gibka i podstępna, by się u jego boku wyciągnąć na macie z sitowia. Raz jeszcze rzeczywistość zamieniała się w nieokreśloną złudę, pełną halucynacyjnych obrazów. Odblaski morza napełniały namiot migotaniem złota, rzucały tysiące płomyczków złotych na włókna tkaniny. Przez otwór u wejścia, widać było obszar niezmierny spokojnego morza, przestrzeń nieruchomą bez końca wód, pod płomiennem, ponurem niemal sklepieniem niebios. Zwolna i te nawet kształty zewnętrzne, zatarły się, znikły.

W ciszy nie słyszał już nic, prócz rytmu krwi własnej; w cieniu nie widział nic, prócz tych dwojga oczu wielkich, utkwionych w niego z rodzajem wściekłości. Owijała go całego tym podwójnym kontaktem, jak gdyby zapożyczyła dla siebie własności u chmury. I przez wszystkie pory płomienne tej skóry wciągał on wyziew upajający morza, jak parującą sól przez płomienie. I w gęstwie tych włosów, wilgotnych jeszcze, odnajdował tajemnicę najgłębszych lasów morskich porostów. I w ostatecznym obłędzie swej świadomości, zdało mu się, że sięga dna przepaści, gdzie głowa jego uderza o skałę.

Potem posłyszał, jakby gdzieś zdaleka szelest spódnic i głos Hipolity, mówiący:

— Chcesz poleżeć jeszcze trochę? Śpisz może?

Otworzył oczy; mruknął, wpół nieprzytomny jeszcze:

— Nie, nie śpię.

— Co ci jest?

— Umieram.

Spróbował uśmiechnąć się. Zobaczył biały błysk zębów Hipolity, która się uśmiechała.

— Czy chcesz, żebym ci dopomogła w ubieraniu?

— Nie. Ubiorę się natychmiast. Idź, idź, ja cię dogonię—szepnął sennym głosem.

— Więc idę na górę. Zanadto jestem głodna. Ubieraj się prędko i przychodź.

— Dobrze, natychmiast.

Zerwał się nagle, poczuwszy niespodziewanie na ustach, usta Hipolity. Otworzył oczy; próbował się uśmiechnąć:

— Litości!

Posłyszał zgrzyt piasku pod oddalającemi się krokami. Wielka cisza objęła w posiadanie napowrót nadbrzeże. W przerwach dochodził od brzegu i skał tylko lekki plusk, szmer słaby, podobny do tego, jaki sprawiają zwierzęta pijące z sadzawki.

Przeszło kilka minut, podczas których walczył z obezwładnieniem, które groziło niemal zamienienem się w letarg. Nakoniec, nie bez trudu, usiadł na swem posłaniu; wstrząsnął głową, by rozproszyć mgły myśli, co go obsiadły; rozejrzał

się dokoła wpół nieprzytomny. Doznawał w całej swej istocie szczególniejszego rodzaju próżni, wyczerpania; nie umiał już podporządkować swych myśli; niezdolny był myśleć wogóle a do wykonania jakiejbądź czynności, potrzebował niezmiernego wysiłku. Wyjrzał po za namiot ku morzu i na nowo ogarnęła go obawa przed światłem.

„O! gdybym tak, położywszy się napowrót, mógł już nie podnieść się więcej! Umrzeć, nie zobaczyć jej już nigdy!“

Czuł, że przygniatającą dłań jest ta pewność, iż za chwil kilka będzie musiał zobaczyć znów tę kobietę, że trzeba mu będzie przebywać, że będzie zmuszony znosić znów jej pocałunki, zmuszony słuchać jej słów...

Zanim rozpoczął ubierać się, zawahał się na na chwilę. Kilka szalonych myśli przeszło mu przez głowę. Potem ubrał się machinalnie. Wyszedł z namiotu i, olśniony blaskiem, zamknął aż oczy. Przez tkankę powiek, widział wciąż wielką jasność czerwoną. Doznał lekkiego zawrotu.

Kiedy napowrót otworzył oczy, widok zewnętrznych przedmiotów przejął go niewymownem jakiemś wrażeniem. Zdało mu się, że to wszystko widzi po upływie nieokreślonego jakiegoś czasu, w odmiennych warunkach istnienia.

Wybrzeże, smagane promieniami słońca, miało białość wapna. Nad niezmiernem a posępnem zwierciadłem morza, niebo rozpalone zdało się

osuwać z każdą chwilą, pod ciężarem tej ciszy ponurej, co poprzedza oczekiwanie nieznanych katastrof. Przedgórza piasczyste, z swemi wielkiemi przystaniami opustoszałemi, sterczały na kształt wież po nad rafami, czarniawemi grzbietami lesistemi, zkąd drzewa oliwne wznosiły ku słońcu płonącemu swe gałęzie, oszalałe niemal, gniewne. Wyciągnięty na skałach i podobny do czyhającego potworu, trabocco ze swemi licznemi narzędziami, wyglądał potwornie. Wśród gmatwaniny belek i lin, widać było rybaków pochylonych ku toni, nieporuszonych jak bronzowe posągi; a nad ich życiem tragicznem ciążyły straszliwe czary.

Nagle w płonącem powietrzu i ciszy, głos jakiś obił się o uszy młodzieńca; to kobieta przywoływała go z górnych okien pustelni.

Drgnął; obrócił się z dławiącem biciem serca. Głos powtórzył wezwanie czyste a silne, jak gdyby chciała stwierdzić niem swą władzę.

— Chodź!

Kiedy wchodził po pochyłości, paszcza dymiąca jednego z tunelów rzuciła w powietrze grzmot, którego echem rozbrzmiała cała zatoka. Zatrzymał się na brzegu drogi; ponownie ogarnął go lekki zawrót głowy; i błysk szalonej myśli przeszedł mu przez mózg, opustoszały wyczerpaniem. „Położyć się na szynach. Wszystkiemu byłby koniec w jednej sekundzie!“

Ogłuszający, szybki i złowróżbny pociąg, co przebiegał, rzucił mu w twarz wichrem swego przelotu; potem gwiżdżąc i hucząc, zniknął w paszczy przeciwległego tunelu, który buchnął dymem czarniawym w blasku słońca.

III.

Od świtu do zmroku rozbrzmiewały kolejno śpiewy żniwiarzy i kobiet, wiążących snopy na stokach urodzajnego wzgórza.

Chóry męzkie z bachicznym zapałem sławiły uciechę uczt obfitych i dobroć starego wina. Dla mężczyzn, żeńców, pora żniw była czasem obfitości. Co godzina niemal, od rana do zmierzchu, wedle starego obyczaju przerywali pracę, by jeść i pić na ściernisku między nowemi snopami, na cześć pana hojnego a każdy wyjmował z swej miseczki część pożywienia wystarczającą do nasycenia jednej z kobiet wiążących zboże. Tak niezawodnie, w porze uczty, Booz rzekł do Ruty, moabitki, „Zbliż się tu, jedz chleb mój i maczaj twój kęs w occie“; a Ruta przyszła usiąść między żeńcami i nasyciła się.

Chór kobiet natomiast przeciągał się w kadencyę religijną niemal, z słodyczą powolną a uroczystą, odsłaniając świętość pierwotną pracy około chleba, szlachetność pierwiastkową tego zadania, gdzie na ziemi przodków, pot ludzki poświęcał narodziny chleba.

Jerzy słuchał ich i śledził uchem i duszą; i po trochu, zwolna wpływ dobroczynny a nieoczekiwany, wnikał w niego. Duch jego zdawał się rozprzestrzeniać zwolna coraz to szerszym, coraz to swobodniejszym oddechem, w miarę jak czystszą stawała się fala tonów, w południowe godziny, skwarne jeszcze, ale którym nadzieja chłodniejszej nocy, odejmowała poprzednią grozę. Był to nowy poryw ku źródłom życia, ku pierwiastkom bytu. Było to ostatnie może drgnienie jego młodości, dotkniętej do samych głębin w sile swej rdzennej, ostatnie pragnienie odzyskania dobra, utraconego już odtąd na zawsze.

Pora żniw miała się już ku końcowi. Przechodząc wzdłuż pól zżętych, obserwował tam piękne zwyczaje, które, jak się zdawało, były pozostałością rytuałów jakiejś liturgii ziemiańskiej. Pewnego dnia zatrzymał się w pobliżu pola, sprzątniętego już, gdzie żeńcy dokończyli składać właśnie ostatnią stertę i był świadkiem całej ceremonii.

Nad przedmiotami zmęczonemi upałem dziennym, unosiło się przezrocze i łagodne powietrze, które za chwilę ujmie w swe krystaliczne sfery niepochwytne popioły dnia, co już spłonął. Pole odcinało się równoległobokiem na płaszczyźnie, opasanej olbrzymiemi oliwnemi drzewami, przez których gałęzie przebłyskał błękitny pas Adryatyku, tajemniczy jak zasłona dojrzana w świątyni, po za srebrzystemi palmami.

Wysokie sterty wznosiły się w równych odstępach, w kształcie ostrokręgów, ciężkie i obfite bogactwem, nagromadzonem rękami mężczyzn, opiewanemi pieśnią kobiet. W pośrodku pola, gromada żeńców kołem otoczyła swego przywódzcę, po dokonanej pracy. Byli to mężczyźni, silnie zbudowani, opaleni, przyodziani w płócienne ubiory. Na rękach i nogach obnażonych, mieli krzywizny i bezkształtności, które długa a wytrwała praca ciężka pozostawia. W dłoni każdego mężczyzny połyskiwał sierp wygięty i cienki jak księżyc w pierwszej kwadrze. Od czasu do czasu ruchem prostym wolnej ręki ocierali pot z czoła i skrapiali nim grunt, na którym świeciła słoma w skośnych promieniach zachodu.

Z kolei i przywódzca zrobił ten sam ruch; potem podnosząc rękę jak do błogosławieństwa, zawołał w swym dyalekcie dźwięcznym, bogatym w rytmy i asonanse:

— Opuśćmy pole w imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Chórem mężczyźni z sierpami odpowiedzieli wielkim krzykiem:

— Amen!

A przywódzca podjął:

— Błogosławiony niechaj będzie pan nasz i błogosławioną nasza pani!

Mężczyźni odpowiedzieli:

— Amen!

A przywódzca głosem, który stopniowo nabierał mocy i zapalał się:

— Błogosławionym niech będzie ten, co nam przynosił dobrą strawę!

— Amen!

— Błogosławionym niech będzie ten, co powiedział: „Nie dolewaj wody do wina żniwiarza!“

— Amen!

— Błogosławiony niech będzie pan, który rzekł do pani: „Daj, nie odmierzając, i włóż stężałego rodzenkowego soku do wina żniwiarza!“

— Amen!

Błogosławieństwa następowały po sobie kolejno: dla tego, co zabił owcę, dla tego, co płukał jarzyny, dla tego, co szorował naczynia miedziane, dla tego, co przyprawiał korzeniami mięsa. I błogosławiący w swym zapale, uniesiony nagle jakimś szałem poetyckim, znajdował na swą posługę rymy i wyrażał się w dwuwierszowym rytmie. Gromada cała odpowiadała mu okrzykami, których echo powtarzały wszystkie przystanie, kiedy równocześnie na żelezcach wszystkich sierpów zapalały się blaski czerwone zachodu a snop ustawiony na wierzchołku każdej sterty, wydawał się istnym płomieniem.

— Błogosławione niechaj będą kobiety, co śpiewały pieśń tak piękną, niosąc dzbany starego wina!

— Amen!

Był to grom radości. Potem wszyscy umilkli i patrzyli na zbliżający się orszak kobiet, niosących ostatni hojny poczęstunek właściciela za zżęte pole.

Kobiety dwoma szeregami, podtrzymując na ramionach wielkie dzbany malowane, śpiewały. A widz obcy, widząc je występujące z pomiędzy pni drzew oliwnych jak z pomiędzy jakiej kolumnady na tle morskiem, doznawał złudzenia, że patrzy na jedno z tych poselstw, wysyłanych corocznie do świątyni delfickiej, które się rozwijają tak harmonijnie na płaskorzeźbach fryzów świątnic lub dokoła sarkofagów.

Kiedy powracał do domu, ten obraz wielkiej piękności towarzyszył mu wzdłuż całej ścieżki, którą szedł zwolna w wieczornym chłodzie, w którem unosiły się jeszcze fale chóralnego śpiewu. Na skręcie zatrzymał się, by posłuchać melodyjnego głosu, który się przybliżał a który, zdało mu się, że rozpoznaje. Skoro tylko go poznał, dziwna radość go przejęła; był to głos Favetty, młodej śpiewaczki o oczach sokolich, głos dźwięczny, drgający, który w nim budził zawsze wspomnienie owego rozkosznego majowego poranka, co mu błysnął wśród labiryntu jałowców kwitnących, ponad samotnością złocistego ogrodu, gdzie zdumionemu zdawało się, że odkrył tajemnicę szczęścia.

Nie podejrzewając obecności obcego człowieka, osłonionego żywopłotem, Favetta, szła, prowadząc

krowę na postronku. I śpiewała z głową wzniesioną w górę, z otwartemi usty, zwróconemi ku niebu, z twarzą oblaną światłem zachodu; z gardła jej płynął śpiew czysty, rozgłośny, krystaliczny jak źródło. Po za nią, ładne zwierzę śnieżnej białości, postępowało spokojnie; a za każdym krokiem chwiało się podgardle i masa wymion, wezbranych mlekiem po obfitej paszy, poruszała się zwolna.

Kiedy spostrzegła obcego, śpiewaczka przerwała pieśń i zatrzymała się. Ale on, idąc naprzeciw niej z radosnym wyrazem twarzy, jak gdyby odnajdował przyjaciółkę z szczęśliwych swych czasów:

— Gdzie tak idziesz, Favetto?—zawołał.

Posłyszawszy, że ją woła po imieniu, zarumieniła się i uśmiechnęła, zakłopotana.

— Odprowadzam krowę do obory — odpowiedziała.

Ponieważ nagle zwolniła kroku, pysk zwierzęcia dotknął jej krzyża; a śmiały biust jej wznosił się między wielkiemi rogami, jak między obręczą liry.

— Zawsze śpiewasz? — pytał Jerzy, podziwiając ją w tej pozie. — Zawsze?

— Eh, panie — odparła z uśmiechem — gdyby nam zabrano śpiew, cóżby nam pozostało?...

— Pamiętasz ten ranek, kiedy zrywałeś kwiaty jałowcu?

— Kwiaty jałowcu dla twojej żony, signore?

— Tak; czy pamiętasz ten ranek?

— Pamiętam.

— Zaśpiewaj mi raz jeszcze tę pieśń, którą mi śpiewałaś wówczas!

— Sama jedna nie mogę jej zaśpiewać.

— To zaśpiewaj mi jaką inną.

— Tak zaraz, w twojej obecności. Wstydzę się. Zaśpiewam w drodze. Adieu, signore.

— Żegnaj, Favetto.

I poszła dalej, wiodąc za sobą spokojne zwierzę. Uszedłszy kilka kroków, zaintonowała piosenkę całą siłą swego głosu, który ogarnął pola, skąpane w blasku.

Słońce zaszło przed chwilą i nadzwyczaj żywe światło zalało wybrzeża i morze, fala niezmierna nieujętego złota wznosiła się od zachodu nieba ku zenitowi i schodziła na skraj przeciwległy, którego błękit przezroczy przenikała z niesłychaną powolnością. Stopniami Adryatyk stawał się coraz jaśniejszym i łagodniejszym, barwą zbliżał do zieleni pierwszych wiosennych listków wierzby. Tylko czerwone opony, tak wspaniałe jak gdyby były z purpury, przerywały tę rozlaną jasność.

„To prawdziwe święto—myślał Jerzy, olśniony wspaniałością zachodu, czując jak dookoła drga radość życia. Gdzież żyje istota ludzka, dla której dzień, od brzasku aż do zmroku jest jednem świętem, uświęconem jakąś nową zdobyczą?“

Na wzgórzu śpiewy na cześć narodzin chleba wciąż rozlegały się jeszcze. Długie orszaki niewieście ukazywały się na stokach i znikały. Tu i owdzie w powietrzu, niezamąconem wietrzykiem, kolumny dymu biegły w górę powoli z ognisk niewidzialnych. Widok stawał się uroczystym i zdawał się oddalać gdzieś, w tajemniczość wieków pierwotnych, w świętość uroczystych obchodów rolniczych.

IV.

Od owej nocy tragicznej, kiedy Kandya, zniżywszy głos, mówiła o czarach, ciążących nad ludźmi z trabocco, ten wielki szkielet białawy, rozpościerający się na rafach, nieraz pociągał ku sobie oczy i budził ciekawość przybyszów, zamieszkujących pustelnię. W półkolu małej, szemrzącej zatoki, ten kształt zjeżony i przyczajony podstępnie, wiecznie stojący na czatach, zdawał się zadawać kłam szczęściu samotności. W palące i nieruchome południe, w mgliste zmroki, przybierał czasami potworną jakąś powierzchowność. Niekiedy, gdy wszystko odpoczywało dokoła, słychać było zgrzyt windy i trzask wiązań. W noce księżycowe widziałeś czerwone blaski pochodni, odbitych w wodach.

W któreś popołudnie ciążącej bezczynności, Jerzy zaproponował Hipolicie:

— Nie poszłabyś obejrzeć trabocco?

Odpowiedziała:

— Chodźmy, jeśli chcesz. Ale jak ja to zrobię, żeby przejść przez pomost? Próbowałam raz już...

— Prowadzić cię będę za rękę.

— Przejście jest zbyt wązkie.

— Spróbujemy.

I poszli. Zeszli po ścieżce. Na jej zakręcie znaleźli rodzaj schodów, wyciętych w granicie, mało zdatnych do przejścia, których nieregularne stopnie schodziły do raf, aż do początku chwiejnego pomostu.

— Widzisz, co ja zrobię? — mówiła Hipolita z żalem.— Dość mi patrzeć tylko a już zawraca mi się w głowie.

Pierwsza część mostku składała się z jednej, jedynej deski, bardzo wązkiej, podtrzymywanej przez belki, przytwierdzone do skały; druga część, szersza, złożona była z cienkich tarcic poprzecznych, białych, białością niemal srebrzystą, przegniłych, łamiących się, źle spojonych i tak rzadkich, że zdawało się, iż się muszą załamać pod najlżejszym naciskiem stopy.

— Nie chcesz spróbować?—spytał Jerzy, skonstatowawszy z wrażeniem wewnętrznem osobliwszej ulgi, że Hipolicie nie uda się nigdy przedostać po niebezpiecznem przejściu.—Patrzaj, ktoś idzie, aby nam podać rękę.

Dziecko wpół nagie biegło od pokładu, zwinne jak kociak, brunatne jak bronz obfity w złoto. Pod jego pewną nogą tarcice trzeszczały, belki się gięły. Doszedłszy do środka mostu, blizko już obcych, poczęło ich zachęcać energicznemi

giestami, aby mu się powierzyli, wpatrując się w nich bystremi oczyma drapieżnego ptaka.

— Nie zechcesz spróbować?—podjął znów Jerzy z uśmiechem.

Niezdecydowana postawiła nogę na chwiejnej desce, popatrzała na skały, na wodę, potem cofnęła się, niezdolna pokonać strachu.

— Obawiam się zawrotu głowy—rzekła.—Jestem pewna, że spadłabym.

I dodała z wyraźnym żalem:

— Idź, idź sam. Ty się nie boisz?

— Nie. Ale co ty będziesz robić przez ten czas?

— Usiądę sobie w cieniu i poczekam na ciebie.

Dodała jeszcze z wahaniem, jak gdyby próbując go zatrzymać:

— Ale bo po co ty tam idziesz?

— Idę. Ciekaw jestem zobaczyć.

Wydawała się zmartwioną, że nie może iść tam za nim, zirytowaną, że pozwala mu iść w takie miejsce, w którem go dosięgnąć nie może; a jak się zdawało, prócz konieczności wyrzeczenia się przyjemności i zaspokojenia swej ciekawości, inna jeszcze jakaś przyczyna niewyraźna martwiła ją i gniewała. Co jej sprawiało przykrość, to przeszkoda stająca między nią a kochankiem, przeszkoda, której usunąć nie była w stanie. Tak dla niej nieodzownem stało się bezustanne trzymanie go przy sobie, przykuwanie dotykalnym węzłem ciągłej obecności, przestawania z nim

nieprzerwanie, władania nim, posiadania wyłącznego!

Wymówiła tonem ledwie dostrzegalnej irytacyi:

— Idź-że już, idź!

Jerzy zauważył w głębi siebie samego uczucie, będące kontrastem instynktownego uczucia Hipolity; był to rodzaj ulgi dlań, że mógł stwierdzić istnienie takiego miejsca, w które Hipolita za nim nie pójdzie, schronienia całkowicie niedostępnego dla Nieprzyjaciółki, schronienia, bronionego przez skały i przez morze, gdzie mógłby nakoniec znaleźć kilka godzin rzeczywistego odpoczynku. I te dwa wrażenia ich dusz, jakkolwiek niezupełnie określone i nawet nieco śmieszne, ale z wszelką pewnością wprost sobie przeciwne, wykazywały stan istotny kochanków względem siebie wzajem; jedno było świadomą ofiarą przeznaczoną na zagładę; drugie bezświadomym i pieszczącym katem.

— Idę—wymówił Jerzy z odcieniem prowokacyi w tonie i postawie.—Do widzenia!

Jakkolwiek nie czuł się całkiem pewnym siebie, odmówił pomocy dziecka i wytężył uwagę, by iść krokiem pewnym a elastycznym, nie wahać się, nie zachwiać na ruchomej desce. Jak skoro tylko postawił nogę na szerszej części, przyśpieszył kroku, wciąż pamiętny na wzrok Hipolity, kładąc instynktownie w swe usiłowanie zapał reakcyi jej wrogiej. Kiedy stanął na deskach platformy, doznał złudnego wrażenia, że

się znajduje na pomoście statku. W jednej sekundzie chłód morza pluskającego, co się rozbijało o rafy, rozbudził w jego pamięci niektóre epizody z życia, które pędził na pokładzie „Don Juana“, i doznał w całej swej istocie dreszczu nagłego na myśl fantastyczną, że mogą podnieść kotwicę. „Do żagli! Do żagli!“

Zaraz natychmiast oczy jego zwróciły się na otaczające przedmioty, których najdrobniejsze szczegóły zauważył ze zwykłą sobie jasnością.

Turchino skłonił mu się szorstko, ruchem, którego nie osłodziły ani słowa, ani uśmiech, jak gdyby żadne wydarzenie, jakniebądź byłoby niezwykłem, nie było w stanie przerwać bodaj na chwilę okropnych rozmyślań, które znać było na ziemistej jego twarzy, bez podbródka prawie, niewiele co większej nad pięść, z długim, wystającym nosem, spiczastym jak paszcza szczupaka, między parą małych iskrzących się oczu.

Toż samo zamyślenie czytać mogłeś na twarzach dwu jego synów, którzy również skłonili się tylko w milczeniu i zabrali zaraz napowrót do roboty, nie pozbywając się przecież swego stałego smutku. Byli to młodzieńcy lat dwudziestu przeszło, wychudli, spaleni, wstrząsani jakimś niepokojem muskulatury, jak opętańcy. Wszystkie ich ruchy wyglądały raczej na kurcze konwulsyjne, na dreszcze; a pod skórą ich twarzy, pozbawionej podbródka, widać było chwilami, jak drgają muskuły.

— Połów dobry?—spytał Jerzy, ukazując szeroką sieć zanurzoną, której rogi widać było na powierzchni wód.

— Nie dziś, panie—pomruknął Turchino, z akcentem hamowanego gniewu.

A po chwili milczenia, podjął:

— Kto wie, może to ty, signore, przynosisz nam połów szczęśliwy...

— Wyciągnijcie sieci; zobaczymy.

Synowie jego zabrali się do windy.

Przez szpary pokładu widać było migocącą i spienioną wodę. W jednym rogu platformy wznosiła się nizka chatka, o dachu słomianym, którego szczyt osłonięty był szeregiem dachówek czerwonych i przyozdobiony rzeźbą dębową, przedstawiającą głowę wołu, z parą wielkich rogów, przytwierdzonych tam, jako ochrona od czarów. Inne jeszcze amulety zwieszały się z dachu, pomieszane z krążkami drzewa, do których przytwierdzone były mazią kawałki lustra, okrągłe jak oczy; pęk widłów czterozębnych, zardzewiałych leżał u nizkiego jej wejścia. Na prawo i lewo wznosiły się dwa maszty prostopadłe, oparte o skałę, podtrzymywane u podstawy palami wszelkiej grubości, co krzyżowały się pogmatwane, połączone z sobą grubemi gwoździami, pospajane klamrami żelaznemi i linami, umocnione na wszystkie sposoby przeciwko burzom morskim. Dwa inne maszty, poziomo położone, przecinały tamte na krzyż i sterczały jak przed-

nie maszty okrętu daleko po za rafy na głębokich i zarybionych wodach. Na końcach widlastych czterech masztów zwieszały się bloki z linami, łączącemi się z rogami sieci kwadratowej. Inne liny przechodziły znów przez inne bloki na końcu mniejszych drągów; aż do najodleglejszych skał koły powbijane, podtrzymywały liny posiłkowe; niezliczone deski, poprzybijane do belek, wzmacniały słabe punkty. Walka długa i uporna przeciw szałowi i zdradom fali, była tu jakby wypisaną na tym olbrzymim tułowiu za pomocą tych węzłów, tych gwoździ, tych machin. Cały przyrząd zdał się żyć własnem życiem, miał pozór i kształt ożywionego ciała. Drzewo wystawione przez lata całe na działanie słońca, na deszcze, na burze, ukazywało wszystkie swe fibry, odkrywało wszystkie swe chropowatości i wszystkie sęki, odsłaniało wszystkie strony wytrzymałej struktury, obnażało się, trawiło, stawało białem jak piszczel, lub świecącem jak srebro, to szarawem jak krzemień, nabywało charakteru i znaczenia osobnego, znamienia tak wyrazistego, jak człowiek, na którym cierpienie i starość dokonywa straszliwego dzieła zniszczenia.

Winda zgrzytała, podnosząc się przy pomocy czterech drągów i cała maszyna trzeszczała, drżała pod wysiłkiem, kiedy równocześnie sieć obszerna wynurzała się zwolna z toni zielonkawej, o złotawych, migotliwych blaskach.

— Nie! — mruknął ojciec, widząc występujące na powierzchnię wód dno pustej sieci.

Synowie puścili drągi wszystkie razem i z mocniejszym jeszcze zgrzytem, winda poczęła się obracać w powietrzu czterema swemi grubemi ramionami, które mogły przeciąć na pół człowieka. Sieć zanurzyła się znowu. Wszyscy umilkli. W ciszy nie było słychać nic już więcej, prócz plusku fali, uderzającej o rafy.

Ciężar przekleństwa jakiegoś przygniatał nędzne te istnienia. Jerzy stracił ochotę rozpytywania się, oglądania, badania, ale czuł, że to towarzystwo milczące i tragiczne, niezadługo będzie dlań miało urok jakiegoś bolesnego powinowactwa. Nie byłże i on także ofiarą jakiegoś przekleństwa? I spojrzał instynktownie ku brzegowi, gdzie na tle skały rysował się profil postaci kobiecej.

V.

Powracał też na trabocco niemal co dzień o najrozmaitszych porach. Tu było odtąd dla niego ulubione miejsce rozmyślań i marzeń. Rybacy przyzwyczaili się do jego odwiedzin; przyjmowali go z uszanowaniem, przysposabiali w cieniu chaty rodzaj tapczanu, złożony ze starych masztów, cuchnących smołą. Ze swej strony on jednał ich sobie datkami.

Słuchając szmeru wód, wpatrując się w szczyt masztu nieruchomego na lazurze nieba, przyzywał na pamięć żeglarskie swe wspomnienia, wracał myślą do koczowniczego życia, które niegdyś pędził zawsze latem, tego życia bezgranicznej swobody, które dziś wydawało mu się niezwykle pięknem, fantastycznem nieomal. Przypominał sobie ostatnią swą wycieczkę na Adryatyku, w kilka miesięcy po narodzinach swej miłości, w epoce smutku i zapału poetycznego, pod wpływem Percy Shelleya, tego boskiego Ariela, którego morze przetwarzało w coś bogatego i dziwnego razem: *into something rich and strange*. I przypominał sobie swoje wylądowanie w Rimini, przy-

bycie do Malamocco, zarzucenie kotwicy na wybrzeżu, ozłoconem promieniami wrześniowego słońca... Gdzie był teraz dawny jego towarzysz podróży, Adolf Astorgi? Gdzie był „Don Juan“?— Poprzedniego tygodnia otrzymał o nim wiadomości z Chios, listem, który zdał się przesiąkłym jeszcze wyziewem żywicy, a który oznajmiał mu wysyłkę całej masy konfitur wschodnich.

Adolf Astorgi, była to dusza prawdziwie bratnia, jedyny, z którym mógł żyć przez czas niejaki w zupełnie ścisłym związku, nie doznając przymusu, przykrości i wstrętu, jakie mu sprawiała zawsze niemal dłuższa zażyłość z innymi przyjaciołmi. Jakie to nieszczęście, że on teraz tak daleko!... I czasami wyobrażał go sobie jako niespodziewanego oswobodziciela, który się zjawia nagle z swym żaglem na wodach San-Vito, proponując mu ucieczkę.

W nieuleczalnej swej słabości, w tym zaniku zupełnym woli czynnej, z upodobaniem oddawał się czasami tego rodzaju marzeniom; przyzywał całą duszą człowieka silnego i nakazującego, który przyszedłby wstrząsnąć nim gwałtownie i który, zrywając jednem stanowczem i nagłem szarpnięciem, wszystkie więzy, na zawsze, wróciłby go życiu, pociągnął z sobą gdzieś daleko, osadził w jakichś regionach zapomnianych, gdzieby nie był znanym nikomu, gdzieby sam wzajem nie znał nikogo i gdzie mógłby, bądź rozpocząć

nowe życie, bądź umrzeć śmiercią mniej rozpaczną,

Umrzeć on musiał. Wiedział dokładnie, że jest na śmierć skazanym, wiedział, że jest nieodwołalną; i przekonany był, że akt finalny spełni się w tygodniu, który poprzedzał *piątą rocznicę*, między ostatniemi dniami lipca a pierwszemi sierpnia. Od czasu owej pokusy, co w skwarne południe, wobec połyskujących relsów, przeszła mu przez myśl błyskawicą, zdawało mu się nawet, że już znalazł *sposób.* Wciąż miał ucho wytężone na grzmot pociągu i doznawał dziwnego niepokoju, kiedy zbliżała się godzina jego nadejścia. Ponieważ jeden z tunelów leżał w pobliżu trabocca, mógł ze swego tapczanu słyszeć głuchy łoskot, który wstrząsał całem wzgórzem; a czasami, jeśli wówczas zajęty był innemi myślami, zrywał się przerażony, jak gdyby niespodziewanie posłyszał grom własnego przeznaczenia.

Nie taż sama to myśl owładnęła tymi posępnymi, milczącymi ludźmi? Oni i on zarówno, czyż nie czuli nad swoją głową, nawet w pośród spieki skwarnego lata, tegoż samego mroku? Może właśnie to powinowactwo było powodem, że tak polubił to miejsce i to towarzystwo. Na dźwięcznych wodach, pozwalał kołysać się w objęciach widma, które sam stworzył, kiedy tymczasem chęć życia odbiegała od niego zwolna, jak ciepło opuszcza trupa.

Były to wielkie cisze lipcowe. Morze rozściełało się całkiem białe, mleczne, zielonkawe tu i owdzie w pobliżu brzegów. Mgła zaledwie lekko fioletowa, przysłaniała oddalone wybrzeża: przylądek More, Nicchiolę, szczyt Ortone, szczyt Vaste. Falowanie niedostrzegalne niemal spokojnego morza wydawało pośród raf jakiś pomruk harmonijny, miarowany jednostajnemi pauzami. Na krawędzi jednego z długich masztów poziomych, dziecko stało na czatach; wytężonem okiem badało pod sobą zwierciadło fal a od czasu do czasu, aby znaglić wystraszoną rybę do popłynięcia w sieci, rzucało w wodę kamyk, którego głuchy łoskot, zwiększał jeszcze smętek przedmiotów.

Czasami gość trabocca zasypiał, kołysany pieszczotą powolnego rytmu. Ten sen krótki był jedyną kompensatą za bezsenne noce. I miał zwyczaj wymawiać się tą potrzebą odpoczynku, by Hipolita pozwoliła mu pozostawać na trabocco, dopóki mu się podobać będzie. Jerzy utrzymywał przed nią, że nie może spać nigdzie indziej tylko na tych deskach, wśród woni skał morskich, przy dźwiękach morskiej muzyki.

I ku tej muzyce wytężał on coraz uważniejsze, coraz wrażliwsze ucho. Teraz znał już wszystkie jej tajemnice, rozumiał co znaczy dźwięk każdy. Lekki plusk odbijających się od brzegu bałwanów, podobny do beku rozbiegającej się trzody, wielki huk nagły rześkiej fali, co

przybywa z szerokiej przestrzeni, roztrąca i miażdży drobną falę nadbrzeżną; nutkę najpokorniejszą i nutę najdumniejszą w tym akordzie; i niezliczone gamy pośrednich tonów; i różnorodne miary rytmu; i najprostsze akordy; i najbardziej skomplikowane; i całą potęgę tej orkiestry morskiej w pełnej ech zatoce—on znał wszystko, wszystko rozumiał.

Tajemniczo rozwijała się wieczorna symfonia o zmroku i urastała powoli, pod niebem zda się zasypanem fiołkami, które między pękami swemi pozwalały przeświecać nieśmiało pierwszym konstelacyom gwiaździstym, przysłoniętym jeszcze obsłoną. Tu i owdzie błądzące wiatru podmuchy podnosiły i popychały fale, rzadkie z początku, potem coraz częstsze, potem mniej już słabe; podnosiły i potrącały fale, których przezrocze grzbiety zabarwiały się, odkradając zmrokowi blaski, pieniły przez chwilę i upadały osłabłe. Czasem niby dźwięk przygłuszonych cymbałów, to znów jak dźwięk tarcz srebrnych, potrącanych o siebie wzajem, to jak brzęk kryształu, rozbijającego się o skałę, takiemi były odgłosy, które wydawały w ciszy fale te opadając i zamierając. Nowe fale podnosiły się zrodzone z nowego dłuższego już podmuchu, wyginały grzbiety przejrzyste, niosąc w swych załamach wdzięk schyłku dnia; rozbijały się z pewnego rodzaju niedbałością, podobne do ruchomych krza-

ków białej róży, z rozsypującym się kwiatem; pozostawiając trwałą pianę, niby liście opadającego kwiecia na tafli zwierciadła. Inne znów, podnosiły się, wzmagały w szybkość i siłę, zbliżały do brzegu, dosięgały go z tryumfalnym łoskotem, po którym następował pomruk przewlekły, podobny do szumu, który wydają zeschłe liście pod stopą przechodnia. I kiedy trwał jeszcze ten złudny szum leśny, inne fale, tam dalej, dalej, na półkolu zatoki, biegły wśród przestanków, coraz, coraz to krótszych, po których następował tenże sam szmer, tak że strefa dźwięków zdała się przedłużać w nieskończoność bezprzestanną wibracyą miryadów zeschłych liści.

Ta naśladownicza leśna harmonia była stałą osnową, na której bałwany rozbijające się o rafy, kładły akordy rytmów przerywanych. Fala biegła z uniesieniem miłości czy gniewu, na złomy skał niewzruszone, rzucały się na nie z rykiem, rozpryskiwały pianą, zalewając swemi wody najtajniejsze szczeliny. Zdawało się, iż jakiś duch przepotężny przyrody napełnia swoim ruchem instrument, rozległy a różnodźwięczny jak organ, przechodząc wszystkie po kolei niezgodne tony, trącając o każdą nutę, zarówno radości, jak bólu.

Śmiała się fala, jęczała, błagała, śpiewała, modliła, pieściła, szlochała, groziła; kolejno to radosna, żaląca się, pokorna, ironiczna, pochlebiająca, zrozpaczona lub okrutna. Tryskała aż do

szczytów skał najwyższych, by tam napełnić małą wklęsłość okrągłą, podobną do ofiarnej czary, wciskała się w skośną rozpadlinę, gdzie się mnożyły mięczaki; staczała się po miękim kobiercu koraliny, szarpiąc ją, lub pełzała po nich, tak lekko, jak wąż po mchu. Ściekanie miarowe wody, spływającej kroplami w grocie podziemnej, odpływ rytmiczny strumieni, podobny do pulsacyi wielkiego jakiegoś serca, plusk zachrypły źródeł po skalistych spadzistościach, huk głuchy potoków uwięzionych między dwoma ścianami granitu, grzmot powtarzany rzeki, co się rzuca nagle z wysokości wodospadu—wszystkie te dźwięki, które wydobywają płynące wody z bezwładnego kamienia i wszystkie ich echa, ona je naśladowała. Czułe słowa, które się szepcze na uboczu w cieniu, westchnienie, które wydziera z piersi męczarnia śmiertelna, krzyk rozpaczy zasypanego w podziemiach tłumu, szloch piersi tytanicznej, szyderstwo butne a bezlitosne—wszystkie dźwięki, jakie wydają ludzkie usta, bądź to w smutku, bądź w radości i pomruk gniewu i ryk szaleństwa—ona naśladowała to wszystko. Chóry nocne duchów o powietrznych językach, szept widziadeł, które zorza rozprasza, szczerzący się śmiech hamowany złowrogich istot, co czyhają u progu innych, wołania kwiatów, wzywających do raju lubieżności, magiczną zwrotkę taneczną rusałek w blasku księżyca, wszystkie dźwięki, które podsłuchuje ucho poety w tajemnicy, wszyst-

kie czary syren starożytnego świata—ona je naśladowała.

W umyśle bacznego słuchacza było to jakby zmartwychwstanie świata całego. Wspaniałość morskiej symfonii ożywiła w nim wiarę w nieograniczoną potęgę muzyki. Zdumiał się, jak mógł tak długo pozbawiać swój umysł, tej dawniej powszedniej strawy, jak mógł wyrzec się jedynego, udzielonego człowiekowi sposobu, wyzwolenia się od szalbierstwa pozorów i odkrycia w świecie wewnętrznym duszy istotnej treści rzeczy. Zdumiał się, że mógł przez czas tak długi zaniedbywać ten kult religijny prawie, który za przykładem Demetria, uprawiał od pierwszych lat dziecięcych z takim zapałem. Dla Demetria i dla niego czyż nie była muzyka prawdziwą religią? Czy nie ona odsłoniła przed oczyma ich obu najwyższe tajnie życia? Obudwu powtarzała, ale z odmiennem znaczeniem, te słowa Chrystusa: „Królestwo nasze nie jest z tego świata“.

I znowu ukazał mu się ten człowiek łagodny a zamyślony, ta twarz naznaczona stygmatem męzkiego smutku, której pukiel siwych włosów nad czołem, wmięszany w gęstwę czarnych, dziwnej dodawał wyrazistości.

Raz jeszcze poczuł Jerzy, jak go przejmuje ten urok nadnaturalny, który wywierał na niego z głębi grobu ten człowiek, istniejący po za życiem. Odległe rzeczy przyszły mu na pamięć,

podobne do fal niewyraźnej jakiejś melodyi; żywioły myśli, wzięte w spadku od tego objawiciela, zdały się przybierać na siebie niepochwytne kształty rytmu; obraz idealny zmarłego zdał się przetwarzać w melodyę, utracał widzialne swe kontury, wcielał się w jedność głęboką istoty, w tę jedność, którą samotny muzyk przy świetle swego natchnienia odkrył pod różnolitością zjawisk.

„Bez wszelkiego wątpienia—myślał— muzyka to właśnie odsłoniła przed nim tajemnice śmierci ona to ukazała mu po za granicami życia, ciemne państwo cudów. Harmonia, ten żywioł wyższy nad czas i przestrzeń, ukazała mu jako szczęście, możność wyswobodzenia się od więzów przestrzeni i czasu, oderwania się od woli indywidualnej, która go zamykała w więzieniu jednej osobistości tylko, jednego określonego miejsca, która go przykuwała i podporządkowywała materyi zwierzęcej. Ponieważ czuł on po tysiące razy w samym sobie, w chwilach natchnienia, budzącą się wolę wszechświata; ponieważ zakosztował nadludzkiej radości, poznając jedność najwyższą, będącą na dnie wszystkich rzeczy, sądził, że śmierć będzie dlań sposobem przedłużenia się w nieskończoności, że się rozproszy i zatonie w harmonii nieskończonej Wszechrzeczy i uczestniczyć będzie w nieśmiertelnej rozkoszy „stawania się“. Dla czegóżbym i ja także nie miał mieć tej samej mistrzyni w tychże samych tajemnicach?“

Wzniosłe obrazy stawały przed jego myślą w tym samym czasie, kiedy gwiazdy ukazywały się jedna po drugiej na milczącem niebie. Odnalazł niektóre z najpoetyczniejszych swych marzeń. Przypomniał sobie niezmierne uczucie radości i wyswobodzenia, jakiego doznał pewnego dnia, kiedy mocą wyobraźni zlał się w jedno z nieznanym sobie człowiekiem, który leżał w trumnie na szczycie majestatycznego katafalku, pośród jarzących świateł, kiedy w głębi, w cieniach świątyni z organów, z orkiestry i z głosów ludzkich, przemawiała do Niewidzialnego, dusza Beethovena, tego boskiego zwiastuna. Ujrzał ponownie okręt fantastyczny, z olbrzymim organem na pokładzie, który między niebem a morzem w dal nieskończoną lał przez las swych rur strumienie harmonii na spokojne fale, kiedy na s raju horyzontu tymczasem płonęła zmierzchu purpura, lub rozlewał się spokój księżycowej nocy. Odbudowywał w marzeniu tę cudowną śmierci świątnicę, całą z białego marmuru, gdzie pomiędzy kolumnami propyleum stoją muzycy znakomici, którzy swemi dźwiękami pociągają ku sobie młodzieńców, przechodzących tamtędy i tak umieją ich wtajemniczać, że nigdy żaden z wtajemniczonych, raz postawiwszy nogę na grobowym progu, nie odwrócił się już, by się pokłonić światłu, kędy do dnia dzisiejszego znajdował radość.

„Daj mi szlachetny rodzaj zgonu. Niechaj Pię-

kno obrzuci swym welonem mój krok ostatni! To jest wszystko, o co błagam u mego losu".

Zapał liryczny rozpierał mu myśli. Koniec Szelleya, którego tak mu zazdrościł i który marzył dla siebie w cieniu żagla, ukazał mu się teraz znowu w niezmiernym błysku poezyi. Los ten miał wielkość i smutek nadludzki. „Smierć jego jest tajemniczą i uroczystą, jak śmierć starożytnych Grecyi bohaterów, których niepokonana potęga zabierała z tej ziemi nagle i unosiła, przetworzonych w sferę wesela. Tak jak w pieśni Ariela nic z niego się nie zatarło; ale ją morze przetworzyło, tylko w coś niezmiernie bogatego i dziwnego. Młodzieńcze jego ciało płonie na stosie u stóp Apeninów, w obliczu samotności morza Tyreńskiego, pod błękitnym pierścieniem nieba. Płonie wraz z aromatami, kadzidłami, oliwą, winem i solą. Dźwięczne płomienie strzelają w górę, w nieruchomem powietrzu drgają i zawodzą śpiew, zwrócony ku świadkowi — słońcu, pod którego blaskiem połyskują marmury na gór szczytach. Dopóki ciała nie strawiły płomienie, mewa zakreśla wielkie kręgi swego lotu po nad stosem. A potem, kiedy ciało rozsypuje się w popioły, serce ukazuje się nagie i nietknięte: — *Cor Cordium*".

Może też i on, jak poeta *Epipsychidiona*, kochał Antygonę w poprzedniem jakiemś istnieniu.

Pod nim, dokoła niego symfonia morska urastała wciąż, rosła w cieniu; a po nad nim cisza

gwiaździstego nieba stawała się coraz głębszą. Ale od strony brzegu zbliżał się grzmot, niepodobny do żadnego innego odgłosu, grzmot dobrze znany. A kiedy zwrócił się w tę stronę, zobaczył dwie latarnie pociągu, podobne do błysku dwojga oczu płomiennych.

Ogłuszający, szybki i złowrogi pociąg, co przebiegał, wstrząsał całem przedgórzem; w jednej sekundzie przebiegł drogę odkrytą; potem z gwizdem i hukiem zniknął w paszczy przeciwległego tunelu.

Jerzy porwał się jednym skokiem. Spostrzegł, że sam jeden pozostał na trabocco.

— Jerzy! Jerzy! Gdzie ty jesteś?

Było to wołanie niespokojne Hipolity, która przychodziła po niego; był to krzyk udręczenia i trwogi.

— Jerzy! Gdzie jesteś?

VI.

Hipolita wybuchnęła radością, skoro jej Jerzy oznajmił, że niebawem nadejdzie fortepian i partycye. Jakże była mu wdzięczną za tę miłą niespodziankę! Nakoniec będzie czem przerwać bezczynność długich godzin dziennych i ustrzedz się od pokus... Śmiała się, czyniąc aluzyę do ich fizycznego stosunku, przerywanego tylko chwilami zmęczenia lub jaką ucieczką ukochanego.

— Tym sposobem—mówiła, śmiejąc się z pewnym odcieniem złośliwości, choć bez goryczy — nie będziesz mógł już uciekać na twój przeklęty trabocco... Nieprawdaż?

Podeszła, ujęła jego głowę, ścisnęła mu dłońmi skronie i patrząc w oczy głęboko:

— Wyznaj, żeś tam się chronił *z powodu tego*— szepnęła głosem pieszczotliwym, jakby chcąc go skłonić do spowiedzi.

— Z powodu czego?—spytał, doznając pod dotknięciem tych dłoni wrażenia, jakiego się doznaje blednąc.

— Bo się lękałeś moich pocałunków.

Wymówiła te słowa powolnie, skandując niemal sylaby głosem, który nabrał nagle szczególniejszej czystości. W spojrzeniu zaś miała dziwną mieszaninę nieokreślonej jakiejś namiętności, ironii, okrucieństwa i dumy.

— Wszak prawda? Wszak to prawda? — nastawała.

Wciąż ściskała mu coraz mocniej skronie; ale zwolna jej palce zapuszczały się we włosy, łaskotały zlekka uszy, schodziły aż do karku, jedną z tych pieszczot, których ona tylko posiadała sztukę.

— Wszak to prawda? — powtarzała, kładąc w powtarzane słowa pieszczotę subtelną, nadając swemu głosowi ten akcent, który, jak wiedziała już z doświadczenia, zdolnym był wzbudzić niepokój w kochanku.—Wszakże to prawda?

Nie odpowiedział nic; przymykał oczy; poddawał się; czuł, że życie zeń ucieka, że świat zapada gdzieś i znika mu z przed oczu.

I raz jeszcze ulegał pod wpływem prostego dotknięcia tych szczupłych rączek; raz jeszcze Nieprzyjaciółka odnosiła tryumf, zaznaczała swą nad nim władzę. Zdawało się, że mu powiada „Nie możesz uciec przedemną, nie możesz się wyzwolić. Wiem, że się mnie lękasz; ale żądza, którą budzę w tobie, silniejszą jest od obawy. I nic nie upaja mnie tak bardzo, jak ten twój lęk właśnie, jak kiedy czytam trwogę w twych oczach, kiedy czuję drżenie twych fibrów".

W naiwności swego egoizmu, zdała się nie mieć najmniejszej świadomości złego, które wyrządza, dzieła zniszczenia, jakie prowadzi bez wytchnienia i litości. Przyzwyczajona do dziwactw swego kochanka—do jego melancholii, do napadów kontemplacyjności stałej a niemej, do jego nagłych niepokojów, porywów zapału ponurych, niemal szalonych, do jego słów gorzkich i zagadkowych—nie pojmowała całej poważnej strony sytuacyi obecnej, którą pogarszała jeszcze z każdą godziną. Wyłączana zwolna z wszelkiego udziału w życiu wewnętrznem Jerzego, naprzód przez instynkt wrodzony, następnie z zamiarem, dokładała wszelkich starań, aby umocnić władzę swą nad jego zmysłami. Nowy ich sposób życia, wśród wolnego powietrza, na tej wsi, nad brzegiem morza, sprzyjał rozwinięciu się w niej zwierzęcości, budził w jej naturze siłę już istniejącą pierwotnie i potrzebę ćwiczenia tej siły aż do nadmiaru. Bezczynność kompletna, brak wszelkich trosk powszednich, ciągła obecność ukochanego, wspólność łoża, lekkość i swoboda ubioru letniego, kąpiele codzienne, wszystkie nowe nawyknienia—składały się na wyrafinowanie w niej, wzmożenie fortelów rozkoszy, nastręczając bezustanną sposobność ich powtarzania. I zdawało się rzeczywiście, że to straszliwy odwet za chłód pierwszych czasów miłości, za niedoświadczenie pierwszych miesięcy i że ona z kolei niosła zepsucie temu, który ją popsuł.

Stała się tak doświadczoną, tak pewną wywieranego wrażenia, tak skorą w pomysłach nieprzewidzianych, miała taki wdzięk prosty a łatwy w każdej pozie, w każdym geście, tyle kładła namiętności gwałtownej, szału niemal w ofiarowanie siebie, że Jerzy nie znajdował już w niej zupełnie tej istoty bezkrwistej i chorej, która poddawała się najśmielszym pieszczotom ze zdumieniem głębokiem, tej istoty bezświadomej, oszołomionej, która początkowo darzyła go owym przykrym a równocześnie idealnym widokiem: zamierania wstydu, pokonanego przez namiętność zwycięzką.

Niedawno przypatrując się jej uśpionej, myślał: „Prawdziwy związek zmysłów jest także tylko chimerą. Zmysły mojej kochanki niemniej dla mnie są ciemne, jak jej dusza. Nie zdołam nigdy pochwycić w jej fibrach tajonego obrzydzenia, niezaspokojonej żądzy, podrażnienia nieukojonego. Nie dojdę nigdy do tego, bym mógł poznać różnorodne wrażenia, które jej daje taż sama pieszczota, powtarzana w odmiennych chwilach“... No, a tę władzę właśnie posiadła nad nim Hipolita; posiadła tę umiejętność nieomylną; dla niej wiadomemi były wrażenia najtajniejsze i najsubtelniejsze kochanka i umiała wywołać z prawdziwie cudowną intuicyą różne stany fizyczne, które od nich zależały, ich związki, ich następstwa.

Ale żądza niewygasła, którą zapaliła w Jerzym, paliła teraz ją samą z kolei. Czarodziejka doznawała sama skutku swych czarów. Świadomość władzy własnej, doświadczanej już po tysiąc razy bez zawodu, upajała ją; a to upojenie zaślepiało zupełnie, nie dopuszczało dojrzeć, jaki cień straszny z dniem każdym gromadzi się i coraz gęstszą chmurą zawisa nad głową jej niewolnika.

Przerażenie, które spostrzegała w oczach Jerzego, usiłowania ucieczki, niechęć źle ukrywana, podniecały ją, zamiast powstrzymywać. Jej smak sztuczny do życia wyższego, do rzeczy nadzwyczajnych, do tajemniczości, smak, który Jerzy w niej rozwinął, znajdował upodobanie w tych objawach gwałtownego w nim niepokoju. Niegdyś kochanka jej, gdy był z nią rozłączony, dręczyło pragnienie i zazdrość; wówczas to napisał do niej: „Jestże to miłość? O, nie! To rodzaj kalectwa potwornego, które kwitnąć może tylko we mnie, dla mej radości i mojej męczarni. Znajduję upodobanie w tej wierze, że żadna inna ludzka istota nie doznawała nigdy tego uczucia, którego ja doznaję". Ona chlubiła się tą myślą, że mogła wzbudzić takie uczucie w człowieku tak różnym od ludzi pospolitych, jakich ona znała; unosiło ją, upajało, kiedy poznawała, jak z każdą godziną rośnie władza jej wyłączna nad tym chorym, kiedy wi-

działa dziwne jej skutki. I nie miała innego celu nad wywieranie nad nim tyranicznej swej władzy, na poły z lekkomyślnością, nawpół poważnie, przechodząc kolejno od zabawki do nadużycia.

VII.

Czasami nad brzegiem morza. przypatrując się kobiecie bezświadomej, obok fali spokojnej a niebezpiecznej, Jerzy myślał: „Mógłbym odebrać jej życie. Często bardzo próbuje pływać, wsparłszy się na mnie. Łatwo byłoby mi zadusić ją pod wodą, zgubić. Żadne podejrzenie nie padłoby na mnie; zbrodnia miałaby pozory nieszczęścia. Wtedy dopiero wobec trupa Nieprzyjaciółki, miałbym szansę znaleźć rozwiązanie mego problematu. Ponieważ dzisiaj jest ona ogniskiem całego mego istnienia, jakaż zmiana zaszłaby we mnie nazajutrz po jej zniknięciu? Czyż nie doznawałem nieraz już uczucia dziwnego spokoju i oswobodzenia, wyobraziwszy ją sobie umarłą, zamkniętą na zawsze w grobie?... Być może, iż udałoby mi się znaleźć ocalenie, odzyskać napowrót życie, gdybym pozbył się przeciwniczki, wroga, gdybym obalił przeszkodę". Zatrzymywał się nad tą myślą; starał się wyobrazić sobie własną istotę, oswobodzoną i ukojoną w przyszłości, wolną od miłości; z upodobaniem spowijał lubieżne ciało swej kochanki w całun fantastyczny.

Hipolita była bardzo nieśmiałą w wodzie. Nie odważała się nigdy posuwać swych prób pływania dalej na głębinę, pozostawała zawsze na płytkich brzegach. Przejmowała ją nagła trwoga, ilekroć powracając do prostopadłej pozycyi, nie poczuła natychmiast stałego gruntu pod nogami. Jerzy podniecał ją, by się odważyła bodaj raz, z jego pomocą dopłynąć do skały, sterczącej w odosobnieniu w pobliżu brzegu, o dwadzieścia sążni od bezpiecznego obrębu. By tam dopłynąć, nadzwyczaj małego trzeba było wysiłku.

— Zdobądź się na odwagę!—powtarzał, by ją przekonać.—Nie nauczysz się inaczej nigdy, jeśli się raz nie odważysz. Ja przecież będę przy tobie.

Tak zwolna otaczał ją swą myślą zabójczą, i zawsze doznawał długiego wewnętrznego dreszczu, ilekroć jakieś zdarzenie w kąpieli pozwoliło mu stwierdzić niezmierną łatwość, z jaką mógłby myśl swą w czyn wprowadzić. Brak mu było tylko potrzebnej energii, ograniczał się do oczekiwania na wypadek, kiedy jej proponował tę próbę. W obecnym stanie słabości, sam narażał się na niebezpieczeństwo, jeśli Hipolita, zdjęta strachem, zechce uczepić się go gwałtownie. Ale takie prawdopodobieństwo nawet nie mogło odstręczyć go od tej próby; przeciwnie, popychało go nawet z większą jeszcze stanowczością.

— Odwagi tylko! Jak widzisz; skała jest tak blizko, że wyciągnąwszy rękę, samabyś ją do-

sięgła. Nie myśl nic o głębokości. Płyń, nie śpiesząc się, u mego boku. Tam odetchniesz. Siądziemy sobie; nazbieramy koraliny... Zdecydujże się. Bądź raz odważną.

Niemało trudu kosztowało go, by ukryć swój niepokój. Onc opierała się, wahała między obawą a kaprysem.

— A jeśli zbraknie mi sił, nim dopłynę?

— Toć będą tam, żeby cię podtrzymać.

— A jeśli i tobie sił nie wystarczy.

— Wystarczy. Widzisz przecie, że skała taż jest blizko.

Uśmiechnięta, spuściła z końców palcy kilka kropel wody na usta.

— Woda taka jest gorzka!—powiedziała, skrzywiwszy się, nadąsana.

Potem ostatni wstręt przemógłszy, zdecydowała się nagle.

— Dobrze! Jestem gotowa.

Serce nie biło jej tak mocno, jak biło serce jej towarzysza. Ponieważ woda była nadzwyczaj spokojna, nieruchoma niemal, pierwsze sążnie przebyła z łatwością. Nagle jednak, z powodu braku doświadczenia, poczęła śpieszyć się i tracić oddech. Za jednym fałszywym ruchem napiła się wody; strach paniczny ją przejął; zaczęła krzyczeć, rzucać się, ponownie zanurzyła się w wodzie.

— Ratuj, Jerzy, ratuj!

Instyktownie puścił się ku niej, ku tym rękom zaciśniętym, które go obejmowały. Pod wpływem tego dławiącego uścisku, tego ciężaru, on osłabnął; nagle stanęła przed nim wizya przewidywanego końca.

— Nie trzymaj mnie tak!—krzyknął.—Nie trzymaj! Niech jedno ramię mam wolne!

I brutalny instynkt życia wrócił mu siły. Użył nadzwyczajnego wysiłku, przepłynął z tym ciężarem krótką przestrzeń i dosięgnął skały, wyczerpany, zesłabły:

— Zaczep się o kamień!—rzekł do Hipolity, nie mogąc już podnieść jej w górę.

Widząc się w bezpiecznem miejscu, odzyskała zwykłą zwinność i energię działania; zaledwie jednak usiadła na złomie skały, ociekła wodą i zdyszana, wybuchnęła głośnem łkaniem.

Szlochała gwałtownie, jak małe dziecko a płacz ten drażnił i oburzał Jerzego, zamiast go rozrzewnić. Nigdy jeszcze nie widział jej wylewającej takie potoki łez, z oczyma tak obrzmiałemi i czerwonemi, z ustami tak się wykrzywiającemi. Wydała mu się brzydką i tchórzliwą. Uczuł do niej gniewną urazę, z pewnym żalem do samego siebie, że zadał sobie tyle trudu, by ją z wody wyciągnąć. Wyobrażał ją sobie zatopioną, znikłą w głębinach morza; wyobraził sobie własne wzruszenie w chwili, gdy widzi, jak ona w toń zapada, a potem objawy boleści, którą okazywałby publicznie, swe zachowanie wobec trupa wyrzuconego przez fale.

Zdumiona, że się nią wcale nie zajmuje, że nie pociesza ani jednem słowem, zwróciła się ku niemu. Nie szlochała już teraz.

— Jak ja zrobię—spytała—żeby się dostać do brzegu?

— Raz jeszcze spróbujesz — powtórzył z pewnym odcieniem szyderstwa.

— Nie, nie, nigdy!

— Cóż zatem?

— Pozostanę tutaj.

— Bardzo dobrze. Adieu.

I uczynił ruch, jak gdyby zamierzał rzucić się w morze.

— Adieu. Będę krzyczeć. Przybędą i ztąd mnie uwolnią.

Z płaczu przechodziła w śmiech, z oczyma jeszcze pełnemi łez.

— Co ty masz tu na ramieniu?—podjęła.

— Ślady twoich paznokci.

Kazała pokazać sobie krwawe zadrapania.

— To cię boli?

Rozczulała się, dotykając ich końcem palca.

— Ale bo też to twoja wina, tylko twoja — mówiła dalej.—Znagliłeś mnie do tej nieszczęsnej próby. Ja nie chciałam...

Potem uśmiechniona:

— A może to był podstęp, żeby się odemnie uwolnić?

I zrywając się tak, że aż nią całą dreszcz wstrząsnął:

— O, jakaż to śmierć ohydna! Woda taka jest gorzka!

Przechyliła na bok głowę i poczuła, jak jej woda cieknie z ucha, ciepła jak krew.

Skała, wystawiona na słońce, była mocno rozgrzana, brunatna a miejscami czerwonawa, jak grzbiet żywego zwierzęcia, w zagłębieniach jej mrowiło się nieprzeliczonem życiem. Widać było rośliny zielone, wątłe i delikatne, jak rozsypany splot włosów, pływające po wód powierzchni, z lekkim pluskiem. Jakiś czar powolny rzucała ta kamienna, samotna bryła, wchłaniająca żar niebieski i wzajem obdzielająca nim swój ludek szczęśliwych istot.

Jak gdyby ulegając temu czarowi, Jerzy rozciągnął się wygodnie na plecach. Przez kilka chwil poddawał się wrażeniu dobrobytu, który przenikał wilgotną jego skórę, osychającą pod wpływem parującego ciepła skały i bezpośrednio padających nań promieni słonecznych. Widma i wrażenia odległe powstawały w jego pamięci. Przypominał sobie kąpiele lat dawnych, czyste, długie siesty na piasku, bardziej płonącym i delikatniejszym niż ciało kobiece. „O, ta samotność, ta swoboda, miłość bez ciągłego sąsiedztwa, miłość dla kobiet umarłych lub niedosięgłych!“ Obecność Hipolity nie dopuszczała zapomnienia, przypominała mu bezustannie obraz fizycznych stosunków, bezpłodnego i smutnego spazmu, który odtąd stał się jedynym objawem ich miłości.

— O czem myślisz?—spytała Hipolita, dotykając go zlekka.—Zechcesz tu pozostać?

Podniósł się i odpowiedział:

— Chodźmy.

Życie Nieprzyjaciółki było jeszcze w jego ręku. Mógł je zniweczyć jeszcze. Rzucił wzrok szybki dokoła siebie. Wielka cisza zalegała wzgórze i nadbrzeża; na trabocco milczący rybacy pilnowali swych sieci.

— No, odwagi!—powtórzył z uśmiechem.

— Nie, nie, za nic na świecie!

— To pozostańmy tutaj w takim razie.

— Nie. Przywołaj ludzi z trabocco.

— Toż oni nas wyśmieją.

— Nie chcesz! To ja ich sama przywołam.

— Ależ gdybyś się nie przestraszała tylko, gdybyś mnie nie chwytała tak mocno, jak przed chwilą, miałbym dość siły, by cię unieść.

— Nie, nie. Wolę, żeby mnie niosła *cannizza.*

Tak była w tem postanowieniu stanowczą, że Jerzy ustąpił. Stanął na skale i przyłożywszy obie dłonie do ust, w rodzaju tuby, począł przyzywać jednego z synów Turchina.

— Danielu! Danielu!

Na to wezwanie, powtórzone kilkakrotnie, jeden z rybaków opuścił windę, przeszedł kładkę, przeszedł między skałami i począł biedz wzdłuż wybrzeża.

— Danielu, sprowadź tu cannizzę.

Rybak wysłuchał polecenia, zawrócił, skierował się ku łódkom okrągłym z trzciny, leżącym nad brzegiem na słońcu, w oczekiwaniu sposobnej pory do połowu sepii. Wyciągnął jedną z nich na wodę, wskoczył w nią i popychając długą żerdzią, zwrócił się w stronę samotnej skały.

VIII.

Nazajutrz rano—była to niedziela—Jerzy siedząc pod dębem, słuchał opowiadania starego Coli, jak to przed kilku dniami, w Tocco Casauria, nowy Mesyasz ujęty został przez żandarmów i odprowadzony do więzienia w St. Valentino, wraz z kilku swymi uczniami. Jednooki mówił, wstrząsając głową:

— Sam Chrystus Pan cierpiał przez nienawiść faryzeuszów. I ten chodził po wsiach, niosąc im pokój i obfitość; no i oczywiście wiodą go teraz do więzienia.

— Ojcze, nie martw się!—zawołała Kandya.—Mesyasz wyjdzie z więzienia skoro zechce tylko i zobaczymy go jeszcze w naszej okolicy. Poczekaj tylko trochę!

Stała oparta o futrynę drzwi, znosząc bez znużenia ciężar utrudzającego swego stanu; a w wielkich jej szarych oczach, odbijała się słodycz nieskończona.

Nagle Albadora siedemdziesięcioletnia Cybela, która wydała na świat dwadzieścia dwoje dzieci, weszła od strony ścieżki na dziedziniec i ukazu-

jąc na wybrzeże pobliskie, u lewego przedgórza, oznajmiła mocno wzruszona.

— Dziecko się utopiło, tam!

Kandya przeżegnała się. Jerzy powstał i wszedł do loggii, by módz lepiej obserwować punkt wskazany.

Na wybrzeżu, u stóp przedgórza widać było w pobliżu raf i tunelu, plamę białą; niezawodnie prześcieradło, którem nakryto zwłoki. Gromadka ludzi stała dokoła.

Ponieważ Hipolita poszła na mszę z Heleną do poblizkiej kaplicy, zdjęty ciekawością, zszedł na dół i powiedział swym gospodarzom.

— Pójdę zobaczyć.

— Po co chcesz takim widokiem zasmucać twe serce?—spytała Kandya.

Puścił się szybko ścieżką, doszedł krótszą drogą do wybrzeża i zwrócił się brzegiem morza ku miejscu wypadku. Doszedłszy tam, był nieco zdyszany. Spytał:

— Co się to stało?

Wieśniacy zebrani pokłonili się mu i ustąpili miejsca. Jeden z nich odpowiedział spokojnie:

— To *syn jednej matki* się utopił.

Inny, przybrany w płócienne ubranie, który obrał się strażnikiem przy ciele, schylił się i uniósł prześcieradło.

Drobne ciało ukazało się nieruchome, rozciągnięte na twardem wybrzeżu. Było to dziecko lat ośmiu lub dziewięciu, wątły blondynek, wy-

smukły. W miejsce poduszki położono mu pod głowę nędzne jego łachmany, zwinięte w węzełek, koszulę, pantalony niebieskie, pas czerwony i filcowy mięki kapelusik. Twarz jego cokolwiek zaledwie była sinawą, z nosem zadartym, wypukłem czołem, bardzo długiemi rzęsami, ustami wpół otwartemi o grubych wargach fioletowych, między któremi bielały zęby w rzadkich odstępach osadzone. Szyję chłopczyna miał cienką, wątłą jak łodyga, zwiędłą, poznaczoną drobnemi zmarszczkami. Wiązadła ramion były słabe; ręce szczupłe, pokryte puszkiem podobnym do piórek ptaka, dopiero co wyszłego z jaja. Boki zarysowywały się wyraźnie; ciemniejsza linia roździelała skórę w pośrodku piersi; pępek wystawał jak gruby węzeł. Nogi, nieco nabrzmiałe, miały ten sam kolor żółtawy co ręce; a drobne dłonie były namulone, pocentkowane brodawkami, z paznokciami białemi, które poczynały już sinieć. Na lewem ramieniu, na udach przy pachwinach i niżej jeszcze, na kolanach, wzdłuż nóg występowały czerwonawe plamy. Wszystkie właściwości tego ciała nędznego, nabierały w oczach Jerzego nadzwyczajnego znaczenia, unieruchomione i zakrzepłe na zawsze w sztywności śmiertelnej.

— Jakim sposobem się utopił... w którem miejscu?—spytał cichym głosem.

Człowiek, ubrany w płótniankę, nie bez pewnej niecierpliwości, począł opowiadać po raz niewie-

dzieć który już niezawodnie. Miał twarz zwierzęcą, kwadratową z brwiami nastroszonemi, z szerokiemi ustami, surowemi, dzikiemi.

— Jak tylko odprowadziło swoje owce do obory, dziecko wzięło z sobą śniadanie i poszło kąpać się razem z jednym jeszcze towarzyszem. Zaledwie jednak postawiło nogę w wodzie, upadło i utonęło. Na krzyk towarzysza przybiegli ludzie z chaty, zbudowanej tam na urwisku nadbrzeżnem i wyciągnęli go wpół martwego już, nie zamaczawszy sobie nóg nawet do kolan. Spuścili mu wdół głowę, żeby zrzucił wodę, wstrząsali nim, ale nadaremnie.

I chcąc pokazać jak daleko doszedł biedak, opowiadający mężczyzna podjął kamyk i rzucił go w morze.

— Ot, tam niedaleko; o trzy sążnie zaledwie od brzegu!

Morze spokojnie oddychało tuż obok głowy zmarłego dziecka. Słońce oblewało wybrzeże coraz silniej i na drobne te zwłoki padało coś nieubłaganego z niebios płomiennych i od tych bezdusznych, obojętnych świadków.

Jerzy zapytał:

— Dlaczego nie zaniesiecie go gdzie w cień, do jakiegoś domu, na łóżko?

— Nie należy go ruszać z miejsca—odpowiedział sentencyonalnie strażnik.—Aż do przybycia sądu nie należy go ztąd ruszyć.

— Toż przynajmniej połóżcie go w cieniu tam, pod nasypem.

Z uporem powtórzył strażnik:

— Nie należy go ruszać z miejsca.

I nie było nic chyba smutniejszego nad to wątłe, martwe stworzenie, rozciągnięte na głazach i strzeżone przez to bydlę niewzruszone, które powtarzało zawsze tęż samą opowieść, temi samemi słowy, z tym samym giestem, ilekroć doszło do rzucenia kamyka w morze.

— Ot, tam zaledwie...

Nadeszła jakaś kobieta, megera o haczykowatym nosie, z bezlitosnemi twardemi oczyma i ustami cierpkiemi: matka owego towarzysza. Widoczną była w niej obawa jakaś podejrzliwa, jak gdyby lękała się czy nie zechcą oskarżyć własnego jej syna. Mówiła z cierpkością i zdawała się rozgniewaną niemal na ofiarę.

— Takie już było jego przeznaczenie. Bóg mu powiedział: „Idź do morza i giń tam“.

Giestykulowała gwałtownie.

— Po co tam szedł, kiedy nie umiał pływać?

Jakieś dziecko nietutejsze, syn marynarza, powtórzył wzgardliwie:

— Po co tam szedł? Co innego my, my pływać umiemy...

Nadchodzili znów ludzie, przypatrywali się z obojętną ciekawością, zatrzymywali lub szli dalej. Jedna gromadka stała w pobliżu nasypu kolejowego; inna przypatrywała się z wysokości

przedgórza, jakby jakiemuś widowisku. Dzieci, siedząc lub klęcząc, bawiły się kamykami, chwytając je w dłoń wyciągniętą, albo rzucając drugim w plecy. Wszyscy okazywali głęboką obojętność na widok nieszczęścia i śmierci innego.

Nowa znów kobieta nadeszła, powracająca ze mszy, w jedwabnej sukni, przystrojona we wszystkie swe klejnoty. I jej także powtórzył zniecierpliwiony strażnik swe opowiadanie, pokazał miejsce w wodzie. Kobieta była gadatliwa.

— Zawsze mówię moim dzieciom: „Nie chodźcie mi do morza, bo was pozabijam!“ Morze, to morze. Z niego się nie uratujesz.

Opowiadała historye całe o tych, co się potopili; przypominała fakt o owym topielcu bez głowy, którego fale przyniosły aż do San-Vito i którego dziecko jakieś odkryło między skałami.

— Ot tu, między temi skałami, które tu widzicie. Dziecko przybiegło powiedzieć: „Trup przypłynął“. Myśleliśmy, że żartuje. Ale jednak poszliśmy i znaleźli. Było to ciało z uciętą głową. Sąd zjechał. Pochowano go w rowie, potem wykopano go napowrót w nocy. Cały był poraniony, cały popsuty, ale na nogach miał jeszcze trzewiki. Sędzia powiedział: „Patrzcie, lepsze niż moje!“ Musiał to więc byc człowiek bogaty. I był to rzeczywiście kupiec handlujący wołami. Zamordowano go, ucięto mu głowę i wrzucono w Tronto.

Mówiła dalej krzykliwym głosem, od czasu do czasu z świstem połykając nadmierną ślinę.

— A matka? Kiedyż przyjdzie matka?

Na to wspomnienie, wszystkie kobiety zgromadzone poczęły wydawać okrzyki współczucia.

— Matka! Przyjdzie ona, przyjdzie matka!

I obracały się wszystkie, bo im się wydawało, że już ją widzą na płonącem wybrzeżu, w oddali. Niektóre nawet udzielały pewnych objaśnień co do niej. Nazywała się Riccangela; była wdową z siedmiorgiem dzieci. Umieściła tego u dzierżawców, do paszenia owiec, aby sobie na kawałek chleba zarobił.

Jedna z nich mówiła, patrząc na trupa:

— Jego matka miała tyle kłopotu, żeby go wychować.

Druga mówiła:

— Żeby wyżywić dzieci, żebrała nawet biedaczka.

Trzecia opowiadała, że przed kilku miesiącami, nieszczęśliwy malec o mało już się nie utopił także w kałuży na podwórzu: w trzech calach wody!

Wszystkie powtórzyły:

— Takie już było jego przeznaczenie. Musiał widać tak umrzeć.

I oczekiwanie czyniło je niespokojnemi.

— Matka! O, przyjdzie już ona, przyjdzie!

Jerzy, czując jak mu się serce ściska, zawołał:

— Ależ zanieście go w cień, do jakiego domu, żeby go matka nie zobaczyła takim nagim na kamieniach, w tem upalnem słońcu!

Z uporem strażnik zarzucił:

— Nie należy go ruszać z miejsca. Aż do przybycia sądu, nie należy go poruszyć

Obecni poczęli ze zdziwieniem przyglądać się *obcemu Kandyi*. Liczba ich wzrastała. Jedni zajmowali nasyp obsadzony akacyami; inni gromadzili się na szczycie nagiego przedgórza, obok raf. Tu i owdzie, złożona na wielkich blokach potwornych, łódka z trzciny, połyskiwała jak złoto, u stóp olbrzymich złomów skalistych nadbrzeża, podobnych do zwalisk wieży cyklopów, w obliczu niezmierzonego morza.

Nagle z wysokości wzgórza głos jakiś oznajmił:

— Idzie!

Inne za nim poczęły wołać:

— Matka, matka!

Wszyscy zwrócili się w tę stronę; niektórzy zeszli z nasypu; ci, co stali na szczycie przedgórza, pochylili się naprzód. Oczekiwanie sprawiło, że zamilkli wszyscy. Strażnik nakrył trupa prześcieradłem. Wśród tej ciszy, morze zaledwie, zda się, dyszało zlekka.

I naraz, wśród ogólnej ciszy, rozległ się krzyk przybyłej.

Matka dążyła wybrzeżem, pod żarem słonecznych promieni z krzykiem. Szła ubrana w su-

knię wdowią. Z ciałem przygarbionem, potykała się na nadbrzeżu, krzycząc:

— Syn mój, mój syn!

Wznosiła ręce ku niebu, potem uderzała się po kolanach, wciąż wołając:

— Mój syn!

Jeden ze starszych jej synów, z czerwoną chustką, zawiązaną na szyi, szedł tuż za nią z miną osłupiałą, głupawą, ocierając łzy wierzchem ręki.

Ona dążyła wciąż wybrzeżem, zgarbiona, uderzając dłońmi po kolanach, kierując się tą białą plamą prześcieradła. I przywołując zmarłego wydawała okrzyki jakieś, które nie miały w sobie nic ludzkiego, podobne raczej do skowyczenia zdziczałej suki. W miarę jak się zbliżała, zginała się coraz więcej, niemal szła już teraz na czworakach; doszedłszy, rzuciła się na prześcieradło z straszliwem wyciem.

Podniosła się. Ręką twardą i zczerniałą, ręką stwardniałą w ciężkiej pracy, odkryła trupa. Patrzyła nań przez chwil kilka, nieruchoma, jakby skamieniała. Potem kilkakrotnie, głosem przeraźliwym z całej siły płuc, krzyknęła, jakby chcąc okrzykiem tym obudzić zmarłego:

— Synu mój! Synu mój! Mój synu!

Łkania ją dławiły. Klęcząc, oszalała, uderzała się w boki zaciśniętemi pięściami. Powiodła po zebranych dokoła zrozpaczonemi oczyma. Zda-

wała się zbierać myśli w krótkiej przerwie tej burzy gwałtownej.

Naraz poczęła śpiewać.

Śpiewem wypowiadała ból swój w rytmie, co się podnosił i opadał regularnie, jak uderzenia serca.

Była to starożytna, jednotonna melodya, którą od niepamiętnych czasów, w ziemi Abruzzów, kobiety śpiewały nad zwłokami swych krewnych. Była to melodyjna wymowa świętej boleści, która mimowiednie odnajdowała w głębi swej istoty, ten rytm dziedziczny, jakim ongi matki wypowiadały swą skargę.

Śpiewała, wciąż śpiewała:

— Otwórz oczy, podnieś się, stąpaj, mój synu! Jakiś ty piękny! Jakiś piękny!

Śpiewała dalej:

— Dla kawałka chleba, jam ciebie utopiła, mój synu. Dla kawałka chleba, jam ciebie posłała na śmierć! Więc na to ja cię chowałam!

Ale kobieta z haczykowatym nosem przerwała jej swarliwie:

— Nie, tyś go nie utopiła. Takie było już jego przeznaczenie. Nie, tyś go nie posłała na śmierć. Tyś go wysłała tylko tam, gdzie był dla niego chleb.

I ruchem ukazując na wzgórze, gdzie stał dom, który dawał dziecku przytułek, dodała:

— Jego tam pielęgnowali, strzegli jak oka w głowie.

Matka ciągnęła dalej:

— O synu mój! Kto to, kto przysłał cię tutaj, byś się utopił?

A kobieta swarliwa:

— Kto go przysłał? To Pan Bóg. On mu powiedział: „Idź do morza i giń tam“.

Kiedy Jerzy po cichu objaśniał jednego z obecnych, że gdyby wczas dano dziecku pomoc, byłoby zostało odratowanem i że go zabito, spuszczając mu w dół głowę i wieszając za nogi, poczuł jak zawisł na nim wzrok nieruchomy matki.

— Zrób mu co, panie! — błagała. — Zrób mu co!

Modliła się:

— O, cudowna Madonno, spraw niech się cud stanie!

I powtarzała wciąż, dotykając głowy zmarłego:

— Mój synu, mój synu, mój synu! Powstań! Chodź ze mną!

Naprzeciw niej klęczał brat zmarłego; szlochał ale bez żalu, oglądając się od czasu do czasu dokoła, z twarzą która bezpośrednio zaraz przybierała wyraz obojętny. Inny brat, najstarszy widocznie, siedział niedaleko ztamtąd w cieniu skały i udawał boleść, ukrywszy twarz w dłonie. Chcąc pocieszać matkę, kobiety schylały się nad nią dokoła z giestami litości i jękiem wtórowały żałobnym pieniom.

Ona śpiewała dalej:

— Po cóż ja wydaliłam cię z domu? Po co wysłałam między ludzi? Po co posłałam na śmierć? Wszystko robiłam, by wyżywić ciebie i twoich braci, wszystko, prócz tego jednego, że nie byłam sprzedajną kobietą... I to dla kawałka chleba, zgubiłam ciebie! Tak to, och tak miałeś skończyć! Utopili cię, mój synu!

Wtedy już kobieta z nosem drapieżnego ptaka, w wybuchu gniewu, uniosła spódnicę, weszła do kolan w wodę i poczęła krzyczeć:

— Patrzaj! Doszedł dotąd tylko! Patrzaj!

Woda tu jest jak oliwa. To znak, że miał już przeznaczone umrzeć taką śmiercią.

I dwoma krokami była już napowrót na brzegu.

— Patrzaj, patrzaj! — powtarzała, ukazując na wybrzeżu ślady głębokie człowieka, który wydobywał ciało.

Matka patrzyła osłupiała, ale powiedziałbyś, że nic nie widzi, nic nie rozumie. Po wybuchach rozpacznej boleści, nachodziły ją krótkie chwile, jakby zaćmienia wszelkiej świadomości. Umilkała; chwytała się za rękę lub nogę machinalnym ruchem; ocierała sobie łzy fartuchem czarnym; zdawała uspokajać się. Potem nagle nowy wybuch rozpaczy wstrząsał nią całą, padała na trupa.

— I nie mogę cię zabrać z sobą! Nie mogę zanieść cię na moich rękach do kościoła! Mój synu! Mój synu!

Dotykała go drżącemi dłońmi od stóp do głowy, powolną pieszczotą. Dzika jej męczarnia stawała się łagodną jakąś, słodką, rozpływała się w rozczulenie. Ręka jej chropowata i opalona nabierała niezmiernej pieszczotliwości, kiedy dotykała oczu, ust i czoła syna.

— Jakiś ty piękny! Jakiś ty piękny!

Dotknęła dolnej jego wargi, już sinej zupełnie; a za lekkiem tem dotknięciem, z ust popłynęła piana biaława. Zdjęła mu z rzęsów źdźbło trawy, ostrożnie, tak ostrożnie, jakby się obawiała, że go to może zaboleć.

— Jakiś ty piękny, moje najmilsze kochanie!

Długie one były, niezmiernie długie i jasne bardzo te rzęsy dziecka. Na skronie i policzki lekki meszek kładł złotawe refleksy.

— Nie słyszysz ty mnie? Wstawaj! Chodź ze mną!

Podniosła z ziemi mały kapelusik zużyty, miękki jak łachman. Popatrzała nań, ucałowała. I mówiła:

— Będzie on dla mnie relikwią; nosić go będę zawsze na sercu.

Podniosła pasek czerwony i mówiła:

— Ubierać się w niego będę odtąd zawsze.

Swarliwa kobieta, która nie opuszczała dotąd miejsca wypadku, przywtórzyła skwapliwie:

— Tak, tak, włóż go na siebie.

Sama wyjęła nawet ubranie dziecku z pod gło-

wy, poczęła przetrząsać kieszenie kamizelki i znalazła w nich kawałek chleba i figę.

— Widzisz! Akurat dali mu śniadanie! Pielęgnowali go i strzegli jak oka w głowie.

Matka patrzała na koszulkę zabrudzoną, podartą, na którą łzy jej padały kropla po kropli, i rzekła:

— Włożyć mu może tę koszulę!

Spiesznie kobieta w górę rzuciła okrzyk ko-muś ze swoich.

— Przynieśno prędko nową koszulę Nufriela.

Świeża koszula przyniesioną została.

Kiedy matka uniesła nieco dziecko zmarłe, trochę wody wylało się z ust i ściekło mu na piersi.

— O Madonno cudowna, spraw ty cud! — modliła się, podnosząc oczy ku niebu w gorącem błaganiu.

Potem ułożyła napowrót drogą swą istotę. Wzięła starą koszulę, pasek czerwony, kapelusz; zwinęła wszystko to razem i rzekła:

— Odtąd będzie to moja poduszka; co noc kłaść ją będę sobie pod głowę i na niej umrę.

Złożyła ubożuchne relikwie na wybrzeżu, obok głowy dziecka, położyła skroń na nich i wyciągnęła się, jak na łóżku.

I leżeli tak oboje obok siebie, matka i syn na twardych kamieniach, pod płomiennem niebem, w bliskości morza morderczego. I śpiewała mu

znowu tę samą zwrotkę, którą niegdyś usypiała go do snu w kolebce.

— Wstań, wstań, Riccangelo, wstań! — powtarzały dokoła kobiety.

Ona nie słuchała ich wcale.

— Mój syn leży na kamieniach, dlaczegóż i ja nie mogłabym leżeć na nich! Och, na kamieniach, synu mój!

— Wstań, Riccangelo! Chodź!

Podniosła się. Popatrzała jeszcze w śmiertelnie bladą twarzyczkę zmarłego, ze straszną jakąś we wzroku siłą. Raz jeszcze przyzwała całą siłą płuc:

— Mój synu! Synu mój! Synu!

Potem własnemi rękoma okryła prześcieradłem martwe zwłoki.

Kobiety zaś otoczyły ją kołem, pociągnęły z sobą nieco dalej w cień skały, zmusiły, by usiadła; jęczały i zawodziły z nią razem.

Powoli widzowie poczęli się oddalać, rozpraszać. Pozostało tylko jeszcze kilka pocieszycielek a także ów człowiek, ubrany w płótniankę, strażnik niewzruszony, oczekujący na sądowników. Słońce kanikularne lało potoki skwaru na wybrzeże, nadając całunowi białość jakąś przerażającą. Przedgórze, ogołocone z roślinności, sterczało w płonącem powietrzu szczytem ostrym, między rafami krętemi. Morze, niezmierne i zielonkawe, wciąż oddychało jednako rytmicznie.

I zdało się, że powolna ta godzina, nigdy się chyba nie ma skończyć.

W cieniu skały, naprzeciw białego całunu, wzniesionego nieco przez leżącą pod nim zesztywniałą postać trupa, matka wciąż śpiewała swój hymn bólu, na nutę, uświęconą tylu cierpieniami dawnemi i świeżemi swej rasy. I zdawało się, że lament jej nie skończy się chyba nigdy.

IX.

Za powrotem z kaplicy, Hipolita dowiedziała się o zaszłym wypadku. Razem z Heleną chciała iść na wybrzeże do Jerzego. W pobliżu wszakże tragicznego miejsca, na widok całunu, który białą plamą odcinał się od skalistego nadbrzeża, poczuła, że jej sił braknie. Zalana łzami zawróciła, weszła do domu i oczekiwała z płaczem na Jerzego.

Mniej żałowała może dziecka utopionego, niż płakała nad sobą, owładnięta wspomnieniem wczorajszego niebezpieczeństwa, na które wystawiona była w kąpieli. I powstawał w niej wstręt instynktowny, niepokonany do tego morza.

— Nie będę już nigdy kąpała się w morzu i nie chcę, żebyś ty się w niem kąpał—zalecała Jerzemu prawie surowo, tonem, który znamionował postanowienie stałe i niezłomne.—Nie chcę, słyszysz?

Spędzili resztę tej niedzieli w trwożnym niepokoju, powracając bezustannie do logii, by popatrzeć na tę białą plamę tam, na wybrzeżu. Jerzy miał wciąż w oczach widok trupa, którego

obecność uwypuklała się tak silnie konturami z pod całunu, że zdało mu się chwilami, iż może go dotknąć. I wciąż w uszach brzmiał mu rytm melodyi, śpiewanej przez matkę. Czy też matka dotąd zawodzi jeszcze w cieniu skały? Pozostała tam sama jedna w obliczu morza i śmierci? I w duchu ujrzał inną nieszczęśliwą. Myślą przeżył ponownie godzinę dawnego majowego poranku, w dalekim domu, kiedy poczuł nagle, jak życie macierzyńskie zbliża się do własnego jego życia, jakąś silną złączone z nim spójnią, kiedy poczuł związek tajemniczy krwi i smutek przeznaczenia, zawisłego nad głowami ich obojga.

Czy on ją kiedy jeszcze zobaczy śmiertelnemi oczyma? Czy ujrzy kiedy jeszcze ten uśmiech słaby, który, nie poruszając żadnej linii twarzy, zdał się przysłaniać lekką osłoną nadziei, zbyt znikomej, niestety! ślady niestarte cierpień na tej twarzy? Czy danem mu będzie jeszcze ucałować kiedy tę rękę wydłużoną i chudą, której pieszczota nie da się porównać z żadną inną na ziemi pieszczotą?

I przeżył znowu myślą oddaloną ową godzinę łez, kiedy u okna, blask uśmiechu straszliwą odsłonił mu tajemnicę; kiedy nakoniec posłyszał znowu ten głos drogi, ten głos jedyny i niezapomniany, głos umocnienia, rady, pociechy, głos przebaczenia i dobroci nieskończonej; kiedy nakoniec odnalazł ową łagodną, pełną miłości istotę dni swych dziecięcych.

I przeżył znowu myślą godzinę pożegnania bez łez a przecież tak okrutnego, wówczas kiedy przez wstyd wrodzony skłamał, czytając w znużonych oczach matki zawiedzionej, owo zbyt smutne pytanie: „*Dla kogo* mnie opuszczasz?“ I wszystkie smutki minione wróciły mu na pamięć wraz ze wszystkiemi bolesnemi swemi obrazami; ta twarz zniszczona, te obrzmiałe powieki, zaczerwienione i palące, uśmiech słodki, rozdzierający Krystyny, to dziecko chore, którego wielka głowa wciąż spadała na piersi, które samo zaledwie zdawało się słabem tchnieniem, ta twarz trupia biednej idyotki żarłocznej .. A oczy znużone matki powtarzały: „*Dla kogo* mnie opuszczasz?“

Czuł, jak go obejmowała miękka jakaś fala; słabnął, rozpływał się; doznawał nieokreślonej potrzeby schylenia czoła, ukrycia twarzy na czyjemś łonie, czuł potrzebę czystej pieszczoty, wylania tajonej goryczy, zaśnięcia, zamierania zwolna, potrochu. Zdało się, że wszystkie zniewieściałości jego duszy rozwinęły się razem i unosiły nad jego głową.

Jakiś człowiek przeszedł ścieżką, niosąc na głowie sosnową, białą trumienkę.

Dość już późno po południu, zjechał sąd na wybrzeże. Podniesiono martwą dziecinę z kamieni, poniesiono ją na górę; zniknęła. Przenikliwe krzyki dochodziły aż do pustelni. Potem wszystko umikło. Cisza idąca od morza objęła napowrót wszystko w swe posiadanie.

Morze było tak spokojne, niebo tak pogodne, że zdawało się, iż życie zatrzymało się w swym biegu. Jasność błękitnawa kładła się równomiernie na wszystkich przedmiotach.

Hipolita weszła do domu i rzuciła się na łóżko. Jerzy pozostał w loggii; siedział na krześle zadumany. Oboje cierpieli, żadne przecież nie mogło z drugiem podzielić się swem zmartwieniem. Czas upływał.

— Czyś mnie wołała?—spytał Jerzy, któremu zdawało się, że posłyszał wymówione swe imię.

— Nie, nie wołałam cię wcale — odpowiedziała.

— Co tam robisz? Usypiasz?

Nie odpowiedziała nic.

Jerzy usiadł napowrót, przymknął na wpół oczy. Myśl jego wracała wciąż ku tamtej górze dalekiej. W ciszy tej czuł ciszę ogrodu osamotnionego i opuszczonego, gdzie cyprysy, wysokie i proste, wznosiły nieruchome swe korony w niebo, pobożnie, jak gromnice na ołtarzu; gdzie przez okna pustką stojących pokojów, nietykanych jak relikwiarze, spływała iście religijna słodycz wspomnień.

I stanął znowu przed nim ów człowiek smutny i zamyślony, ta twarz przejęta męzkim smutkiem, którą pukiel białych włosów, zwieszający się nad czołem, wmieszany w gęstwę włosów czarnych, szczególniej czynił wyrazistą.

„O! dla czegóż—mówił do Demetria—dla czego nie posłuchałem twego natchnienia, kiedy po raz ostatni wszedłem do tych pokojów, w których jeszcze duch twój zamieszkuje? Dla czego zapragnąłem zrobić nową próbę życia i okryć się wstydem w twoich oczach? Jak mogłem tak dalece się zbłąkać, by gonić za *posiadaniem pewnem* innej duszy, wówczas kiedy posiadałem twoją i kiedy ty żyłeś we mnie?“

Po śmierci ciała, dusza Demetria ocaliła się bez żadnej zmiany w tym wybrańcu, co go przeżył, a nawet dosięgła i zachowała całą swą siłę najwyższą. Wszystko, co żywy człowiek rozpraszał na stykanie się ze swymi bliźnimi; wszystkie czyny, ruchy, wszystkie słowa, rozrzucone w biegu czasu; wszystkie najrozmaitsze objawy, które określały specyalny charakter jego istoty w zetknięciu z innemi istotami; wszystkie formy, stałe czy zmienne, które wyróżniały jego osobistość wśród innych osobistości i czyniły z niego człowieka odrębnego zupełnie wśród ludzkiego tłumu; krótko mówiąc, wszystko to, co wyróżniało jego życie w pośród życia innych ludzi, wszystko to zebrało się, zogniskowało, ograniczyło w jedynej łączni idealnej, która wiązała zmarłego z pozostałym przy życiu. I owa wspaniała kadzielnica nawet, przechowywana w katedrze rodzinnego jego miasta, zdawała się uświęcać tę wzniosłą tajemnicę: *Ego Demetrius Aurispa et unicus Georgius filius meus.*

Nieczysta istota, która leżała teraz tam na wspaniałem łożu, stanęła między nimi. Straszliwa gorszycielka była nietylko przeszkodą do życia, ale także i przeszkodą do śmierci: *do tej śmierci*. Była wrogiem jednego i drugiej.

I Jerzy myślą wrócił ku tej górze, wszedł do starego domu, do opustoszałych pokojów. Jak w dzień majowy przestąpił próg tragiczny. I jak w ów dzień poczuł, jak jego wolę paraliżuje inna jakaś natrętnie narzucająca się, nieokreślona wola. Piąta rocznica zbliżała się. W jaki sposób będzie ją obchodził?

Na krzyk nagły Hipolity, drgnął gwałtownie. Zerwał się i pobiegł.

— Co tobie?

Siedziała na łóżku, przerażona, przecierając sobie rękoma czoło i powieki, jak gdyby z nich zetrzeć chciała coś, co ją dręczyło. Utkwiła w kochanku oczy szeroko otwarte, błędne. Potem nagłym ruchem zarzuciła mu obie ręce na szyję, okryła twarz pocałunkami i łzami.

— Ale co jest? Co ci się stało?—pytał zdziwiony i zaniepokojony.

— Nic, nic ..

— Dla czego płaczesz?

— Miałam sen...

— Jaki sen? Powiedz mi!

W miejsce odpowiedzi znów poczęła go ściskać i okrywać pocałunkami.

Pochwycił jej ręce u kostek, wyswobodził się z uścisku, chciał w twarz jej zajrzeć.

— Powiedz, powiedz, co ci się śniło?

— Nic... miałam sen szkaradny...

— Jaki sen?

Broniła się ciągle jeszcze przed natarczywością. W nim rósł niepokój wraz z chęcią dowiedzenia się.

— Powiedzże wreszcie!

Wstrząsana nowym dreszczem, wyszeptała nakoniec:

— Śniło mi się... że podnosiłam tamten całun... i że pod nim zobaczyłam... ciebie...

Ostatnie słowo zgłuszyła pocałunkami.

CZĘŚĆ SZÓSTA.

Niepokonana.

I.

Wybrany przez któregoś z przyjaciół i wynajęty w Ankonie, wysłany do San-Vito, przeniesiony nie bez kłopotu aż do pustelni, fortepian powitany został przez Hipolitę, dziecinną prawie radością.

Ustawiono go w pokoju, który Jerzy nazywał biblioteką, najobszerniejszym i najlepiej umeblowanym, tym, w którym stała otomana, pełna poduszek, długie krzesła plecione z łozy, hamak, maty, dywany, wszystkie przedmioty sprzyjające położeniu poziomemu i marzeniom. Równocześnie przybyła także z Rzymu, cała paka nut.

I przez następne dni kilka było to prawdziwe upojenie. Ogarnięci jedno i drugie podnieceniem nieomal szalonem, wyrzekli się wszystkich dotychczasowych zwyczajów, zapomnieli o wszystkiem, zatonęli całkowicie w tej rozkoszy.

Nie sprawiały im już kłopotu, długie, nużące popołudnia; nie czuli niepowstrzymanej senności,

jak to bywało często poprzednio; mogli teraz czuwać choćby do świtu; mogli nie jeść po dniach całych, ani wiedząc o głodzie, jak gdyby życie ich fizyczne stało się subtelniejszem, czystszem, jak gdyby materya w nich uduchowiła się, wyrzekła wszelkich potrzeb pospolitych.

Zdawało się im, że miłość ich wzrosła w fantastyczne rozmiary, że przekroczyła wszelkie granice, że wzajemne bicie serc dochodzi do cudownej prawdziwie potęgi. Czasami wydawało im się, że odnajdują tę chwilę najwyższego zapomnienia, tę chwilę *jedyną*, która przyszła na nich w pierwszym zmroku; czasami zdawało im się, że odnajdują owo nieokreślone, niejasne wrażenie, jak gdyby ich istoty rozpraszały się w przestrzeni z lekkością oparów wieczornych. Czasami wydawało się obojgu, że miejsce, w którem żyją teraz i oddychają, niesłychanie jest dalekiem od całego znanego świata, gdzieś leży po za nim, odległe bardzo, bardzo odosobnione, niedostępne zgoła.

Jedna własność tajemnicza zbliżała ich do siebie, łączyła, stapiała w jedno, czyniła wzajem podobnemi do siebie ciałem i umysłem, tworzyła z nich jedną wyłącznie tylko istotę. Jedna własność tajemnicza roździelała ich, rozłączała, odtrącała od siebie wzajem, w odosobnienie, kopała między nimi przepaść, w głębię ich istot rzucała zarody żądzy rozpacznej i śmiertelnej.

W tych warunkach, oboje doznawali rozkoszy i cierpienia. Wracali do pierwszych uniesień miłości i schodzili aż do niezmiernego i bezpożytecznego wysiłku posiadania siebie; i znowu wdzierali się w górę aż do pierwiastku wielkich złudzeń, oddychali cieniem mistycznym, w którym po raz pierwszy ich dusze zamieniły z sobą jednakie nieme słowa; i znów popadali w męczarnię zawiedzionego oczekiwania, wkraczali w atmosferę mgieł gęstych, nieprzebitych dla oka i dławiących, podobnych do wichru co niesie iskierki płonące i gorące popioły.

Każdy z tych muzyków-magów, których kochali, ich nadmiernie podniecona wrażliwość oprzędał tkanką odmiennego czaru. „Kartka" Roberta Schumana, wywoływała widmo jakiejś bardzo dawnej miłości, która sama rozciągnęła nad sobą, niby sztuczne nieba sklepienie, wątek swych wspomnień najpiękniejszych i która z słodkiem a smutnem zdziwieniem patrzy, jak one bledną zwolna, bledną coraz bardziej. „Impromptu" Chopina mówiło senne: „Słyszę, nocą, kiedy zasypiasz na mojem sercu, słyszę w nocnej ciszy kroplę, co spada, powoli spada, spada ciągle, tak blisko a tak przecież daleko! Słyszę nocą tę kroplę, co spada z mego serca; to krew, co kropla po kropli ścieka z mego serca, kiedy ty śpisz a ja czuję się sam wśród obszaru świata". Wysokie firanki purpurowe, ciemne jak namiętność bezlitosna, u łoża głębokiego jak grobowiec,

oto obraz, który wywoływał *Erotyk* Edwarda Griega; a także obietnicy śmierci wśród głębin cichej rozkoszy i królestwo bez granic, bogate wszystkiemi dobrami tej ziemi, oczekujące daremnie na znikłego króla, króla dogorywającego pośród purpury weselnej i grobowej razem. Jeśli gdzie jednak, to w preludyum do *Trystana i Izoldy* poryw miłości ku śmierci rozkiełznał się z niesłychaną gwałtownością; nienasycona żądza dochodziła tam aż do upojenia destrukcyi „...By na cześć twoją spełnić czarę wiecznej miłości, chciałem wraz z sobą poświęcić ciebie śmierci na jednym, wspólnym ołtarzu“.

I tenże sam huragan harmonii spowił ich oboje, nieprzeparty, zamknął, porwał, uniósł w „dziedzinę cudów“.

Nie wątły to instrument, niezdolny do oddania najsłabszego echa tej pełni, rwącej jak potok niepowstrzymany, ale raczej elokwencya, zapał wykonawcy i tłomacza odsłaniał Hipolicie całą wielkość tego tragicznego objaśnienia. I tak jak niegdyś słowa kochanka dały jej wizyę opustoszałej gwelfów stolicy, grodu klasztorów i monasterów, tak samo dzisiaj wywoływały one przed jej wyobraźnię miasto stare, szarzejące Bayreut, samotne wśród gór bawarskich, pośród mistycznego krajobrazu, nad którym unosiła się taż sama dusza, jaką ongi uwięził Albrecht Dürer w sieci linij na swych rycinach i płótnach.

Jerzy nie zapomniał żadnego epizodu z pierwszej swej pobożnej pielgrzymki do owego teatru idealnego; mógł wrócić myślą i przeżyć ponownie wszystkie chwile wzruszenia niezwykłego, którego doznał, ujrzawszy na pagórku, w końcu wielkiej, cienistej alei, przybytek, poświęcony igrzyskom najszczytniejszej sztuki; mógł dotąd odtworzyć w myśli obraz uroczysty obszernego amfiteatru, opasanego kolumnami i arkadami, tajemnicę Przystani Mistycznej. W cieniu i ciszy pogrążonej w skupieniu przestrzeni, w cieniu i ciszy zachwyconej dusz wszystkich, podnosiło się westchnienie orkiestry niewidzialnej, ulatywał jęk skargi, głos szepczący wypowiadał pierwsze wołania bolesne samotnej żądzy, pierwszą i nieokreśloną trwogę w przeczuciu przyszłej męczarni. I to westchnienie, ten jęk i ten głos szły stopniowo od niejasnego jeszcze cierpienia, aż do przenikliwych dźwięków krzyku zapalczywego, wypowiadając dumę marzeń, niepokój pragnień nadludzkich, wolę straszliwą a nieubłaganą posiadania. Z szałem trawiącym, jak pożar, co się wyłania z nieznanych przepaści, szerzyła się żądza, płonęła, biegła coraz wyżej, coraz to wyżej, zasilana najczystszą esencyą dwoistego życia. Upojenie melodyjnego płomienia obejmowało wszystko dokoła; wszystko, co jest tylko wszechwładnego na świecie drgało w niezmiernym tym szale, wyziewało radość swą i boleść najskrytszą, ulatniając się, trawiąc. Nagle przecież usiłowa-

nie oporu, gniewny wybuch walki drżeć poczynał i buczeć w tym wzlocie, burz pełnym; i ten wielki rzut życia, łamiący się nagle o przeszkodę niepokonaną, opadał, gasł, rozpryskiwał się. W cieniu i ciszy skupionej w sobie przestrzeni, w cieniu i drżącej oczekiwaniem ciszy dusz wszystkich, jedno wznosiło się westchnienie z Mistycznej przystani, jeden jęk zamierał, jeden głos wypowiadał smutek wieczystej samotności, pragnienia nocy wiecznej, boskości, iście pierwotnego zapomnienia.

I nagle głos inny, głos rzeczywistości ludzkiej, modulowany ludzkiemi ustami, młody i silny, napiętnowany melancholią, ironią i groźbą, głos inny śpiewał pieśń morską, z wysokości masztu, na statku, który wiózł królowi Markowi jasnowłosą małżonkę irlandzką.

Głos ten śpiewał: „Wzrok, błąkając się, biegnie ku zachodowi; okręt zaś płynie na wschód. Chłodny wiatr powiewa w stronę rodzinnej ziemi. O, córo Irlandyi, gdzież przebywasz tak długo? Czy to twoje westchnienia wzdymają tak mym żaglem? Wiej, wiej, ty wietrze! Biada, ah! biada, córo Irlandyi, dzika miłości!“ Była to przestroga wedety, ostrzeżenie prorocze, radosne i groźne zarazem, pełne pieszczoty i szyderstwa nieokreślonego. A orkiestra milkła. „Wiej, wiej ty, o wietrze! Biada, ach, biada, córo Irlandyi!“ Głos biegł po falach spokojnego morza, sam jeden w ciszy, kiedy tymczasem pod namiotem

Izolda, nieporuszona na swem wezgłowiu, pogrążona była, zda się, w marzeniu, nad ciemnym, przyszłym swym losem.

Tak rozpoczynał się dramat. Powiew tragiczny, który już wstrząsał preludyem, pojawiał się i przechodził wciąż w orkiestrze. Najniespodziewaniej destrukcyjna potęga pojawia się w kobiecie-czarodziejce, skierowana przeciw mężczyźnie, którego wybrała, którego przeznaczyła na śmierć pewną. Gniew jej wybuchnął z całą energią ślepych żywiołów; przyzywa wszystkie potęgi najstraszliwsze ziemi i nieba na pomoc, by zgubić człowieka, którego posiąść nie mogła. „Zbudź się na me wezwanie, potęgo niepokonana; podnieś się z serca, w którem się ukryłaś! O wichry zmienne, bądźcie posłuszne mej woli! Wstrząśnijcie morzem drzemiącem, co spoczywa w letargu, wskrzeście w głębinach jego nieubłaganą żarłoczność, ukażcie im zdobycz, którą im ofiaruję! Rozbijcie okręt, zatopcie jego szczątki! Wszystko, co tu dyszy i tętni życiem, o wichry, ja wam oddaję w nagrodę“. Na ostrzeżenie wedety odpowiada przeczucie Brangani: „Biada! Jakież przewiduję zniszczenie, Izoldo!“ I kobieta łagodna, przywiązana, stara się uśmierzyć ten szał zajadły. „O, wyspowiadaj mi się z twego smutku, Izoldo! Powierz mi twą tajemnicę!“ A Izolda: „Serce moje ustaje. Otwórz, otwórz firanki, jak szeroko!“

Trystan ukazuje się, stojący, nieruchomy, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, ze wzrokiem utkwionym w dal morza. Z wysokości masztu wedeta powtarza pieśń swą, płynącą na fali orkiestry: „Biada, ach, biada!“ A kiedy oczy Izoldy, gorejące ciemnym płomieniem, podziwiają bohatera, fatalny motyw płynie od przystani mistycznej: wielkie i straszliwe godło miłości i śmierci, w którem zamknięta jest cała treść fikcyi tragicznej. I własnemi usty Izolda wygłasza wyrok: „Wybrany przezemnie, przezemnie zgubiony.“

Namiętność wywołuje w niej wolę mężobójczą, budzi w głębi jej istoty instynkt wrogi istności, potrzebę rozwiązłości, unicestwiania. Rozjątrzona, szuka w sobie i dokoła siebie potęgi piorunującej, która zabijałaby i niweczyła, nie pozostawiając śladów. Nienawiść jej staje się dzikszą jeszcze na widok bohatera spokojnego i niewzruszonego, który odczuł, że groźba gromadzi się nad jego głową i pojmował dobrze całą daremność oporu. Usta jej pełne są gorzkiego sarkazmu. „Co sądzisz o tym niewolniku?“ — pyta Brangani z uśmiechem niespokojnym. Z bohatera robi niewolnika; ogłasza się sama władczynią. „Powiedz mu, że nakazuję memu wasalowi, by lękał się swojej pani—mnie, Izoldy“. Taką przestrogę posyła mu przed walką ostatnią; takiem jest wyzwanie, które siła rzuca sile. Z ponurą uroczystością zbliża się bohater do progu namio-

tu, kiedy wybiła nieodwołalna godzina, kiedy napój napełnił czarę po brzegi, kiedy przeznaczenie zacieśniło krąg swój dokoła dwu tych istnień. Izolda, oparta o swe łoże, blada, jak gdyby straszna gorączka pochłonęła wszystką krew żył jej, czekała milcząca; milczący ukazuje się Trystan na progu; jedno i drugie—wyniośli w całej swej wysokości. Tylko orkiestra wyraża nieopisany dusz ich niepokój.

Począwszy od tej chwili rozpoczyna się orkan namiętności coraz to burzliwszy. Zda się, że przystań Mistyczna zapłonęła na nowo, jak istne ognisko, że z każdą chwilą wyżej strzela w górę dźwięków płomieniami. „Umocnienie jedyne na wieczystą żałobę, zbawczy napoju zapomnienia, piję cię bez lęku!“ I Trystan zbliża czarę do ust swych. „Dla mnie musi być połowa! Piję ją za ciebie!“—woła Izolda, wydzierając z rąk jego czarę. Czara złota upada, próżna. Mieliżby oboje pić śmierć? Mieliż umrzeć? Chwila agonii nadludzkiej. Napój śmierci był tylko trucizną miłości, która ich przenika nawskroś ogniem nieśmiertelnym. Zdumieni naprzód, nieporuszeni poglądają na siebie, szukając jedno w źrenicach drugiego oznak śmierci, na którą, jak sądzili, są skazani. Ale życiem jakiemś nowem, nieporównanie silniejszem nad to, którem żyli dotychczas, poczynają krążyć ich żyły, tętnić skronie; dłonie drgają, wzbierają serca niezmierną jego falą:—„Trystanie!“—„Izoldo!“ — Wzywają się wzajem;

byli sami; dokoła nich wszystko przestało istnieć; wszystkie pozory zatarły się; przeszłość zniknęła; przyszłość była nocą czarną, której przerwać nie mogły nawet błyskawice obecnego szału. Żyli, przyzywali się żywym głosem; pociągali jedno drugie wzajemnie fatalnością, której odtąd żadna siła nie mogła już powstrzymać.

— Trystanie!

— Izoldo!

I melodya namiętności rozwijała się, coraz szerszem płynęła korytem, wznosiła do coraz większych wyżyn, urastała, dyszała i łkała, wylewała okrzykiem i śpiewem na tle wielkiej burzy melodyi, miotającej się coraz to więcej. Nabrzmiała bólem i wybuchająca radością, biegła niepohamowanym lotem ku szczytom zachwytów nieznanych, ku szczytom rozkoszy najwyższej. „Wyzwolony od świata, posiadam cię nareszcie, ciebie, co przepełniasz całą duszę moją, najwyższa rozkoszy miłości!“.

„Cześć! Cześć Markowi! Cześć! — wołała załoga wśród dźwięku trąb, składając pokłon królowi, który odbija od brzegu, dążąc na powitanie jasnowłosej swej małżonki.“

To zgiełk życia powszedniego, wrzawa radości świeckiej, to przepych oślepiający dnia. Wybrany, ów przeznaczony na zatratę, podnosząc wzrok, w którym unosi się jeszcze ciemna chmura marzenia, pytał: „Kto to zbliża się?—Król.— Jaki król?“ Izolda blada i drżąca pod płaszczem

królewskim, pyta: „Gdzie ja jestem? Czyliż żyję jeszcze? Czy żyć dalej muszę?“ Rzewny a straszliwy motyw napoju miłosnego biegnie wciąż w górę, spowija ich, otacza płomiennemi swemi kręgi. Trąby grzmią: „Cześć Markowi! Cześć królowi!“

W drugiem preludyum jednak wszystkie łkania nadmiernej radości, gorący oddech żądzy wzburzonej, wszystkie drgnienia szalonego oczekiwania następują po sobie, mięszają, stapiają razem. Niecierpliwość duszy niewieściej udziela swego drżenia niezmierzoności nocy, wszystkim przedmiotom, które w czystą noc letnią oddychają pod niebem i czuwają Dusza upojona wzywa wszystkie rzeczy po kolei, aby czuwały pod blaskiem gwiazd jasnych, aby były świadkami godów jej miłości, weselnego bankietu jej radości. Niezatopiona na oceanie niespokojnym harmonii, melodya fatalna płynie, unosi się, raz jaśniejsza, to znowu zaćmiona. Fala mistycznej przystani, podobna do oddechu piersi jakiejś nadludzkiej wzdyma się, podnosi, opada, by wznieść się znowu i znowu opaść i ukoić się wreszcie zwolna.

„Czy słyszysz? Zdaje mi się, że w dali zgiełk ucichnął“. Izolda nie słyszy już nic, prócz dźwięków własnej żądzy. Odgłos rogów myśliwskich nocnych łowów rozlega się po lesie, wyraźny, coraz to bliższy. „To zwodny szelest liści, któremi wiatr igra... Ten dźwięk tak łagodny nie

jest przecież hasłem rogów; to szemranie źródła co wytryska i spływa z gór pośród nocnej ciszy...“ Nie słyszy nic, prócz czarodziejskich odgłosów, zbudzonych w jej duszy przez żądzę która w niej wytwarza stare a wiecznie nowe przecież czary. W orkiestrze, jak w jej zmysłach złudzonych, oddźwięki myśliwskie przetwarzają się magicznie, roztapiają w szmer leśny, w tajemniczą wymowę nocy letniej. Wszystkie głosy zgłuszone, wszystkie subtelne ponęty spowijają dyszącą kobietę i szepczą jej o przyszłej rozkoszy, choć Brangania ostrzega i błaga daremnie w trwodze przeczucia: „O pozwól, niech pochodnia opiekuńcza, niech światło ukaże ci niebezpieczeństwo!“ Nic nie ma mocy rozświecić zaślepienia żądzy. „Choćby to była pochodnia mego życia, bez obawy nie zawahałabym się jej zgasić. I gaszę ją bez obawy“. Giestem najwyższej pogardy, wspaniałym i śmiałym, Izolda rzuca na ziemię pochodnię; oddaje swe życie i życie wybranego na pastwę nocy; wstępuje z nim razem w krainę cieniu—na zawsze.

Wtedy najbardziej upajający poemat ludzkiej namiętności, rozwija się tryumfalnie, dążąc w górę do szczytów szału i ekstazy. To pierwszy uścisk szalony, w którym splatają się z sobą rozkosz i męczarnia, gdzie dusze żądne zlania się w jedno, napotykają na nieprzebytą ciał przeszkodę; to pierwszy żal do czasu, w którym miłość nie istniała jeszcze, do przeszłości pustej

a bezużytecznej. To nienawiść względem światła wrogiego, względem dnia zdradzieckiego, który zaostrza wszystkie cierpienia, który schlebia dumie a uciska uczucie. To hymn na cześć nocy przyjaznej, dobroczynnej ciemności, na cześć tajemnicy świętej, w której zdejmują zasłonę cudy wizyj wewnętrznych, gdzie porozumiewają się z sobą odległe głosy świata, gdzie idealne kwiatów korony, wykwitają na niezgiętych łodygach. „Odkąd słońce ukryło się w naszej piersi, gwiazdy szczęścia rozlewają śmiejące swe światło".

A w orkiestrze mówiły wszystkie wymowy, śpiewały wszystkie radości, płakały wszystkie cierpienia, jakie tylko głos ludzki wydał kiedykolwiek.

Melodye tonęły w symfonicznych głębokościach, rozwijały się, urywały, wplatały znowu, zlewały z sobą, rozpryskiwały, znikały po to, by znów wypłynąć. Niepokój, coraz to większy, coraz to bardziej rozdzierający, przechodzi przez wszystkie instrumenty i wyraża bezustanne usiłowania daremne, by dosięgnąć to, co niedościgłe. W zapędzie gwałtownym chromatycznych kadencyj, był jakiś pościg szalony za dobrem, które wymykało się wciąż przed chwytającą go dłonią, chociaż zdawało się zupełnie blizkiem. W zmianie tonu, rytmu i miary, w następstwie synkop, było poszukiwanie bez wytchnienia, było bezgraniczne pragnienie, była długa męczarnia żądzy, wiecznie zawodzonej i niegasnącej nigdy. Jeden

motyw, symbol wiecznego pragnienia, wiecznie wzburzonego zawodzącem posiadaniem, powracał co chwila z wytrwałością okrutną; rozszerzał się, dominował po nad wszystkiem, to oświecając grzywy fal harmonijnych, to zaciemniając cieniem grobowym.

Przerażająca własność napoju działała na duszę i ciało dwojga kochanków, przeznaczonych już na śmierć. Nic nie mogło zagasić, ni złagodzić tego pełnego fatalności zapału; nic, prócz śmierci. Daremnie próbowali wszystkich pieszczot; daremnie zbierali wszystkie siły, by się połączyć uściskiem ostatnim, by posiąść się wzajem nakoniec całkowicie, by się zlać w jedną jedyną istność.

Westchnienia rozkoszy zamieniały się dla nich w łkanie męczarni. Jakaś przeszkoda nieprzełamana stawała między nimi, dzieliła ich, czyniła obcymi sobie i samotnymi. Ich materya cielesna, ich osobistość żyjąca była tą przeszkodą właśnie.

I tajona nienawiść rodziła się w głębi serca jednego i drugiego: potrzeba unicestwienia się wzajem; potrzeba zadania śmierci drugiemu i sobie. Pieszczota każda nawet dowodziła im całego niepodobieństwa przekroczenia granicy materyalnej zmysłów ich ludzkich. Usta napotykały usta i zatrzymywały się. „Cóż innego podległoby śmierci—mówił Trystan—jeśli nie to właśnie co nas rozdziela, co przeszkadza Trystanowi

pokochać Izoldę na zawsze, żyć wiecznie dla niej tylko samej?“ I wkraczali już w cień nieskończony. Świat pozorów niknął im z przed oczu. „Zatem—mówił Trystan—umarliśmy, nie chcąc żyć inaczej jak dla miłości, nieroździelni, zawsze zjednoczeni, bez końca, bez przebudzenia, bez trwogi, bez nazwy, na łonie miłości...“ Słowa słychać było wyraźnie na podkładzie *pianissima* orkiestry. Nową ekstazą zapłonęły serca kochanków, poryw ten unosił ich aż w progi czarownego państwa nocnych cieniów. Kosztowali zawczasu już szczęśliwości unicestwienia, czuli się oswobodzeni od ciężaru swych osób, czuli jak materya ich się uduchawia, rozpływa i ulatuje, rozproszona w radości bez końca. „Bez końca, bez przebudzenia, bez trwogi, bez imienia...“

„Strzeżcie się! Strzeżcie się! Oto noc ustępuje już dniowi—oznajmiała z wysokości Brangania niewidzialna.—Strzeżcie się!“

I dreszcz porannego szronu przechodzi park cały, budzi kwiaty. Chłodne światło zorzy wstępuje na niebo, przysłaniając gwiazdy, które drżą silniej.

„Strzeżcie się!“ Daremną jest przestroga wiernej straży. Oni nie słyszą nic, nie słuchają; nie chcą, nie mogą się zbudzić. Pod groźbą dnia, oni coraz głębiej brną wciąż w tę ciemność, do której nie przedziera się nigdy żaden blask jutrzenki. „Niechaj na wieki noc nas spowije!“ I wir harmonii otacza ich swemi dźwięki, dławi

swą gwałtownością, przenosi na odległe wybrzeże ustronne, jakiego przyzywa ich żądza, tam, gdzie żadna trwoga nie hamuje lotu duszy kochającej, zdala od wszelkiej słabości, zdala od wszelkiej boleści, zdala od wszelkiej samotności, w pogodzie nieskończonej snu ich ostatniego.

„Uchodź Trystanie!“ To krzyk Kurwenalda po wołaniu Brangänii. To atak niespodziewany a brutalny, który przerywa uścisk zachwytu. A kiedy temat miłosny wciąż powtarza się w orkiestrze, motyw myśliwski równocześnie wybucha z metalicznym łoskotem. Król i dworzanie ukazują się. Trystan ukrywa pod fałdami obszernego swego płaszcza Izoldę, spoczywającą na łożu kwiecistem; kryje ją przed oczyma ludzkiemi i światłem, zaznaczając tym gestem swą władzę nad nią, swe niewątpliwe do niej prawo. „Dzień smutny zjawia się po raz ostatni!“ Po raz ostatni w pozie spokojnej i zdecydowanej, on przyjmuje walkę z siłami nieznanemi, pewien odtąd, że nic już nie może zmienić lub zatrzymać biegu jego przeznaczenia. Kiedy ból wszechwładny króla Marka wylewa się w melopei powolnej i głębokiej, on milczy, niewzruszony w swej myśli tajemnej. I nakoniec odpowiada na pytanie króla: „Tej tajemnicy ja ci wyjawić nie mogę. Nigdy nie będziesz mógł wiedzieć tego, o co pytasz“.

Motyw napoju miłosnego streszcza się w tej odpowiedzi, nadając jej tajemniczą ciemność,

wagę zdarzenia niedającego się zmienić ni naprawić.

„Czy chcesz iść za Trystanem, o Izoldo?—pyta z prostotą królowę w obecności wszystkich, — Na tej ziemi, do której ja idę, słońce nie świeci nigdy. To ziemia ciemności, to kraj nocy wieczystej, zkąd przysłała mnie matka, kiedy przez nią poczęty w śmierci, w śmierci przyszedłem na dnia światło“... A Izolda: „Tam, gdzie ojczyzna Trystana, tam pójdzie Izolda. Pójdzie za nim wierna, w drogę, którą on jej ukaże...“

I umierający bohater poprzedził ją na tę ziemię, ugodzony przez zdrajcę Melota.

Teraz trzecie preludyum wywoływało wizyę odległego wybrzeża: skały nagie i puste, gdzie w przystaniach utajonych morze zdało się płakać bezprzestannie niepocieszoną jakąś żałobą. Mgła legend i tajemniczej poezyi przysłaniała tu surowe skał kształty, spostrzegane niby w niepewnym jutrzni blasku lub w dogasającym zmroku. Dźwięk fujarki pasterskiej budził niewyraźne obrazy życia przeszłego, rzeczy zaginionych w nocy czasu.

„Co wypowiada ten tren starożytny? — wzdychał Trystan.—Gdzie ja jestem?“

Pasterz wykonywał na wątłej trzcinie melodyę nigdy niewygasłą, przekazaną przez przodków poprzez wieki, i w głębokiej swej bezświadomości wolen był od wszelkiej obawy.

A Trystan, w którego duszy prosta ta nuta odsłoniła wszystko: „Nie pozostałem w miejscu mego przebudzenia. Ale gdzie ja przebywałem?— nie umiałbym ci tego powiedzieć. Tam nie widziałem ani słońca, ani okolicy, ani mieszkańców; ale com tam widział, tego nie umiałbym ci powiedzieć... Było to tam, gdzie byłem zawsze, dokąd na zawsze odejdę; w rozległe państwo nocy powszechnej. Tam to daną nam jest jedyna i wyłączna tylko umiejętność: boskie, wieczyste, pierwotne zapomnienie!". Majaczenie gorączki go ogarnia; żar miłosnego napoju przepala mu fibry serdeczne. „Och, co ja cierpię, tego ty cierpieć nie możesz! To pragnienie okropne, co mnie trawi, ten ogień nieubłagany, co mnie pochłania... O, gdybym mógł ci to powiedzieć! Gdybyś ty mógł mnie zrozumieć!"

A pasterz bezświadomy dmie wciąż, dmie w swą fujarkę. Była to taż sama arya; nuty wiecznie w niej są też same: mówią o życiu, które już ubiegło, mówią o rzeczach dalekich i utraconych.

„Stara i poważna melodyo—mówił Trystan— twe płaczliwe dźwięki dochodziły aż do mnie na skrzydłach wichrów wieczorem, kiedy, w dalekich już czasach, śmierć ojca oznajmiono synowi. W ponurej jutrzni tyś mnie szukała, z każdą chwilą niespokojniejsza, kiedy synowi zwiastowano los matki. Kiedy mnie ojciec spłodził i umarł, kiedy matka wydała mnie na świat, konając, sta-

ra ta melodya dobiegała do ich uszu także, osłabła i smutna. Ona to zadawała mi raz już pytania i oto teraz znów przemawia do mnie. Do jakich zrodziłem się przeznaczeń? Stara melodya powtarza: By pragnąć i umrzeć! By umrzeć z pragnienia? —„Och, nie, nie takiem jest znaczenie twe istotne.. Pragnąć, pragnąć, pragnąć do śmierci; ale nie umrzeć z pragnienia!...“ Co raz to potężniejszy, coraz to uporczywszy napój miłosny, wgryzał się aż do szpiku kości. Cała istota jego wije się w niemożliwym do zniesienia spazmie. Czasami orkiestra ma przebłyski migotliwe stosu. Gwałtowność cierpienia przebiega ją chwilami z szałem wichru wiosennego, rozniecając płomienie. Drgania nagłe nią wstrząsają; dzikie wydzierają się z niej krzyki; łkania zdławione w niej gasną.

„Napój miłosny! Napój, ten napój straszliwy! Z jakimże szałem, z jaką wściekłością czuję, że wzbiera i z serca napływa mi do mózgu! Żadne już odtąd lekarstwo, żadna choćby najłagodniejsza śmierć nie wyzwoli mnie z tej męczarni pragnienia. Nigdzie, nigdzie niestety! nie znajdę spokoju. Noc odtrąca mnie i odsyła do dnia a oko słoneczne nasyca się mojem wiecznem cierpieniem. Ach, jak to żarzące słońce pali mnie i trawi w swym płomieniu! I nie mieć nawet, nie mieć nigdy ochłody cienia na ten skwar pałający! Jakiż balsam mógłby przynieść ulgę okropnej mej męczarni?“

Nosił on w swych żyłach, w szpiku swych kości, żądzę wszystkich ludzi, całego ludzkiego rodzaju, nagromadzoną przez długie generacye, pogorszoną jeszcze przez winy wszystkich ojców i synów wszystkich, przez udręczenia i szały wszystkich. W krwi jego zdradzały się wszystkie zarodki pożądliwości, chuci wieczystych, kłębiły się i mięszały z sobą skażenia najróżnorodniejsze, fermentowały najsubtelniejsze, najgwałtowniejsze trucizny, jakie kiedykolwiek od niepamiętnych wieków purpurowe, wężowe usta kobiet wsączyły w krew samców chciwych a podbitych przez nie. Był dziedzicem zła wieczystego „Ten napój straszliwy, który mnie skazuje na taką męczarnię, ja, ja sam go wytworzyłem. Z niepokoju mego ojca, z konwulsyi matki, z wszystkich łez miłości, wylanych po wsze czasy, z śmiechu i płaczu, z rozkoszy i z ran, jam wytworzył sam truciznę tego miłosnego napoju. I piłem go w długich haustach rozkosznych... Przeklętym bądź, napoju straszliwy! Przeklętym niech będzie ten, co cię wytworzył!“

I upadł napowrót na swe podścielisko, wyczerpany, bez życia niemal, po to, by raz jeszcze wrócić do przytomności, by czuć jeszcze piekącą ranę, by widzieć jeszcze zasnutemi mgłą halucynacyi oczyma, obraz wszechwładny, idący przez przestwory morza. „Ona idzie, zstępuje ku ziemi, kołysana na wielkich falach upajającej kwia-

tów woni. Uśmiech jej śle mi boskie pocieszenie; przynosi mi ona ochłodę najwyższą...“

Tak wzywał jej, tak ją *widział* swemi oczyma, zamkniętemi już odtąd na światło powszechne, tę czarodziejkę, tę władczynię wszech-balsamów, tę lekarkę ran wszystkich. „Ona nadchodzi, nadchodzi już! Kurwenalu, czy ty jej nie widzisz, czy nie widzisz?“

A fale poruszone mistycznej zatoki, powtarzały niejasno z swych głębi wszystkie już zasłyszane melodye, mięszały je z sobą, unosiły w dal, zatapiały w otchłani, odtrącały znowu, wyrzucały na powierzchnię, łamały na tysiące atomów i te, co wyrażały udręczenie decydującego spotkania na pokładzie statku; i te, w których słyszało się bulgotanie miłosnego napoju, wlewanego do złotej czary lub szmer arteryj, które ogarniał ogień napoju; i te, gdzie się słyszało tajemnicze tchnienie nocy letniej, zapraszającej do roskoszy bez końca, wszystkie melodye z wszystkiemi obrazami, z wspomnieniami wszystkiemi. A z tej niezmiernej powodzi, wybijała się owa melodya fatalna, dumna, przepotężna, nieubłagana, powtarzająca w odstępach okrutną groźbę: „Pragnąć, pragnąć, pragnąć aż do śmierci; ale nie umierać z pragnienia!“

„Statek zarzuca kotwicę! Izolda, to Izolda! Rzuca się ku wybrzeżu!“—woła Kurwenal z wysokości wieży. I w upojeniu radości, Trystan zrywa zawiązki z rany, podnieca krew swą, by

płynęła, by zlewała ziemię, by purpurą świat zalewała. Za zbliżeniem Izoldy i śmierci, wydaje mu się, że *słyszy* światło: „Czyliż nie słyszę światła? Czyliż uszy moje nie słyszą światła?“ Wielkie słońce duchowe go oślepia; wszystkie atomy jego materyi przebijają słoneczne promienie, które promiennemi falami leją się na świat. Światło było muzyką; muzyka była światłem.

A wtedy mistyczna zatoka promieniować istotnie poczęła jak sklepienie niebios. Dźwięki orkiestry zdały się naśladować te oddalone harmonie planetarne, które niegdyś przypuszczały dusze kontemplatywne a czujne, że chwytają je słuchem w nocnej ciszy. Zwolna długie dreszcze niepokoju i udręczenia i dyszenie daremnych pościgów i wysiłki żądz wieczyście zawodzonych i wszystkie wstrząśnienia nędz ziemskich uspokajały się, rozpraszały, Trystan przestąpił nareszcie granicę „państwa cudów“; wkroczył nakoniec w noc wieczystą. A Izolda, pochylona nad zwłokami martwemi, czuła nareszcie jak powoli rozprasza się ten ciężar, który przygniatał ją jeszcze. Melodya fatalna, teraz jaśniejsza już i uroczystsza, uświęcała wielki hymn pogrzebowy. Następnie nuty podobne do nici eterycznych, oczyszczały się, oprzędając kochankę obsłonami czystości przezroczej. Tak rozpoczynał się rodzaj radosnego wniebowzięcia po stopniach wspaniałości, na skrzydłach hymnu. „Jakiż promienny uśmiech wykwita mu na ustach? Czyż

nie widzicie? Nie słyszycież? Czyżbym ja sama tylko słyszała tę melodyę nową, nieskończenie słodką i pocieszającą, co się wylewa z głębin jego istoty i porywa mnie, przenika całą, spowija?“ Czarodziejka Irlandyi, złowieszcza władczyni napojów miłosnych, rozjemczyni dziedziczna ciemnych potęg ziemskich, ta, która z wyżyn okrętu przyzywała wiry i burze, ta, której miłość wybrała najsilniejszego i najszlachetniejszego bohatera, po to, by go zatruć i zgubić; ta, która zamknęła drogę sławy i zwycięztwa jednemu z „władców świata“, trucicielka, morderczyni, przeobraża się mocą śmierci, w istotę światła i radości, wyswobodzoną z wszelkich żądz nieczystych, wolną od wszelkich nizkich więzów, której serce bije razem z wielką duszą rozlaną w wszechświecie. „Te czystsze dźwięki, które szepczą mi do ucha, czyliż to nie są fale miękkie powietrza? Mamże oddychać, pić, pogrążać się, zatapiać zwolna w oparach i woniach?“ Wszystko w niej rozprzęgało się, roztapiało, rozszerzało, powracało do płynności pierwotnej, do niezmiernego oceanu żywiołów, z którego rodzą się kształty, w którym giną kształty, by się odnowić i odrodzić.

W Mistycznej zatoce dokonywały się przemiany i przeobrażenia z każdą nutą niemal, z każdą melodyą, bez przerwy. Zdawało się, że wszystkie przedmioty ulegają tam przemianie, że wyziewają ukrytą treść swoją, że się przetwarzają w bez-

materyalne symbole. Barwy, jakie nigdy nie ukazały się na listkach najwytworniejszych kwiatów ziemskich, zapachy, niepochwytnej nieomal subtelności, unosiły się w powietrzu. Wizye raju nieznanego ukazywały się w błyskawicznych obrazach, zarodki światów, mających się zrodzić dopiero, tam się rozwijały. I jakieś wielkie upojenie unosiło się wszędy; chór wielkiego wszechświata, zgłuszał jedyny głos ludzki.

Przetworzona Izolda wkraczała tryumfalnie w państwo cudów: „Zginąć, zaprzepaścić się, rozwiać bez świadomości w nieskończonem tętnie serca wszechświatu: najwyższa to rozkosz!“

II.

Przez dni całe dwoje pustelników żyli tak w pośród wielkiej fikcyi, oddychali tą atmosferą palącą, nasycali się tem zapomnieniem śmiertelnem. Zdało im się, że się przetwarzają sami również, że sami dosięgają kręgów wyższego jakiegoś istnienia; zdawało im się, że dorównują osobistościom dramatu na wyżynach zawrotnych swego snu miłości. Alboż i oni, zda się, nie pili miłosnego napoju czary? Czyliż i ich tak samo nie dręczyła żądza bez granic? Czyliż i oni nie byli skuci z sobą węzłem nierozerwalnym i czyż nie doznawali częstokroć, jak tamci, pośród rozkoszy lęku konania, nie słyszeliż w grzmocie głuchym, wówczas, haseł śmierci? Jerzy, jak Trystan, kiedy posłyszał starożytną melodyę graną przez pasterza, znajdował w tej muzyce bezpośrednią rewelacyę, dziwny niepokój, w którym, zdawało mu się, że odkrywa nakoniec istotną treść swej duszy, tragiczną tajemnicę swego przeznaczenia. Nikt chyba w świecie bardziej nad niego nie mógł wniknąć w znaczenie symboliczne mistyczne miłosnego napoju i nikt w świecie

lepiej nad niego nie mógł zmierzyć ni pojąć głębokości dramatu wewnętrznego, w którym bohater zadumany utracił swe siły. Nikt nadeń również nie mógł lepiej zrozumieć krzyku rozpacznego ofiary: „Ten napój straszliwy, co mnie skazuje na męki, *wszakże to ja, ja sam go wytworzyłem*“.

Wówczas to podjął się zadania pociągnięcia i skłonienia kochanki do myśli, która go zajmowała głównie. Pragnął nakłonić ją, by wraz z nim szukała śmierci tajemniczej a słodkiej w to czyste urocze nadadryatyckie lato, pełne przezrocza i woni. Wielka fraza miłości, która rozwijała się tak szerokim kręgiem dokoła przeobrażenia Izoldy, poczęła w okrąg swego czaru zamykać Hipolitę. Powtarzała ją ona bezprzestannie cichym głosem, czasami głośno nawet z jakimś porywającym zawsze okrzykiem.

— Czy nie chciałabyś umrzeć śmiercią Izoldy?—spytał ją Jerzy z uśmiechem.

— Chciałabym—odpowiedziała.—Ale na ziemi nie umiera się w taki sposób.

— A gdybym ja umarł, ja? — mówił dalej, wciąż uśmiechniony. Gdybyś mnie zobaczyła umarłym *w rzeczywistości, nie we śnie?*

— Wydaje mi się, że umarłabym również, ale z rozpaczy.

— A gdybym ci zaproponował, abyś umarła wraz ze mną, równocześnie, w tenże sam sposób?

Przez kilka sekund pozostała zamyślona, z oczyma spuszczonemi. Potem podnosząc na kusiciela spojrzenie, przepełnione całą rozkoszą życia:

— Po co umierać — rzekła — skoro ja cię kocham, skoro ty mnie kochasz i nic już odtąd nie przeszkadza nam żyć z sobą i w sobie samych wyłącznie?

— Więc życie ci się podoba?—szepnął z tajoną goryczą.

— Tak — potwierdziła z pewną gwałtownością — życie podoba mi się, bo ty mi się podobasz.

— A gdybym umarł? — powtórzył bez uśmiechu, bo poczuł raz jeszcze, że wzbiera w nim wrogie usposobienie względem tej pięknej istoty, która wdychała powietrze, jak roskosz jej przynależną.

— Ty nie umrzesz—twierdziła z tąż samą pewnością.—Młody jesteś; na cóż miałbyś umierać?

W głosie, w postawie, w całej jej osobie, widocznym był jakiś niezwykły wylew błogości, dobrobytu. Patrząc na nią, można było być pewnym, że to istota, której życie upływa harmonijnie w zupełnej równowadze wszystkich władz wrodzonych, w zgodzie z warunkami zewnętrznemi, sprzyjającemi jej widocznie. Zdała się rozkwitać w zdrowem morskiem powietrzu, w letnim wieczorów chłodzie i widok jej przywodził na pa-

mięć ów rodzaj kwiatów, co rozchylają swe korony o zachodzie słońca.

Po długiej chwili milczenia, w której słychać było tylko szmer morza na wybrzeżu, podobny do szelestu zeschłych liści, Jerzy spytał:

— Czy ty wierzysz w przeznaczenie?

— Tak, wierzę.

Nieusposobiona bynajmniej do smutnej powagi, w którą zdało się wkraczać pytanie Jerzego, odpowiedziała nań tonem lekkim półżartu. On, dotknięty tem, odparł żywo z goryczą.

— Czy wiesz co to za dzień dzisiaj?

Zdziwiona, zaniepokojona, spytała:

— Co za dzień?

Zawahał się. Aż do tej chwili unikał zawsze zapominającej o tem kobiecie, wszelkiego przypomnienia rocznicy śmierci Demetria; niechęć, wstręt niemal coraz to żywszy, nie dopuszczał mu wymawiać tego czystego imienia, wywoływać dumnego tego obrazu po za obrębem świątyni pamiątek. Czuł, że zbezcześciłby swą boleść religijną prawie, przypuszczając Hipolitę do udziału w niej. A uczucie to wzmagała jeszcze okoliczność, że znajdował się właśnie w jednej z częstych już teraz chwil okrutnej jasności, w których widział w Hipolicie kobietę rozkoszy, „kwiat pożądliwości“, nieprzyjaciółkę. Pohamował się i z przymuszonym śmiechem nagłym wymówił:

— Patrzaj! Toć to uroczystość dziś w Ortone.

Wskazywał w dali, na błękitnem tle nieba gród nadmorski, uwieńczony blaskiem sztucznych ogni.

— Jakiś ty dziwny dzisiaj!—ozwała się.

Potem wpatrując się w niego z tym szczególniejszym wyrazem, który przybierała zawsze, ilekroć chciała go uspokoić i ułagodzić, dodała:

— Przyjdź tutaj, chodź usiąść obok mnie...

Stał teraz w cieniu, oparty o jedne z drzwi, wychodzących na loggię. Ona siedziała na dworze, na parapecie loggii, ubrana w lekką białą suknię, w niedbałej pozycyi, wychyliwszy biust cały ku stronie morza, gdzie jeszcze świeciły czerwonawe zmroku odblaski; profil ciemnej jej głowy rysował się wyraziście na pasie ambry przezroczej. Zdawała się odradzać jak przy wyjściu z miejsc zamkniętych i dusznych, z ciężkiej atmosfery zatrutych wyziewów. W oczach Jerzego wyglądała tak, jak gdyby miała się rozwiać w mgłę, ulotnić jak czara woni, jakby wyziewała z siebie życie idealne, nagromadzone tam przez potęgę muzyki, utracała zwolna wszystkie dręczące ją marzenia i wracała do pierwotnej zwierzęcości.

Jerzy rozmyślał: „Jak zawsze tak i teraz, otrzymywała i zachowała cierpliwie wszystkie te pozory, które ja jej nadałem. Życie wewnętrzne było i jest w niej zawsze tylko sztucznem. Skoro tylko poddany przezemnie wpływ ustaje, powraca ona zaraz do właściwej swej natury, staje

się tylko kobietą, narzędziem nizkich popędów. Nic nie odmieni nigdy jej treści duchowej, nic ją nie oczyści. Ma ona krew plebejską a w tej krwi kto wie jakie dziedzictwa nieszlachetne! Ale i ja również nie będę mógł nigdy oswobodzić się z żądzy, którą ona zapaliła we mnie; nie będę mógł nigdy wydrzeć jej z mego ciała. Odtąd nie będę już mógł żyć ani z nią, ani bez niej. Wiem, że powinienem umrzeć; czyliż jednak pozostawić ją mam jakiemuś następcy?“

Nienawiść jego względem tej bezświadomej istoty nigdy nie podniosła się jeszcze z taką gwałtownością. Rozdzierał ją bez litości z cierpkością, która jego samego wprawiała w podziw. Zdawało się, że mści się za niewierność jakąś, za nieuczciwość, którąby przeszła wszystkie granice wiarołomstwa. Doznawał zawistnego żalu rozbitka, który w chwili zatapiania się, spostrzega tuż obok siebie towarzysza, co się zdołał ocalić, co pochwycił napowrót wątek życia. Dla niego ta rocznica przynosiła nowe potwierdzenie wyroku, który i tak już wiedział, że jest nieodwołalnym. Dla niego dzień ten był świętem śmierci. Czuł, że nie był już panem samego siebie, czuł absolutne zapanowanie nad sobą jednej stałej idei, nieustępującej, która lada chwila mogła wywołać czyn ostatni a równocześnie udzielić jego woli popędu faktycznego. I kiedy obrazy zbrodnicze, bezładne, zmięszane pospołu, tłoczyły się tłumnie do jego mózgu, w gło-

wie bezustannie wirowało mu jedno wciąż pytanie: „Mamże sam umierać? Mamże sam tylko umierać?“

Drgnął, kiedy Hipolita dotknęła jego twarzy i otoczyła mu ramieniem szyję.

— Przestraszyłam cię?—spytała.

Widząc go znikającego w coraz to głębszym cieniu, co się kładł we framudze drzwi, szczególniejszy zdjął ją niepokój i wstała, by go ucałować.

— O czem myślisz? Co ci jest? Dlaczego jesteś tak dziwnym dzisiaj?

Przemawiała doń słodkim pieszczotliwym głosem, trzymając go wciąż w uścisku, okrywając pocałunkami skronie. W ciemności widział tajemniczą bladość tej twarzy, blask jej oczu. Drżenie niepokonane go przejęło.

— Drżysz? Co ci jest? Co tobie?

Wypuściła go z uścisku, poszukała świecy na stole i zapaliła ją. Podeszła bliżej, niespokojna, ujęła obie jego ręce.

— Tyś chory?

— Tak—wybąknął—jakiś nieswój dziś jestem. To widocznie znowu jeden z tych moich dni niedobrych.

Nie po raz to pierwszy słyszała, że się skarżył na cierpienia fizyczne, na jakieś bóle głuche w całem ciele, na szarpania i mrowia, przebiegające wszystkie członki, na zawroty głowy i duszność. Wydawało się jej, że to cierpienia

urojone; widziała w nich tylko wyniki zwykłej jego melancholii i zbytniego oddawania się rozmyślaniom, a na to nie znała lepszego lekarstwa nad pieszczoty, śmiech, igraszki.

— Co cię boli?

— Nie umiałbym powiedzieć.

— A, co ja, to znam dobrze przyczynę twojej choroby... Muzyka podnieca cię zanadto. Trzeba będzie na jaki tydzień przynajmniej jej zaprzestać.

— Nie będziemy więc grywać.

— Nic a nic już.

I podeszła do fortepianu, spuściła jego klapę na klawisze, zamknęła na zamek i schowała kluczyk do kieszeni.

— Od jutra rozpoczniemy dalekie nasze wycieczki; całe ranki spędzać będziemy na wybrzeżu. Dobrze? A teraz chodź do loggii.

Pociągnęła go z sobą czułym gestem.

— Patrz, jaki wieczór piękny! Czujesz, jaki rozkoszny zapach idzie od skał?

Wdychała słonawe wyziewy, z dreszczem, przyciskając się do jego ramienia.

— Mamy tu wszystko, aby być szczęśliwymi a ty tymczasem... Jak ty kiedyś żałować będziesz tego czasu, kiedy już przejdzie! Dni ubiegają. Niezadługo będzie już trzy miesiące, jak tu zamieszkujemy.

— Czy zamierzasz już mnie opuścić? — spytał zaniepokojony, podejrzliwy.

Chciała go uspokoić.

— Nie, nie—odpowiedziała--nie jeszcze. Ale zbyt przedłużająca się moja nieobecność staje się coraz trudniejszą z powodu mej matki. Dziś nawet właśnie otrzymałam list, wzywający mnie do powrotu. Wiesz, że jej jestem potrzebną. Kiedy mnie brak w domu, wszystko idzie na opak...

— Masz zatem niezadługo już wracać do Rzymu?

— Nie. Będę umiała jeszcze wynaleźć jaki pretekst. Wiesz, że dla mojej matki bawię tu w towarzystwie jakiejś przyjaciółki. Siostra dopomogła mi i dopomaga do utrzymania prawdopodobieństwa tej bajeczki; zresztą matka wie, że mi potrzeba kąpieli morskich i że zeszłego roku byłam niezdrowa z tego właśnie powodu, że ich brać nie mogłam... Przypominasz sobie? Spędziłam lato w Caronnu, u siostry. Co to za okropne było lato!

— A zatem?

— Będę niezawodnie mogła z tobą spędzić jeszcze cały sierpień, może nawet i pierwszy tydzień września...

— A potem?

— Potem pozwolisz mi powrócić do Rzymu i przyjedziesz niezadługo za mną. Tam naradzimy się co do przyszłości. Mam już coś pod tym względem na myśli...

— Co?

— Powiem ci później. Tymczasem jednak zabierzmy się do obiadu. Tobie się nie chce jeść jeszcze?

Obiad był gotów. Jak zazwyczaj stół zastawiony był na świeżem powietrzu, w logii. Zapalono wielką lampę.

— Patrzaj!—zawołała, kiedy służąca wniosła na stół dymiącą wazę.—To już jest dzieło samej Kandyi.

Wyraziła życzenie, by Kandia sporządziła jej kiedy prawdziwą chłopską zupę, według wzoru tej, którą jadają na wsi; mieszaninę smaczną, bogato zaprawioną imbirem, barwną i pachnącą. Próbowała jej kilkakrotnie, znęcona zapachem, w mieszkaniu staruszków i zasmakowała jej bardzo ta potrawa.

— Jakież to doskonałe! Spróbujesz?

Nalała sobie pełną łyżkę wazową, z gestem prawdziwie dziecinnego łakomstwa i przełknęła żywo pierwsze łyżki.

— Nigdy nic lepszego nie jadłam!

Przywołała Kandyę, aby jej wyrazić swój zachwyt.

— Kandyo! Kandyo!

Kobieta ukazała się w dole schodów ze śmiechem.

— Zupa smakuje ci, signora?

— Przewyborna jest!

— Niechaj się zamieni w najlepszą krew dla ciebie!

I śmiech naiwny ciężarnej kobiety pobiegł w górę, w spokojnem powietrzu. Jerzy uczestniczył w tej wesołości i okazywał to jawnie. Zmiana nagła jego humoru była widoczną. Nalał sobie wina i wypił je duszkiem. Usiłował pokonać wstręt swój do jedzenia, ten wstręt, który w ostatnich czasach przybrał tak poważne rozmiary, że częstokroć sam już nawet widok wpół surowego mięsa był dlań nie do zniesienia.

— Wszakże ci lepiej, nieprawdaż? — spytała Hipolita, pochylając się ku niemu i przysuwając nawet cokolwiek krzesło, by się doń zbliżyć.

— Tak, teraz jest mi już lepiej.

I nową wychylił szklankę.

— Patrz!—zawołała.—Patrz, jak Ortone wygląda uroczyście!

I oboje popatrzyli ku miastu w oddali, uwieńczonemu aureolą sztucznych ogni, na wzgórzu, którego kontur wydłużony zarysowywał się na tle ponurej ciemności morza. Grupy balonów świetlanych, podobne do konstelacyj płomiennych, wznosiły się zwolna w spokojnem powietrzu; zdawało się, że się mnożą z każdą chwilą, zaludniając cały ten brzeg nadmorski nieba.

— W tych dniach—ozwał się—siostra moja, Krystyna, jest w Ortone u swych krewnych, Vallereggiów.

— Pisała do ciebie?

— Tak.

— Jakże byłabym szczęśliwą, gdybym ją mogła zobaczyć! Wszakże podobną jest do ciebie, nieprawdaż? Krystyna to twoja ulubienica.

Zatrzymała się na kilka sekund. Potem podjęła znowu:

— Jakże byłabym szczęśliwą, gdybym mogła zobaczyć twoją matkę! Tak często myślałam o niej!

A po nowej chwili milczenia, głosem serdecznym dodała:

— Jak ona musi cię uwielbiać!...

Wzruszenie niespodziewane wezbrało w sercu Jerzego; w duszy ujrzał znów wizyę domu rodzicielskiego, który opuścił, zapomniał; i na chwilę znów wszystkie ubiegłe smutki owładnęły jego umysłem, wraz z wszystkiemi bolesnemi obrazami: twarz matki zmieniona, jej obrzmiałe i zaczerwienione od płaczu powieki; słodkie a rozdzierające wspomnienie Krystyny; dziecko chorobliwe, którego nadmiernie wielka głowa zwisała zawsze na piersi, z trudnością dech chwytające; twarz trupia biednej idyotki żarłocznej. A oczy zmęczone matki pytały go ponownie, jak wówczas w chwili rozstania: „*Dla kogo* mnie opuszczasz?“

I znowu dusza jego pobiegła ku dalekiemu domowi, gnąc się nagle jak drzewo pochylone przez wicher. I postanowienie tajemne—powzięte w ciemności pokoju, w uścisku ramion Hipo-

lity—zamigotało pod wpływem wstrząśnienia moralnego, niewyraźnej jakiejś przestrogi, kiedy w pamięci stanęły mu zamknięte szczelnie drzwi, po za któremi stało łoże Demetria, kiedy przed oczyma ukazała mu się grobowa kaplica w rogu cmentarza, w cieniu błękitnawym i uroczystym opiekuńczej góry.

Hipolita jednak mówiła wciąż, stawała się gadatliwą. Jak niejednokrotnie już i teraz znowu puściła nieprzezornie wodze domowym swym wspomnieniom. On zaś, jak już tylokrotnie, słuchał, obserwując z przykrością niektóre linie pospolite, w jakie składały się usta tej kobiety, w trakcie takiej gorącej i długiej rozmowy, obserwując, jak nieraz już, ten giest szczególniejszy, jej właściwy, ilekroć wpadła w zapał, ten giest tak pozbawiony wdzięku, że zdało się, iż nie od niej wyszedł chyba. Ona zaś mówiła:

— Moją znów matkę tyś widział kiedyś na ulicy. Pamiętasz? Co to za różnica między moją matką a ojcem! Ojciec mój zawsze był dobry, przywiązany i serdeczny dla nas, niezdolny bić nas lub łajać surowo. Matka jest gwałtowna, popędliwa, okrutna niemal. Ach, gdybym ci opowiedziała męczeństwo mojej siostry, biednej Adryanny! Buntowała się ona zawsze; a ten bunt jej oburzał w najwyższym stopniu naszą matkę, która ją biła do krwi. Ja umiałam ją zawsze rozbroić, przyznając się do winy i przepraszając. Mimo całej jednak swej surowości,

kochała nas ona niezmiernie... Nasz pokój miał okno łączące się z cysterną. My obie z figlów siadałyśmy często przy tem oknie, by czerpać wodę małem wiaderkiem. Pewnego dnia matka wyszła a my przypadkiem zostałyśmy same. W kilka minut później, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, powraca zapłakana, drżąca, zmieniona. Bierze mnie na ręce i okrywa pocałunkami, łkając jak szalona. Wyszedłszy na ulicę, miała przeczucie, żem wypadła przez to okno!

Jerzemu przyszła na pamięć twarz starej histeryczki, na której widniały wzrosłe aż do przesady wszystkie wady twarzy córki: zbytnio rozwinięta dolna szczęka, długa linia podbródka, szerokość nozdrzy. Stanęło mu w oczach to czoło furyi, nad którem sterczały siwe włosy, suche i gęste i te oczy ciemne, ponure, zagłębione pod łukiem brwi, które zdradzały fanatyzm bigotki i uporne skąpstwo małomieszczanki transteweranskiej.

— Widzisz tę bliznę u mnie pod brodą?—ciągnęła dalej Hipolita.—To także pamiątka matki. Chodziłyśmy wówczas do szkoły; siostra moja i ja, dostałyśmy bardzo ładne sukienki, które kazano nam zdejmować po przyjściu ze szkoły. Pewnego wieczora, powróciwszy, zastałam na stole fajerkę ciepłą i zaczęłam przy niej rozgrzewać sobie zziębnięte ręce. Matka mówi: „Idź się rozebrać!“ Odpowiedziałam: „Idę“ i grzałam się dalej. Matka powtórzyła: „Idź się roze-

rać!“ Ja powtórzyłam: „Idę“. Matka miała w ręku dużą szczotkę, którą czyściła jakieś ubranie. Ja wciąż jeszcze stałam w pośrodku pokoju przy fajerce. Matka powtórzyła po raz trzeci: „Idź się rozebrać!“ A ja znów powtórzyłam tylko: „Idę“ Rozwścieklona, rzuciła we mnie szczotką, która padła i zdruzgotała fajerkę. Jeden z odłamów ucha, skaleczył mnie tu, poniżej brody i przeciął mi żyłę. Krew płynęła. Ciotka przybiegła szybko mi na pomoc; ale matka ani ruszyła się, ani spojrzała nawet. Krew wciąż płynęła. Na szczęście, znaleziono gdzieś w pobliżu felczera, który podwiązał żyłę. Matka uporszywie wciąż milczała. Kiedy ojciec powrócił do domu i zobaczył moją twarz obandażowaną, zapytał co mi się stało. Matka, bez jednego słowa, nie spuszczała ze mnie oczu. Odpowiedziałam: „Upadłam na schodach“. Matka milczała. W następstwie cierpiałam bardzo z utraty krwi... Ale Adryanna za to, jakże była bitą! Zwłaszcza też z powodu Juliusza, mego szwagra obecnego. Nie zapomnę nigdy straszliwej sceny...

Przerwała sobie. Może być, że na twarzy Jerzego spostrzegła jakąś oznakę podejrzaną.

— Nudzę cię, nieprawdaż, całą tą gadaniną?

— Nie, nie. Mów dalej, proszę cię. Czyż nie widzisz, że słucham?

— Mieszkaliśmy wówczas na Ripetta, w domu rodziny niejakich Angelinich, z którymi zawiązaliśmy stosunki serdecznej przyjaźni. Ludwik Ser-

gi, brat mego szwagra Juliusza, był człowiekiem wykształconym, pracowitym, skromnym; Eugenia, żona jego, natomiast była najgorszego rodzaju kobietą. Jakkolwiek mąż jej zarabiał dużo, zmuszała go do zadłużania się bezustannie; i niewiadomo było na co traci wszystkie te pieniądze. Gdyby wierzyć złym językom, potrzebne jej one były na opłacanie kochanków... Ponieważ była bardzo brzydką, brzydota jej nadawała pewne prawdopodobieństwo tym niegodziwym pogłoskom. Moja siostra zaprzyjaźniła się wielce z Eugenią, nie wiem już jakim sposobem, i schodziła bezustannie na dół, pod pozorem brania lekcyj francuzkiego u Ludwika. To się okropnie nie podobało mamie, podburzonej przez siostry Angelini, stare panny, które udawały przyjaźń dla Sergich, ale które w rzeczywistości nienawidziły ich i szczęśliwe były, ilekroć zdarzyła się sposobność obmówienia ich. „Jakto, pozwalać na to, aby Adryanna bywała w domu upadłej kobiety!“ Surowe środki wzmagały się coraz bardziej. Ale Eugenia ułatwiała zawsze miłostki Juliusza i Adryanny. Juliusz przyjeżdżał często w interesach z Medyolanu do Rzymu. I pewnego dnia, kiedy właśnie miał przybyć, mojej siostrze strasznie śpieszno było iść na dół. Matka zabroniła jej się ruszyć z domu. Moja siostra upierała się. W sprzeczce, mama podniosła na nią rękę. Pochwyciły się za włosy. Siostra doszła do tego że jej pogryzła rękę i uciekła po schodach. Ale

kiedy pukała do drzwi Sergich, mama ją dognała i na środku sieni przyszło do sceny gwałtownej, której nie zapomnę nigdy. Przyniesiono do nas Adryannę wpół umarłą. Rozchorowała się, dostała konwulsyj. Mama, skruszona, otoczyła ją największemi staraniami, słodka była dla niej i łagodna jak nigdy... W kilka dni później, nie wyzdrowiawszy nawet zupełnie, Adryanna uciekła z Juliuszem... Ale to już opowiadałam ci, jak sądzę.

I po tej paplaninie naiwnej, w którą się zapuściła, ani przypuszczając jakie wrażenia wywierają te wspomnienia tak gminne na kochanku, zabrała się napowrót do kolacyi.

Nastała chwila milczenia; potem dodała z uśmiechem:

— Widzisz co to za okropna kobieta z mojej matki. Nie wyobrazisz sobie nigdy, jak mnie udręczała, kiedy wybuchnęła walka z... nim. Boże mój! Cóż to za męczarnie!...

Pozostała przez chwil kilka zamyślona.

Jerzy utkwił w nieostrożnej spojrzenie pełne nienawiści i zazdrości, w ciągu tej jednej minuty przechodząc napowrót wszystkie cierpienia dwóch lat ubiegłych. Z tych fragmentów, które była tak nieostrożną, że mu dostarczyła, odbudowywał sobie życie domowe Hipolity, przypisując jej w duszy najnędzniejsze gminności, poniżając najbardziej bezczeszczącemi związkami. Skoro małżeństwo jej siostry zawarte zostało pod opieką

nimfomanki, w jakichże warunkach, na skutek jakich okoliczności zawartem zostało małżeństwo Hipolity? Wśród jakiegoż to świata upłynęła pierwsza jej młodość? Skutkiem jakichże intryg wpadła ona w ręce ohydnego człowieka, którego nosiła nazwisko?

I wyobrażał sobie ukryte życie brudnej chciwości i skąpstwa niektórych rodzin małomieszczańskich starego Rzymu, w których unoszą się równocześnie wyziewy kuchenne i stęchlizna zakrystyi, które toczy podwójny ferment zepsucia rodzinnego i klerykalnego. Przepowiednia Alfonsa Exili przyszła mu na pamięć: „Czy znasz twego prawdopodobnego następcę? To Monti, ten *mercante di campagna*. Ma on grosze, ten Monti!“ Wydało mu się prawdopodobnem, że Hipolita skończy w ten sposób na jakiejś miłostce lukratywnej; i że pozyska milczące zezwolenie swej rodziny, znęconej możnością łatwiejszej egzystencyi, oswobodzonej od kłopotów i prywacyj domowych, postawionej na stopie większego dobrobytu niż ten, który jej dawał niegdyś stan małżeński córki. „Czy nie mógłbym może ja sam ofiarować im coś w tym rodzaju, czy nie mógłbym otwarcie zaproponować Hipolicie taką *pozycyę?* Mówiła tu kiedyś, że miała coś na widoku na zimę, na przyszłość. Czyż więc nie moglibyśmy tak się ułożyć? Jestem pewien, że rozważywszy poważną stronę propozycyi i trwałość stanowiska, ta stara, surowa matrona, nie

okazałaby zbytniego wstrętu do przyjęcia mnie na zastępcę zniknionego zięcia. Może nawet skończyłoby się na tem, że prowadzilibyśmy z czasem wspólne gospodarstwo do końca życia". Sarkazm ściskał mu serce z okrucieństwem nie do zniesienia. Nerwowo nalał sobie raz jeszcze wina i wypił je do dna.

— Czemu ty pijesz tak wiele dzisiejszego wieczora?—spytała Hipolita, zaglądając mu w oczy.

— Pić mi się chce okropnie. A ty, czemu nie pijesz?

Szklanka Hipolity była próżną.

— Pij!—mówił Jerzy, który zrobił gest jakby jej chciał nalać wina.

— Nie—odpowiedziała.—Ja wolę pić wodę jak zwykle. Nie lubię żadnego wina, prócz szampańskiego... Przypominasz sobie w Albano zdumienie tego poczciwego Pankracego, kiedy korek nie chciał wyskoczyć i kiedy trzeba było uciec się do korkociągu?

— Musiało tam chyba na dole pozostać jeszcze kilka butelek w pace. Pójdę po nie.

I Jerzy podniósł się żywo.

— Nie, nie! Nie dzisiejszego wieczora!

Chciała go powstrzymać. Ale kiedy zabierał się koniecznie do wyjścia:

— To i ja pójdę z tobą—zawołała.

I wesoła, lekka, zeszła wraz z nim do jednego z parterowych pokoi, który im służył za spiżarnię.

Kandya przybiegła z lampą. Poczęli szukać w głębi paki i znaleźli jeszcze dwie butelki z srebrnemi szyjkami, ostatnie.

— Są!—zawołała Hipolita, podniecona już tem poszukiwaniem.—Są! Dwie jeszcze!

I podniosła je, błyszczące, ku lampie.

— Chodźmy.

Kiedy wybiegała ze śmiechem, potrąciła o brzuch Kandyi i popatrzała z komicznym ambarasem na olbrzymią przeszkodę.

— Niech cię Bóg błogosławi!—rzekła.—Urodzisz chyba jakiegoś kolosa. I kiedyż to?

— E, pani, lada chwila już — odpowiedziała Kandya—tej nocy może jeszcze.

— Dzisiejszej nocy?

— Dostaję już lekkich boleści...

— Przywołaj mnie. Chciałabym być przy tobie...

— Dlaczego chcesz, signora, sprawiać sobie taki kłopot? Matka miała ich dwadzieścia dwoje...

I synowa Cybeli siedemdziesięcioletniej, aby dosadniej wyrazić cyfrę, po czterykroć wyciągnęła rękę z otwartemi palcami dłoni a potem jak widły wysunęła wielki palec z wskazującym.

— Dwadzieścia dwoje!—powtórzyła, a jej zęby zdrowe, zaświeciły w uśmiechu.

Potem obrzucając spojrzeniem Hipolitę, dodała:

— A ty co się spodziewasz?

Hipolita uciekła, szybko wbiegła po schodach, i postawiła na stole butelki. Przez kilka sekund, była jakby nieprzytomna, nieco zdyszana. Potem wstrząsnęła głową.

— Patrzaj, widzisz Ortone!

Wyciągnęła rękę w kierunku oświetlonego miasta, które zdawało się aż do niej posyłać jakiś powiew wesela. Światło czerwonawe wylewało się ze szczytu wzgórza, niby z krateru; a z tego blasku wciąż strzelały w górę na ciemnym niebios lazurze kule niezliczone, które rozpływały się w okrągłe płaszczyzny, tworząc obraz olbrzymiej jakiejś kopuły świetlanej, odbitej w zwierciadle morza.

Nad stołem obfitym w kwiaty, owoce i cukry, krążyły ćmy gromadami. Piana szlachetnego wina pryskała na obrus.

— Piję za nasze zdrowie!—zawołała, wyciągając ku kochankowi kieliszek.

— Piję za nasz spokój!—rzekł podnosząc swój w górę.

Kryształ zadźwięczał tak mocno, że obie czarki pękły razem. Wino jasne popłynęło strugą na stół, zalewając stos wspaniałych brzoskwiń soczystych.

— Dobra wróżba, dobra wróżba!—wołała Hipolita, zadowolona więcej z tego pokropienia, niż gdyby wychyliła wino od razu.

I wyciągnęła rękę do talerza zmoczonych brzoskwiń, leżących przed nią. Były to wspaniałe

owoce, różowe z jednej strony, jak gdyby je pomalowała ostatnia zorza, widząc je tak dojrzałe wiszące na gałęzi. Ta szczególniejsza rosa zdawała się je ożywiać.

— Jakaż cudna! — zawołała biorąc najokazalszą.

I nieździerając skórki, ugryzła żarłocznie. Sok pociekł jej z kącików ust, żółty jak miód płynny.

— Ugryź ty teraz!

I podała swemu kochankowi brzoskwinię ociekającą, tym samym giestem, jakim niegdyś podała mu resztę chleba pod dębem, w zmroku dnia pierwszego.

To wspomnienie zbudziło się w pamięci Jerzego i doznał potrzeby podzielenia się z niem.

— Przypominasz sobie — rzekł — czy przypominasz ty sobie, jak pierwszego wieczora nadgryzłaś chleb, prosto z pieca wyjęty i podałaś mi go potem gorący i wilgotny? Przypominasz to sobie? Jakimż wówczas wydał mi się on dobrym.

— Wszystko pamiętam. Mogłażbym zapomnieć najdrobniejszego choćby szczegółu dnia tego?

I w myśli stanęła jej ścieżka wysypana kwiatem janowcu, ten tak świeży i delikatny hołd rzucony na jej drogę. Przez kilka chwil pozostała zamyślona, z tą wizyą poetyczną, przed oczyma.

— Janowiec! — poszepnęła z uśmiechem żalu nieprzewidzianego.

Potem dodała:

— A ty czy pamiętasz całe wzgórze okryte żółtym płaszczem kwiecia; zapach jego odurzał.

Dodała po chwili milczenia jeszcze:

— Co to za dziwna roślina! Dziś, patrząc na nią i widząc ten krzak rosochaty, któż mógłby wyobrazić sobie tę wspaniałość?

Wszędy na swych spacerach, spotykali te krzaki, których długie spiczaste łodygi dźwigały u szczytu czarne strączki, pokryte białawym puszkiem; każdy strączek zawierał ziarna i dawał schronienie robakowi, zielonkawego koloru.

— Pij—mówił Jerzy, nalewając szumiące wino w nowe czarki.

— Piję na przyszłą wiosnę naszej miłości! — zawołała Hipolita.

I spełniła kielich do ostatniej kropli.

Jerzy napełnił natychmiast opróżnioną czarkę.

Ona zanurzyła palce w pudełko z cukierkami, pytając:

— Jaki wolisz, różany czy z ambrą?...

Były to konfitury wschodnie, przysłane przez Adolfa Astorgi; rodzaj ciasta, koloru ambry lub koloru róży, posypane pyłkiem pistacyj, tak wonne, że w ustach sprawiały złudzenie jakiegoś kwiatu mięsistego a w miód obfitego.

— Kto to wie, gdzie jest „Don Juan“ w tej chwili? — ozwał się Jerzy, przyjmując cukierek z palców Hipolity, białych od cukru.

I duszę jego przejęła nostalgia wysp dalekich, wysp woniejących żywicą, z których w tej chwili może wszystkie rozkoszne wonie nocy biegły z wiatrem, wzdymającym wielki żagiel „Don Juana“.

W słowach Jerzego Hipolita odczuła żal.

— Więc wolałbyś być tam na pokładzie, z twoim przyjacielem, niż tu sam ze mną? — rzekła.

— Ni tutaj, ni tam. Gdzieś indziej! — powtórzył uśmiechnięty, tonem żartu.

I podniósł się nieco, podając do pocałunku usta kochance.

Ona ucałowała go długo, gorąco, ustami lepkiemi od słodyczy, które nie przełknęły jeszcze cukierka; ćmy krążyły wciąż nad ich głowami.

— Nie pijesz? — spytał po pocałunku, cokolwiek zmienionym głosem.

Wychyliła szybko czarkę.

— To ciepłe niemal—rzekła wypiwszy.—Przypominasz ty sobie ten szampan zamrożony u Danielego w Wenecyi? Oh, jak ja lubię, kiedy tak cieknie powoluteńku, wolno, w gęstych płateczkach!

Kiedy mówiła o rzeczach, które się jej podobały, lub o pieszczotach ulubionych przez nią, głos jej nabierał szczególnej jakiejś plastyczności; skandując sylaby, wargi jej układały się w zagięcia, które wyrażały zmysłowość głęboką. Otóż każde z tych słów i każde z tych nagięć,

sprawiało Jerzemu cierpienia nadmierne. Ta zmysłowość, którą on sam w niej obudził, doszła teraz, jego zdaniem, do tego punktu żądzy, w którym pragnienia tyraniczne i liczne nie znoszą już żadnego wędzidła i domagają się niezwłocznego zadowolenia. Hipolita wydawała mu się teraz kobietą nieprzeparcie oddaną rozkoszy, pod wszystkiemi jej postaciami, bez względu na to, jakiem poniżeniem trzebaby ją okupywać. Skoro jego już zabraknie, lub skoro znudzi się jego miłością, przyjmie z pewnością propozycyę najhojniejszą i najwięcej przedstawiającą pewności. Może być nawet, że jej się uda osiągnąć cenę bardzo wysoką. Bo w istocie, gdzież znaleźć rzadsze narzędzie rozkoszy? Obecnie posiada ona wszystkie ponęty i całą umiejętność rozkoszy; posiada ten rodzaj piękności, który budzi podziw mężczyzn, ściąga na siebie ich uwagę w przechodzie, niepokoi ich, budzi w ich krwi pożądliwość nieubłaganą; posiada elegancyę wytworną, gust wyrafinowany stroju, umiejętność stosowania barw i mody, zlewających się w jej stroju z harmonijnym wdziękiem postaci; nauczyła się cieniować głos dźwięczny i gorący, tak jak spojrzenia aksamitnych oczu, w tych sylabach powolnych, co wywołują marzenia i usypiają wszelką troskę; nosiła w głębi swej istoty zaród tajonej choroby, która zdawała się czasami zabarwiać pewną tajemniczością wrażliwość jej zmysłów; miewała kolejno to słabość uroczą chorej, to gwałtowność

tryskającej zdrowiem kobiety; nakoniec, była bezpłodną. Łączyła zatem w sobie wszystkie te niezmierne zalety, jakie predestynują kobietę do władania światem, za pomocą bicza swej piękności nieczystej. Zalety jej wrodzone, skomplikowała jeszcze i wykształciła namiętność. Teraz była właśnie u szczytu swej siły. Jeżeli nagle znajdzie się wolną, bez wszelkich więzów, jakąż obierze drogę, aby iść dalej w życiu? Jerzy nie miał już żadnych pod tym względem wątpliwości; on wiedział dobrze, jaki uczyni wybór. Utwierdzał się coraz więcej w tej pewności, że wpływ jego na nią ograniczał się do rzeczy zmysłowych i do pewnych pozornych właściwości umysłu. Podkład plebejski, stanowiący jądro jej istoty, pozostał nieprzenikniony w swej grubości. Przekonanym był, że ten podkład plebejski pozwoli jej nawyknąć bez trudu do stosunku z kochankiem, nieodznaczającym się bynajmniej żadnemi wyższemi zaletami, ni to fizycznemi, ni moralnemi: słowem z kochankiem pospolitym, przeciętnym.

I nalewając ponownie w opróżnione czarki wino jej ulubione, to wino, którem zazwyczaj rozwesela się potajemne kolacyjki, drobne orgie nowoczesne, odbywane po za siedmiu zamkami, nadawał już w wyobraźni pozy ostatecznego bezwstydu tej „Rzymiance bladej i drapieżnej, niezrównanej w sztuce osłabiania krzyżów samcom“.

— Jak ci ręka drży!—zauważyła Hipolita, patrząc nań.

— To prawda — rzekł ze skrzywieniem, które oznaczać miało uśmiech. — Już cokolwiek zaszumiało mi w głowie, wiesz co? A ty nie pijesz, zdrajczyni!

Zaśmiała się, wypiła po raz trzeci, zdjęta wesołością dziecięcą na myśl, że się upije, że czuć będzie jak zwolna zaćmiewać jej się poczną wszystkie władze umysłu. Już opar wina począł działać na nią. Demon histeryczny zaczynał ją ogarniać.

— Patrz jak mi ręce zczerniały! — zawołała podnosząc w górę szerokie rękawy, aż po nad łokcie. Ale przypatrz się moim dłoniom!

Jakkolwiek miała karnacyę brunetek, barwy złota gorącej i matowej, skóra rąk była u niej niezmiernie delikatną, znacznie jaśniejszą, dziwną jakąś bladością. Słońce opaliło tę część ramienia, z którą się stykało; dołem wszakże ręce pozostały blade. A na delikatnej bladości, przeświecały żyłki subtelne a przecież dokładnie widoczne mocnego lazuru, który wpadał nieco we fiolet. Jerzy powtarzał sobie często słowa Kleopatry do włoskiego wysłańca: „Patrzaj, masz tu najbłękitniejsze moje żyłki do ucałowania“.

Hipolita wyciągnęła ku niemu obie dłonie i rzekła:

— Ucałuj!

Pochwycił jedną z nich i swym nożem zrobił ruch, jak gdyby ją chciał przeciąć.

Rzuciła mu wyzwanie.

— Tnij, jeśli chcesz! Ja się nie ruszę.

Podczas tego giestu, nieruchomie utkwił wzrok w delikatnej błękitnej nitce, na tej, tak jasnej skórze, że zdała się należeć do innego jakiegoś ciała, do ciała blondynki. I osobliwość ta pociągała go, kusiła zmysł jego estetyczny, podsuwając mu na myśl obraz tragicznej jakiejś piękności.

— To jest miejsce, gdzie cię zranić można— rzekł z uśmiechem.—Jest tu wskazówka niezawodna: Umrzesz z poprzecinanemi żyłami. Daj drugą rękę.

Zbliżył ku sobie obie jej dłonie i raz jeszcze zrobił taki ruch jakby je chciał przeciąć za jednym zamachem. Obraz dokładny występował w jego umyśle. Na progu marmurowym drzwi, pełnych cienia i oczekiwania, ukazuje się ta, która ma umrzeć, wyciągając obnażone ręce; z kończyn tych ramion przez nacięte żyły tryskają drżące dwie fontanny czerwone. A między temi czerwonemi strumieniami, twarz przybiera zwolna nadnaturalną bladość, oczodoły napełniają się jakąś nieskończoną tajemniczością, widmo niedającego się wypowiedzieć słowa rysuje się na wargach zamkniętych. Nagle strumień podwójny przestaje płynąć. Ciało bezkrwiste pada wstecz, jako masa bezwładna, w ciemność.

— Opowiedz mi obecne twe marzenie!—prosiła Hipolita, widząc jak się zamyślił.

Opisał jej ten obraz, który mu przyszedł na myśl.

— Bardzo ładne!—wymówiła z zachwytem, jakby stała przed jakąś ryciną.

I zapaliła papierosa. Końcem warg wypuściła falę dymu ku lampie, dokoła której krążyły wciąż ćmy nocne. Przez chwilę przypatrywała się ruchowi wątłych skrzydełek, rozproszonych w ruchomym obłoku. Potem zwróciła się ku Ortone, połyskującemu w blasku ogni. Wstała i podniosła oczy ku gwiazdom.

— Jakaż dziś noc gorąca!—rzekła, oddychając silnie.—A tobie nie gorąco?

Rzuciła papierosa. Znowu odsłoniła ramiona. Podeszła do niego. Przechyliła mu nagle w tył głowę; otuliła długą pieszczotą; przesuwała po całej twarzy usta, prześlizgujące się powoli, osłabłe i płomienne, w wielokrotnym pocałunku. Oplątała go uściskiem. Owinęła dokoła niego i ruchem niewytłomaczonym, tak był bowiem zwinnym i nagłym, usiadła mu na kolanach, dając uczuć przez lekką suknię swą nagość, cały zapach swej skóry, ten zapach drażniący i przyjemny, który w chwilach rozkoszy upajał jak woń tuberozy.

On drżał na całem ciele, jak przed chwilą, kiedy go ściskała w pokoju pełnym cienia wieczor-

nego zmroku. To drżenie ona wzięła za objaw żądzy i ręce jej stały się wyzywającemi.

— Nie, nie; daj mi pokój!—szeptał, odsuwając ją zlekka.—Mogliby nas zobaczyć.

Oderwała się od niego. Chwiała się cokolwiek na nogach i zdawała się być rzeczywiście pijaną. Powiedziałbyś, że jakaś mgła, co przysłaniała jej oczy i mózg, zaćmiewa wzrok jej i myśli. Dłonią dotknęła czoła i lic płonących.

— Jakże okropnie gorąco!—westchnęła.—Nieomal bierze mnie ochota rozebrania się do naga.

Jerzy, owładnięty teraz jedną, nieopuszczającą go ani na chwilę myślą, powtarzał wciąż w duszy: „Mamże sam umierać?“ W miarę jak czas uchodził, czyn gwałtowny, który postanowił spełnić, wabił go ku sobie coraz potężniej, coraz nieprzeparciej. Po za sobą, w pokoju sypialnym, słyszał miarowy szelest wahadła zegaru; słyszał rytmiczne uderzenia międlicy na dalekiem gdzieś boisku. Te dwa zgodne jednostajnością odgłosy a przecież odmienne, zaostrzały w nim poczucie uchodzącego czasu, przejmowały jakimś rodzajem trwożnego niepokoju.

— Patrzaj jak Ortone płonie całe! — zawołała Hipolita.—Co tu rakiet!

Uroczystujące miasto oświecało cały widnokrąg. Niezliczone rakiety, wybiegające z jednego środkowego punktu, rozwijały się na niebie, niby szeroki wachlarz złoty, który powoli, od dołu ku samej górze, rozpryskiwał się w deszcz rozsy-

pujących się iskierek; i nagle z pośród tego deszczu, nowy wachlarz się tworzył, kompletny i wspaniały, by się rozsypać ponownie i ponownie znów ukształtować; wody dokoła odbijały ten obraz zmienny. Słychać było łoskot głuchy, niby dalekich gdzieś strzałów, przerywanych poważniejszemi odgłosami, po których następował wybuch bomb różnokolorowych wysoko na niebie. A za każdym wystrzałem, miasto, port, wielki bulwar, długą linią ciągnący się na wybrzeżu— wszystko to ukazywało się w coraz innem świetle, przeobrażone fantastycznie.

Wyprostowana u parapetu loggii, Hipolita podziwiała ten widok i witała najwspanialsze ognie okrzykami zachwytu. Od czasu do czasu, postać jej oblewał odblask niby łuny pożarnej.

„Podniecona jest, cokolwiek pijana, gotowa do wszelkich szaleństw — myślał Jerzy, patrząc na nią. — Mógłbym zaproponować jej przechadzkę, której kilkakrotnie okazała się ciekawą: przebiedz jeden z tunelów przy blasku pochodni. Zejdę na trabocco zabrać pochodnię. Ona zaczeka na mnie na początku mostka. Potem poprowadzę ją do tunelu znaną mi ścieżką. Wymiarkuję czas tak, by pociąg zaskoczył nas pod sklepieniem... *Nieostrożność... nieszczęśliwy wypadek...*“

Pomysł wydał mu się nadzwyczaj łatwym do urzeczywistnienia; przedstawił się on jego umysłowi z nadzwyczajną jasnością, jak gdyby począł się i wytworzył w głębi jego bezświadomo-

ści od chwili, kiedy wobec relsów połyskujących, błysnął mu, nieokreślony jeszcze, po raz pierwszy. „I ona umrzeć musi“. Postanowienie utrwalało się z każdą chwilą, teraz już niewzruszone. Słyszał po za sobą uderzenie zegara, pełen niepokoju, nad którym nie był w stanie zapanować. Czas naglił. Być może, iż pozostaje im zaledwie dość czasu na to, by zejść. Należało działać bez zwłoki, zapewnić się natychmiast którą godzinę wskazuje zegar. Ale niepodobieństwem wydawało mu się powstać z krzesła; zdało mu się, że jeśli zwróciłby się bodaj słowem do niedomyślającej się niczego kobiety, zabrakłoby mu głosu formalnie.

Skoczył na równe nogi, słysząc w dali huk dobrze znany.—Za późno!—A serce biło mu tak mocno, że zdało mu się, iż umrze chyba z niepokoju, w miarę jak huk i świst się zbliżał.

Hipolita odwróciła się.

— Pociąg!—ozwała się.—Chodź popatrzeć.

Postąpił; a ona otoczyła mu swem ramieniem obnażonem szyję, wsparłszy się na nim.

— Wjechał w tunel—dodała jeszcze, wnosząc z odmiennego łoskotu.

W uszach Jerzego huk wzrastał w sposób straszliwy. Widział niby w halucynacyi kochankę swą i siebie samego, pod sklepieniem ciemnem, nagłe zbliżanie się latarń pośród ciemności, krótką walkę na szynach, upadek jednoczesny, ciała poszarpane z straszliwą gwałtownością.

A równocześnie czuł dotknięcie smukłej, gibkiej kobiety, pieszczącej, wiecznej tryumfatorki. I doznawał wraz z fizyczną zgrozą instynktowną przed tem barbarzyńskiem unicestwieniem, jakiegoś gorzkiego żalu względem tej, która zdawała się wymykać jego nienawiści.

Pochyleni oboje przez parapet, przypatrywali się pociągowi przebiegającemu z ogłuszającym łoskotem, szybkiemu i złowrogiemu, który wstrząsał całym domem aż do fundamentów, udzielając im samym również tego drżenia.

— W nocy—mówiła Hipolita, przyciskając się mocniej jeszcze do niego—boję się, kiedy tak pociąg wstrząsa dom cały. A i ty boisz się także, nieprawdaż? Nieraz czułam jak drżałeś...

Nie słuchał zupełnie tego co mówiła. W głębi jego ducha straszny panował chaos; było to wzruszenie najcięższe może i najniejaśniejsze jakiego doznał w ciągu życia. Myśli i obrazy luźne, niepowiązane z sobą, wirowały w jego mózgu a serce wiło się w jego piersi pod wpływem tysiąca ukłuć. Jeden wszakże obraz stały, górował po nad wszystkiemi innemi, ogarniał sam rdzeń jego duszy. Co robił o tej porze przed pięciu laty? Czuwał przy trupie; wpatrywał się w twarz przysłoniętą czarnym welonem, rękę długą i bladą...

Ręce niespokojne Hipolity, dotykały go, zagłębiały się zwolna, niespostrzeżenie we włosy, łaskotały kark. Na szyi, na uszach, czuł wilgo-

tne usta. Ruchem instynktownym, którego nie mógł pohamować, odsunął ją i sam się cofnął. Ona zaśmiała się tym śmiechem szczególniejszym, ironicznym i bezwstydnym zarazem, który świecił i dzwonił na jej zębach, ilekroć kochanek przeciwstawiał jej żądzy odmowę. I posłyszał znów powolne, czyste sylaby: „Przez obawę moich pocałunków!“

Łoskot głuchy, zmięszany z wyraźnemi strzałami, dobiegł znów od strony oświetlonego miasta. Była to nowa serya rakiet. Hipolita zwróciła się ku widowisku.

— Patrzaj! Powiedziałby kto, że Ortone się pali.

Szeroka łuna czerwona zalewała coraz dalej niebo, odbijając się w wodach; a pośród tej czerwoności rysowały się wyraźnie kontury płonącego miasta.

Race tryskały bezprzestannem światłem złotem; bomby pękały, zamieniając się w szerokie, wspaniałe róże ognia.

„Czyżbym miał przeżyć jeszcze tę noc?—zadawał sobie Jerzy pytanie. — Czyżbym miał jutro rozpocząć znów życie? I na jak długo, dopóki jeszcze?“ Gorzki niesmak, równający się mdłości, nienawiść dzika nieomal występowała z samej głębi jego istoty, na myśl, że na przyszłą noc, miałby jeszcze mieć obok siebie, na tej samej poduszce tę kobietę, że słyszeć będzie jeszcze w bezsennych chwilach oddech śpiącej, że czuć

będzie jeszcze zapach i dotknięcie tej skóry rozpalonej, że ulegnie raz jeszcze żądzy a potem, że dzień nowy wstanie i zejdzie na zwykłej bezczynności, na męczarni dwu wieczystych alternatyw...

Błysk światła uderzył jego oczy, przywołując do zjawisk świata zewnętrznego. Szeroka róża księżycowej jasności wznosiła się po nad miastem morskiem i tam na wybrzeżu oświecała, jak daleko oko zasięgło, szereg małych zatok, wykrojonych w półkole i sterczące skał szczyty. Przylądki More, Nicchiola, Trabocco, rafy poblizkie i dalekie, aż do szczytu Vaste, ukazały się na kilka sekund w niezmiernej światłości.

„Przedgórze“ — poszepnął nagle Jerzemu głos jakiś tajemny, w chwili, kiedy wzrok jego spoczął na szczycie uwieńczonym karłowatemi, powykręcanemi drzewami oliwnemi.

Białawe światło zagasło. Gród daleki umilkł, rysując się jeszcze tylko w ciemnościach oświeconemi oknami domów. W ciszy, Jerzy posłyszał znowu wahadłowy ruch zegaru i rytmiczne uderzenia międlicy. Ale teraz był już panem swego niepokoju; czuł się daleko silniejszym i widział rzeczy jaśniej.

— Czy nie zechciałabyś przejść się trochę?— spytał Hipolitę głosem niemal zupełnie spokojnym. — Wyszlibyśmy na jakieś odkryte miejsce; położylibyśmy się w trawie i odetchnęli cokol-

wiek świeższem powietrzem. Patrzaj, noc jest niemal tak jasna jak podczas pełni.

— Nie, nie, zostańmy tutaj! — odpowiedziała niedbale.

— Nie jest tak późno jeszcze. Tobie już się chce spać? Ja nie mogę, jak wiesz, kłaść się wcześnie do łóżka: nie mogę zasnąć i to mi sprawia wielką przykrość... Takbym chętnie przeszedł się trochę. Dalej, nie bądźże tak leniwa! Możesz wyjść jak jesteś, nie żenując się wcale.

— Nie, nie, zostańmy tutaj!

Ponownie zarzuciła mu obnażone swe ramię na szyję, osłabła, przejęta żądzą.

— Zostańmy tutaj. Chodź, połóż się ze mną na otomanie. Chodź!

Starała się złudzić go, pociągnąć, przejęta tem gorętszą żądzą, im więcej Jerzy się opierał. Cała była płomienna, piękna niewymownie. Piękność jej rozświeciła jak pochodnia. Długie jej wężowe ciało, drgało poprzez lekką tkaninę sukni. Wielkie jej oczy ciemne, lały wdzięk pełen czaru godzin najwyższej namiętności. Była w tej chwili lubieżnością wszechpotężną, co powtarza: „Jam jest wieczyście niezwalczoną... Jam jest silniejszą, niż myśl twoja... Woń mojej skóry ma moc rozpraszania w tobie całych światów".

— Nie, nie, nie chcę! — oświadczył Jerzy, chwytając ją za ręce z postanowieniem brutalnem niemal, którego nie umiał nawet złagodzić.

— Ach, nie chcesz? — odparła drwiąco, zabawiona tą walką, pewna swego zwycięstwa, niezdolna wyrzeczenia się w tej chwili swego kaprysu.

Pożałował swej szorstkości. Aby mu się udało wciągnąć ją w zasadzkę, należało okazywać się uległym i pieszczotliwym, udawać zapał i czułość. Następnie namówiłby ją z pewnością już na przechadzkę nocną, na ostatnią przechadzkę. Z drugiej strony wszakże, czuł również absolutną konieczność nietracenia w uścisku tej nerwowej energii chwilowej, która dlań była nieodzowną do przyszłego czynu.

— Ach, więc ty nie chcesz?—powtórzyła, obejmując go znów ramieniem i patrząc zblizka, z oczyma utkwionemi w oczach, z rodzajem hamowanego szału.

Jerzy dał się wciągnąć do pokoju. I upadli, spleceni uściskiem, na otomanę.

Wtedy nieprzyjaciółka puściła całej swej lubieżności wodze wobec tego, którego uważała już za pokonanego. Rozwiązała włosy, rozluźniła suknie, wyciągnęła się, jakby pragnęła rozlać woń swą dokoła, niby krzew o pachnących listkach. Zdawała się wiedzieć, że należy jej rozbroić tego człowieka, zdenerwować go, złamać, by go uczynić nieszkodliwym.

Jerzy czuł się zgubionym. Wysiłkiem, który podszepnęła mu dzikość zwierzęca, wyswobodził się, rzucił na otomanę straszliwą istotę i z obrzy-

dzeniem, zmięszanem na poły z gniewem, konwulsyjnie drżącemi dłońmi, zadowolnił aż do spazmu ten szał namiętny.

Odtrącała go z jękiem.

— Dosyć! Dosyć! Puść mnie!

On upierał się mimo obrzydzenia, które go dławiło na widok tego spazmu. Całą sromotę płci miał tutaj przed oczyma.

— Dosyć! Puść mnie!

I nagle porwał ją śmiech nerwowy, frenetyczny, niepowstrzymany, straszliwy jak śmiech obłąkanej.

Wylękły, puścił ją. Patrzał na nią z odrazą widoczną, myśląc: „Czy to już szaleństwo?“

Ona śmiała się, śmiała, śmiała, wijąc się, kryjąc twarz w dłoniach, gryząc palce, trzymając za boki; śmiała się, śmiała, mimo woli, wstrząsana długą, głośno rozlegającą się czkawką.

Chwilami powstrzymywała się na sekundę; potem rozpoczynała na nowo, z gwałtownością wznowioną. I nie było nic chyba bardziej złowrogiego nad ten śmiech szalony wśród wielkiej ciszy nocnej.

— Nie bój się! Nie bój się!—mówiła w chwilach przerw, na widok kochanka osłupiałego i przerażonego. Ja się już uspakajam. Idź stąd, wyjdź! Proszę cię!

Wyszedł do loggiii, niby w śnie jakimś okropnym. Niemniej przeto mózg jego zachował jasność i czujność dziwną. Wszystkie czyny, wszy-

stkie pojęcia miały dla niego nierzeczywistość snu a równocześnie nabierały znaczenia tak głębokiego, jak alegorya. Słyszał jeszcze po za sobą śmiech źle powstrzymywany; zachował jeszcze na palcach wrażenie czegoś nieczystego. Widział dokoła siebie piękność letniego wieczoru. Wiedział co to miało się dokonać.

Śmiech ustał. Znowu w ciszy nocnej dosłyszał miarowy ruch zegarowego wahadła i dalekie uderzenia międlicy na boisku. Drgnął, posłyszawszy jęk dochodzący z mieszkania starców: były to bóle rodzącej.

„Wszystko musi się spełnić!"—myślał.

I odwracając się, przestąpił próg, pewnym krokiem.

Hipolita leżała na otomanie, zmieniona, pobladła, z nawpół przymkniętemi oczyma. Za zbliżeniem kochanka uśmiechnęła się.

— Chodź, siądź tutaj! — szepnęła z słabym giestem.

Pochylił się ku niej i zobaczył na rzęsach wilgoć łez. Usiadł.

— Cierpiąca jesteś?

— Czuję trochę duszności. Jakiś ciężar tutaj, zda mi się, to ustępuje w dół, to się podnosi...

I wskazała na środek piersi.

Ozwał się:

— Bo też udusić się można w tym pokoju. Powinnabyś przymusić się podnieść i wyjść na po-

wietrze. Przechadzka, jestem pewien, dobrzeby ci zrobiła. Noc jest wspaniała. Chodźmy!

Podniósł się i podał jej ręce. Ona podała mu dłonie i dała się pociągnąć. Podniesiona, wstrząsnęła głową, aby odrzucić w tył włosy, rozrzucone dotąd. Potem schyliła się, szukając na otomanie rozrzuconych szpilek.

— Gdzież one mogą być?

— Czego szukasz?

— Moich szpilek.

— Dajże pokój! Jutro je znajdziesz.

— Ależ kiedy mi potrzebne do zapięcia włosów.

— Zostaw rozpuszczone włosy. Tak mi się podobasz.

Uśmiechnęła się. Wyszli do loggii. Podniosła twarz ku gwiazdom i odetchnęła wonią nocy letniej.

— Widzisz jaka noc piękna!—ozwał się Jerzy głosem zachrypłym, ale łagodnym.

— Tłuką len — wymówiła Hipolita, z uchem uważnie wytężonem w stronę, zkąd pochodziły rytmiczne uderzenia.

— Zejdźmy — rzekł Jerzy. — Przejdziemy się cokolwiek. Dojdźmy ot tam, do tych drzew oliwnych.

Zdało się, że zawisł cały na ustach Hipolity.

— Nie, nie. Zostańmy tutaj. Widzisz w jakim stanie się znajduję!

Wskazywała na swe ubranie pomięte i porozpinane.

— Cóż to szkodzi? Kto nas zobaczy. O tej godzinie nie spotkasz żywego ducha. Chodź jak jesteś. Ja także, widzisz, wychodzę bez kapelusza. Cała okolica jest dla nas niemal ogrodem. Zchodźmy.

— Zejdźmy—zezwoliła nakoniec.

Na te słowa Jerzemu wydało się, że mu przestało bić serce.

Ruchem instynktownym zbliżył się do progu pokoju pełnego światła. Rzucił do wnętrza jego niespokojne spojrzenie, spojrzenie pożegnania. Cały huragan wspomnień podniósł się w jego duszy oszalałej.

— Czy zostawimy palącą lampę?—spytał, nie myśląc o tem co mówi.

I własny głos sprawił na nim nieokreślone jakieś wrażenie rzeczy dalekiej i obcej.

— Tak—odpowiedziała Hipolita.

Zeszli.

Na schodach wzięli się za ręce, stawiając nogę ostrożnie po każdym stopniu powoli. Jerzy zadawał sobie taki gwałt, by zapanować nad swym niepokojem, że sam ten wysiłek już wprawiał go w dziwne uniesienie. Rozglądał się w niezmierzoności nocnego nieba i zdało mu się, że je wypełnia potęga własnego jego życia.

Spostrzegli przy murze dziedzińca cień mężki nieruchomy i milczący. Poznali starego gospodarza.

— Wy tutaj, o tej porze, Colo? — przemówiła Hipolita. — Więc wam się jeszcze spać nie chce?

— Czuwam przy Kandyi, która rodzi—odpowiedział starzec.

— I wszystko dobrze idzie?

— Owszem, dobrze.

Drzwi mieszkania były oświetlone.

— Poczekaj tu minutkę—ozwała się Hipolita.— Pójdę zobaczyć do Kandyi.

— Nie, nie idź tam teraz—prosił Jerzy.—Zobaczysz za powrotem.

— Dobrze; zajrzę do niej za powrotem. — Dobranoc, Cola.

Stąpnęła fałszywie, zapuszczając się na ścieżkę.

— Ostrożnie!—ostrzegł cień starca.

Jerzy podał jej ramię.

— Może się oprzesz?

Wsunęła rękę pod ramię Jerzego.

Szli kilka kroków w milczeniu.

Noc była jasna, w całej swej chwale, uwieńczona wszystkiemi gwiazdy. Wielka Niedźwiedzica świeciła ponad ich głowami, siedmioraką swą tajemnicą. Milczący i czysty, jak niebo po nad nim, Adryatyk dawał znać o sobie tylko swym oddechem i zapachem.

— Dlaczego tak się spieszysz? — spytała Hipolita.

Jerzy zwolnił kroku. Owładnięty jedną jedyną myślą, gnany koniecznością czynu, miał już tylko niejasną jakąś świadomość wszystkiego innego. Życie jego wewnętrzne zdawało się rozpryskiwać, ulegać rozkładowi, rozkładać w jakimś głuchym fermencie, który ogarniał i przenikał aż do najgłębszych pokładów jego istotę i wyrzucał na powierzchnię odłamy bezkształtne najróżnorodniejszej natury, tak niemożliwe do poznania, jak gdyby nie należały bynajmniej do życia tegoż samego człowieka. Wszystkie te rzeczy osobliwe, zawiłe i gwałtowne pojmował teraz niejasno zaledwie, jakby w półśnie, kiedy tymczasem jeden punkt wyłączny jego mózgu zachował jasność nadzwyczajną i prostą nieubłaganą linią kierował go ku czynowi ostatecznemu.

— Jaki to smutny łoskot tej międlicy na boisku!—ozwała się Hipolita przystając. — Przez całą noc tłuką len. Czy ciebie to nie przejmuje jakimś dziwnym smutkiem?

Opierała się mocniej nieco na ramieniu Jerzego, muskając zlekka włosami jego policzek.

— Przypominasz sobie Albano i tych brukarzy, co od rana do wieczora wbijali kamienie pod naszemi oknami?

Głos jej miał jakiś akcent smutku, może i znużenia.

— Zdarzało się nam zasypiać przy tym odgłosie.

Urwała, zaniepokojona.

— Dlaczego ty się wciąż tak obracasz po za siebie?

— Zdaje mi się, że słyszę kroki bosego człowieka — odpowiedział Jerzy cichym głosem.— Stańmy na chwilę.

Zatrzymali się, nasłuchując.

Jerzy był pod wrażeniem tejże samej odrazy, która przejęła go dreszczem przed drzwiami grobowego pokoju. Całą istotą jego wstrząsał dreszcz jakiegoś tajemniczego czaru; zdawało mu się, że już przekroczył granice nieznanego świata.

— To Giardino — ozwała się Hipolita, spostrzegłszy zbliżającego się psa—poszedł widocznie za nami.

I po kilkakroć zawołała na wiernego swego przyjacielu, który przybiegł w skokach. Schyliła się, by go popieścić, poczęła przemawiać tym specyalnym tonem, który przybierała zazwyczaj, ilekroć chciała popieścić miłe sobie zwierzęta.

— Nie opuszczasz nigdy twej przyjaciółki, nieprawdaż? Nie opuszczasz jej nigdy?...

Pies wdzięczny począł się tarzać w piasku.

Jerzy postąpił kilka kroków. Doznał wielkiej ulgi, poczuwszy się uwolnionym od ramienia Hipolity; do tej chwili dotknięcie to sprawiało mu

przykrość fizyczną, nieokreśloną. Wyobraził sobie czyn nagły i gwałtowny, który należało mu dopełnić; wyobraził sobie uścisk śmiertelny swych ramion, co oplotą ciało tej kobiety; i chciałby nie dotykać jej już aż do chwili ostatniej.

— Chodźmy, idźże; dochodzimy już — mówił, poprzedzając ją do zarośli drzew oliwnych, bielejących w świetle gwiazd.

Zatrzymał się na granicy wyniosłości i odwrócił, by upewnić, że idzie za nim. Raz jeszcze rzucił dokoła spojrzenie nieprzytomne, jak gdyby chciał ogarnąć obraz tej nocy. Wydało mu się, że na wyżynie cisza stała się głębszą jakąś. Słychać było tylko uderzenia międlicy w oddali.

— Chodź!—powtórzył głosem czystym, przejęty nagłą jakąś energią.

I przechodząc między pniami pogiętemi drzew, czując pod stopą miękość trawy, zbliżył się na sam brzeg przepaści.

Brzeg ten tworzył występ kolisty, wolny ze wszech stron, bez wszelkiego ogrodzenia. Jerzy oparł sobie ręce o kolana, pochylił biust na tej podporze i ostrożnie wysunął głowę. Badał rafy leżące pod nim w dole; zobaczył skrawek piaszczystego nadbrzeża. Trup dziecka, rozciągniętego na morskim brzegu, stanął mu żywo przed oczyma. I tak samo pojawiła mu się nagle czarniawa plama, widziana razem z Hipolitą

z wysokości Pincio, na bruku, pod murem i w uszach zabrzmiały mu odpowiedzi woźnicy, dawane człowiekowi o zielonkawej cerze; i niewyraźnie wszystkie widma tego popołudnia przeszły przed jego duszą.

— Uważaj!—krzyknęła Hipolita, dochodząc do niego.—Uważaj!

Pies szczekał wśród drzew oliwnych.

— Słyszysz, Jerzy? Cofnij się! Odejdź z tamtąd!

Przedgórze spadało stromo na rafy czarne i puste, dokoła których woda zaledwie poruszała się zlekka, z pluskiem słabym, kołysząc na powolnie chwiejących się falach, odblaski gwiazd.

— Jerzy! Jerzy!

— Nie bój się nic! — rzekł głosem schrypłym! — Zbliż się! Chodź! Przyjdź się przypatrzyć rybakom, łowiącym przy pochodniach między skałami...

— Nie, nie! Boję się zawrotu głowy.

— Chodź! Ja cię będę trzymał.

— Nie, nie!

Zdawała się zdziwioną niezwykłym dźwiękiem głosu Jerzego i jakieś nieokreślone pomięszanie poczynało ją ogarniać.

— Chodź przecież!

I zbliżył się ku niej z rękami wyciągniętemi. Nagle pochwycił ją za ręce, pociągnął kil-

ka kroków naprzód; potem ścisnął w ramionach, skoczył, usiłując przechylić ku przepaści.

— Nie! nie! nie!...

Opierała się z szaloną energią. Udało jej się wyswobodzić z jego objęć; uskoczyła w tył zdyszana i drżąca.

— Czyś ty oszalał? — krzyczała z gniewem w głosie. — Czyś ty oszalał?

Ale kiedy zobaczyła, że podchodzi ku niej w milczeniu, kiedy poczuła, że ją pochwycił ponownie z gwałtownością brutalniejszą jeszcze i ciągnie znowu ku przepaści, zrozumiała wszystko i straszliwy błysk ponury przeszył jej duszę gromem przestrachu.

— Nie, Jerzy, nie! Puść mnie, puść mnie! Minutę tylko jeszcze! Słuchaj, słuchaj! Jedną minutę. Chcę ci powiedzieć...

Oszalała z przestrachu, błagała, wijąc się. Miała nadzieję, że go powstrzyma, wzbudzi w nim litość.

— Jedną minutę tylko! Słuchaj! Ja cię kocham! Przebacz mi! Przebacz!

Bełkotała słowa bez związku, zrozpaczona, czując że słabnie, tracąc grunt pod nogami, widząc śmierć przed sobą.

— Morderco!—zawyła wówczas rozszalała.

I poczęła się bronić paznokciami, zębami jak dzikie zwierzę.

— Morderco!—ryczała pochwycona za włosy,

przewrócona na ziemię nad brzegiem przepaści, zgubiona.

Pies szczekał, wpatrzony w tę grupę tragiczną.

Walka była krótką a zażartą, jak między nieubłaganymi wrogami, u których dotychczas w głębi duszy lęgła się najwyższa nienawiść...

...I padli w przepaść śmierci, spleceni uściskiem.

KONIEC